

UZDROWICIEL

CIENIE PRZESZŁOŚCI



MAGDALENA KUŁAGA

Magdalena Kulaga

Uzdrowiciel

Cienie przeszłości



Copyrights to:



Wirtualne Wydawnictwo „Goneta” Aneta Gonera

www.goneta.net

ul. Archiwalna 9 m 45

02-103 Warszawa

Korekta: Agnieszka Równicka

a.rownicka@wp.pl

Okładka: Katarzyna Jackiewicz

okovabi@gmail.com

Projekt mapki : Magdalena Marków

vilandra@onet.pl

Redakcja: Aneta Gonera

wydawnictwo@goneta.net

Agnieszka Równicka

a.rownicka@wp.pl

ISBN: 978-83-63783-73-0

Wydanie 2, poprawione

Warszawa, 3 marca 2015

Tekst w całości ani we fragmentach nie może być powielany ani rozpowszechniany za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, w tym również nie może być umieszczany ani rozpowszechniany w postaci cyfrowej zarówno w Internecie, jak i w sieciach lokalnych bez pisemnej zgody wydawnictwa „Goneta” Aneta Gonera.

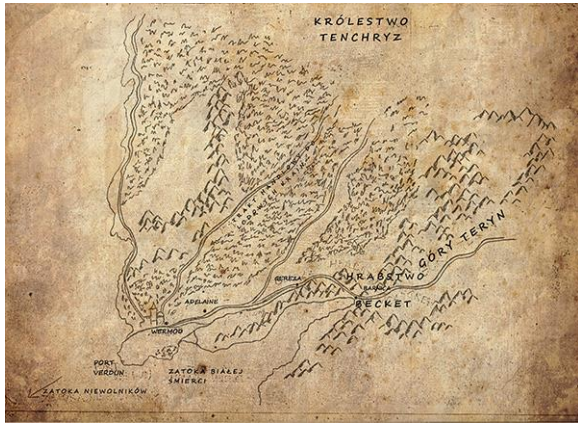
Od redakcji:

Powieść fantasy osadzona w świecie alternatywnym, w czasie zbliżonym do naszego. Historia człowieka posiadającego moc uzdrawiania, porwanego przemocą na zamek królewski, by chronić życie króla, jego rodziny i najbliższego dworu, przed śmiertelną zarazą, dziesiątkującą królestwo.

Uzdrowiciel o imieniu Wiwan, jest człowiekiem bardzo wrażliwym. Ma dar odczuwania nastrojów. Nazywane jest to darem współodczuwania. Zbyt wiele zła i podłości wokół sprawia, że jego siły słabną, wysysając z niego chęć do życia. Jego przeznaczeniem jest ratowanie innych, dawanie im nadziei i podnoszenie z upadku. W zamku ogarnia go mrok zła, knozań, skrytych mordów. Z pomocą przychodzi mu jego przyrodni brat. Zbieg różnych, czasem dość dramatycznych okoliczności sprawia, że misji ratowania najważniejszego wówczas człowieka w królestwie podejmują się ludzie, których wcześniej nikt by o to nie podejrzewał. Autorka zaangażowała w ten akt ratunkowy ludzi z... Domu Rozkoszy, tamtejszego domu publicznego.

Życie poza zamkiem to najczarniejszy scenariusz dla ludzkości. Zaraza odbiera poczucie człowieczeństwa. Słabe psychicznie jednostki stają się bandytami i mordercami. Dla ratowania swojego życia nie wahają się poświęcić innych. Ujawniają się najgorsze instynkty: zezwierzęcenie, dążenie do zaspokojenia swoich żądz. Niełatwo samemu jest przetrwać to piekło, zachowując przy tym poczucie własnej godności. Bohaterowie odnajdują szlachetność, waleczność i przyjaźń tam, gdzie najmniej się tego spodziewają...

Dla Agnieszki
Sama i Froda w jednym...



PROLOG

Śmierć zawładnęła potężnym królestwem Tenchryz...

Zarazę przywieźli kupcy, prawdopodobnie z wysp szmaragdowych. Ci, którym zdziesiątkowała załogę dali jej przydomek: Gemorte. Lodowa Śmierć — tak przetłumaczono tę nazwę w królestwie. Zabijała szybko. Zaczęło się od doków w porcie Verdun. Potem przyszła kolej na miasta i miasteczka. Nie znała litości. Nim zaczęły się żniwa, zdziesiątkowała chłopów, pozostawiając urodzajne pola własnemu losowi. Zabijała rzemieślników w trakcie ich pracy. Kapłanów, nianie, położne i matki. Panów i możnych. Dzieci, by odebrać im przyszłość...

Istniało tylko jedno, jedyne miejsce, gdzie nie mogła zmrozić ludzi swym śmiertelnym oddechem. Niewielkie, lecz szybko rozwijające się miasteczko, głęboko w górach, gdzie mieszkali smoki, a ludzie czasem znikali bez śladu w pradawnych lasach.

Żył tam młody uzdrowiciel.

Świat wokół Barnicy umierał. Upadały rządy hrabiów, okolicznych baronów oraz wszystkich szlachetnie urodzonych. Ludzie z całego królestwa zmierzali do miasteczka uzdrowiciela po ratunek. Wielu nie udało się nigdy dotrzeć...

Kiedy zaraza opanowała stolicę, król zamknął się w swym zamku wraz z rodziną i najbliższymi popiecznikami, odgradzając się tym sposobem od swoich poddanych. Nakazał, by za wszelką cenę sprowadzono na zamek uzdrowiciela. I choć do celu dotarł tylko jeden oddział, zdołał on podstępem wedrzeć się do miasteczka i uprowadzić go. Omal nie doprowadzając do masakry. Odtąd Wiwan musiał służyć królowi swoją niezwykłą mocą. Nie wolno mu było wysyłać listów, szukać kontaktu z rodziną. Próby ucieczki zakończyły się większym dozorem. Stał się królewskim więźniem. Był uzdrowicielem o niespotykanej mocy, mimo że miał dopiero dwadzieścia lat.

Teraz zaś prowadzono go na śmierć.

— Co właściwie planujesz? — zapytał wicekróla — Nie zwrócisz mi przecież wolności. Czemu więc nie zabiłeś mnie wcześniej?

— Skalać ręce krwią uzdrowiciela? — brat króla doskonale zagrał oburzenie — Moi przyszli poddani nie pokochaliby mnie za to — położył mu dłoń na ramieniu w zbyt poufałym geście, jakby zdradzał właśnie wielki sekret — Ja chcę zyskać sobie ich miłość i przychyłność, mój drogi. Widzisz, władza nad ludem to potęga! Dobry władca łaskę swych poddanych zdobywa podstępem. Czasem używa do tego miłości. Czyżbyś o tym nie wiedział?

— Przecież wszyscy dowiedzą się o tym, jak objąłeś tron, Tenchryzu!

— Owszem, tak się stanie. Zapewne wkrótce po zamachu. Część poddanych będzie się oburzać, tak. Bardziej domyślnych i zbyt kłopotliwych przywita nasza Matka Ziemia. Większość jednak będzie wdzięczna za ciebie i obalenie tyrana. Oczywiście przewidziałem też możliwość, że w pewnych sprzyjających ci okolicznościach mogłoby ci się udać wyjść cało z obecnej sytuacji. Mam nadzieję, że docenisz wtedy moją łaskawość względem ciebie, twojej rodziny i oczywiście mieszkańców waszego małego, zapadłego, górskiego miasteczka, bowiem będę miał wtedy szczególnie na uwadze — nachylił się ku skazańcowi tak blisko, że Wiwan czuł zapach jego oddechu — dobro was wszystkich. Zwłaszcza każdej z drogich ci osób, które są jeszcze przy życiu.

Te słowa wzbudziły w Wiwanie niepokój. Nim jednak zdołał się nad nimi głębiej zastanowić, wicekról dodał:

— Mój drogi, nikt nie będzie miał mi za złe, że usunąłem z tronu mego brata i jego rodzinę. Króla, którego lud daremnie błagał, by wydał im uzdrowiciela i uratował życie swych poddanych. Kogo obchodzić będzie prawda? Mając zaś armię, zamknę usta niepokornym.

— Będziesz zwykłym mordercą... — Wiwan spojrział mu w oczy z nieskrywaną pogardą. — On miał przynajmniej jedną zasadę — dbał o swoich bliskich. — Ty nie będziesz miał nikogo, bo zawsze będziesz się bał, że ktoś cię zabije, jak ty swego brata. Będziesz przeklinał dzisiaj dzień!

Terlan, brat króla, który właśnie w krwawy sposób doprowadził do zamachu stanu, przyjrzał się z powagą młodemu uzdrowicielowi, jakby właśnie odkrył w młodym mężczyźnie coś, czego się w nim nie spodziewał, wzbudzając tym jego uznanie. Istotnie, chociaż przez ostatnie tygodnie Wiwan dostarczał mu rozrywki swoją nieporadną próbą udaremnienia zamachu, zapewne na skutek postępującej w nim choroby, związanej z legendarną, szczególnie wrażliwością, musiał teraz przyznać, że nie brakowało mu nigdy odwagi.

— Wyprowadzić go! — rozkazał. Zabrakło jednak w jego głosie wcześniejszej werwy, jakby wciąż wahał się z decyzją.

Tak właśnie było.

— Wiwan! — zawołał po chwili.

Uzdrowiciel obejrzał się.

Wicekról zaczął chwilę w milczeniu, obserwując jego zachowanie. Nie widział lęku w jego oczach, mimo że, czego był pewny, młody mężczyzna zdawał sobie sprawę z tego co go wkrótce spotka.

— To twoja ostateczna decyzja? — zapytał go wreszcie. — Masz przecież wybór. Szkoda marnować tak wielki talent! Dobrze wiesz, że Nadworny Medyk w niczym ci nie dorównuje. Zastanów się! Życie w służbie u mnie czy śmierć?

Wiwan odwrócił wzrok. Kątem oka spostrzegł, że kilku najbliższych strażników spogląda na niego z rosnącą nadzieją, licząc na to że zmieni jednak

zdanie. Byliby głupcami, gdyby w czasie szalejącej wokół zarazy myśleli inaczej.

On jednak musiał zawieść ich nadzieje.

W żalobnym milczeniu żołnierze zabrali Wiwana z kwatery straży. Tym razem wykonanie rozkazu nie przyszło im łatwo. Wiedzieli, że pomagają zabić człowieka, którego uzdrowicielska moc i wielkie serce były już niemal legendą. Jego dłonie mogły być w przyszłości potrzebne ich rodzinom i im samym. Za brak posłuszeństwa jednak ich bliscy mogli wraz z nimi zapłacić życiem.

Nie mieli wyboru.

Wiwana nie stawiał oporu. Kiedy bramy muru otaczającego zamek zaczęły się otwierać, ogarnął go chłód, nie mający nic wspólnego z temperaturą otoczenia. Strach i rozpacz, zwykle były źródłem tego chłodu i teraz ścisnęły jego serce żelazną obręczą. Chciano go wypchnąć na zewnątrz, może w ten sposób dając upust narastającej frustracji, lecz jedno jego spojrzenie zniweczyło ten zamiar. Odsunęli się, pozwalając mu przejść. Ich ciała mimowolnie wyprostowały się w salucie.

Żegnali potężnego uzdrowiciela, wybawcę królestwa i bohatera zarazem w jedyny dostępny im sposób, okazując mu szacunek.

Tłum na zewnątrz, widząc otwierającą się bramę, przycichł w oczekiwaniu.

Wiwana, świadomy, że zostało mu niewiele czasu nim ludzie zrozumieją, kogo mają przed sobą, zamknął na chwilę oczy. Próbował zebrać siły przed tym, co go czekało.

Nie było żadnej drogi ucieczki. Żadnego odwrotu.

I żadnej nadziei.

Bramy murów zamkowych zamknęły się z rozdzierającym hukiem niczym wrota grobowca...

ROZDZIAŁ 1 — Ostatnie chwile

Przez chwilę tłum naradzał się, cichym szemraniem dając upust swemu niedowierzaniu. Szybko jednak zaczęło ustępować okrykom radości. „Tak, to on! Poznaję go!” wołali ludzie. „Pomógł mojej matce!”... „Uratował moją żonę!”... „Mojego brata wyrwał ze szponów śmierci!”.

Strach wdzierał się do jego duszy, w miarę gdy gwar narastał a euforia zadawała się ogarniać tłum niczym fala przyływu.

To się stanie wkrótce. Koszmar, budzący go nocami, właśnie zaczął się urzeczywistniać. Będzie modlił się o śmierć, która szybko nie nastąpi.

Zbliżał się koniec.

Chłód przenikał jego ciało. Bezradność. Żal, że niczemu nie może już zapobiec, niczego zmienić. To sprawiało mu niemal fizyczny ból.

Tłum wokół zawzięcie dyskutował, zbliżając się do niego. Wiwan próbował uciec myślami do innego miejsca, by nie poddać się narastającemu lękowi. Pomyślał o królowej, którą czekała długa i bolesna droga ku śmierci. Jej uroda budziła w bracie króla żądze, dotąd skrywaną. Wyzwalała pierwotną naturę pozbawioną zupełnie ciepłych uczuć. Budziła w nim potwora o niewysłowionym okrucieństwie, żadnego zniszczenia. Te uczucia były sprzeczne z naturą uzdrowiciela wrażliwego na cudzą krzywdę. Budziły w nim zarówno lęk jak i obrzydzenie.

Wicekról pewnie wprowadza w czyn swój plan, w myśl którego synów królowej spotka okrutna i natychmiastowa śmierć. Szczególnie brutalnie rozkaże obejść się z Meronem, najstarszym, zawsze wobec niego podejrzliwym. Potem zgwałci królową, na co miał zawsze ochotę i będzie robił to tak długo, aż zgasi w niej wszelką wolę walki i chęć do życia.

W murach zamku Wiwan wyczuwał targające wicekrólem emocje, bardzo dobrze maskowane przed innymi, lecz przez niego jako uzdrowiciela wrażliwego na całą gamę różnych uczuć, czytelne niczym otwarta księga. Nie jeden raz siła tych uczuć i bogata, demoniczna wyobraźnia, wślaczały w umysł Wiwana wizje torturowania królowej na oczach bezradnego męża. Zapach wicekróla zmieniał się wtedy dla czułego również i na to Wiwana. Serce mężczyzny przyspieszało ponad miarę i uderzało głośniejsze, a pot oblewał jego ciało, gdyż wicekról był nieco otyły w przeciwieństwie do swego brata. Najgorsze było jednak podniecenie kilkakrotnie w obecności Wiwana kończące się erekcją. Uczucia, które to powodowały i sam fakt, że miały taki właśnie skutek sprawiały, że uzdrowiciel czuł się chory i splugawiony. W jego podświadomości budowały też niewłaściwy i odrażający

obraz erotycznych zachowań, wspomagany także zachowaniem kobiet i mężczyzn na zamku. Dwór królewski bowiem korzystał z wszelkich uciech, zupełnie jakby za murami nie szalała śmierć. A może właśnie dlatego, że wciąż tam była. Z radością dawali upust swym pragnieniom, czemu zdawali się nie ulegać jedynie nieliczni.

Kilka razy ostrzegał Merona przed stryjem, lecz ponieważ ten ostatni był przebiegły w ukrywaniu uczuć i planów, Meronowi nie udało się go podejść. Kiedy Terlan zaczął być pewny sukcesu, jego podejrzania, że młody uzdrowiciel ujawni jego knowania przed czasem zniknęły. W czasie ich ostatniego wspólnego obiadu erekcja wicekróla znów napełniła Wiwana odrazą. Nie zjadł niczego. Inni byli zajęci wówczas pustą i nic niewnoszącą dyskusją na temat szalejącej wokół zarazy. Czuli się bezpiecznie w zamku, pod gorącym dotykiem uzdrowiciela, napasieni i swobodni. Terlan jak zawsze posadził go blisko siebie, pod pozorem okazania szacunku dla jego nadzwyczajnych umiejętności. Prawda zgoła była zupełnie inna. Wicekról chciał mieć go blisko siebie. Wolał nie tracić go z oczu w czasie publicznych spotkań. Wiwan z obrzydzeniem wspominał te chwile, gdy tamten z satysfakcją sięgnął dyskretnie do swoich spodni. Następnie delektując się odrazą uzdrowiciela, powoli i starannie wtarł rękę w kaftan młodego mężczyzny. Aby dopełnić dzieła, z premedytacją i znajomością rzeczy, ujął jego dłoń i mocno uściskał. Zapach tej dłoni sprawił, że Wiwana ogarnęły mdłości. Z trudem nad sobą panował.

— W podziękę za rozrywkę, którą mi dostarczasz — Terlan nachylił się do jego ucha.

Wiwanowi świat nagle zawirował. Zewsząd, promieniując od skalanej ręki, docierały do niego nieproszone bodźce. Ujrzał wizję zhańbienia królowej. Czuł napierające uczucia, będące przyczyną nienawiści i żądzy wicekróla. Królowa byłaby jego żoną, nie brata, gdyby on zasiadł na tronie. Ta, której włosy są niczym ogień, a oczy niczym zielone pastwiska — będzie jego. Będzie się wila pod jego dotykiem. Będzie krzyczeć, stękać pod nim, niczym dziwka. Będzie błagać, a on będzie napawać się jej bezradnością i sycić oczy rozpaczą brata, którego szczerze nienawidził. Zazdrość przyćmiła mu rozum. Gniew rozpierał w nim żądzę i chęć mordy. Delektował się tymi wizjami. Rozsmakowywał się w nich niczym w smaku soczystego owocu. Sycił się nimi.

Teraz, gdy Wiwan stał przed tłumem, zapewne realizuje swój potworny plan...

— Fascynujące — we wspomnieniach uzdrowiciela wciąż pojawiało się echo wczorajszych znamiennych wydarzeń — Niezwykle podniecająca jest dla mnie w tej chwili twoja nadzwyczajna zdolność współodczuwania.

Wiwan czuł się skażony. Brudny w każdym, możliwym znaczeniu, który tylko zdołał sobie wyobrazić. Zewsząd otaczały go plugawe myśli, gesty, dotknięcia, zachowania, cały świat zapominał już o tym, że jest w uprawianiu

miłości także miejsce na delikatniejsze uczucia, że często ludzie przynajmniej się przy tym lubią, jeśli nie kochają, a nie parzą jak dzikie zwierzęta. Nie było w tym ciepła, zbyt wiele za to rozbuchanego gorąca.

— Wrażenia są silniejsze przy bezpośrednim dotknięciu — zauważył wicekról, nadal go obserwując.

Zerwał się, by znów zbliżyć usta do jego ucha. Wiwan zapamiętał, że ten gest, zwrócił on bowiem uwagę Merona, rozmawiającego ze swoją ciotką po drugiej stronie stołu. Zmarszczył brwi z niepokojem, widząc pobladłą twarz uzdrowiciela.

— Widzisz to, prawda? — oddech Terlana cuchnął czosnkiem — Czujesz. To wkrótce nastąpi. Wtedy ja będę ją rznął, a tobie pozostanie jedynie bogata wyobraźnia. Baw się dobrze... — poklepał go po ramieniu, co miało być niby przyjacielskim gestem, jednak nie do końca uspokoiło obserwującego ich z pewnego oddalenia Merona. Panujący gwar nie pozwalał mu jednak usłyszeć ich rozmowy.

Dławiąc w sobie chęć dzielenia pięścią brata króla z obawy przed poważnymi konsekwencjami tego czynu, Wiwan zmusił się, by opanować gniew. Spojrzał na królową. Po chwili uchwyciła jego przywołujące spojrzenie. Z początku błędnie je zinterpretowała. Odkąd zjawił się na zamku w dość dramatycznych okolicznościach, zabrany siłą z domu na rozkaz jej męża, zajmowała się nim niczym matka. Najpierw więc przeszła jej przez głowę straszna myśl, niezgodna jednak z tym, co dotąd słyszała o wyczynach wicekróla, że w pewien sposób uzdrowiciel został przez niego zhańbiony. Kiedy jednak Wiwan zrozumiał, o czym myśli królowa, pokręcił przecząco głową, a potem spojrzał wymownie na pijącego wino, zadowolonego z siebie Wicekróla, pochłoniętego teraz rozmową z kanclerzem. Pojęła, o co mu chodziło. Ze wzburzenia krew uderzyła jej do głowy. Tak, teraz to pokrywało się i z jej podejrzeniami. Jej mąż, zawsze czuł na jej obecność, wyczuł zmianę w jej nastroju. W geście troski, choć nie zdawał sobie sprawy jeszcze z przyczyny jej niepokojów, przerwał rozmowę z ministrem, by ująć jej dłoń. Nie musiała mu niczego wyjaśniać. Zapałał gniewem, domyślając się przyczyny. Żył na czole i szyi wyraźnie się uwidoczniły. Gdyby tylko zdobył prawdziwy dowód, nie domysł zaledwie, że jego brat właśnie upokorzył jego uckochaną żonę, zapewne nie czekałby nawet do sądu. Ich wzajemna niechęć braterska, przez lata obrosła w nienawiść, spotęgowana pojawieniem się w ich życiu Konstancji. Brakowało jednak podstaw ku temu by usunąć Terlana z dworu. Był na to zbyt przebiegły i wiedział o zbyt wielu sprawach. Wbrew swojej woli Wiwan pomyślał o nim nieco cieplej, widząc jak bardzo oddany jest żonie. Król Heron zmierzył swego brata zagadkowym spojrzeniem oczu o niebieskich tęczęwkach i gęstych, ciemnych rzęsach. Ludzie bali się tego spojrzenia, pozornie beznamiętnego, z zimną furią ukrytą w głębi

duszy. Nie wróżyło to dobrze wicekrólowi. Lecz jak daleko jego brat był gotów się posunąć?

Tego Wiwan nie zdążył się już dowiedzieć.

— Wypatruj swego końca. Jest blisko — szepnął, patrząc w oczy swego dręczyciela.

— Zależy, jaki to będzie koniec — uśmiechnął się Terlan tajemniczo, wznosząc kielich. Upił łyk, wieńcząc tym koniec tematu rozmowy.

„Powinienem był to przewidzieć — pomyślał uzdrowiciel. — Zależy, jaki to będzie koniec...”.

Czas zwolnił. Dźwięki stłumiły się, dochodąc z daleka. Dziwna ociężałość, jakby zasypiał w śniegu, spowolniła jego reakcje. Ostatni obraz matki, jaki pamiętał, to ślad na jej twarzy po uderzeniu otwartą dłonią przez kapitana Gereme. Łzy w jej oczach. Jej rozpacz...

Na pewno wciąż żyją... Musi w to wierzyć! Wszędzie w miasteczku są ślady jego obecności. Ma przecież wielką moc...

To musiało wystarczyć.

Spojrzał spokojnie na otaczających go ludzi.

Tłum ruszył w jego stronę, wyciągając ręce i wołając o pomoc, zupełnie jakby czekał na ten ruch. Dotykali jego twarzy, jego włosów. Chwyтали go za ręce, głaskali czule ubranie. Składali pocałunki na jego dłoniach i policzkach.

Napierali z wszystkich stron, otaczając go szczelnie. Każdy chciał dostać się do niego. Każdy chciał być blisko uzdrowiciela, więc pomimo chłodu poranka, wkrótce zrobiło się tak gorąco, jakby już było południe kolejnego letniego dnia.

Początkowo wszyscy zdawali się być mu życzliwi i oddani, ale Wiwan wiedział swoje dzięki nawiedzającym go wcześniej koszmarom. Znał koniec tych wydarzeń.

Czekał kiedy nastąpi.

Nacisk ludzi chcących być blisko niego był zbyt przytłaczający. Z trudem mógł wziąć głębszy oddech. W ciżbie doszło do kilku przypadków omdleń. Na wpół uduszonych wyciągano poza zbiegowisko, by dać przejść innym. Po czym w wielu przypadkach zostawiano własnemu losowi.

Gwar był niczym w najbardziej ruchliwy dzień na placu targowym. Każdy gest, chwila lub drobiazg mogły sprawić, że dalsze, o wiele bardziej dramatyczne wydarzenia ruszą niczym lawina.

Czekał aż uwielbienie przerodzi się w wizję z koszmaru.

Był pewien, że to wkrótce nastąpi.

Miał dość bezceremonialnego obmacywania go po całym ciele pod pozorem chęci kontaktu z uzdrowicielem. Dość gorąca i duszności.

Ale nie mógł się wydostać.

Nie mógł nawet ruszyć się z miejsca.

Ani nawet unieść swobodnie ręki.

Wtedy właśnie dobrze ubrany młody mężczyzna, o oczach niczym szare kamienie, wyraźnie wyróżniający się z tłumu bezwzględnością i uporem, dostał się do niego. To właśnie oczy koloru kamienia sprawiły, że najbliżej stojący odsunęli się od niego na tyle, na ile było to możliwe, bez szemrania respektując jego obecność. Mężczyzna otaksował Wiwana spojrzeniem kupca niewolników, znajdującego się na rzeczy. W jego oczach, bezwzględnych i wyrachowanych Wiwan spostrzegł zapowiedź spełniającego się koszmaru.

Był ogniwem zapalnym.

Ciemne, niemal czarne włosy tamtego, kontrastujące z niezwykłym kolorem oczu, potęgowały hipnotyzujące spojrzenie węża. Mógł być zaledwie trzy lub cztery lata starszy od uzdrowiciela, lecz jego chłód i ruchy świadczyły o nabytym już doświadczeniu. Ten człowiek już zabijał. Ci, którym pozostała w sercu resztką przyzwoitości i ci, którzy go rozpoznali, pośpiesznie próbowali się wycofać. Pozostali jednak ci, którzy nie widzieli go dobrze. Oni nie zamierzali zrezygnować. Cenny uzdrowiciel nie mógł wymknąć się im z rąk.

Szarooki spojrzał w dół, tam gdzie na piersi Wiwana spoczywały zawieszony na łańcuszkach cenne rodzinne pamiątki: krzyżyk i dłonie ujmujące rubin. Decyzja zapadła natychmiast. Rzucił się naprzód i nim Wiwan zdołał temu w jakikolwiek sposób zapobiec, chwycił migocące w porannym słońcu klejnoty i pociągnął, zrywając jeden z nich z szyi młodzieńca. Tylko fakt, że Wiwana ktoś w czasie panującego wokół zamieszania odepchnął, dziwnym zrządzeniem losu sprawił, że w rękach złodzieja został jedynie łańcuszek z dłońmi obejmującymi rubin. Krzyżyk wyslizgnął się z jego dłoni. Złodziej rzucił szybko okiem na swą zdobycz i czym prędzej wy dostał się z tłumu, nim ktokolwiek zdołał ochłonać po tym akcie zuchwalstwa. Wiwan zaś desperacko wyrwał rękę z czyjejs dłoni i w rozpaczliwym geście obronnym zacisnął pięść na krzyżyku.

Zrobił to w samą porę...

Inny mężczyzna miał widocznie zamiar zabrać krzyżyk, rozzuchwalony postępkami swego poprzednika, lecz gest Wiwana zniweczył jego plany. Żądza posiadania czegokolwiek, co należałoby do uzdrowiciela, wciąż jednak lśniła w jego oczach. Musiała być zaspokojona! Szybkim, chciwym spojrzeniem obrzucił ubranie uzdrowiciela, szukając nowej zdobyczy, aż jego spracowane ręce natrafiły na jeden z guzików kaftana, który rano wraz z resztą ubrania Wiwan nałożył w pośpiechu. Było to ubranie, które miał też na sobie wczorajszego dnia, wciąż noszące plamy po wyczynie wicekróla, gdyż późniejsze wydarzenia sprawiły, że służba już nie podjęła swych obowiązków. Długie palce złodzieja szybko pochwytyły zdobycz i szarpnęły z taką siłą, że uzdrowiciel nagle pociągniętą ręką sam omal nie zerwał łańcuszka z szyi. Stare oczy zaiskrzyły podnieceniem i siwowłosy zniknął ze swym łupem tak szybko, jak tylko zdołał. Nawet szarpany

nie pozwolił sobie odebrać tego, co zdobył.

Teraz ręce wcześniej wielbiących wyciągnęły się złowrogo, z niszczącą siłą. Przeszukano go drobiazgowo i obdarto starannie z wszelkich guzików, pasa, czy nielicznych rzeczy w kieszeniach, żadnej części ciała przy tym nie pomijając. Może poza nogami — z oczywistego braku przestrzeni.

Trzask rozrywanego materiału znów sprawił, że ludzie zastygli na moment w swym rabunku...

W ręku grubej sprzedawczynie warzyw tkwił kawałek koszuli uzdrowiciela. Na moment ten czyn obudził ludzi z transu.

Nagle uprzytomnili sobie, co właściwie robią i do czego to zmierza.

Wielu z tych, którzy jeszcze przed chwilą nie wahali się grabić i bezcere-monialnie obmacywać uzdrowiciela, spojrzało na kobietę z nagłym oburzeniem, jakby jej czyn był gorszy od wszystkiego, co dotąd zrobili. Ścisnęła wyrwany kawałek w dłoni, rozglądając się wokół bez lęku. „Tak, zrobiłam to — mówiły jej oczy. — A wy co? Jesteście lepsi?”.

I wtedy jej oczy napotkały spojrzenie młodego uzdrowiciela...

Przeczuwając, że jej gest będzie prawdziwym początkiem długiego i pełnego cierpienia końca, Wiwan nie mając już sił na nic innego, z twarzą mokrą od potu spoglądał na nią, pragnąc by jego spojrzenie potrafiło przekazać tej kobiecie wszystko to, co właśnie czuł.

Zrozumiała, co zrobiła mu tym gestem aż za dobrze.

W obronnym geście przytuliła do siebie strzęp koszuli, jakby chciała powiedzieć: „Nie chciałam nic złego”. Ale wiedziała.

Teraz on umrze...

Tym gestem przyczyniła się do jego zguby.

Po twarzy Wiwana spłynęła łza. Jego spojrzenie stało się dla niej nie do zniesienia. Ktoś, korzystając z jej rozterki, wyrwał z jej dłoni strzęp koszuli. Jęknęła w cichym proteście, wciąż wstrząśnięta i oszołomiona rozmiarami swego czynu. Nawet nie pomyślała, by się bronić.

Chwilę potem tłum rzucił się na Wiwana.

Ludzie szarpali go niczym wściekłe wilki. Rozdzierali ubranie z pomocą rąk i noży. Wyrwali włosy. Zaczął krzyczeć w strasznej męce, raniony zewsząd od paznokci i niekontrolowanych, chaotycznych cięć nożem. Jego krew wprawiała ludzi w szał. Zepchnięto kobietę na ziemię, gdzie została dosłownie stratowana wraz z kilkoma innymi ludźmi i wkrótce skoła. Zlizywano sobie jego krew z palców i sięgano po więcej, jakby nagle stał się bochenkiem chleba, z którego można wydłubywać ciasto. Gryziono. Łańcuszek krzyżyka pękł pod naporem, lecz ludziom nie udało się zabrać go z zaciśniętej pięści uzdrowiciela. Krzyczał, póki miał dość sił i powietrza. Potem świat w chaosie i bólu zaczął wirować, a tłum wokół wrzeszczał lub zlewał się w jeden, niekończący się huk. Tracił siły. „Już

dość” — chciał błagać, ale nawet nie wiedział, czy chociaż otworzył usta. Oczy zalewała mu czerwień. Czuł, że wewnątrz zbiera się w nim jakaś bezdenna otchłań, przeraźliwa rozpacz rozdzierająca duszę i serce, której nie był w stanie znieść.

Nagle, pośród strasznego cierpienia, chcąc przerwać tę męczarnię, zaczerpnął tchu niczym tonący w ostatnim porywie rozpacz i woli przeżycia...

W następnej chwili serca najbliższych dziesięciu osób stanęły...

Po chwili zaczęli sinieć, jakby nagle, z wielką siłą zostali odcięci od powietrza. W piersiach poczuli ucisk.

Potem, jeden po drugim zaczęli umierać...

Wiwan osunął się bezwładnie na ziemię, nietrzymany w tej chwili przez nikogo. Zewsząd, prócz bólu, otaczały go odczucia umierających i żywych. Strach, ból, bezradność nie były już tylko jego. Przeważenie, świadomość rychłej śmierci, zaskoczenie. Ich cierpienia dosłownie wdierały się w jego umysł.

Gwałciły jego duszę.

Straszny, rozdzierający krzyk wyrwałby się być może z jego piersi, gdyby wciąż miał na tyle sił, by krzyżeć.

Zapadła ogłuszająca cisza.

Tłum sparaliżował lęk.

Pośród trupów i konających, zakrwawiony, śmiertelnie ranny uzdrowiciel leżał na oczach żyjących, którzy stali się nagle świadkami rzeczy przekraczających ich zdolność pojmowania. Oto człowiek, traktowany niemal jak wcielenie bogów za sprawą swego daru, dotąd słynący z przywracania życia konającym, objawił nową moc, która sparaliżowała ich przytępione umysły pierwotnym strachem.

Zabił tych, którzy podnieśli na niego rękę!

I z początku tłum stał w trwodze przed następną karą, gotów rzucić się do ucieczki.

Lecz potem nic się już nie zdarzyło.

Uzdrowiciel leżał wśród trupów, wykrwawiając się na ich oczach. Nie był więc groźny. Zrozumienie tego nie zajęło im zbyt wiele czasu.

Umierał. Zobaczył, jak strach w ich oczach zaczyna ustępować zwierzęcej zachłanności i wściekłości, nim udręczenie jednak zwyciężyło i litościwie odbierając mu przytomność.

Otoczyli go kręgiem powoli, nieco bojaźliwie, lecz z wyraźnym zamiarem — jak horda wilków. Pozbawieni człowieczeństwa przez czyn, jakiego już się dopuścili, splamieni jego krwią i gotowi mordować. Pierwsza wystąpiła kobieta. W obszarpanej sukni i niemal bez zębów, zamierzyła się do ciosu nożem o tępym ostrzu. Wtedy nagle przeszła ją strzała, trafiając w szyję. Jej okropna śmierć całkowicie zaskoczyła pozostałych. W ich myślach zapanował totalny chaos.

Zaraz potem inne strzały dosięgły swych celów...

ROZDZIAŁ 2 — Układ z diabłem

Wcześniej...

Oliwier stał się złodziejem z konieczności. Jego ojciec był złotnikiem królewskim, matka skrycie sprzedawała swe obrazy pod męskim imieniem. Gdy wybuchła zaraza w Wermodzie, ludzie zaczęli masowo umierać. Najpotrzebniejsze rzeczy stały się najbardziej poszukiwanym towarem. I najdroższym. Złotnik i jego syn czuli coraz większy niepokój o swoją rodzinę. Klientów wypłoszyła śmierć czyhająca za progiem ich domów. Najlepszych zabrał król do swego zamku wraz ze strażą, zmieniając go w prawdziwą twierdzę. Codziennie z ulic wywożono ciała i palono na stosie za miastem. Czasem wiatr znosił popiół na uśpione, wyludniające się ulice, pokrywając nim wszystko niczym śnieg. Brud miasta, wcześniej słynącego ze swej czystości, osaczał powoli wciąż jeszcze żyjących.

Ulica, na której mieszkał Oliwier ze swoją rodziną, była jedną z ulic należącą rzemieślników i artystów. Los nikogo prawie nie oszczędzał. Najbliższy sąsiad złotnika Nilasa, cukiernik, jeszcze niedawno przyjmował zamówienia nawet z końca miasta. Pewnego dnia on i jego małżonka zostali znalezieni martwi pod stołem, otoczeni nietkniętym jedzeniem. W nieczystościach i wymiocinach.

Dopiero nocą ich ciała zobaczył syn Moren, wracając z kolejnej ze swoich awanturycznych wypraw. Wciąż byli w nocnych koszulach. Siwiejące już blond włosy matki wciąż były rozpuszczone, zamiast zwyczajowego u niej warkocza, zawiniętego na czubku głowy.

Moren od dawna chciał podporządkować sobie Oliwiera. Z początku kończyło się to szarpaniną, po której szczipły Oliwier wracał do domu ze śladami walki i licznymi sińcami. Pewnego razu, znów uciekając, mały syn złotnika zdołał wspiąć się po ścianie na dach. I tak się zaczęło. Od tej pory już nigdy nie dał się schwytać Morenowi i jego ludziom. Mówiono, że wejdzie nawet po gołej ścianie, bo potrafi wczepić się w nią niczym pająk. Powiadano, że zeskoczy z najwyższej wieży nic sobie przy tym nie robiąc i wciśnie się w każdą dziurę. Wiele było w tym przesady, ale jedno stało się prawdą. Oliwier stał się w takich wyczynach niedoścignionym mistrzem. Wyrobił sobie przy tym niezłą sylwetkę, co sprawiało, że oczy wielu kobiet spoglądały za nim z tęsknotą. Ale on nie był typem zalotnika. Prawdę mówiąc, był raczej odludkiem, choć wynikało to raczej z konieczności. Banda Morena, mimo że ciągle zmieniała swoją liczebność, za przykładem swego przywódcy zawsze go prześladowała. Szczególnie nasiliło się to po wybuchu zarazy. Należeli do niej najbliżsi sąsiedzi rodziny złotnika, niegdyś zgrana paczka urwisów, teraz postrach żyjących. Poza Ulicą Rzemieślników Oliwier niewielu

miał znajomych i niemal żadnych przyjaciół. Nie bez powodu. Był odludkiem i nie nawiązywał przyjaźni z obawy przed tym, że Moren zemści się na tych, którzy ośmielą się z nim zadawać. Konsekwentnie więc sprawiał wrażenie milczka i dziwaka, a nawet nieco ograniczonego umysłowo, by unikać głębszych znajomości. Polegał jedynie na siostrze bliźniacze — Julien. I rodzicach.

Był tylko jeden wyjątek. Jedyna osoba, która poznała się na prawdziwej naturze Oliwiera, cieszyła się u Morena niekłamanym respektem i niejednokrotnie stawiała w obronie swego drugiego przyjaciela. Był to Selarion — śmiertelnie chory na serce, najbliższy i jedyny prawdziwy przyjaciel Morena. I jednocześnie samego Oliwiera. Selarion, którego na co dzień wszyscy nazywali po prostu Sel, przewyższał swego przyjaciela i jego kumpli inteligencją i zaradnością. Był synem szanowanego w mieście kupca jedwabiu i jego żony, wciąż słynącej ze swej niezwyklej urody i zimnego niczym lód serca. Odziedziczył po rodzicach to, co było w nich najlepsze, z wyjątkiem zdrowia i, z nie do końca jasnej przyczyny, sam, już w dzieciństwie, ustanowił się strażnikiem Morena. Mówiono, że stało się to dlatego iż w dzieciństwie Moren ocalił mu życie. Choć niejednokrotnie Moren dawał mu powód, by Sel stracił do niego zaufanie, ten nie zawiódł go nigdy w potrzebie. Często hamował jego zapędy do wszczynania awantur. Moren brał udział w bójkach, pił zbyt wiele, ale reprimendy Sela robiły w końcu swoje. Uspokajał się. Ta opieka poskutkowała ukończeniem wreszcie nauki w przyzamkowej szkole imienia poprzedniej królowej, do której przyjmowano również dzieci bogatych kupców. Nie miał do niej talentu. Tylko dzięki Selowi nauczył się pisać i czytać, choć rachunki szły mu gładko. Powiadano, że może dzięki oddaniu przyjaciela, wyjdzie w końcu na ludzi. Ale kiedy zaraza opanowała miasto i zabrała jego rodzinę, Moren ogromnie się zmienił, choć Sel wciąż miał na niego wpływ. Najczęściej stając w obronie już i tak przestraszonych mieszkańców miasta. Ciemność zdawała się ogarniać powoli duszę Morena, a szaleństwo kryło się w jego oczach. Sel ostrzegał więc Oliviera, by za wszelką cenę unikał spotkania z hersztem bandy złoczyńców, która powoli zdobywała wpływy w opuszczonym przez prawo mieście. Wyczuwał w tym poważne niebezpieczeństwo.

To z powodu incydentu na balu przebierańców, zorganizowanym przez królową Konstancję rok przed zarazą, dla wszystkich mieszkańców miasta, Moren, jeśli to w ogóle jeszcze było możliwe, znienawidził Oliwiera bardziej i gotów był zrobić coś zupełnie nieprzewidywalnego. Coś więcej niż tylko zabić. Tak przynajmniej wyobrażał to sobie Sel.

Królowa zorganizowała bal przebierańców, podobno z okazji wyjątkowo obfitych plonów tamtego lata. Szeptano jednak między sobą, że głównym celem było, by królowa i jej synowie, pod dyskretną strażą mogli wtopić się w tłum, po to by poznać lepiej poddanych. Na tę okoliczność królowa zawarła porozumienie z kupcami bawełny, lnu i jedwabiu, by obniżyli ceny najżywszych kolorów miesiąc

przed bale, wzamian otrzymując zniżki na zakup innych towarów. Trunki na bal nie były darmowe, by zapobiec nadmiernemu pijaństwu i jego skutkom. Jadło było tanie. Muzykę zapewnili najlepsi z całego królestwa a nawet dalszych rejonów, zwabieni obietnicą nagrody za swe umiejętności. Na środku targowiska, które uprzątnięto, ustawiono wielki podest dla muzyków i tancerzy.

Wszyscy przybyli na bal zaskoczyli straż swoim zachowaniem. Choć oczywiście zdarzały się nieodłączne bójk i przypadki kradzieży, wszystko przebiegało nad podziw spokojnie. Możliwość spotkania w tłumie uwielbianej królowej oraz przyszłego następcy tronu i jego brata najwidoczniej działała na ludzi.

Oliwier przebrał się wtedy za kobietę — damę w sukni podarowanej matce przez jakąś baronową. Jego ciemne włosy, zwykle nastroszone i niesforne, sięgające do pół ucha, zostały przez siostrę ugładzone i z pomocą najbliższej przyjaciółki Julien - Milery, upięte w piękną ciemną treskę z kręconych, długich do pasa włosów. Milera była prostą dziewczyną z wioski, nieopodal miasta Adelaine, leżącego przy trakcie wiodącym do rodzinnej krainy uzdrowiciela. Już wówczas była tajemną narzeczoną Selariona, choć ten fakt ukrywano wtedy dla bezpieczeństwa, z powodu jej pracy jako pokojowej, w jednym z największych domów rozpusty w dzielnicy zwanej Zakątkiem Rozkoszy. Posiadała dostęp, dzięki właścicielce domu, do wielkiego wyboru peruk, koków do przypinania, tresek i innych tego typu akcesoriów. Ubiór fałszywej kobiety uzupełniła tania, ale pięknie wykonana biżuteria i odpowiednie pod kolor sukni buty oraz rękawiczki. Efekt sprawił, że kobiety oniemiały, a ich męskie stroje i starannie dobrane peruki i wąsy wydały im się zupełnie pozbawione należytego efektu. Oliwier wyglądał jako kobieta tak perfekcyjnie, że gdyby same nie dokonały w nim tej przemiany, dałyby się oszukać wraz z innymi. Może makijaż był zbyt mocny, by ukryć pojawiający się już niewielki zarost, ale całość była zniewalająca. Na dodatek kocie ruchy nabyte przez Oliwiera dzięki brawurowym wspinaczkom, nadawały mu kobiecego wdzięku.

To omal nie przyczyniło się do jego zguby.

Nie było mężczyzny, który nie oglądałby się za nim tego wieczoru, ani kobiety zaniepokojonej jego urodą. Nie rozpoznano go w żadnej znajomej rodzinie. Jego rodzice zaś nie mogli się otrząsnąć ze zdumienia. Z twarzy matki wyczytał wiele sprzecznych uczuć — od niepokoju po wyraźną troskę, jakby już wtedy przeczuwała, że syn może mieć kłopoty przez swoje nietypowe piękno.

Moren go nie rozpoznał.

Nie od razu przynajmniej. Widział jego rodzinę i przyjaciół. Dzięki obecności Selariona u boku Milery, rozpoznał Julien. Wiedział, że przyjaciel spotyka się z najlepszą przyjaciółką siostry Oliwiera. Przez długi czas szukał Oliwiera w pobliżu rodziny złotnika Rsewer, pewny, że znajdzie go w męskim

przebraniu. Dopiero po dwóch godzinach dotarło do niego, że rodzeństwo przewrotnie zamieniło się rolami na balu. A kobieta o urodzie przykuwającej wzrok nie jest jakąś nieznaną mu dotąd krewną rodziny...

Teraz zasłona spadła wreszcie sprzed oczu Morena. To był Oliwier! Jak niezwykle wyglądał w tym stroju! O tak, miał w sobie coś z kobiety. Jego uroda była zawsze tak dwuznaczna. Jego twarz długo nie chciała pokryć się zarostem. To był zaledwie delikatny puch, pewnie miękki niczym jedwab. Jego ciało było zarazem delikatne jak i sprężyste. Zawsze był hardy, nigdy mu nie ulegał. Moren nigdy nie zdołał go złamać.

Pod spojrzeniem Morena Oliwier zbladł. Bał się znów choćby zerknąć w stronę, gdzie od początku balu Moren siedział z kompanami. A Moren nie przestawał obserwować go natarczywie, niczym kot, który właśnie spostrzegł swoją zdobycz.

W jego oczach kryło się coś mrocznego. Jakby zimna furia lub z trudem powstrzymywana żądza mordy, połączona z mroczną obietnicą długiej i bolesnej śmierci.

Oliwier doszedł do wniosku, że właśnie tego wieczoru Moren postanowił go zabić. Czeka tylko aż będą sami. Nie ustanie, póki tego nie zrobi.

Bardzo się mylił.

Przeszedł go dreszcz. To było gorsze niż dotychczasowa nienawiść. Tak wyglądała czysta nieopanowana zawziętość. Wściekłość o to, że Oliwier po prostu chodzi po tym świecie.

Był tego absolutnie pewny.

Kiedy wracał w towarzystwie siostry, jej przyjaciółki i Sela, korzystając z tego, że Moren, jak mu się wtedy wydawało, gdzieś właśnie zniknął, wciągnięto go nagle do jakiegoś domu i zamknięto drzwi. Był pewien, że zaraz umrze. Słyszał, jak go szukają, gdy przepadł tak niespodziewanie. Było tak ciemno, że ledwie widział zarysy postaci przed sobą. Ale nigdy nie pomyliłby jej z kimś innym.

— A więc chciałbyś być kobietą? — usłyszał głos Morena.

— To przebranie, idioto! — warknął, daremnie usiłując się uwolnić.

Równie dobrze mógłby próbować zdjąć ze swych ramion wielki ciężar. Za wszelką cenę unikał dotąd tak bezpośrednich starć. Dobrze wiedział, że wtedy ma nikłe szanse. Tego, co w następnej chwili zrobił Moren, nigdy by się nie spodziewał. To z pewnością nigdy nie przysłoby mu do głowy. Nawet jako przelotna myśl.

Z delikatnością, tak niezwykłą, jeśli chodzi o jego dotychczasowe spotkania z Oliwierem, Moren przejechał swą szorstką ręką po zarysie jego podbródka.

— Nie myliłem się — szepnął do siebie — jak jedwab.

Oliwier zdrętwiał ze zdumienia, lecz po chwili wszystko stało się dla niego jasne. Poczł jak ze strachu i obrzydzenia ogarniają go mdłości.

— Co ty robisz?! — zapytał cicho, bojąc się, że głos go zawiedzie.

To nie mogło się dziać naprawdę!

— Wyobrażam sobie, jak powróż ociera ten delikatny podbródek — powiedział Moren, dziwnym, ciepłym tonem.

— Już ja wiem, co sobie wyobrażasz! — krzyknął Oliwier, odzyskując odwagę.

Wstrząs, jakiego doznał, poznając nagle ukryte dotąd zamiary Morena, sprawił, że zaczął drżeć z gniewu.

— Spryciarz — ścisnął mu ramiona Moren, przysuwając się bliżej. — Chcesz być kobietą? Poczuj to więc jak kobieta! Zobaczmy, czy dalej będziesz taki hardy...

Walka, w której szanse Oliwiera nigdy nie były duże, mogła mieć tylko jeden koniec. Smukły Oliwier nie mógł wygrać z zaprawionym w bójkach, silnym niczym olbrzym, ogarniętym niepohamowaną żądzą awanturnikiem.

Kilka ciosów nie zrobiło na Morenie żadnego wrażenia.

Zręczne kopnięcia oszołomiły go, lecz na zbyt krótko. Moren ujął głowę Oliwiera i uderzył swoją. Od siły ciosu Oliwier niemal stracił przytomność. Poczul, że upada, a ogarnięty szałem Moren odwraca go na brzuch. Rozpaczliwie walcząc z ogarniającą go słabością i siłą przeciwnika, próbował go z siebie zrzucić. Moren wykręcił mu prawą rękę, używając zbyt wielkiej siły do rzeczywistych swoich zamiarów. Mimowolnie Oliwier krzyknął, gdy ostrzegawczo boleśnie chrupnął staw w rękę. Bandyta zastygł chwilę w bezruchu, przygniatając go swym ciężarem. Oliwier zamknął oczy, modląc się w duchu do Matki Ziemi, by pomoc zdążyła nadejść. Czuł, że niewiele brakuje do tego, by zacząć płakać, bo nie miał już siły, a jeśli Moren złamał mu rękę, nie miał też jak się bronić. Nie chciałby żyć po tym, jak Morenowi udałoby się dopiąć swego. Nie mógł znieść nawet myśli o tym.

Już teraz, czując wbijający się w niego, na razie poprzez ubranie, członek atakującego, przepełniało go obrzydzenie i coś, czego nigdy nie czuł dotąd, a było to uczucie gorsze od przerażenia. Choć nic się jeszcze nie stało, Moren wdarł się już w jego intymność i duszę, na zawsze już zaznaczając tam swoją obecność. Od lat nauczony uników, nieświadomie już w tamtej chwili zaczął uciekać w myślach od tego, co Moren miał zamiar mu zrobić. Bronił się przed świadomością i pełnym udziałem w tym, co miało się wydarzyć, bo przekraczało to jego zwykłą wytrzymałość. Miał nadzieję, że w ten sposób przetrwa najgorsze.

Nagle Moren wstał i szarpnięciem postawił go na nogi. Szybkim ruchem obmacał jego obolałą rękę.

— Masz szczęście — mruknął cicho. — Nie jest złamana.

Potem szybko ujął go za ramiona i nachylił się. Oliwier poczuł jego oddech i ciepło spoconego ciała. Czuł jego mocny zapach. Niemal czuł jego smak. Usta bandyty dotykały jego szyi, gdy mu rzekł:

— Powiedz choć słowo, a zajmę się twoją siostrą, Oliwier. Rzeczywiście jest BARDZO do ciebie podobna.

Teraz dopiero Oliwier zdołał usłyszeć poprzez szum własnej krwi, jak ktoś gwałtownie próbuje się do nich dostać. Łomotanie i ostrzegawczy trzask drewnianych drzwi wzbierały na sile. Pomoc była blisko!

Moren puścił go gwałtownie i szybko otworzył drzwi. Za nimi stali strażnicy w towarzystwie rodziny Rserwer i Andilo — rodziny Sela.

— Co jest, panie i panowie? O co ten hałas? Pomyłka! Wziąłem go za kobietę! — zawołał pozornie beztróskim tonem, podczas gdy straż królewska otoczyła go kołem — Sami zobaczcie! Człowiek może się dziś pomylić przez ten cholerny bal!

— To kłamstwo! — krzyknęła Julien, pocierając swą prawą rękę i wyprzedzając strażników. — Bardzo dobrze wiedziałeś, kim jest!

Moren zmierzył ją krótkim spojrzeniem, zimnym niczym lód i roześmiał się z pozorną wesołością na użytek zgromadzonych gapiów.

Oliwier musiał się pokazać. Pomimo nieszczęsnego stanu sukni i fryzury, wciąż łatwo było zrozumieć rzekomą pomyłkę Morena. Na dodatek, przez pozorną wesołość bandyty i ogólnie panujący nastrój tego wieczoru, uczucia tłumu zmieniły się na korzyść awanturnika. Zapewne pomógł w tym także widok oplakanego stanu młodego mężczyzny, przebranego w suknię. I jego potargane włosy. Wydarzenie, ze względu na okoliczności, natychmiast wzbudziło ogólną wesołość, ku oburzeniu rodziny Rsewer i jej przyjaciół. Była przecież noc, bal przebierańców, ludzie wiele pili. Łatwo było o takie sytuacje. Po paru niedwuznacznych uwagach ze strony tłumu, kilku docinkach strażników, z których Moren śmiał się z uprzejmie, każdy odszedł w swoją stronę.

Oliwier zobaczył twarz Sela spoglądającego na swego nieobliczalnego przy-jaciela. Nieszczery uśmiech zniknął nagle z twarzy Morena, zmieniając się w dziwny grymas zarazem zaciętości i obawy jednocześnie, jakby tamten w głębi ducha żałował swego postępkę, nie chcąc by druh poznał prawdę o jego pragnieniach.

* * *

Moren dotąd bał się nie tylko ujawnienia prawdy przed Selem.

Nie chciał by dowiedzieli się o niej także jego czterej szemrani kompani, dla których był niekłamany przywódcą. Przynajmniej nie teraz, kiedy nie umocnił jeszcze na tyle swego przywództwa. Ilekroć więc gdzieś się z Oliwierem spotykali, Moren wyraźnie dawał do zrozumienia, że jego groźba nie była żartem. Nie

próbował go już w żaden sposób dotknąć, wręcz unikał tego jak ognia, lecz jego nieustanna obecność szybko zaczęła szarpać nerwy Oliwiera bardziej niż wcześniejsze zaczepki, ponieważ teraz już wiedział, co się za tym kryje. Bez ustanku czuł się obserwowany. W publicznych miejscach czuł na sobie jego wzrok. Nocą widział Morena stojącego pod oknem domu. Bał się o siostrę, a Julien coraz bardziej bała się o niego. Nie mógł porozmawiać o tym z nikim poza nią w obawie, że prawda wyjdzie na jaw przez przypadek a Sela nie chciał w to wciągać.

Obsesyjne zainteresowanie Morena jego kompani brali za nowy przejaw wrogości w imię dawnych i nowych porachunków. Od dawna przecież Oliwier miał na pieńku z Morenem. Nie było w tym przecież nic niecodziennego.

Kiedy zaraza zabiła rodziców Morena, zamieszkał z początku u Sela, lecz narastający gniew i paranoja szybko sprawiły, że rzadko tam bywał. Jego towarzystwo było męczące, zwłaszcza kiedy w obliczu wciąż czyhającej śmierci rodzice Sela zaakceptowali miłość Milery do ich jedyne go syna i przyjęli ją pod swój dach. Sel opiekował się jak potrafił osieroconym przyjacielem. Zaproponował mu dalszą gościnę także po swoim pośpiesznym ślubie, na którym Moren był jedynym świadkiem prócz rodziny pana młodego. Służba opuściła dom już w pierwszych dniach zarazy, a ta nie pozwalała na to, by cokolwiek odwlekać. Następnego dnia, nawet następna chwila mogły być tymi ostatnimi. Rodzice Milery mieli się dowiedzieć o ślubie, gdy kurierzy znów mieli wozić listy.

Świat się zdawał dziwnie zacieśniać, niczym pętla na szyi. Ojciec Sela nauczył się sam wykonywać różne prace gospodarskie i palić w kominkach. Docenił nawet pewne innowacje, jakie syn poczynił w ich domu, jak odpływ wody, choć korzystał z tych pomysłów ukradkiem, tak, by ani syn, ani żona tego nie widzieli. Odkrycie tej tajemnicy było dla Sela źródłem goryczy, którą zarówno Milera, jak i wciąż oddany mu Moren, starali się stłumić. Każde z nich zdawało sobie jednak sprawę, że było to coś, czego nie potrafili w żaden sposób złagodzić i nie dlatego, że zbyt mało się starali, lecz z powodu tego, jak przez swoją rodzinę był traktowany Sel. Pomimo tego, że nic nie było już pewne, sposób w jaki do syna odnosiła się matka i uległość wobec niej ojca zmieniły się zaledwie w niewielkim stopniu.

Jednego dnia na ulicy Rzemieślników piekarz Ileon sprzedawał chleb za wygórowaną cenę i skupywał mąkę. Jego piekarni pilnowali dobrze opłacani ludzie, ochotnicy z miasta, którzy zgrupowali się w coś w rodzaju straży miejskiej po tym, jak straż królewska zamknęła się wraz z królem w zamku. Następnego już dnia piekarz zmarł na zarazę, jego piekarnię rozkradziono, zaś ochotniczą straż wybito.

Oliwier był zmuszony brać udział w podziale łupów. Oficjalnie za kradzież mogło grozić obcięcie dłoni, lecz nikt tego nie egzekwował. On i jego rodzina potrzebowali mąki i chleba, by przeżyć kolejne dni. Straż królewska nie oddalała

się od bezpiecznych murów zamku, bojąc się narastającego gniewu poddanych poruszonych zdradą swego króla.

Odkąd sprowadzono uzdrowiciela, liczba tych, którzy czekali na pomoc na zdewastowanym, przyzamkowym targowisku stale rosła. Każdego dnia było już coraz więcej ludzi, którzy stracili już niemal wszystko. Brak jedzenia i zapasów w mieście wkrótce sprawił, że walki o resztki pożywienia były częste, podobnie jak włamania do domów. I coraz bardziej brutalne.

Życie zamierało w innych częściach stolicy. W swych domach ludzie ukrywać się zaczęli niczym szczury w kryjówkach.

Chociaż Moren i jego banda starali się go schwytać przy grabieżach, by odebrać łupy, Oliwier zawsze ich wyprzedzał. Zawsze zdołał coś ukraść tuż przed ich nosem. Resztki skrupułów i czujność Sela powstrzymywały Morena przed napaścią na dom rodziny złotnika, bowiem rodzice Sela dobrze wyrażali się o rodzinie Oliwiera, sam stary złotnik uchodził za uczciwego i dobrego człowieka, a jego żona wciąż zachwycała urodą i ciepłem. Moren zwyczajnie ich lubił, choć nikomu się do tego nie przyznawał. Sam Sel budził w przyjacielu wyrzuty sumienia swym pełnym zadumy spojrzeniem. Była też tajemnica, do której ciężko było się w końcu przyznać, z obawy nawet przed samym sobą. Moren wciąż nie był pewien czy, za przykładem Sela, który tak właśnie niegdyś postępował, chce dotykać mężczyzny. Trochę tego próbował, ale wiedział, że wciąż nie było to to czego oczekiwał.

Bandyci królowali nie tylko na ulicy Rzemieślników. Nikt nie śmiał się im przeciwstawić. Kto tego próbował, znikał lub znajdowano jego ciało, najczęściej powieszona na bramie jakiegoś domu. Podzielili rewiry między sobie podobnymi bandami w całym mieście i objęli je w swoje władanie. Byli bezwzględni. Zabierali wszystko, co miało wartość od rodzin, które właśnie straciły kogoś bliskiego. Gromadzili swe łupy w różnych częściach miasta. Oliwier widział, jak Sel w ukryciu pomaga tym, którym zagrażał jego niedawny przyjaciel, a obecnie ktoś coraz bardziej mu obcy i daleki, który swym zachowaniem wzbudzał grozę nawet w jego sercu. Moren nie potrafił i nie chciał mu nic zrobić. Sel od urodzenia chorował na serce. Jego dni mogły upłynąć w każdej chwili. Nie odważył się podnieść na niego ręki. Ani na jego bliskich.

Mówiono, że Moren zdobył rzeczy należące do uzdrowiciela, dlatego jego ludzie i on sam dotąd nie zachorowali.

Bramy miasta stały otworem. Wozy ze zwłokami jeździły bez przeszkód i wracały po nowe. Wkrótce rodziny złotnika i kupca jedwabnego były jedynymi na pierwszej z ulic Rzemieślników, które nie straciły jeszcze nikogo bliskiego. To jeszcze bardziej zbliżyło je do siebie, oddalając tym samym od innych, podejrzewających w tym działania Morena i jego bandy. Działając dyskretnie, z obawy przed szaleństwem Morena, ojcowie rodzin zdecydowali więc o

opuszczeniu miasta.

— Synu — Alea Rsewer, po której dzieci odziedziczyły swą urodę wybrała chwilę, gdy mogli porozmawiać bez świadków — gdyby coś nam się stało, zabierzesz siostrę do ciotki Semeraldy, do miasta uzdrowiciela.

— Mamo, nic wam nie będzie — rzekł cicho, tuląc ją.

Widok lęku na jej twarzy sprawił, że strach ścisnął go za gardło. Zawsze wiedziała co robić. Zawsze była pewna swoich czynów. To ojciec czasem się zapominał i bywał roztargniony. Nigdy ona.

A teraz widział jej strach.

To odbierało mu pewność.

Tajemne przygotowania do wyjazdu, obawa i pośpiech, potęgowały jego niepokój. Bał się, że Moren zrobi coś by uniemożliwić mu wyjazd. Mógł nawet teraz szykować zasadzkę. Chociaż matka nie знаła w pełni prawdziwych przyczyn lęku u swego syna, domyślała się jednak że ma on wiele wspólnego z życiem, które obecnie prowadził.

— Semeralda ma u siebie część naszego majątku — unikała jego spojrzenia, nie chcąc ujawniać wzbierających łez. — Wystarczy na jakiś czas. Gdybyś nie mógł znaleźć uczciwej pracy — zerknęła na niego wymownie — Udaj się po pomoc do rodziny uzdrowiciela. Pamiętasz, jak ojciec robił dla matki uzdrowiciela, ten naszyjnik z dłońmi trzymającymi rubin?

Oczywiście, że pamiętał. Ojciec tak się cieszył, że robi coś dla uzdrowiciela. Bardzo go cenił za to, czego już dokonał i ilu ludziom pomógł. To było ponad dwa lata temu. Do tego przyniosło im to dalsze sukcesy w interesach.

— Tak — szepnął.

Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Bardzo zaprzyjaźniły się wtedy z hrabiną. Do tego stopnia, że tamta na czas oczekiwania zamieszkała u nich. Była otwarta dla ludzi, zupełnie jak jej rodzony syn. Nie próbowała się wywyższać.

— Ojciec zrobił wtedy dwa wisiorzy. Jeden podarował matce Wiwana, a drugi schował. Nie mogłam złościć się o to na niego. Takie wydarzenie może być jedyne w całym życiu. Wisior jest ukryty tam, gdzie najmilej nam zawsze upływał czas. Nie chodzi mi o sypialnię, Oliwierze — uśmiechnęła się.

— Mamo! — skarcił ją łagodnie, mimo że uśmiech pojawił się także na jego twarzy.

Kochał ją za tę przekorę. Jak u młodej kobiety, a nie dojrzałej damy.

Przyjrzała mu się z figlarną iskierką w błyszczących oczach.

— Czy ty i ja nie powinniśmy o czymś porozmawiać?

— Czyżbyś chciała ode mnie kilku lekcji? — z łatwością uległ jej nastrojowi, domyślając się o czym miałyby być ta rozmowa.

— Jesteś niepoprawny!

Przechylił głowę, spoglądając na nią nagłaco. Westchnęła, porzucając tamten

temat.

— Jest....

— Pani — Silva, kucharka w domu złotnika, jedna z dwojga służących, którzy pozostali w domu po ucieczce pozostałej służby, zajrzała do pokoju. — Twój mąż cię wzywa pilnie do siebie. Nie może znaleźć narzędzi.

— Cały on — pokręciła głową i mrugnęła porozumiewawczo do syna. — Powiem ci później.

Znów zobaczył jej uśmiech, tym razem kryjący w sobie ten niepokój i już jej nie było...

Dwie godziny później już nie żyła. Leżała na progu domu od strony ogrodu. Zaraza dopadła ją, gdy wchodziła po schodach. U ich szczytu nagle źle się poczuła i spadła, rozbijając głowę, co było bezpośrednią przyczyną jej śmierci. Choroba zaś zabiła jej męża. W pewnym momencie, gdy przygotowania do wyjazdu już niemal były zakończone, stanął przy oknie, patrząc tak jakby szukał pomocy. Widziała, jak upadł. Biegła, by go ratować.

Zorientowano się za późno.

Jak w okropnym śnie patrzył na dalsze wydarzenia, tuląc siostrę w ramionach.

Zawodząca Silva i nawet teraz spokojny pokojowy Ner pomagali wynosić ciała swoich państwa. Byli już starzy. W służbie rodzinie Rserwer spędzili swoje życie. Śmierć w wyniku zarażenia nie robiła na nich wrażenia. Kończyło się życie, które znali. Kochali rodzinę, u której przepracowali całe swoje życie, a dzieci gospodarzy traktowali niemal jak swoje własne. Gdyby doszło do najgorszego, przynajmniej umarliby tam, gdzie spędzili w spokoju swoje życie.

Po ciała przyjechało dwóch chudych grabarzy. Zabrali je, nie zamieniając z nikim ani słowa. Na widok wozu, Julien wtuliła twarz w ramię brata przerażona ilością ciał. Był ich pełen. Bezimienne trupy leżały w prostych strojach, a czasem nawet i bez nich zupełnie. Na ten upiorny stos, bez żadnych sentymentów czy delikatności, z wprawą robotnika odwalającego swą pracę, grabarze rzucili ciała rodziców Oliwiera i Julien. Ci ludzie, niczym upiorne cienie, co dnia przemierzali ulice i szukali ciał, które mieli spalić. Często ograbiali je z kosztowności. Grabarz, który zaledwie obdarzył ich przelotnym spojrzeniem, mocno śmierzący gorzałką, nosił na szyi diamentowy naszyjnik. Oliwier dostrzegł błysk diamentów w świetle słońca. Gdyby był w stanie jasno myśleć w tej chwili, oburzyłby się na tak zuchwałą kradzież. Lecz teraz spojrzął jedynie przelotnie na drogocenną biżuterię, ledwie obejmując ją myślą. Chwilę później płacz siostry i przenikający go jej żal sprawiły, że niemoralne zachowanie grabarza puścił w niepamięć.

Dopóki wóz nie zniknął mu całkowicie z oczu, spoglądał za nim w udręce, tuląc siostrę w milczeniu.

Długo jeszcze stali na opuszczonej ulicy. Żaden dźwięk nie przerywał

panującej wokół ciszy. Zamilkł nawet wiatr. Świat konał wokół w tym grobowym milczeniu. Nie słyhać było nawet zwykłych w mieście odgłosów: skrzypienia okiennic, czy chociażby miauczenia kota. Właśnie tam, na tej wyludnionej ulicy, niemal w sercu opustoszałego miasta, wraz z matką i ojcem odeszło od nich więcej, niż byli sobie w stanie wyobrazić. Nie było grobu, nad którym mogliby zapłakać. Nie było pogrzebu. Nie było już oparcia, które dawało im siłę przed krzywdą i zrzędzeniami losu. Nie mieli już tu nikogo, bo choć w domu wciąż byli jeszcze Silva i Nar, nie mogliby przy całej swej dobroci zastąpić im bliskich.

Nie wiedział, ile upłynęło czasu, nim nagle usłyszał znajomy głos:

— Oliwier — dłoń Sela delikatnie spoczęła na jego ramieniu. — Tak mi przykro, naprawdę... Posłuchaj... — zaczerpnął tchu przejęty widokiem zapłakanych twarzy rodzeństwa. — My — spojrział szybko na towarzyszącą mu Milerę, która objęła współczująco cichą Julien — wyjeżdżamy o świcie. Jedźcie z nami. Nic już was tu nie trzyma. Jeśli tu zostaniecie sami, Moren... — ze smutkiem wypowiedział imię swego dawnego przyjaciela. — To już nie jest ten człowiek, którego znałem. Już od dawna. Zaraza daje mu władzę. Jeśli zostaniesz... Możesz już nie mieć tyle szczęścia, co wtedy... na balu... — dokończył cicho.

Oliwier spojrział mu w oczy. Sel nie był głupcem. To, czego nie powiedział pozostało między nimi w milczeniu.

Domyślił się prawdy.

— Tak — oznajmił mu więc z mocą, kierowany rozpaczą. — Wyjedziemy o świcie.

Po raz pierwszy odkąd się znali, Sel podszedł i mocno go uściskał. Przepełniony smutkiem, zdruzgotany Oliwier niepewnie, choć z wdzięcznością, która na nowo wycisnęła łzy z jego oczu, odwzajemnił ten uścisk. Ciężar samotności przestał go przytłaczać. Miał wreszcie i niezaprzeczalnie prawo do posiadania przyjaciela. Opuszczał to miasto i dawne życie.

Mógł wreszcie coś zmienić.

Mogło być coś dobrego w jego życiu.

Moren obserwował ich z ukrycia.

Złość na Sela, którego wciąż uważał w swych myślach za przyjaciela, mimo tego, że ich drogi chwilowo (jego zdaniem) się rozeszły, walczyła w jego duszy z pomieszaniem, gdy usłyszał ich rozmowę. Sel już wiedział! A Milera, ta ladacznica, która stała się początkiem końca ich przyjaźni, wkraczając w ich życie, jak będzie sądził, stała obok popierając swego naiwnego męża. Zakłamana, brudna suka! Zdzira, która mu go zabrała, licząc pewnie na majątek po jego śmierci! I ta Julien, której przyjaciółeczka odciągnęła Selariona od niego! A wreszcie ten żar! Ten żar palący jego duszę na wieść o tym, że Oliwier jutro wyjedzie! Szaleństwo i żądza wobec Oliwiera, którego obwiniał o to, że swym istnieniem rozbijał w perzynę jego życie! Teraz on ma zamiar wyjechać?! Gdy on, Moren, nareszcie

wiedział już czego od niego chce?! Wyjedzie i zniknie na zawsze?! O, nie! Na to nie zamierzał mu pozwolić. To ich wszystkich będzie drogo kosztować!

* * *

Noc otuliła mrokiem ulice. Nikt już nie zapalał lamp. Nie świeciły latarnie uliczne. Tylko w domu Selariona widać było słaby blask świec. Julien zapomniała o świetle, jedzeniu, problemach dawnych i przyszłych. Stojąc oparta o ścianę, myślami zawiesiła się gdzieś w czasie, patrząc na to nikłe, jedyne widoczne światło po drugiej stronie ulicy, w domu przyjaciela.

Ciszę przerywały jedynie odgłosy krzątania na dole, gdzie Silva pociągając nosem w cichym szlochu, próbowała coś jeszcze przygotować, sprzątnąć, odłożyć...

Gdzieś daleko słychać było krzyk, cichy płacz. Szczury przemykały ulicą, potracając śmieci. Wkrótce opanują pusty dom. Zjedzą to, co zostało. Zamieszkają w pozostawionych łózkach lub przyjdą tu szabrownicy, którzy ukradną, co jeszcze się da ukraść.

Spojrzała doskonale stąd widoczny zamek królewski, górujący nad miastem. Nocą nie było widać, jak wieloma barwami go pomalowano. W ciągu dnia sprawiał wręcz komiczne wrażenie. Na murach i przed bramami płonęły pochodnie. W oknach było wiele świateł. Ludzie mieszkający w nim mieli się dobrze. Ich ciała nie wywiozą wśród bezimiennych trupów poza miasto i nie spalą na wielkim, niegasnącym stosie. Oni mieli uzdrowiciela!

— Myślisz, że my też wkrótce umrzemy? — zapytała siedzącego przy stole brata.

Oliwier uniósł głowę, ocknąwszy się z niewesołych myśli.

— Możliwe — odparł cicho.

Po prostu. Bez żadnych prób złagodzenia brutalnej prawdy. Zawsze był szczery. Kochała go i za to także.

— A jeśli dojedziemy tam... To co dalej?

Teraz nawet perspektywa podróży do miasteczka uzdrowiciela nie wydała jej się interesująca. Rozumiał to.

— Będziemy żyć. To wszystko.

— Tam nie ma teraz uzdrowiciela.

— Wypuszczą go w końcu.

— Widziałeś go kiedyś?

— Dwa, może trzy razy. To chłopak mniej więcej w naszym wieku.

Spokojny, życzliwy ludziom, stanowczy kiedy trzeba. Ma takie oczy... — zastanowił się chwilę — jak u dziecka. Nikt nie domyśliłby się, że zdążył już pewnie widzieć niejedno — cichy głos Oliwiera nabrzmiewał smutkiem.

— Pomógłby nam, gdyby był wolny? — spojrzała na zamek.
— Gdyby zdążył... — usłyszała odpowiedź. — Tak. Na pewno.
Nieproszone łzy spłynęły po twarzy Julien. Nie otarła ich. Nie chciała.
— Chciała zostawić wszystkie swoje obrazy — szepnęła — Nawet nie mogliśmy...

„Pochować ich należycie” — dokończył w myślach Oliwier, słysząc westchnienie siostry.

Znów zadrżał na wspomnienie wozu wypełnionego trupami. Tak wielu... Matka leżała z rozbitą głową, w sukni, którą nosiła w czasie swych codziennych obowiązków. Zdążył zamknąć jej oczy. Nie zdołał zamknąć serca. Przepelniało go tak wiele różnych uczuć, wspomnień, ostatnich obrazów i chwil. I to okropne złudzenie. Miał wrażenie, że nic się nie zmieniło. Jakby wciąż byli żywi. Tam, w swojej sypialni. Wystarczyło wyjść z pokoju, zapukać, otworzyć drzwi i znów ich zobaczyć. Takich, jacy byli jeszcze tego ranka...

Serce nie chciało wierzyć w to, co podpowiadał rozum.

— Oliwier? — wyszeptła Julien.

Nie miała sił, by powiedzieć na głos coś więcej. Spojrzała na niego. Jej smutek rozdzierał mu serce. Wstał, by ją objąć i ukryć twarz w jej długich włosach. Nie musieli mówić. Wystarczyło, że czuli oboje to samo, połączeni na zawsze swoimi duszami. Słowa nie były potrzebne.

Gwałtowne otwarcie drzwi do pokoju wyrwało ich z żalu, jakby nagle uderzył w pobliżu piorun. W progu stanął Moren, a za nim kilku jego ludzi. Julien wstrzymała na chwilę oddech. Oliwier odruchowo mocniej ją przytulił, chcąc ochronić, choć wiedział, że nie o nią powinien się przede wszystkim martwić. Twarz Morena zmieniła wyraz. Zapewne wpadł do posiadłości Rsewer gotów roznieść wszystko na swojej drodze, gdyby stawiali jakikolwiek opór. Z trudem zdobył się na niepotrzebną już w tej chwili ostrożność, zakradając się ukradkiem. Mieszkańcy domu nie dbali tego dnia o swoje bezpieczeństwo, pogrążeni w żalu. Cicho i szybko jego człowiek poderżnął gardła dwojgu starym służącym. Reszta zajęła się przeszukiwaniem pomieszczeń i grabieżą.

On chciał znaleźć rodzeństwo.

Na widok ich zapłakanych twarzy, zwłaszcza Oliviera, zawahał się. Przez jedną krótką chwilę zapatrzył się na stojącą pod oknem parę. Mieli te same spojrzenia, te same oczy. Te same łzy na twarzach.

I ten sam odruch, by chronić się nawzajem. Przed nim.

Julien, znając zamiary Morena względem jej brata, objęła Oliviera, mocno zaciskając dłonie na jego ubraniu, zdecydowana go bronić. Oliwier uczynił podobnie.

Ich świat, ich dawne życie zachowane dotąd we wzajemnym szacunku i miłości, ich niewinność, w pragnieniach i marzeniach, kończyły się brutalnie i

nagle. Nie pozwolono im nawet na żal.

Pierwszy raz, odkąd Morena ogarnęła obsesja na punkcie Oliwiera, w sercu awanturnika pojawiło się coś więcej, niż tylko chęć zaspokojenia własnych pragnień. Zrozumienie. On także stracił niedawno rodzinę. Wiedział, co to znaczy. Choć nigdy nie był zbyt dobrym synem, znał ból takiej straty.

Patrzył na twarz człowieka, który stał się mimowolnie źródłem jego niepokojów i widząc, jak próbuje ochronić siostrę przed nadchodzącym złem, widząc jego łzy, zawahał się. Robiąc to, co zaplanował, zniszczy mu życie. Nie będzie odwrotu. Niczego już nie cofnie i nie zmieni. Stanie się źródłem cierpienia dla człowieka, na którym mu zależy, nie zyskując jego wzajemności ani zrozumienia. Tego był pewien.

Nagle jednak świat wokół przestał dla niego istnieć.

Podszedł do nich i spojrzał w niebieskie oczy, które tak go fascynowały w kontraście z ciemnymi włosami. Obejrzał go dokładnie. Jego smutek był poruszający. Odwaga cierpiącego, przepelniała jego robaczywe serce dumą. Wyciągnął rękę, by delikatnie otrzeć łzę spływającą po twarzy Oliwiera.

Julien poruszyła się gwałtownie, przepelniona odrazą i gniewem.

— Nie dotykaj go! — krzyknęła.

Świat wokół znów się ożywił. Odgłosy krzątania i plądrowania przez moment stłumione — powróciły. Głosy towarzyszy Morena stały się słyszalne. Julien uniosła rękę, by wymierzyć bandycie soczysty policzek, lecz szybko i mocno ją pochwycił. Tylko echo niedawnych uczuć, jakich doznał na widok Oliwiera, powstrzymało go od ciosu na odlew. Żył na karku i skroniach nabrzmiały mu od narastającego gniewu.

— Puść ją! — nakazał mu cicho Oliwier, nienaturalnie spokojnym głosem, widząc, że Moren ledwie nad sobą panuje.

W tym tonie wyraźnie czaiła się groźba.

Spojrzał mu w oczy i zauważył cień tych uczuć, które za chwilę na zawsze zagoszczą w jego duszy. Tak jednak musi się stać...

— Tenan! — przywołał swego najlepszego w bandzie, który stał się jego prawą ręką po odejściu Sela.

— Jestem — odezwał się zawołany.

Jeśli był ktoś gorszy od Morena, to tylko on. Powiadano, że on nie ma uczuć. Tenan był dobrze zbudowany, dobrze ubrany i stanowił całkowite przeciwieństwo nerwowego Morena. Nie widziano dotąd by coś wytrąciło go z równowagi.

Jego oczy były niczym szare kamienie i równie jak one były zimne. On odpowiadał za trupy przeciwników Morena, pływające w kanałach. Na rękawie jego białej koszuli widniała teraz krew, a za pasem łatwo zauważalny sztylet. Julien zacisnęła dłonie na koszuli Oliwiera, nie spuszczać oka z zabójcy.

Oliwier zbladł. Śmierć dwojga oddanych służących, których znał od

dzieciństwa zaciążyła na jego sercu. Zrozumiał ostatecznie, że nie ma najmniejszych szans na jakikolwiek opór. Chcąc zapewnić Julien bezpieczeństwo, musi się zgodzić na każde warunki i modlić się, by to wystarczyło, aby ją ocalić. Jego los był przesądzony...

— Sel już jest? — Moren stanął przed swym pomocnikiem z pewnością siebie człowieka, który w każdej chwili panował nad sytuacją i nie należało o tym zapominać. Nie wyglądało na to, by Tenan zapomniał, kto tu sprawuje władzę, a skoro czuł choćby cień respektu przed Morenem, to były powody, dla których głupotą byłoby go lekceważyć. Nawet słabość do Oliviera mogła być niebezpieczną bronią w rękach zmiennego w nastrojach przywódcy — nieobliczalnego, groźnego — zarówno dla Oliviera, jak i dla Tenana. Jego autorytet nie ulegał już żadnej wątpliwości. Osiągnął całkowitą władzę nad swoimi ludźmi.

— Czeka na dole.

— Sprowadź go — warknął krótko Moren.

Tenan bez słowa wycofał się do schodów.

— Oby śmierć przyszła szybko — szepnęła cicho Julien. — Zdobędę nóż. Zabiję się lub pozwolę, by mnie zabili — wyszeptała mu wprost do ucha. — Nie będę mu pomagać dręczyć mojego brata...

— Przestań! — odparł jej szybko, słysząc, że zbliża się do nich grupa ludzi.

— Musisz pozwolić, by cię zabił — rzekła cicho. — Inaczej nie pozostawisz mi wyboru!

Po raz pierwszy w swym życiu Oliwier zaczął bez lęku rozważać tę myśl.

Moren cofnął się, by wpuścić kilkoro ludzi. Tenan sprowadził związanego Sela i Milerę, prowadzonych przez ludzi z bandy. Milera miała na sobie jedynie haftowaną białą bieliznę, a Sel tylko spodnie. Pomimo tego, że najwyraźniej wyrwano ich z łoża, nie do końca udało się zaciągnąć ich tu bez walki. Zacięci w gniewie ludzie Morena mieli ślady po uderzeniach na twarzach i traktowali Sela dość brutalnie. Jeden z ludzi pilnujących Milery miał wyraźny ślad rozorania skóry paznokciami na lewym policzku.

Milera zauważyła Julien. Obie młode kobiety połączył lęk.

— Przeszedłeś samego siebie — Sel wyszarpnął naprzód, by spojrzeć w oczy dawnego przyjaciela. — Uwolnij nas!

— Żebyście mogli wyjechać, taak? — Moren przeciągnął nieco słowa — Tak po prostu zostawisz miasto w moich rękach?

— To miasto trupów. Pasujesz do niego.

Moren spojrział w oczy byłego przyjaciela. Sel już nigdy nie stanie dobrowolnie u jego boku. Miał własne życie i nienawidził tego, jakie prowadził teraz Moren. Ale nie będzie miał wyboru. Moren nie zamierzał zrezygnować z żadnej ze swoich ukochanych zabawek.

— Sprowadziłem cię tutaj — zaczął przygotowaną przez siebie wcześniej

przemowę. — żebyś dał przykład innym. Bo od tej chwili zostaniesz przy mnie.

Skinął głową Tenanowi. Ten wyciągnął przygotowany wcześniej sznur, na który nikt nie zwrócił dotąd uwagi. Sprawnie założył na szyję zaskoczony Milery, a potem szarpnął ją w stronę okna, przy którym stało wstrząśnięte tym widokiem rodzeństwo.

Moren bez słowa wyciągnął miecz i skierował go w stronę Julien. Sel krzyknął, powstrzymywany przez ludzi Morena. Tenan bez wahania wypchnął bezbronną, związaną dziewczynę przez okno, jedną ręką trzymając sznur. Dwaj bandyci, pilnujący dotąd Milery podbiegli, by pomóc go trzymać.

Julien ukryła twarz w koszuli przejętego Oliwiera, drżąc na całym ciele. Sel ukląkł na podłodze w niemym cierpieniu, blady niczym śmierć. Tenan przekazał sznur towarzyszącym mu mordercom i wychylił się, by ocenić sytuację z niezmaconym spokojem. Potem krótko skinął głową.

Skończone.

Puścili ciało.

Po chwili usłyszeli tylko stuk.

Moren czekał, aż Julien znów spojrzy na obecnych, by spotkać się z jej spojrzeniem. Przez chwilę sycił oczy jej odrazą i lękiem. To pozwalało mu jednocześnie odwrócić myśli od cierpiącego Sela, przygotować się na dalszą rozmowę z nim. Powoli opuścił miecz i odwrócił się.

— Sel — zawołał do klęczącego, z pozorną swobodą — znów jesteś kawalerem!

Jego kompani roześmiali się krótko na te słowa. Wszyscy z wyjątkiem Tenana, którego twarz nie wyrażała żadnych uczuć niczym maska. Z wolna powrócił na swoje miejsce, poprawiając koszulę. Powyżej nadgarstka jednej ręki coś na moment zabłysło, ale Julien nie chciała teraz wiedzieć, co to było.

Nie mogła na niego patrzeć. I jednocześnie nie mogła przestać tego robić.

Sel klęczał nadal w ciszy, próbując ze wszystkich sił zapanować nad wzbierającym w nim żalem. Oliwier dałby wiele, by móc do niego podejść, lecz szybko musiał zapomnieć o rozpacz przyjaciele. Moren ponownie zbliżył się do niego. Poczł jak ręce Julien znów kurczowo zaciskają się na jego koszuli.

— Co do ciebie — rzekł cichym, lecz dobitnym głosem Moren — mam inne plany.

Oliwier czekał w milczeniu. Spodziewał się tego od początku tej brutalnej wizyty. Właściwie nawet – od tamtego balu... Czuł, jak wtedy, bijące od niego ciepło.

— Od tej chwili — mówiąc to, Moren nie spuszczał z niego wzroku — masz mi być całkowicie posłuszny. Jeśli sprzeciwisz się w czymkolwiek — oddam twoją siostrę w ręce moich ludzi.

To potwierdzało jedynie przecucia Oliwiera.

— Jeśli choć spojrzysz na mnie w sposób, który mi się nie spodoba — ciągnął dalej Moren, a Oliwier przymknął na chwilę oczy w niemej udręce — oddam ją w ręce moich ludzi. Wiesz, co to oznacza, prawda? A gdybyś chciał być szlachetny i pozbawił się życia — ona umrze, o tak, ale zadbam, by umierała długo i w męczarniach. Wierz mi, nie będę się spieszył. Ani ja. Ani moi ludzie — odczekał chwilę, by waga tych słów zaciążyła w umyśle Oliwiera, by zapytać: — Zrozumiałeś?

Odpowiedź, pieczętująca ten potworny układ nie chciała przejść Oliwierowi przez ściśnięte gardło. Musiał się zgodzić, ale nie potrafił się na to zdobyć. Każde z wyjść proponowanych mu przez Morena z pełnym satysfakcji uśmiechem, było dla niego przyszłością pełną cierpienia i niewyobrażalnej udręki.

— Odpowiadaj! — rozkazał Moren.

Oliwier nie patrząc na nikogo, w duchu podjął ostateczną decyzję. Będzie zgubiony, lecz zrobi wszystko, by Julien była bezpieczna. Dopóki nie znajdzie sposobu, by znaleźć dla niej drogę ucieczki.

— Zrozumiałem — odparł cicho, pewnie patrząc w oczy swojemu prześladowcy.

„Nigdy naprawdę nie będziesz mnie miał — przekazał mu w myślach z pogardą, przemieszana z rozpaczą. — Nigdy.

Odwrócił wzrok w chwili, gdy Sel powoli się podnosił.

Nagle uderzył go sposób, w jaki tamten patrzył na swego dawnego przyjaciela. Udręka, która malowała się na jego twarzy nie była powodowana tylko niedawną stratą i okrutną zdradą.

Tak mógł patrzeć jedynie człowiek, któremu złamano serce...

Zmusił się, by spojrzeć w inną stronę. Ironią losu było to, że Moren tak bardzo pragnął człowieka, który nigdy nie podzieli jego uczuć, a obdarzyć może go jedynie nienawiścią, podczas gdy niemal przez cały czas miał na wyciągnięcie ręki prawdziwą miłość. Z pewnością nigdy nie przeszła mu przez głowę taka myśl. A teraz zdeptał to uczucie tak po prostu. Wciąż boleśnie dla Sela nieświadomy tego, co naprawdę mu zrobił. Zamiast tego, delectował się zmieszaniem Oliwiera, błędnie odczytując powody tych uczuć. Już cieszył się na myśl o cierpieniu, jakie mu zada i rozkoszy, jaką będzie odczuwał, gdy będzie łamał jego wolę. Właśnie tego dotąd mu brakowało, gdy zmagł się ze swoją decyzją. Bezradności i rozpacz ofiary. Najchętniej już chciałby Oliwiera w swoich rękach. W jego oczach, tak blade niebieskich, że niemal przezroczyście, krył się jedynie mrok. Zimny dreszcz przebiegł po plecach Oliwierowi na myśl o przyszłości. Moren obserwował go niczym jastrzęb na swą ofiarę, nim odezwał się znów, spokojnym, na pozór beznamiętnym tonem.

— Oli — tego zdrobnienia Oliwier wręcz nie znosił, odkąd pamiętał. Poza Morenem nikt go tak nie nazywał — mam dla ciebie pierwsze zadanie.

Serce Oliwiera zaczęło bić niespokojnie napędzane lękiem.

— Widzisz, jesteśmy, jak to mówią, w posiadaniu pewnych rzeczy, które miał przy sobie uzdrowiciel — Moren uśmiechnął się do kompanów, którzy odpowiedzieli mu tym samym. Wszyscy, prócz Tenana, którego wyraz twarzy się nie zmienił. — Kosztowało nas to nieco trudu i kilka trupów — ciągnął dalej Moren — ale okazało się, że moc tych rzeczy jest niewystarczająca. Potrzebujemy czegoś, co naprawdę długo należało do uzdrowiciela. Czegoś trwalszego niż ubranie — Oliwier poczuł, że nieco się odpręży, najwyraźniej to była sprawa bardziej nagląca, niż zaspokojenie pragnień Morena. — Na mieście nazywają cię kotem przez te twoje wspinaczki. Okaż się godnym tego przezwiska. Wejdiesz do zamku i ukradniesz mi jeden z wisiorów, które uzdrowiciel stale nosi przy sobie i nigdy, nawet w kąpieli, się z nimi nie rozstaje. Chodzi o....

„Dłonie obejmujące rubin....” — przypomniał sobie Oliwier, kiedy Moren wypowiadał te słowa.

— ...ponoć wykonane przez twojego ojca. I... Tenan... przypomnij mi...

— Krzyżyk — pierwszy odezwał się Oliwier nim tamten otworzył usta. — Wiem o nim. Każdy o nim słyszał.

Moren pokiwał głową.

— Taak. Świadectwo jakiejś pokręconej religii nie z naszego świata — skrzywił się. — Przynies mi którykolwiek z tych wisiorów — położył mu dłoń na ramieniu, a Oliwier drgnął nerwowo. — A obaj na tym skorzystamy. Wszyscy na tym skorzystają. Rozumiesz?

Kiwnął głową na znak zgody. Jednocześnie pomyślał o fontannie w ogrodzie za domem. Na pamiątkę pobytu w ich domu matki samego uzdrowiciela matka poprosiła ojca o postawienie tam posągu długowłosej dziewczyny, z której dzbana wylewa się woda. Dziewczyna ta miała twarz matki uzdrowiciela, wciąż młodzieńczo pięknej — może właśnie dzięki mocy swego niezwykłego syna. Drugą dłoń miała uniesioną i lekko zaciśniętą, jakby właśnie coś schwytała.

W tej właśnie dłoni spoczywała wierna kopia naszyjnika z rubinem. Teraz to sobie przypominał. To właśnie matka chciała mu powiedzieć przed nadejściem Silvy. Widział nocą ojca ukrywającego tam właśnie kopię naszyjnika. W małym pudełku w kształcie liścia. Był taki dumny z tego, że dostał tak ważne zlecenie. Chciał zachować pamiątkę po tym wydarzeniu. Myślał, że to przyniesie mu szczęście.

Matka uzdrowiciela była miłą, życzliwą kobietą o oczach promieniujących dziecięcą ciekawością świata i zmysłowych, kobiecych ruchach. Przyjechała z młodszym synem, przyrodnim bratem Wiwana, który odziedziczył chmurną urodę i ciemne, długie wtedy do ramion włosy po swym ojcu. Nieco małomówny Pafian nie przypominał otwartego na ludzi brata.

„Dłonie...” można byłoby podmienić...

Niech trafi go zaraza, jeśli Moren dostanie wisior należący rzeczywiście do uzdrowiciela. Tamten musi trafić w ręce Julien! Musi tylko obmyśleć odpowiedni plan. Nie ulegało wątpliwości, że Moren dopilnuje, by Oliwier znalazł się na zamku.

To nie oznacza, że dostanie to, czego zażądał...

ROZDZIAŁ 3 — Pokojówka

Poranek

Wóz toczył się głośno po bruku, otoczony strażą. Czterech strażników królewskich na koniach i sześciu idących pieszo. Nie posiadał okien, jedynie okutą żelazem budę z niewielkimi otworami dla dostępu powietrza lub obrony. Dobrze chroniony kusznik mógłby kogoś zabić z wewnątrz. Jedynie miejsce na koźle pozostało odkryte, co nie było w smak towarzyszącemu Oliwierowi starszemu mężczyźnie. Zagryzał nerwowo fajkę i zerkał niepewnie na boki na zgromadzonych na targowisku ludzi. Co jakiś czas spoglądał też na Oliwiera z mieszaniną podziwu i obawy dla swojej towarzyszki. Tak odważnej, że postanowiła jechać z nim, by zastąpić w zamkowej służbie swoją siostrę, po jej tajemniczej śmierci, do której mógł przyczynić się sam wicekról. Tak właśnie mu powiedziano, gdy przyprawiono mu dziewczynę. Tyle mu wystarczyło. Bandy Morena i ich przywódcy nie można było wypytywać.

To były mniej więcej potwierdzone informacje, a wydarzenia pokrywały się z rzeczywistością, poza jednym szczegółem: nieszczęsna kobieta, której historia posłużyła zamiarom Morena, nigdy nie miała siostry. Ale o tym woźnica nie musiał wiedzieć. Jeśli jednak byłby to czas i miejsce na rozmowę o tym, odradzałby szcuplej ładnej dziewczynie o ciemnych długich włosach pracę na zamku po tym, jak skończyła tam jej siostra. Oliwier miał nawet przygotowaną odpowiedź na pytanie, dlaczego zdecydował czy raczej zdecydowała się na taki los. Z biedy i głodu. To była wiarygodna i brutalna jednocześnie prawda dla wielu kobiet, które nie zawahałyby się, by zająć jego miejsce na koźle obok woźnicy. Zaraza nie dawała wielkiego wyboru.

Przebranie Oliwiera, którego woźnica nigdy wcześniej nie spotkał, było bez zarzutu, a peruka doskonale się trzymała. Delikatna uroda nie wymagała nawet specjalnego retuszu. Oliwier wciąż nie miał zarostu, jedynie delikatny meszek, mimo skończonych dziewiętnastu lat, a dziewczynskie przebranie jeszcze mu te lata odejmowało. Należało jak najszybciej dopasować się do warunków, choć do końca nie był pewny, dlaczego Morenowi zależałoby, by opuścił zamek z łupem jeszcze tego samego dnia.

Coś wisiało w powietrzu. Czy Moren niecierpliwił się, bo chciał zniewolić go jak najszybciej kierowany żądzą? Być może. Ale kryło się pod tym drugie dno, znacznie ważniejsze i Oliwier nauczony czujności, wyraźnie to wyczuwał. Czy miało to związek z rosnącą gwałtownie liczbą zgromadzonych na zrujnowanym i brudnym targowisku ludzi? Było ich tak wielu, jak bywało tylko przy szczególnych

okazjach i festynach. Otaczali wóz, kryjący w sobie zapasy świeżej żywności, bo ufni w moc uzdrowiciela bogacze, na zamku folgowali swoim zachciankom, bez względu na koszty. Zupełnie jakby jutro świat miał przestać istnieć. Tylko obecność uzbrojonych strażników powstrzymywała głodnych, zdesperowanych ludzi od ataku. Zamiast tego, na przemian wyciągali błagalnie ręce lub wygrażali woźnicy i strażnikom królewskim. W stronę Oliwiera matki wyciągały z płaczem swe chude dzieci. Staruszki zawodziły błagalnie. Gdy jednak wóz przejeżdżał mimo, wygrażano czarnowłosej dziewczynie bardziej niż innym, pluto za nią i przezywano najgorszymi słowami.

Nie było łatwo Oliwierowi ignorować ich zachowania. Nie mógł przestać patrzeć na nieszczęście i wrogość. Nie potrafił udawać, że ich nie słyszy. Ale był bezradny. Wóz i jego zawartość warte były obecnie majątek. Zatrzymać się, by rozdać choć część niewielką, nie pomogłoby nikomu, a wręcz mogłoby zaszkodzić. Woźnica, człowiek doświadczony już w życiu, ujął go w końcu za rękę i ucisnął krzepko na pocieszenie. Gest wobec przytłoczonej nieszczęściem dziewczyny wzbudził w młodym mężczyźnie sympatię do staruszka.

Tak, Oliwier też to widział.

Gdyby dał choć odrobinę tym płaczącym matkom, pozostali rzuciliby się na nie i wydarli żywność bez żadnych skrupułów. Jeśli zatrzymaliby wóz, tłum mógłby rzucić się na nich, a wtedy nie uszliby z życiem...

Tak niewiele brakowało, by tłumem targnęły emocje.

I wtedy pojawił się ten mężczyzna w obszarpanym ubraniu, niczym zwiastun nadchodzącej katastrofy. Zaskoczony Oliwier zobaczył błysk leżącego w ich stronę sztyletu. Wykonał unik jeszcze zanim w pełni o nim pomyślał...

Woźnica, którego imienia nie zdążył już poznać, nie był tak szybki. Sztylet utkwił w jego sercu.

— Bierz lejce... — wychrypiał jeszcze chwilę przed swym końcem. — Uciekaj, bo też zginiesz, dziewczyno...

Szaleniec, który stanął im na drodze niemal natychmiast pożegnał się z życiem, zestrzelony przez łucznika z murów zamkowych. Ochrona niewielkiego konwoju zareagowała natychmiast. Zgrzyt stali, który dotarł do uszu Oliwiera był wyraźnym sygnałem, że wyciągnięto miecze.

— Jedź! — Warknął krótko dowódca, pobieżnie obrzucając go wzrokiem, gotów widocznie posłać kogoś ze swoich ludzi lub siebie na kozioł.

Oliwier podjął jednak decyzję w tym samym momencie, gdy dowódca się do niego zwrócił. Wstał, a nagły poryw wiatru, jakby chcąc pomóc, owionął jego twarz zimnym podmuchem i odrzucił do tyłu długie, ciemne i mocno przyczepione włosy peruki. Szarpnął lejce z głośnym okrzykiem i smagnął batem nad uszami poruszonych zamieszaniem koni. Groźba stratowania przez zwierzęta sprawiła, że wielu uciekło na boki w pośpiechu. Kolejne trzaski bata usunęły opieszalych.

Oliwier był w pełni świadomy, że jeśli tłum postanowi teraz się na nich rzucić, nawet najlepsza zbroja strażników i cała ich broń nie zdołają ocalić konwoju. Ludzi było po prostu zbyt wielu.

Skierował w bok konie, by ominąć ciało szaleńca, szybko wracając do drogi prowadzącej do królewskiej bramy. Wóz wyrwał się do przodu eskortowany przez dwóch jeźdźców. Pozostali wraz z dowódcą osłaniali tyły. Kilka bełtów, krzyki rannych i krew po uderzeniach mieczem co bardziej natarczywych zmusiły wzburzony tłum do powstrzymania swych zapędów. Nim zastanowiono się nad taktyką, eskorta królewska odjechała za pędzącym wozem z żywnością. Nieliczni na drodze do zamku uciekali w popłochu przed pędzącym wozem.

Z murów obserwowano szaloną jazdę z okrzykami zachęty. Kilka strzał o włos niemal ominęło przebraną dziewczynę, a jedna utkwiała w ciele nieszczęsnego, martwego już woźnicy, leżącego teraz na koźle. Ku gorliwemu łucznikowi z tłumu na targowisku wystrzelono kilka bełtów, jednak to dowódca oddziału, który słynął ze swej waleczności i celności, co w niedalekiej przyszłości miało podobno zaowocować jego awansem, zabił łuczника jednym strzałem z ofiarowanej mu przez elfy kuszy. Wjazd za bramę małego konwoju spotkał się z okrzykami uznania i aplauzu ze strony obserwującej zdarzenie służby i strażników. Oliwier przyjął ten hołd z mieszanymi uczuciami, podobnie jak eskortujący go strażnicy. W końcu tamci ludzie byli po prostu zdesperowani i głodni. Niełatwo będzie zapamiętać ich błagalne twarze.

Po krótkim powitaniu powrócono szybko do swoich zajęć. Przy tak licznym dworze królewskim, goszczącym na zamku, nie brakowało zadań do wykonania, a kary za rzekomą opieszałość ze strony niektórych panów bywały srogie.

— Całkiem nieźle — kiwnął z uznaniem głową dowódca eskorty, który zbliżał się już do lat trzydziestu. — Szkoda starego Ramoza — spojrzął na martwego woźnicę. — Od lat dostarczał tu żywność. Cudem jego rodzina dotąd przeżyła zarazę. Dopilnuję, by oddano im ciało. A co do ciebie, moja droga... — uśmiechnął się, a był to uśmiech łobuzerski, bardziej chłopca, niż walecznego żołnierza. — Dobry początek służby! Jestem Delen — wyciągnął rękę jednocześnie na przywitanie i by dwornie pomóc Oliwierowi zejść z wozu. — Delen Serne, dowódca straży królewskiej. Przyszły dowódca — ponownie uśmiechnął się szelmowsko. — Tak mówią.

— Selena Calis — Oliwier uśmiechnął się niewymuszenie do sympatycznego żołnierza. — Siostra Celiny, pomocnicy kucharki. Przyjechałam ją zastąpić.

Łobuzerski uśmiech zniknął natychmiast z twarzy Delena. Zastąpił go niepokój.

— Na twoim miejscu — rzekł z dziwnym wyrazem twarzy — nie mówiłbym o tym zbyt wiele.

— Wiesz...? — los nieszczęsnej kobiety, pod której siostrę się podszywał, w zasadzie nie powinien go obchodzić, lecz jakby wyczuwając w tym coś większego, stał się czujny.

Wyczuwał, że dowódca jest mu nawet więcej niż życzliwy. Widział jego zainteresowanie urodą Seleny. Na punkcie nadmiernego zainteresowania ze strony Morena stał się wręcz przeczulony, dlatego zachowanie Delena, chociaż niewątpliwie zupełnie pod tym względem niewinne, od razu wzbudziło jego czujność. Wolałby nie wpaść mu w oko, ale najwyraźniej było już na to za późno. Postanowił więc, że zda się na improwizację. Nic złego na razie się nie dzieje. Nie może popadać w paranoję, ilekroć ktoś na niego spojrzy. Takie nerwowe zachowanie, biorąc pod uwagę okoliczności jego przybycia, mogłoby mu tylko zaszkodzić.

— Nie tutaj. Nie teraz — odparł szybko Delen. — Zaraz przyjdzie królewski medyk — ujął go delikatnie za rękę. — Na razie wiedz, że masz tu przyjaciela. I strzeż się wicekróla!

Oliwier spojrzał w jego oczy bez słowa. „Czego mi nie powiedziano? — zastanowił się w duchu. — Czy okoliczności śmierci tej kobiety nie będą poważną przeszkodą w moim zadaniu? Dla Morena jestem cenny jako przyszła zdobycz, nie narażałby mnie na zgubę. Moja historyjka jest wiarygodna. Ale... Co, jeśli pewnych rzeczy nie przewidział?”

— Wybacz, że zostawiam cię teraz z tą tajemnicą — szepnęła Delen, odsuwając się na odgłos zbliżających się kroków.

— Siostrze Celiny nie brakuje odwagi, jak słyszę — wysoki, szczupły mężczyzna o wąskiej twarzy i ciemnych, niemal czarnych oczach zbliżył się do nich pospiesznie. — I, jak widzę, talentu do nawiązywania nowych znajomości — zerknął na oboje z ciekawością.

Oliwier, który w Wermodzie spędził przecież całe życie, bez trudu rozpoznał nadwornego medyka Sedona. Dygnął, naśladując siostrę i matkę, gdy witały się z wielkimi damami. Wyszło mu to całkiem naturalnie. Zaklął w duchu. Nic dziwnego, że zainteresował sobą Morena, skoro ma w sobie takie dziewczynskie talenty!

— Panie — skłonił głowę, zmieniając tonację głosu na uprzejmą, lecz nie uniżoną. Przed nikim nie zamierzał ani teraz, ani w przyszłości płaszczyć się i poniżać. Nie ugiął się, gdy prześladował go Moren i mimo ponurej przyszłości nie zamierzał się poddać. Ani jemu, ani nikomu innemu, komu wydawałoby się, że może nim rządzić.

Medyk przyjrzał mu się z lekkim rozbawieniem. Delen tymczasem skłonił się i odszedł do swoich ludzi. Gdy padł rozkaz, kilku jego ludzi zajęło się martwym woźnicą.

— Dziwi cię, że wiem, kim jesteś? — zagadnął Medyk. — Wiedza to dziś

potężne narzędzie. Pomaga wyprzedzić fakty, odgadnąć przyszłość. Ale czasem prowadzi też... donikąd — uśmiechnął się wymuszenie. — W twoim przypadku widzę, że moja pomoc nie będzie tu potrzebna. Wyglądasz mi na zdrową niewiastę, choć oczywiście w dzisiejszych czasach pozory mogą mylić. Na szczęście na zamku gości uzdrowiciel, który jest w stanie naprawić moją ewentualną pomyłkę. Jego obecność tutaj mogłaby sugerować, że moja skromna osoba jest zbędna na królewskim dworze, prawda? Lecz myliłby się ten, kto śmiałyby tak sądzić. Tylko głupiec pozbawiłby się teraz wszelkich możliwości obrony. W końcu sam uzdrowiciel nie może być wszędzie. Byłaś już kiedykolwiek na zamku?

— Nie, panie — skłamał bez zająknięcia Oliwier, coraz lepiej wczuwając się w swoją rolę.

Pół roku wcześniej był na zamku i został wprowadzony do sali audiencyjnej wraz z ojcem, który wykonał misterny naszyjnik dla królowej Konstancji. Było to kolejne wspaniałe zlecenie, po wykonaniu wisiora dla uzdrowiciela. Dowód na rozpoczęcie nowego, naprawdę dostatniego życia dla całej rodziny. Dotąd nie otrzymywali zamówień od rodziny królewskiej, jedynie od paru możnych. Ten nagły zwrot był spełnieniem marzeń jego ojca. Najwyraźniej bowiem do królowej doszły słuchy o misternym prezencie, wykonanym zręcznymi dłońmi jego ojca. On naprawdę miał do tego talent. Pół roku później, tuż po wybuchu zarazy dziwnym trafem ich okradziono, a syn poważanego złotnika stał się złodziejem, by utrzymać rodzinę. Moren z pewnością się do tego przyłożył...

Nieco łysiejący już mężczyzna nerwowym, zapewne odruchowym ruchem, nabytym w czasie praktyk, zaczął zawijać rękawy swej koszuli, gdy wchodzili wejściem dla służby.

— Cóż, zobaczymy, do jakiego zadania cię przydzielą — uśmiechnął się z sympatią. — Choć po tak hucznym wejściu, widziałbym cię raczej jako jednego z gwardzistów niż pomocnicę kucharki, na ten przykład.

— Mam sprzątać pokoje — odparł Oliwier.

Medyk spojrzał na niego szybko, zbyt szybko, by Oliwier mógł coś wywnioskować z tego spojrzenia. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zmienił zamiar i zamiast pierwotnych słów, które zapewne cisnęły mu się na usta rzekł :

— Więc pewnie spotkasz uzdrowiciela. To naprawdę dobry chłopak. Pośród niektórych tutaj jest jak róża, która wyrosła na łąjnie, na ten przykład.

Oliwier spojrzał na medyka, zaskoczony jego porównaniem, nic jednak na to nie powiedział. Widocznie medyk miał w zwyczaju używać takich porównań.

— Tam jest teraz ochmistrz Kalen. Udaj się do niego — Medyk wskazał mu jeden z korytarzy służby. — Liczę, że spotkamy się jeszcze w trakcie swych obowiązków.

— To będzie prawdziwa przyjemność — skłonił się lekko Oliwier, traktując ten ukłon po swojemu, nie jak typowa posłuszna służka. Sedon od razu to

zauważył.

— Rozważnie, lecz bez zbytniego służalstwa — mruknął ni do siebie, ni do niego medyk, widząc ten ruch. — Oby odwaga cię nie opuszczała, dziewczyno — skłonił się uprzejmie i odszedł w stronę schodów prowadzących na wyższe piętra.

Oliwier patrzył chwilę za nim, samotny na korytarzu, który, mimo że był przeznaczony dla służby, podobnie jak cały zamek raził, a jednocześnie zachwycał mnogością ozdób i kolorów tak rozmaitych, jakby architekt nie mógł się zdecydować, jaki styl obrać.

„Pora zaczynać — pomyślał. — Gra się rozpoczęła. A ja nie mogę uciec...”.

* * *

Ochmistrz Kanel okazał się być mężczyzną o nerwowych ruchach, równym wzrostem Olivierowi. Najpierw przydzielił mu obowiązki polegające na sprzątaniu określonych pięter na zamku, wyznaczył pokój w domku dla zamkowej służby, usytuowanym pod murami. Potem poinstruował o położeniu przebieralni, gdzie Oliwier miał natychmiast przebrać się w odpowiednie ubranie, pralni, suszarni i innych ważnych pomieszczeń gospodarczych. Tłumaczył to wszystko w pośpiechu i niemal bez chwili przerwy. Po nieustannym narzekaniu, ile zdrowia kosztuje organizacja tego wszystkiego przy tak dużej liczbie możliwych i na jaką utratę wagi go to naraziło — przydzielił mu wreszcie pierwsze zadanie. Dla zachowania ostrożności, Oliwier miał udać się do komnat uzdrowiciela i sprawdzić, czy wszystko jest w należytym ładzie i niczego nie brakuje. Prawdziwym powodem było to, że nowa pokojówka Selena jest jedną z nielicznych nowo przybyłych osób. Aby uniknąć niepotrzebnych kłopotów i sprowadzenia zarazy na dwór królewski, za co ochmistrz mógłby stracić nawet głowę, należało jej umożliwić natychmiastowy kontakt z uzdrowicielem, a jeśliby nie doszło do tego natychmiast, to chociaż z jego rzeczami, które słyną z mocy swego właściciela. Wszystko to ochmistrz wyrzucił z siebie potokiem słów, pospiesznie gestykułując i wprowadzając atmosferę nerwowości. Oliwier był więc w końcu wdzięczny losowi, gdy wreszcie go uwolniono z nakazem wzięcia się do pracy, bo już zaczynała go od tego gadania boleć głowa. Z mocno bijącym sercem przebrał się w skromne ubranie pokojówki, spiał włosy peruki w kok i założył czepek.

Nerwowo sprawdził efekt w lustrze.

Łatwość, z jaką zmieniał się ze smukłego syna złotnika w dziewczynę o chmurnej urodzie, zdumiewała nawet jego. Przyjrzał się swemu odbiciu z rozdrażnieniem. Cery mogłaby pozazdrościć mu niejedna dziewczyna. O prze-branie mógł być spokojny. Maskowało go doskonale.

Jego los już był przesądzony...

Szybko, by niebezpieczne myśli nie przejęły nad nim władzy, wziął głęboki

wdech i ruszył do komnat uzdrowiciela, zgodnie ze wskazówkami ochmistrza. Nie zamierzał tu zostawać dłużej, niż to było konieczne. Jeśli mu się poszczęści, zdobędzie choć jeden z wisiorów i ucieknie z zamku ścieżkami Kota, jak go przecież już nazywano w mieście. Na to także był przygotowany. W kieszeniach długiej spódnicy ukrył swą ukochaną procę i woreczek z kamieniami, a wokół pasa ukrył swój najcenniejszy skarb w branży złodzieja — cienką, niezwykle mocną linę elfów, którą kiedyś ukradkiem podarował mu Sel. Jego ojciec miał kontakty z elfami z gór. Jako kupiec jedwabiów, często prowadził z nimi interesy. Tylko dzięki elfom Sel wciąż żył. Nie potrafili jednak całkowicie go wyleczyć, nie wywożąc z domu a na to nie pozwoliła matka. Może bała się jednak, że śmierć zabierze jej syna, gdy wyruszy w drogę? Trudno było odgadnąć. Być może po prostu uznała, że szkoda marnować na to czas. Sel tak twierdził, w chwilach zgorzknienia.

Oliwier był pewien, że przyjaciel będzie próbował ratować jego siostrę, nawet jeśli narażałby przez to własne życie. Żadnemu słowu Morena nie można już było wierzyć...

Była już niemal ósma według Zegara Słońca na wieży zamkowej, widocznej z okien, gdy Oliwier przekroczył próg komnaty uzdrowiciela.

To, co zobaczył, przeszło jego wyobrażenia. Ponad jego głową sufit ugiął się niemal od ozdobnych łuków, wypełnionych rzeźbami głów o różnych wyrazach twarzy: smutnych, ponurych, szalonych, tajemniczych, z wywieszonym językiem lub bez zębów. Wyrzeźbione winorośle lub też jakaś inna roślinność wypełniały niemal każde miejsce. Ściany komnat bogate były w ornamenty i wymyślne ozdoby. Ciężkie kandelabry dopełniały przytłaczającego wrażenia. Na stołach i szafkach stały figurki lub miniatury statków. Łoże, sofa i fotele tonęły w purpurze. Wszędzie mieniło się i lśniło w blasku słońca. Jedynie kąt pod oknem w komnacie sypialnej nie przytłaczał. Stał tam fotel, w którym zapewne uzdrowiciel czytał, a blisko okna stała skromna, w porównaniu z otaczającym wokół przepychem, luneta. Za oknem widać było miasto i niedalekie już morze. Mógłby nawet rozróżnić białe grzywy fal.

Oliwier był pewien, że nigdy dotąd nie widział takiego nagromadzenia mebli i ozdób. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie oszałamiało swym przepychem. Jednak po chwili u człowieka przyzwyczajonego do prostoty i wystroju wnętrza pełnego harmonii, wywoływało uczucie duszności. Zupełnie jakby w komnatkach zostało zbyt mało powietrza po zapełnieniu wnętrza. Ogrom tego wszystkiego przytłaczał i choć Oliwier widział uzdrowiciela dotąd zaledwie raz, czy dwa w swoim życiu, był pewien, że z pewnością nie czuje się on tu dobrze. Jasnym było, że nie urządzano wnętrza z myślą o wygodzie uzdrowiciela. Tu Oliwier nie zobaczył żadnej półki z książkami, które podobno lubił uzdrowiciel. Nawet niewielkiej. Jedynie na stoliku przy oknie w sypialni zauważył jedną zatytułowaną:

„Pierwsi królowie”. Okładka była bogato zdobiona, a i wewnątrz zawierało misterne, staranne pismo na czerpanym papierze. Jakby to była własność co najmniej następcy tronu lub królowej. Dlatego wciąż tu była, nie dzieląc losu przedmiotów należących do uzdrowiciela, których lwią część posiadał Moren. Ogarnęła go złość.

Obaj byli wykorzystywani i pozbawiani wolności dla przyjemności innych ludzi. Coraz trudniej mu było pogodzić się z myślą, że musi okraść tego człowieka. Drzwi wejściowe sąsiedniej komnaty otworzyły się cicho.

— Panie hrabio — Oliwier usłyszał cichy kobiecy głos. — Najjaśniejszy pan kazał mi powiadomić cię, panie, że poranna audiencja została przełożona o dwie godziny. W związku z tym król zaprasza na skromne śniadanie ze swoją rodziną za pół godziny, przed audiencją.

— Przekaż królowi Aleno, że przyjdę — odpowiedź uzdrowiciela była uprzejma, a zapamiętany z przeszłości przez Oliwiera jego głos był melodyjny i zabrzmiał przyjemnie kojąco.

Pośpiesznie stanął w drzwiach sypialni, by wchodzący go zobaczył. Służąca potaknęła i oddaliła się.

Młody złodziej przebrany za dziewczynę z bijącym sercem spojrzął w niezwykle błękitne oczy uzdrowiciela.

— Jasnie panie — skłonił się w lekkim dygu — polecono mi sprawdzić, czy niczego panu nie brakuje.

Z trudem ukrył zaskoczenie na widok jego stanu. Kiedy wraz z matką odwiedzał ciotkę Smeraldę w Barnicy — miasteczku uzdrowiciela w górach, ponad rok temu, widział go, gdy pomagał kilku osobom. Hrabia był wtedy młodzieńcem o wyraźnie zarysowanym brzuszku i zaokrąglonej twarzy, życzliwym i pełnym radości życia. Teraz był chudy, jakby od dawna przymierał głodem, a pod oczami rysowały się cienie. Radość życia zastąpiła determinacja, niczym ogień rozpalająca jego spojrzenie. W całej jego postawie znac było pewne napięcie, jakby pobyt na zamku nauczył go ostrożności. To była szokująca zmiana w dotąd otwartym dla ludzi człowieku i to po tak krótkim okresie przebywania na tym dworze. A więc nie traktowano go tu zbyt dobrze...

— Widzę — ciągnął dalej Oliwier nieco nerwowo, zaszokowany tą zmianą — że dzbanek z wodą jest prawie pełen, ale brakuje kubka.

Właściwie nie powinien tego komentować. Oliwier wiedział jednak, że przy uzdrowicielu może czuć się bardziej swobodnie.

— Jeszcze rano tu był — zauważył uzdrowiciel, spoglądając w stronę sypialni, gdzie na nocnym stoliku stał wspomniany dzbanek z wodą. — One codziennie znikają — dokończył bez cienia ironii, lecz z dziwną nutą w głosie.

Umilkli obaj, świadomi znaczenia tych słów.

— Jesteś tą dziewczyną, o której teraz wszyscy mówią, prawda? —

zauważył cicho uzdrowiciel po dłuższej chwili milczenia. — Bohaterką...
Uratowałaś naszą żywność.

— Tak, panie.

— Podobno jesteś siostrą Celiny, pomocy kuchennej? — zauważył cicho uzdrowiciel.

— Tak, panie.

Oliwier w duchu pogratulował sobie opanowania. Pierwszym bowiem jego odruchem było zaprzeczyć całej tej maskaradzie.

— Podobno jesteś siostra Celiny, pomocy kuchennej? — zauważył uzdrowiciel.

Był tak wyciszony i spokojny. Tak inny od samego siebie sprzed roku. Oliwier obserwował tę zmianę ze smutkiem.

— Tak, panie.

— Powiedz ochmistrzowi, że nic ci nie dolega. Jesteś zdrowy — nieznacznym uśmiechem pojawił się na chwilę na ustach uzdrowiciela.

Oliwier otworzył usta, chcąc odpowiedzieć. Sens ostatnich słów szybko jednak mu je zamknął. Mogło to być przejęzyczenie, choć było to mało prawdopodobne.

— Przyniosę drugi kubek — postanowił chwilowo to zignorować, choć słowa uzdrowiciela wyprowadziły go nieco z równowagi. — Jeśli pozwolisz, panie? — dygnął.

Czekał w milczeniu na odprawę, choć serce nie przestawało mu szybko bić z niepokoju. Uzdrowiciel zmierzył go zamyślnym spojrzeniem.

— Powiedz — jego łagodny ton głosu niemal natychmiast stłumił niepokój Oliwiera — polecono ci nie rozmawiać ze mną?

Ochmistrz najwyraźniej o tym zapomniał. Zresztą, Oliwier od początku postanowił nie trzymać się zbyt ściśle poleceń.

— Nie, panie hrabio — odparł więc zgodnie z prawdą.

— Nie wydam twojej tajemnicy... — Wiwan zbliżył się do niego, zniżając głos. — Nie martw się. Nic tego nie zdradza. To moja szczególna wrażliwość. Wyczuwam nastrój, zapach, nawet smak lub czyjeś myśli. Powiedz mi tylko: wiesz coś o mojej rodzinie? Słyszałeś o nich? Wiesz może, czy żyją?

Ból po niedawnej stracie ścisnął serce Oliwiera. I złość na ludzi, którzy w tak ważnej dla uwięzionego sprawie zachowują milczenie.

— Przykro mi, panie. Nie wiem — naprawdę tego żałował.

Było coś w tym mężczyźnie, co sprawiało, że od razu budził sympatię.

Rozczarowanie na twarzy uzdrowiciela szczerze go zasmuciło. Jednak, gdy Wiwan się zbliżył, oczy młodego złodzieja, jakby za sprawą instynktu, odruchowo spoczęły także na jego szyi. Oba wisiory wciąż tam były. Wystarczyło podejść i zerwać łańcuszek...

To musiał być instynkt przetrwania.

Puls Oliwiera znów przyśpieszył, tym razem z zupełnie innej przyczyny.

Dłonie. Były tuż obok.

Wiwana spojrzał mu w oczy. Oliwier zrozumiał, że uzdrowiciel wyczuł zmianę w jego nastroju. Z trudem nakazał sobie opanowanie.

— A zaraza? — zapytał cicho hrabia – Wielu umarło?

Myśli o tym najwyraźniej także go dręczyły. Julien z pewnością by go polubiła.

— Żniwo śmierci jest przerażające — szepnął cicho, ogarnięty wspomnieniami odjeżdżającego wozu pełnego trupów, z ciałami matki i ojca.

Myśli o tym, co się stało i o tym, co się stanie, a zwłaszcza te dotyczące tego, co mogło się stać, zaczęły go przytłaczać niczym ciężar. Poczuł jak znów ożywione emocje zaczynają go dławić.

Nagle zapragnął, by było to inne miejsce, inny czas. By to wszystko co dotąd zaszło nie miało miejsca. Chciał powiedzieć o wszystkim uzdrowicielowi, człowiekowi, którego nawet nie znał, ale czuł, że nie ma w nim fałszu. Ale nie mógł tego zrobić.

Nie, jeśli robi to, co zamierzał. Miał ukraść wisior i uratować Julien przed pohańbieniem i jednocześnie zniszczyć wszystko, co było dla niego częścią dobrych wspomnień o rodzinie. Jego matka i matka uzdrowiciela zaprzyjaźniły się, gościli ją w ich domu, a ojciec z dumą wykonał wisior, który teraz miał ukraść. Czemu los zmusił go do tego? Czemu właśnie tak musiało się teraz stać?

— Co cię dręczy? — zapytał cicho uzdrowiciel.

Spojrzał na niego. Musi. Po prostu musi to zrobić! Nie było innego wyjścia!

Dla dobra Julien...

Nagle podniesione głosy zza ściany wyrwały go z ponurych myśli. Obaj odruchowo spojrzeli w stronę sypialni, za której ścianą słychać było szybki, nerwowy głos kobiety i niski gniewny męski.

— Wicekról i hrabina Weren — wyjaśnił uzdrowiciel — znowu...

W jego głosie wyraźnie można było wyczuć niechęć i zmęczenie. Oliwier z wdzięcznością przyjął to wydarzenie. Pozwoliło mu nieco ochłonąć. Zerknął na uzdrowiciela. Spotkania hrabiny z wicekrólem na pewno nie pozwalały mu zasnąć nocą. Musieli być dość hałaśliwą parą. Znów ukłuło go uczucie gniewu. Poczuł, że pomiędzy nimi tworzy się dziwna więź, zupełnie jakby spotkał kogoś mu bardzo bliskiego. Nie wiedział czy Wiwana wywierał na niego wpływ, czy były to jego własne odczucia, ale teraz wiedział na pewno, że bardzo ceniłby sobie przyjaźń z tym człowiekiem. Coraz trudniej było mu zrealizować swój zamiar.

Ale nie mógł zrezygnować...

Para za ścianą po krótkiej sprzeczce zaczęła jęczeć i stękać, parząc się gwałtownie. Wzrok Wiwana stał się dziwnie daleki, jakby w myślach próbował

uciec od tych odgłosów. Zapewne nie pierwszy raz.

— Możesz odejść — powiedział, wciąż nie podnosząc głosu.

Oliwier został odprawiony. Powinien teraz odejść.

Następny ruch. Trzeba skłonić głowę. Odciać myśli. Skupić się na zadaniu. Zerwać odchodząc...

Poruszył się.

W tym momencie poczuł, jak skóra na prawym policzku zaczyna go piec, a chwilę później płonie już niczym ogień. Nagły ból wywołał łzy w jego oczach. Jęknął odruchowo, a zdumiony uzdrowiciel spojrział na niego. Oliwier przyłożył rękę do płonącego z bólu policzka, na którym poczuł wyraźne uderzenie. W nagłym strachu uzmysłowił sobie, że jeśli dla niego ból był tak silny to...

— Pokaż — ręce uzdrowiciela delikatnie zabrały jego rękę z twarzy. Kiedy na to miejsce przyłożył swoją dłoń, Oliwier cofnął się odruchowo. — Spokojnie — kojący głos uzdrowiciela utrzymał go w miejscu. — Uderzenie — szepnął. — Masz brata bliźniaka?

Oliwier zamarł.

— Siostrę — odparł, z sercem bijącym niespokojnie.

— Wszystkie bliźnięta mają duchowo połączone serca. Ukrywacie to, to oczywiste — mówił spokojnie Wiwan, podczas gdy pod jego dłonią Oliwier poczuł kojące ciepło rozchodzące się po twarzy niczym kręgi na wodzie. — Już się z tym spotkałem.

Głosy wciąż dobiegające zza ściany stały się gwałtowniejsze, lecz teraz Uzdrowiciel je zignorował. Skupił uwagę tylko na nim.

— Możesz mi nie wierzyć, ale w ten sposób pomogę też twojej siostrze. Co czujesz ty...

— Dziękuję... — zdołał tylko szepnąć Oliwier.

Ból minął szybko, a uderzony policzek powrócił do swego wyglądu. Po ciele Oliwiera rozeszło się ciepło, które sprawiło, że ogarnął go spokój, a napięte nerwowo mięśnie wyraźnie się rozluźniły. Poczuł nagły przyływ sił. I wyrzutów sumienia.

Głos Wicekróla gniewny i porywczy wdarł się nagle w ciszę. Wyraźnie usłyszeli słowa:

— Zrobisz, co będę chciał, ty brudna dziwko!

— Muszę już iść — głos uzdrowiciela znów stał się bezbarwny. — Wolę iść, niż tego słuchać.

Sapanie wicekróla wywoływało u Oliwiera mdłości. Stękał z wysiłkiem, przeklinał, a w umyśle Oliwiera kształtowało to z wolna obraz przyszłości, w której nie chciał uczestniczyć. Wolałby ukrywać się nadal w przebraniu kobiety niż wracać. Wolałby pomóc uzdrowicielowi w ucieczce z tego koszmaru, niż go okradać. Moren nie dotrzymał słowa. To bardzo prawdopodobne, że właśnie on

uderzył Julien, a jeśli nawet nie on, to pozwolił, by to zrobiono. Ogarnęła go wściekłość i poczucie straszliwej krzywdy. Ma okraść dobrego człowieka dla bandyty, który chce go rżnąć tak długo, aż go złamie i zabije? Ma pozwolić mu zrobić, co zechce, szafować życiem Julien, by w ostateczności i tak pod byle pretekstem zginęła w hańbie i poniżeniu? Na co on liczył?! Na dotrzymanie słowa? Położył na szali swoją i Julien przyszłość w imię pustej obietnicy. Liczył się z tym, że Moren będzie nieuczciwy. Ale miał nadzieję, że ze względu na wisior, na którym tak bardzo mu zależało, dotrzyma obietnicy do chwili powrotu Oliwiera i dopięcia swego.

Nie. Teraz już na pewno nie dostanie tego, czego tak bardzo chce.

Plan w założeniu był prosty. Oliwier miał ukraść „dłonie” i niezauważenie wrócić do domu, gdzie w ogrodzie zamieniłyby wisior. Właściwy miała dostać Julien, której przy najbliższej okazji miał umożliwić ucieczkę. Wisior miał jej pomóc bezpiecznie przebrnąć przez ziemie ogarnięte zarazą w dotarciu do ciotki Smeraldy. Wierzył, że poradzi sobie, by zmylić pogoń i nie dać się nikomu schwytać. Miał wielką nadzieję, że uda jej się zabrać ze sobą Sela. Sel zawsze był praktyczny. Niestety jego choroba w każdej chwili mogła pokrzyżować wszelkie plany. O swój los nie dbał. Fałszywy, bo pozbawiony daru uzdrowiciela wisior miał oddać Morenowi, a potem upewnić się, że w zasięgu jego rąk nie ma żadnej rzeczy należącej do uzdrowiciela. Przy odrobinie szczęścia Moren by zachorował. A jeśli nie on, to sam Oliwier, zsyłając na Morena i jego ludzi zarazę i modląc się do wszystkich dobrych duchów, by umarło ich jak najwięcej.

Nie potrafiłby żyć po tym, jak... A taka śmierć w wyniku choroby nie skrzywdziłaby przecież tak, jak zrobiłaby to gwałtowna śmierć... Słyszał już o tym.

— Pomocy!!! — rozpaczliwy krzyk przedarł się przez ściany.

Zmroził krew w jego żyłach.

— To też jest część ich chorej zabawy? Brzmi...

— Nie — przerwał mu szybko uzdrowiciel. — Ona zwykle lubi przemoc, to prawda. Jeszcze przed chwilą było jak zawsze. Teraz naprawdę cierpi. On zadaje jej ból. Gwałci ją. Kazał jej udawać... — umilkł nagle, nie chcąc zdradzać zbyt wiele, a potem rzucił szybko: — Musisz iść po straż królewską! Poszukaj porucznika Delena! Wejdźcie do komnat hrabiny, nie czekając na pozwolenie. Idź!

— A ty? — kiedy nastąpiła ta chwila, gdy z pana i sługi stali się sojusznikami w rozgrywce, to już nie miało teraz znaczenia.

Uzdrowiciel skrzywił się lekko w uśmiechu, nie oburzając się na tę poufałość. Właśnie tak miało być. Od pierwszych chwil spotkania wiedział, że szybko się porozumieją.

— Idę do nich! — rzucił ostro, wychodząc. — Biegnij po pomoc!

Za drzwiami komnat uzdrowiciela rozeszli się w pośpiechu. Oliwier obejrzał

się za siebie. Zdecydowany Wiwan krótko odprawił próbujących go dość niemrawo powstrzymać strażników i wpadł do komnat hrabiny Weren niczym burza. Strażnicy, rozdarci między lojalnością wobec brata króla a szacunkiem wobec uzdrowiciela, stanęli po prostu za nim...

Oliwier zaczął biec.

Tymczasem Wiwan wpadł do komnaty sypialnej. Bez zbędnych słów chwycił szarpiącego się z płaczącą kobietą wicekróla za kępę włosów na głowie i pociągnął. To zmusiło mężczyznę do puszczenia swej ofiary i wstania. Z niewiarygodną, jak na tak wychudzonego mężczyznę siłą, Wiwan obrócił półgołego wicekróla twarzą do siebie, pchnął na łożo mocnym kopniakiem i skoczył. Hrabina Weren — młoda, ładna, w poszarpanej teraz czerwonej sukni i rudych włosach, zsunęła się pośpiesznie z łoża, drżącymi rękami trzymając suknię i spojrzała na swego zbawcę z wdzięcznością i zdumieniem. Ze wszystkich znanych jej w zamku osób jego spodziewała się najmniej. Nie tylko dlatego, że jej komnaty często odwiedzał wicekról i inni mężczyźni, co pewnie budziło niesmak u jej sąsiada. Próbowwała go uwieść odkąd się pojawił, ciekawa, jakie niezwykle atrybuty skrywa pod ubraniem uzdrowiciel. Po tygodniu tak bardzo go pragnęła, tak wielką wzbudził w niej namiętność swoją obecnością, widocznym brakiem doświadczenia w tych sprawach, niewinnością i uprzejmością wobec kobiet, niezwykłą w tym miejscu, że stała się wobec niego zaborcza. Chciała skłonić go do pieszczot przy każdej nadarzającej się okazji. Wreszcie, gdy stanowczo zażądał, by zostawiła go w spokoju, opamiętała się, jakby wylał na nią kubel zimnej wody. Może to ton jego głosu, może dawno uspiona moralność otworzyły jej wtedy oczy. Zrozumiała, że go dręczy. A kiedy, patrząc tym nowym spojrzeniem, zobaczyła jak natrętnie przystawiają się do niego również inne kobiety, czasem tak stare, jak choćby dama dworu królowej Lizetta, stara jak sam świat, a nawet niektórzy mężczyźni, zrobiło jej się go żal. Chociaż o tym nie wiedział, zaczęła dyskretnie psuć szyki natrętom. Pozornie nic wielkiego, jakieś krople na przeczyszczenie przy wspólnej kolacji lub niespodziewanie zamknięte drzwi. Wtajemniczyła w to pomoc kuchenną Celinę, która czasem dodawała tego lub owego do potraw i napojów wybranych osób. Robiła to szczególnie chętnie, gdy hrabina wyjaśniła zręcznej dziewczynie, że chodzi o dobro uzdrowiciela. Niestety, Celinę zamordowano...

Szeptano, że maczał w tym palce Wicekról, który nie przepuszczał okazji by zaczepiać młode dziewczyny. Była skłonna wierzyć tym pogłoskom. Gdyby nie dawał jej tego, co tak lubiła, rozkoszy graniczącej z okrucieństwem, łatwo nie puściłaby mu tej historii płazem. Miała zamiar wydobyć z niego prawdę na swój prywatny użytek.

Wstała zdecydowana pomóc i razem ponieść konsekwencje za napaść wobec samego brata króla. Robiła w życiu wiele niedobrych rzeczy, lecz choć raz chciała być lojalna wobec człowieka, który bezinteresownie przyszedł jej z pomocą.

Zasługiwał na to. Dla niego mogła wiele zrobić...

Tylko dla niego jedyne.

Po prostu. Choć sama tego do końca nie rozumiała.

Nim jednak podeszła, wicekról z gniewnym okrzykiem chwycił Wiwana za rękę i mimo swej okazałej tuszy zdołał go unieruchomić. Od momentu, gdy wkroczył uzdrowiciel, walka potoczyła się szybko i nawet teraz, gdy Wiwan szarpał się z bratem króla mogło to się skończyć czyjąś śmiercią. Piękna hrabina skoczyła na wicekróla i ugryzła go w rękę. Terlan wyszarpnął się nagle z głośnym wrzaskiem i uderzył ją w twarz z całej siły. Upadając, uderzyła o nocną szafkę głową i zamarła.

— Wilcze szczenię! — chwycił osłabionego uzdrowiciela za poły kaftana.
— Gdybyś nie był tak ważny...!!

— Wicekrólu! — usłyszeli nagle stanowczy głos. — Z rozkazu twego brata mam zaprowadzić cię panie do komnat królewskich. W razie oporu mam użyć siły!

W komnacie stał porucznik Delen, a z nim kilku jego ludzi. Towarzyszyła mu ciemnowłosa dziewczyna, której dotychczas wicekról nie widział, a zza jego strażników widać było zaciekawione twarze mieszkańców zamku i służby ściągniętych tu odgłosami walki i żądzą sensacji.

Delen przybrał wyczekującą postawę. W innych okolicznościach wicekról uznałby to za obrazę, lecz teraz, gdy był już tak blisko zrealizowania swoich planów, nie pora było na popisy. Uzdrowiciel wyszarpnął się gniewnie z jego uchwytu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Dziś na obiedzie — wycedził do niego Terlan. — Chcę mieć cię blisko siebie. Inaczej dokończę rozmowę z twoją rudą przyjaciółką.

Zlazł dość niezgrabnie z łoża, odprowadzany wzrokiem przez uzdrowiciela, którego wyraźnie wyczerpała ta krótka potyczka, lecz gniew lśnił w jego niezwykłych oczach. Wicekról nadał swemu spojrzeniu lekceważący wyraz, patrząc w oczy porucznika, bez śladu zażenowania wkładając opuszczone do kostek spodnie. Jego pewność siebie nawet w tak niezręcznej sytuacji była tak wielka, że nikt nie odważył się powiedzieć słowa, czy choćby się uśmiechnąć. Spokojnie patrząc najpierw w oczy Delena, a później skupiając wzrok na dziewczynie, ubrał się i pozapinał z istic królewską godnością, okazując jawne lekceważenie im obojgu. Oliwier zaczął nieznacznie drżeć. Zainteresowanie jego osobą, nie uszło uwagi obecnych. Czuł te spojrzenia, ciekawe i palące. Widzowie obserwowali teraz jego reakcję żądni dalszego ciągu. Choć wicekról rzucił mu wyzwanie jako kobiecie, Oliwier, mając w pamięci swoją przyszłość, hardo odwzajemnił spojrzenie, z całej duszy pragnąc, by nie widać było po nim lęku. Delen wysunął się naprzód, jakby próbował go osłonić. Znów przybrał wyczekującą postawę, mówiąca: „Prędeż. Dość już tego przedstawienia!”. Po uśmiešku, jakim skwitował to wszystko Terlan, Oliwier zrozumiał, że może

spodziewać się dalszego ciągu znajomości z wicekrólem. A po stanie hrabiny, którą delikatnie zajął się teraz uzdrowiciel, mógł łatwo sobie wyobrazić, jak ta znajomość skończyłaby się dla niego, gdyby był kobietą i ta myśl sprawiła, że mimowolnie zapłonął rumieńcem.

Że też zawsze musi cieszyć się zainteresowaniem takich łajdaków!

Na swoich dwóch ludzi wicekról spojrzął krótko, pozornie spojrzeniem bez większego znaczenia. Zawiedli go. Wkrótce, o ile nic tego nie zmieni, mogli się spodziewać znaczących zmian w swoim życiorysie. Pobledli nieco pod tym spojrzeniem, lecz za jego plecami ich oczy spotkały się ze wzrokiem porucznika. Teraz Oliwier w pełni zrozumiał ich bierność wobec Wicekróla. Zdawali się podlegać jedynie Delenowi.

Wobec tego nie rozumiał, dlaczego w takim razie nie pomogli wtedy uzdrowicielowi. Najwyraźniej ich postępowanie także nie spodobało się Delenowi. Zauważył jego czujne spojrzenie.

Ostrożni, jeśli chodzi o własną skórę.

Dobrze wyrył sobie w pamięci ich twarze.

— Dowiem się więc, czego mój drogi brat chce ode mnie — uśmiechnął się lekceważąco wicekról, całkowicie pewien swej bezkarności.

Zgromadzeni przepuścili go w milczeniu. Delen spojrzął pytająco na Oliwiera, którego traktował jako swoją nową znajomą. Oliwier na jego użytek postarał się wykrzesać z siebie pocieszający uśmiech. „Dam sobie radę” — dał mu do zrozumienia, rzeczywiście tak myśląc. Czemu nie? Nie ma powodu przejmować się dłużej całą to sytuacją. Wkrótce go tu nie będzie.

Wyprowadził maruderów i zamknął drzwi. Gdy wszedł wgłąb komnaty, hrabina była przytomna. Ślad po uderzeniu zniknął powoli, na jego oczach. Wiwan delikatnie dotykał jej głowy jedną dłonią. Na drugiej młoda kobieta zaciskała swe ręce. Patrzyła na uzdrowiciela w milczeniu, nie odrywając wzroku nawet, gdy wszedł Oliwier. Była tak spokojna i piękna w tej chwili. Tak inna niż się spodziewał. Jej widok wzbudził nagle w Oliwierze uczucia, o które dotąd się nie podejrzewał. To były myśli, na które sobie nie pozwalał, bojąc się, że Moren nie darowałaby mu nawet chwili szczęścia. Pragnienia, które zepchnął w niepamięć, skupiając się na ochronie ukochanej siostry.

Hrabina odetchnęła głęboko, jej oczy zaiskrzyły wigorem.

— O wiele lepiej — szepnęła, jakby odpowiadając na nieme pytanie.

Wiwan wstał i pomógł jej także.

Potem nagle zachwiał się i zbladł. Obie kobiety — prawdziwa i udawana — pochwyciły go jednocześnie.

— Dam sobie radę — próbował je uspokoić.

— Tak. Szczególnie patrząc na to, ile ostatnio jesz — rzekła z przekąsem hrabina. — Dziewczyno — zwróciła się do Oliwiera — jak ci na imię?

— Selena, pani hrabino.

— Zaprowadź hrabiego do jego komnaty, niech odpocznie — poleciła mu hrabina. — I dopilnuj proszę, by dziś zjadł obiad. Ja sobie poradzę. Jestem już dużą dziewczynką — uśmiechnęła się, próbując nadać temu uśmiechowi żartobliwy wyraz.

Oczywiście żaden z mężczyzn nie uwierzył w to, że tak dzielnie się trzyma.

— Nilan... — zaczął uzdrowiciel, lecz zakryła mu usta dłonią.

Oliwier nagle pozazdrościł mu tego dotknięcia.

— Nie trzeba — powiedziała spokojnie, a w tonie jej głosu usłyszeli pewną dojrzałość, owoc doświadczeń z dotychczasowego życia.

Nawet jej oczy przybrały ten szczególny wyraz.

Dyskretne pukanie do drzwi sprawiło, że wszyscy troje zamarli. Oliwier pomógł Wiwanowi usiąść na łożu. Machinalnie poprawił mocno przypięte włosy peruki.

Za drzwiami stał porucznik i dwóch jego ludzi.

Skłonił się uprzejmie, szczególną uwagę poświęcając Selenie.

— Pani hrabino, panie hrabio. Polecono mi przekazać, że do wizyty króla, która nastąpi niebawem mają państwo pozostać w tych komnatach. Król chce wysłuchać waszej wersji.

Po tych słowach zsalutował uprzejmie i rozstawił ludzi przed drzwiami komnaty.

„Świetnie” — pomyślał z przekąsem Oliwier, zamykając drzwi.

Ponieważ na łożu Wiwan wyraźnie czuł się gorzej, Oliwier, pamiętając o jego wcześniejszych słowach dotyczących szczególnej wrażliwości i zerkając na skołtunioną pościel, domyślił się powodu tego stanu. Dyskretnie zaproponował fotel i szklankę wody, a następnie uchylił okno. Zapach potu i spermy był doskonale wyczuwalny. Spokojnie zasugerował, by niczego na razie nie ruszać do przybycia króla.

— Trzymasz się jakoś? — zapytał z cichą troską uzdrowiciela, korzystając z tego, że hrabina poszła się odświeżyć.

— Będzie lepiej, kiedy wreszcie stąd wyjdę — odparł ponuro Wiwan.

— Powinieneś jeść... panie — zająknął się, czując na sobie wzrok hrabiny.

— Chciałam właśnie powiedzieć to samo — wtrąciła. — Wiwan, głodówka nie da ci wolności — usiadła obok.

— Nie głodzę się — odparł jej. — Odkąd tu jestem, nie mogę spokojnie jeść ani spać. Po prostu.

Zmierzył ją spojrzeniem.

Zastanowiła się nad tym.

— Jesteśmy aż tak okropni? — zapytała.

To było właściwe pytanie.

Wiwan nie odpowiedział. Była dla niego symbolem tak wielu spraw, które wydarzyły się od początku jego przymusowej bytności na zamku.

Hrabina spojrzała na niego zamyślonym wzrokiem. Po dłuższej chwili Wiwan ujął ją za rękę i lekko uściskał. Uśmiechnęła się naprawdę delikatnym, dziewczęcym uśmiechem, który pewnie nie gościł na jej ustach od dawna. Kryła się w nim dawna niewinność. Ślad zupełnie innego życia.

Nawet wiedząc już o niej co nieco, Oliwier poczuł, że zaczyna ją lubić. Uzdrowiciel niewątpliwie także czuł do niej słabość.

— Przepraszam — szepnęła cicho ze łzami w oczach.

Wiwan uśmiechnął się ciepło, a był to cień tamtego dawnego uśmiechu, jaki Oliwier zapamiętał.

Hrabina zawahała się.

— Nie widziałam cię tu wcześniej — wysunęła rękę z dłoni uzdrowiciela, niby dla poprawienia stłamszonej sukni. Potrzebowała zmiany tematu rozmowy, nieprzywykła do szczerości w uczuciach. — Tutaj, a zwłaszcza teraz, w tych czasach służba rzadko się zmienia. Mamy uzdrowiciela, więc nikt raczej nie choruje, a do tej pory usługiwała mi Alena. Coś jej się stało? – zapytała z niepokojem.

— Nie, pani hrabino — odparł spokojnie. — Przybyłam dopiero dziś rano. Polecono mi udać się do uzdrowiciela, by sprawdził czy na pewno jestem zdrowa. Zbiegiem okoliczności... jestem teraz tutaj.

— Rozumiem — mruknęła hrabina. — Masz tu kogoś?

— Moja siostra pracowała tu jako pomoc kuchenna.

— Pracowała?

— Nie żyje — odparł doskonale udając smutek.

Wyraz twarzy hrabiny zmienił się.

— Miała może na imię Celina? — zapytała na pozór spokojnie.

Oliwier spojrzał na nią w zdumieniu. Podobnie zrobił uzdrowiciel.

— Znałaś Celinę? — zdziwił się.

— Ty także? — odparła mu zaskoczona.

— Ja znam wszystkich w tym zamku — ciche słowa uzdrowiciela były nieco karzące. — Dziwię się, że ty ją znałaś.

— Ja... — zmieszała się lekko pod ich spojrzeniami. — Kiedyś zesłam do kuchni... Przestań Wiwan, ja czasem zwracam uwagę na innych...

— Czasem...

— Potrzebowałam czegoś.

— Tak bardzo, że zapamiętałaś imię. Musiałaś często potrzebować.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Oliwier pośpieszył jej z pomocą.

— Pani hrabino — czuł się w obowiązku zapytać. — Co pani wie o jej śmierci?

Spojrzała na nich obu.

— Tylko to, co mówią, dziewczyno — odparła.

— A co mówią?

— Że stoi za tym Wicekról — odparł mu uzdrowiciel, a w jego oczach dostrzegł nieme ostrzeżenie, nieco inne od tego, które hrabina powiedziała na głos.

— Widziałam, jak na ciebie patrzył Seleno — spojrzała mu prosto w oczy.

— To okrutny, niebezpieczny człowiek. Nie jest i nie będzie dobry. Uciekaj stąd. Uciekaj, póki możesz!

— Czy on ją... zhańbił? — jeśli ma udawać siostrę tej dziewczyny, z którą zaczynała go łączyć osobliwa więź, czyniąc go nagle jej narzędziem sprawiedliwości, to musiał o to zapytać. Czy to naprawdę bowiem był przypadek, że miał udawać jej siostrę? Ze wszystkich możliwości, jakie miał tu zapewne Moren, można było wybrać zupełnie inną historię. Ale wybrał to. Zupełnie jakby sama Celina tego chciała.

— Nie wiem na pewno — odparła. — Ale to podobne do niego.

— Trafiła na coś, o czym nie powinna się była dowiedzieć — dodał nagle uzdrowiciel — Zginęła za tę wiedzę. Wybrałaś zły czas na dociekanie prawdy. Możesz skończyć jak ona — spojrzał mu w oczy.

„Myśli, że jestem jej bratem — Oliwier spokojnie odwzajemnił spojrzenie. — Bratem, który ma bliźniaczą siostrę i przybył dowiedzieć się prawdy”. Gdyby wiedział, jak bardzo inne to jest od jego domysłów.

— O czym ty wiesz, Wiwan? — spytała hrabina. — Co chcesz nam powiedzieć?

Lecz w tym momencie wartownicy otworzyli drzwi i do komnat wszedł król wraz z małżonką, synami i eskortą.

Czas był teraz na inne wyjaśnienia...

ROZDZIAŁ 4 — Taniec ze śmiercią

Ten sam czas...

Sel patrzył z podziwem na znikający ślad po uderzeniu na gładkim policzku Julien. Po chwili już go nie byłob.

Oliwier spotkał uzdrowiciela.

Jakaś nienazwana myśl przemknęła przez głowę Sela, kłując go lekkim uczuciem zazdrości. Kiedyś marzył o tym spotkaniu. Marzył, że uzdrowiciel go wyleczy, a wtedy nabierze sił i przejmie rodzinny interes lub nareszcie zupełnie odmieni zupełnie swoje życie. Ojciec przestanie go traktować jak ciężar, który jest zmuszony dźwigać. Matka przestanie patrzeć na niego wzrokiem pełnym żalu i po-nurego oczekiwania. Był jej jedynym dzieckiem, które żyło dotąd, czego nie chciała zauważać, choć straciła już troje dzieci. Pierwsze urodziło się martwe. Drugie zmarło tydzień po urodzeniu.

Trzecie zginęło tragicznie.

Bez specjalnych emocji czy żalu, przekonana, że właśnie to i nic innego zgotował jej los, czekała aż jego serce w końcu się podda i przestanie bić.

Siostra Sela, Noela, miała dwa latka, gdy matka zdecydowała się dać losowi szansę i ponownie zaszła w ciążę. Noela była ukochanym dzieckiem matki, oczkiem w głowie ojca. Przelali na nią całą niespełnioną dotąd miłość. Sel rozwijał się w łonie matki otoczony tą miłością. Oczekiwany z nadzieją. Przyszłość rysowała się w jaśniejszych barwach, a skład kupca jedwabnego zdobywał coraz szersze uznanie i klientów. Wszystko było na dobrej drodze. Noela biegała i dokazywała otoczona opieką. Sel poruszał się w łonie matki, wreszcie uśmiechniętej, ostrożnie pozwalającej sobie na chwile szczęścia i nadziei.

Noela, jak większość dzieci w jej wieku, nie była zbyt posłuszna. Wszędzie było jej pełno. Do niemal wszystkiego z ufnością wyciągała ręce.

Do ojca przychodziło wielu ludzi. Pośredników i klientów. Jeden z nich przyprowadził ze sobą psa.

Psy często towarzyszyły swym właścicielom i nie było w tym nic niezwykłego. Ten nauczony był polować. A jego uszy wychwyciły piskliwe dźwięki małego stworzenia.

Opuścił swego pana, wyszedł ze składu znajdującego się od ulicy w parterze domu, w którym mieszkała rodzina Andilo i znalazł się na podwórzu, gdzie matka Sela rozmawiała właśnie z matką Morena, wtedy najbliższą jej przyjaciółką. Noela nudząc się i czekając krążyła w pobliżu i coś po swojemu mówiła. Miały zaraz

pójść do ogrodu.

Pies zaatakował ufną dziewczynkę, która chciała go tylko pogłaskać. Ugryzł ją w głowę, wbijając zęby w czaszkę. W mgnieniu oka oddzielono go od dziewczynki i zathuczono na śmierć. Jednak zło już się stało...

Dziecko zmarło w ramionach wstrząśniętej matki.

Rina, matka Selariona, nigdy już się nie otrząsnęła. Żal, poczucie straty i rozpacz złamały jej serce. Tragedia przyspieszyła poród.

Jego ojciec, chcąc ratować cierpiącą żonę i dziecko w jej łonie, zwrócił się o pomoc do elfów.

Sel urodził się przed czasem. Nie dawano mu wielkich nadziei a jednak przeżył. Matka, pogrążona w żalu, nie potrafiła się nim cieszyć ani o niego walczyć. Odsunęła się od niego przekonana, że los wkrótce zabierze także i jego.

Kilkakrotnie w ciągu następnych lat był bliski śmierci.

A ona czekała na tę śmierć.

Pogodziła się z tym, że tak być musi. Że nigdy nie będzie miała przy sobie dzieci. Skoro i tak miał umrzeć — po co się przywiązywać, po co łączyć z nim nadzieje, które nigdy się nie spełnią?

Po co prosić o pomoc uzdrowiciela, skoro pewnie i tak przewrotny los odbierze im dziecko, tak czy inaczej?

Po co cieszyć się każdą chwilą spędzoną z jedynym dzieckiem, skoro ono lada moment może umrzeć?

I wreszcie... Po co je kochać?

Jednak lata mijały i Selarion nie umierał. Na przekór wszystkiemu trzymał się życia, choć często nie było ono dla niego łatwe. Nieraz widział niepewne spojrzenie ojca, jakby ten mówił: „Zdecyduj się — zostajesz z nami czy odchodzisz w zaświaty?”.

Oboje traktowali go dobrze, choć ojciec więcej wagi przywiązywał do jego potrzeb. Sel czuł, że gdyby tylko zechciał, daliby mu niemal wszystko. To były gesty wobec skazanego na topór. Mógł stać się bardzo rozpuszczonym dzieckiem. Zamiast tego wyrobił sobie charakter. Był zaradny, umiał o siebie zadbać i dobrze się uczył. Wyrósł na młodzieńca, który brał z życia to, co było mu dane, nie żądając więcej. Matka wciąż patrzyła na niego z tym dziwnym smutkiem, więc już w dzieciństwie przestał jej mówić o swych marzeniach. Ona już go skazała. Ojciec zachowywał się tak, jakby czasem z trudem powstrzymywał się przed czymś, zaciskał wargi i spoglądał jakby w duchu coś rozważał, walczył z uczuciem, które chciało wypłynąć z jego serca. Kilka razy Sel przyłapał go na dumnym spojrzeniu, pełnym ojcowskiego uznania, gdy zrobił coś naprawdę dobrego. Jak wtedy, gdy opracował potajemnie sposób doprowadzenia bieżącej wody do kuchni i kanalizację. Z pomocą dwóch służących założył to, gdy rodzice pojechali z wizytą do innego znajomego kupca.

Ojciec spojrział wtedy tak na niego, a potem zerknął na matkę.

A ona wyszła milcząc, ledwie zerknąwszy na to, co skonstruował.

Dbali o niego, bo tak nakazywała przyzwoitość. Nie pomagały namowy matki Oliwiera i żony cukiernika. Nie pomagały karcące spojrzenia. Matka zamknęła się w swoim świecie, a ojciec kochał ją na tyle ślepo, że był wobec jej decyzji lojalny.

Nigdy nie pojechali z nim do uzdrowiciela.

Gdy Sel miał dziesięć lat podczas zabaw w bitwę na placu za domem cukierników zasłabł i nie miał już siły wstać. Czuł, że jest z nim bardzo źle. Sprowadzony królewski medyk, kręcąc z niedowierzaniem głową, nie wiadomo czy zdziwiony tym, że wciąż żyje, czy głupotą jego rodziny, oznajmił ojcu, że tym razem to już może być koniec. Dziurawe serce, z którym Sel przyszedł na świat, w końcu się podda. Oczywiście nie mógł wiedzieć, w jakim stanie i co właściwie jest nie tak w sercu Sela. Dziurę w sercu wymyślił na poczekaniu, tuż po jego urodzeniu, dodając, że jego stan jest pewnie wywołany tym, że w momencie śmierci Noeli serce matki przeszył sztylet bóleści, którego ostrze dosięgło serca nienarodzonego dziecka. Nie zabił ich, lecz zabił miłość w sercu matki i zranił dziecko, bo ona przestała je kochać. Ojciec kiwał wtedy tylko głową, lecz później, gdy wszyscy spali, przekonany, że nikt go nie słyszy, płakał cicho przy oknie na korytarzu.

Sel słyszał ten płacz. Kurczowo i rozpaczliwie chwycił wtedy rękę jedynej osoby, która czuwała przy jego łóżku. Moren, towarzysz zabaw, chrapał na fotelu, ale przynajmniej przy nim był. Mało tego, od dnia, kiedy pojawił się na wieść o chorobie Sela, nie dawał się zbyć. Zajął miejsce przy nim na stałe, przynosił mu wodę, próbował karmić, a nawet nieco niezgrabnie, lecz wciąż z tą samą werwą, ocierał mu czoło wilgotną chusteczką. I mówił. Mówił niemal bez przerwy. O wszystkim, co robił, co miał zamiar robić i o innych. Nawet każde przymknięcie oczu przez Sela wywoływało alarm w Morenie. Natychmiast stawiał dom na nogi. Zaciągał kogoś dorosłego, kogo tylko spotkał i kazał oceniać, czy Selowi się nie pogorszyło i czy nie trzeba wzywać medyka. Jego tupet i pewność siebie poruszały cały dom. Miał zwyczaj głośno i szybko mówić, i był bardzo, ale to bardzo napastliwy, jeśli chciał, by coś było zrobione natychmiast.

— Kiedy będzie obiad, bo Sel już jest głodny, a ja bym też coś zjadł? — pytał.

— A gdzie są inne poduszki, bo te, co Sel ma, są przepocone?

— Sel by chciał sikać, gdzie jest nocnik, proszę pani?

— Sel właśnie usnął, to proszę teraz nie przychodzić.

Choć przez kolejne dni Sel musiał znosić męczącą czasem obecność najlepszego przyjaciela, był mu wdzięczny. Bez niego pozwolono by mu umrzeć w spokoju. Tymczasem on, z każdym czasem z trudem wydobywanym oddechem,

walczył o to, by nadal być z przyjacielem. Bo Moren wszczynał bójki, więc trzeba go było uspokajać. Wciąż nie umiał dobrze czytać i bez pomocy nie będzie ćwiczył. I dlatego, że obiecał mu, że będzie generałem jego wojsk. Generałowie przecież nie zawsze muszą walczyć osobiście, jak wytłumaczył mu Moren. On sam zaś będzie niepokonanym herosem, u boku swego generała i razem zdobędą świat.

Bo jest przy nim.

Dziecinne marzenia, lecz to one właśnie i przyjaźń, były jedyną siłą Sela.

To właśnie wtedy Sel przywiązał się do Morena całym swoim stęsknionym za ciepłym sercem, co z czasem wydało mu się miłością. A Moren, ruchliwy, niecierpliwy, wiecznie rozgorączkowany, na dobre przylgnał do spokojnego i silnego duchem przyjaciela.

Nawet nie wie, ile bólu zadał mu teraz...

Nie jest już tym dzieciakiem, tak przytłaczająco troskliwym i wiernym, gotowym skoczyć w ogień, by ratować przyjaciela. Jest zachłanny, porywczy i nieobliczalny. Wszystko, co ma i wszystko, co chciałby mieć, chce teraz zatrzymać przy sobie za wszelką cenę. Wcześniej nie był złym człowiekiem. Z Oliwierem bił się, by go sobie podporządkować, bo imponowała mu jego zręczność. W gruncie rzeczy chciałby go mieć w swojej bandzie, jeśli tamten uznałby jego władzę. Może myślał skrycie, że z czasem przerodzi się to w coś głębszego? Drastyczna zmiana, spowodowana jego chorym pragnieniem zaskoczyła nie tylko Sela ale, co Sel zauważył od razu i samego Morena. Cos mrocznego przekształciło w nim zwykłą rywalizację dzieciaków w psychopatyczną żądzę.

Ludzie nie zmieniają się tak bez powodu.

U Morena była to choroba umysłu... Tego Sel był niemal pewny. Wiele bowiem wskazywało na te zmiany. Serce nie chciało przyjąć innego wytłumaczenia. Nie mógłby się z tym pogodzić, gdyby Moren okazał się tak po prostu zły! Przecież to był Moren, ten sam, który tak się o niego troszczył! Moren, który dotąd słuchał jego rad. To nie może być prawda! On nie może być złym człowiekiem — tak po prostu! I ta sprawa z Oliwierem! To wszystko jest jakieś pokręcone i chore! Moren pełen żądzы?! Moren — morderca Milery — z zazdrości?!

To musiała być choroba. Musi być na to jakieś wytłumaczenie! Przecież zauważyłby wcześniej, domyślił się! Przecież by wiedział!

A może nie chciał tego wiedzieć...

Z początku był zdecydowany go chronić. Uspokajał, przekonywał, wpływał na jego ambicję, stawiał na swoim. Ale potem Moren dobrał sobie obecnych czterech kumpli. To był początek końca. Każdy z nich na inny sposób podburzał go do złego. Każdy miał na niego szkodliwy wpływ. Sel, z początku radził sobie z nimi cierpliwie. Moren nigdy, choćby bardzo się pokłócili nie pozwalał go obrażać. I biada temu, który spróbowałby wyśmiewać Selariona, kpić z jego choroby. Kiedyś

Moren tak pobił Rostena, jednego z czterech, że zamknięto go za to w lochu na trzy dni. Bo nazwał Sela słabeuszem. Sel doceniał jego oddanie, ale przeraził go wtedy ogrom tego uczucia. Była w tym jakaś ponura zawziętość... Jak w tej historii z Oliwierem, która przerodziła się w żądzę zniszczenia. Albo wtedy, gdy zdemolował pokój w burdelu, do którego obaj poszli, bo nie było jego ulubionej kurtyzany, a potem spił się i wygrażał każdemu, z kim zadarł — za dawne i nowe słowa i czyny. Sel zemdłał kolejny raz, powstrzymując Morena, z pijackim uporem do późna w nocy chcącego dołożyć Oliwierowi. Jego stan tak się wtedy pogorszył, że musiał przez kilka dni zostać w domu cukierników. Moren potem za wszystko go przeproszał, gdy wreszcie wytrzeźwiał. Według Sela jednak, nie zabrzmiało to wtedy szczerze.

Potem ci wszyscy ludzie, którymi także zaczął otaczać się przyjaciel. Ta cała banda.

Tylko wzmagali w nim agresję.

I wreszcie zaraza. Zdobywanie łupów.

Śmierć rodziców.

Nie chciał go zostawiać. Wciąż mieli własne sprawy. Własne plany. Jakby przebłąski spokoju w pełnym awantur życiu. Ale Sel przegrywał. Nie tylko wykańczało go to psychicznie. Zdawał sobie bowiem sprawę, że walka o przyjaciela jest już niemal przegrana.

Fizycznie czuł się coraz gorzej, męczył się często, słabł i nie nadążał.

Milera.

Dobra dziewczyna, którą spotykał w burdelu. W poszukiwaniu pracy przybyła do Wermodu. Przypadek zrzucił, że Julien poznała ją na targowisku i drobny incydent spoił ich przyjaźń.

Zostawiła steranych życiem rodziców i liczne rodzeństwo.

Oboje szukali ucieczki przed swoim losem. Sel odpoczywał wśród mieszkańców Domu Rozkoszy, czując się tam akceptowany i otaczany troską większą, niż zaznał w domu. Ona chciała jedynie polepszyć byt swojej rodziny. By naprawdę to zrobić, musiałaby się sprzedać. Sel nie pozwolił jej na to. Zawarł z nią układ. Małżeństwo i godziwe życie za opiekę nad nim. Dobre, szanowane nazwisko zamiast złej opinii.

Czas mógł sprawić, że to, co miało być tylko związkiem darzących się sympatią dwojga samotnych ludzi, mogło być może przerodzić się w nieśmiałą miłość.

Moren ją zabił.

W wieku lat dwudziestu Selarion został wdowcem za sprawą niedawnego najlepszego przyjaciela, który wcześniej zdeptał jego serce...

Valeria, starsza już, dobiegająca pięćdziesiątki kurtyzana, o wciąż doskonalej figurze i żywych oczach, z wprawą nakładała puder na twarz Julien. Sel nigdy nie

widział przyjaciółki w takim wcieleniu. Julien nigdy nie malowała oczu grubą czarną kreską, nie kładła cieni na powiekach. To nie był jej styl. Nie mógł być. Tak malowały się kobiety z Domu Rozkoszy na ulicy Rozkoszy, największego, najbardziej zaludnionego w tej chwili budynku w spustoszonej zarazą okolicy, który Moren objął teraz we władanie. Tu zawsze obaj przychodzili.

Valeria pośpiesznie tapirowała długie, czarne włosy Julien. Nikt nie mógł wiedzieć, że tu są. Uciekli z pokoju, w którym zamknął ich oboje Moren, zapominając, że w każdym pokoju tego przybytku były sekretne drzwi, ukryte za bogactwem obrazów i kobierców. Sel nie czekał na moment aż pamięć mu wróci. Moren na widok twarzy Julien, którą zostawił na chwilę w pokoju obok, by móc porozmawiać z przyjacielem, poczerwieniał na twarzy. Tenana jednak już nie było przy niej. I teraz Moren, ogarnięty wściekłością szukał go pewnie w całym domu. Nie bał się, że uciekną, pewnie w gniewie nawet o tym nie pomyślał. Dom Rozkoszy był pełen jego ludzi, wchodząc, przy drzwiach ustawił strażę. Większość bandytów gziła się gdzie popadło z kurtyzanami żeńskiego i męskiego rodzaju, wedle upodobań lub zwyczajnie zajmowała się swoimi obowiązkami. Niemal wszyscy znali Sela jako przyjaciela przywódcy i, jak powiedział Ross, młody mężczyzna, do którego Sel zwrócił się o pomoc, każdy wiedział dziś o zamiarach Morena. Sel nie mógł wyjść niepostrzeżenie, choć Ross upierał się, że to się uda. Stąd teraz mył szybko ręce po tym, jak wcześniej lekko przyczernił przyklapnięte, spocone włosy Sela. Resztę dopełnił makijaż, który obowiązywał wszystkich mężczyzn odmiennej orientacji w burdelu, dla odróżnienia ich od „bawidamków”, jak nazywano pozostałych. Zmienił twarz wyczerpanego Sela w maskę anioła śmierci. Mocno podkreślone oczy nadawały mu wyraz dzikości.

— Ross — Valeria nerwowo zagryzała wargę, pomagając teraz Julien wiązać gorset czerwono-czarnej sukni ozdobionej błyszczącymi kamykami. — Jak wam idzie? Wiesz, co się stanie, jeśli Moren nas tu znajdzie?

Obaj, ze względu na szacunek do niewinnej w tak wielu jeszcze sprawach Julien, byli odwróceny tyłem.

— Kończymy — rzucił krótko, ubrany w prowokująco obcisłe czarne spodnie i czarną kamizelkę mężczyzna, którego makijaż był identyczny jak makijaż Sela — Sel, spróbuj się trochę uśmiechać — spojrzał na niego z troską — Wyglądasz jak śmierć.

Jakby uśmiech po tym, co usłyszał, był w ogóle możliwy...

— Ty już wiesz, prawda? — Ross przyklęknął przy nim, bez słowa przejmując inicjatywę i zapinając guziki prążkowanej czarnej koszuli.

Sel opuścił ręce, drżące jak u starego człowieka i siedząc w milczeniu, pozwolił sobie pomóc. Czuł, jak eliksir elfów powoli rozchodzi się po jego ciele i rozgrzewa serce. Ross miał go zawsze w swoim pokoju, w którym teraz byli, na wypadek, gdyby Sel go odwiedził. Choć wiedział o jego małżeństwie, nie

zrezygnował z tego nawyku.

Być może Sel już by nie żył, gdyby nie jego pamięć.

Bo Ross był nie tylko jego przyjacielem.

Pierwszym... i jedynym... Pewnie już na zawsze, biorąc pod uwagę to, jak często ostatnio Sel czuł się źle.

— Pośpieszcie się — rzuciła nerwowo Valeria.

Ross wyczytał z jego twarzy wszystko, co chciał wiedzieć. Lepiej było nie naciskać.

— Wyglądasz genialnie — rzekł cicho, z pozornym spokojem, choć wewnątrz rozpacz targała mu serce, gdy widział w jakim jest stanie. — Nikt cię nie pozna. Nigdy tak nie wyglądałeś. Ale słońce... — spojrzał ponad nim na odwracającą się Julien. — Musicie opuścić to miejsce jak najszybciej! To wszystko zaraz zacznie z niego spływać.

Julien zamarła, widząc odmienionego przyjaciela. Chudy chłopak o ciemnoblonde włosach, długich rzęsach, których mogła mu pozazdrościć niejedna dziewczyna i oczach brązowych jak kawa, wiecznie błyszczących, jakby stale trawiła go gorączka, zmienił się w ciemnowłosą męską dziwkę. Wyzywający makijaż, ubranie, które ukryło jego chorobliwą chudość, niepokojące spojrzenie. To była jakaś inna natura Sela. Tak odmienna, jak noc od dnia. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła w jego oczach...

— Musicie iść — Valeria powiedziała to, na co Ross przejęty stanem Sela, nie mógł się zdobyć.

Sel nie patrzył na kobiety. Nie mógł spojrzeć w twarz Julien, bojąc się, że zaraz wszystko się posypie. Elixir elfów uspokoił jego oddech, przywrócił nieco siły. Jego działanie stawało się coraz krótsze tak, jak coraz szybciej skracało się jego życie, ale nie dbał już o to. Już nie. Najważniejsze, co musiał jeszcze zrobić, to wyprowadzić stąd Julien, zabrać Oliwiera i pomóc im wyjechać z miasta.

Udręka i cierpienie nie pozwalały mu jednak myśleć jasno. Musiały znaleźć jakieś ujście, ukojenie choć przez chwilę. Inaczej dusza pęknie mu na dwoje... Czas miał znaczenie, ucieczka również, lecz jeśli teraz nie znajdzie dość sił, by ruszyć się z miejsca, nie pomoże przyjaciołom. Jeszcze trochę. Jeszcze tylko kilka godzin.

Inaczej wszystko będzie stracone. Oliwier, niezależny, zręczny Oliwier umrze w końcu w poniżeniu, skatowany pewnie któregoś dnia przez Morena, a Julien... Nie tylko będzie tak wyglądać jak teraz. Będzie ucieleśnieniem koszmaru Milery. O ile pożyje wystarczająco długo...

— Sel — szepnął cicho Ross — już czas...

Kiedy Moren wyciągnął ich z domu złotnika, Julien przezornie zakryła oczy Sela, gdy wyszli na zewnątrz i nie odkryła ich, dopóki nie byli dość daleko. Nie zobaczył więc ciała Milery...

— Nie taką chcesz ją zapamiętać — szepnęła mu do ucha.

Poczuł łzę, gdy otarła się o niego policzkiem, jej łzę. Powstrzymała się, by nie dać Morenowi satysfakcji.

Przy boku Moreny prowadzono Oliwiera, aż do Domu Rozkoszy. Potem zniknął gdzieś w budynku. Zdołał im rzucić tylko jedno pożegnalne spojrzenie. Moren kazał ich zaprowadzić do pokoju ulubionej kurtyzany, Reniel. Samej Reniel, młodej dziewczynie, której uroda była uderzająco podobna do wyglądu Oliwiera, kazał się wynosić, wyrzucając ją po prostu za drzwi. Reniel była dotkliwie pobita. Wyszła potulnie, na wpół otumaniona, jakby zmieniała się w marionetkę pociągana za sznurki. Serce Sela ścisnęło się na ten kolejny akt okrucieństwa.

Z rozkazu Morena Tenan wyprowadził wtedy Julien i zostali sami.

Nigdy nie przypuszczał, że ich rozmowa będzie kiedyś tak wyglądała. To wszystko — napad, poniżenie Oliwiera, śmierć Milery — wciąż wydawało się jednym wielkim koszmarem, z którego nie potrafił się wybudzić. Bardzo realnym koszmarem.

— Jak ci się podoba miejsce, które wybrałem? — spytał wyraźnie rozluźniony Moren — O wiele lepsze, niż dom cukiernika prawda?

Jakby nic szczególnego się nie stało.

— No, powiedz coś — położył dłoń na jego ramieniu. Sel drgnął. — Przestań już to roztrząsać. To nowe życie, Sel. Odtąd będę ja i ty, jak za dawnych lat. — Sel pamiętał o tym, ile razy Moren pozwalał mu decydować, lecz zmilczał. — I Oliwier. Może z czasem to wszystko jakoś się poskleja.

Sel spojrział na niego gniewnie, z niedowierzaniem kręcąc głową.

— Chyba sam w to nie wierzysz.

— Dlaczego nie? Wszystko się zmienia. Wy też możecie — odparł szybko Moren. Zbyt nerwowo. I szybko.

Wiedział, że to niemożliwe. Sam siebie próbował oszukać.

— Uwolnij ich — przemówił spokojnie Sel, jak zawsze, gdy widział Morenę w tym stanie, tak pobudzonego, lecz nastawionego wobec niego pobłażliwie.

— A ty zostaniesz? — Moren stanął naprzeciw niego, napinając mięśnie. — Zostaniesz, tak? Nie będziesz próbował uciekać? Nie zostawisz mnie? Nigdy nawet nie spróbujesz?

Sel z trudem brał większy oddech, jego serce biło niespokojnie.

— Spójrz — Moren wskazał poza drzwi, przez które weszli. — Mam tam wszystko, czego potrzebuję. Wkrótce będę rządził tym miejscem...

„Miastem trupów” — pomyślał Sel.

— Nie możesz mnie zostawić. Nie teraz — Moren położył mu dłonie na ramionach. — Jeśli spróbujesz ucieczki lub pomożesz im w ucieczce, będę musiał cię ukarać dla przykładu. Wiesz o tym, prawda?

Sel w duchu nakazał sobie spokój. Tylko nie teraz.

— Choćby było to tylko dziesięć batów, to przecież mogłoby cię zabić. A ja inaczej nie mogę. Wiesz, jak jest. Zjedz ich albo oni zjedzą ciebie. Tenan tylko czeka. Już myśli, że ma coś na mnie przez Oliwiera. Widzę to! Narażam się dla was, żeby chronić wasze skóry!

Pokrętna logika Morena, gdy wymawiał te słowa przerażała Selariona. Nie było w tym miejsca na rozróżnienie, co jest dobre, a co złe. Moren całkowicie to utracił. Po tylu latach, gdy Sel próbował wpoić Morenowi uczciwość i szacunek wobec innych, jego wysiłki po prostu poszły na marne. Moren widział tylko to, co było dla niego dobre. Jednak najgorsze było to, że jego oczy nadal wpatrywały się w niego, jak za dawnych czasów, szukając w nim aprobaty dla swojego postępowania. Sel miał teraz powiedzieć: „Tak, masz rację. Doceniam to, co robisz”. To było po prostu niewiarygodne! Moren, w zależności od sytuacji, traktował ludzi jako środki do spełnienia swych podstępnych planów. Jeśli ktoś stawał mu na drodze, po prostu go usuwał. Jak Milerę. Zapytał cicho:

— Moren, co zrobiłeś z moimi rodzicami?

Wyraz twarzy Morena zmienił się, jakby poczuł się czymś zmieszany, winny. Zimny pot oblał Sela, nim tamten się odezwał. Ból przeszył jego serce w nagłym lęku.

— O co ci chodzi? — spytał Moren, chcąc wyraźnie zyskać na czasie.

Łzy napłynęły do oczu Sela. Gniew i rozpacz niemal przyćmiewały rozum. Czuł to. Czuł, jakby było w zasięgu jego dłoni! Aura śmierci...

— Co im zrobiłeś? — zapytał, mocno akcentując każde słowo.

Jego serce zabiło gwałtownie i szybko. Poczuł ostrzegawczy ból.

— Uwolniłem ich — szybko odparł Moren, nie patrząc mu w oczy.

— Kłamiesz!! — emocje, które dotąd tłumił, znalazły wreszcie ujście. — Co z nimi zrobiłeś?!

Słyszał w głowie narastający szum.

— Sel — na twarzy Morena, pierwszy raz, odkąd dziś się widzieli, zobaczył strach. — Posłuchaj — objął go nagle, ściskając mocno, jakby chciał go pocieszyć, jednocześnie, nieświadom tego, odbierając mu oddech. — Oni i tak o ciebie nie dbali. Nie obchodziłeś ich — próbował go przekonać, gładząc delikatnie jego plecy. — Matkę to ja zabiłem. Spali. Wbiłem jej nóż w serce. Nawet nie poczuła. To znaczy... — poprawił się szybko, a wstrząśnięty Sel mógł tylko stać w jego objęciach, drżąc. — Może i poczuła, ale krótko, bo przecież ona i tak nie miała serca. Tenan zabił ojca, jak mu kazałem. On jest szybki i wie, co robi. To przecież dobrze dla ciebie, nie? Już po wszystkim. Już ich nie będzie. Nie będą cię już dręczyć.

Sel słuchał. Myśli goniły jak szalone, emocje ogarniały go falą. Czemu nie miał przy sobie sztyletu? Czemu pozwalał się obejmować temu mordercy? Czemu nie ma dość sił, by wyszarpnąć się z tego uścisku, nie słuchać tego spokojnego

tonu, jakby Moren tłumaczył mu rzecz najzwyklejszą pod słońcem. Czemu nie ma siły, by odsunąć się od jego dotyku?

— Sel — Moren wykorzystywał jego wzburzenie — zaczniemy od nowa. Będziemy odtąd razem. Zadbam o ciebie — Sel zacisnęła dłonie na koszuli Morena w niemej udręce, łzy płynęły po jego twarzy. — Daj spokój. Było, minęło. Sprowadzę uzdrowiciela. Uwolnię Julien. Tak będzie dobrze, prawda?

Nie był w stanie mu odpowiedzieć.

W jednej chwili stał obejmowany przez niego...

W następnej chwili leżał na łożu Reniel, a Julien siedziała obok. Na jej twarzy zobaczył strach. Strach o niego. Strach, że zostanie tu sama.

— Gdzie jest Tenan? — usłyszał wściekły wrzask Morena.

Tak było wtedy.

Spojrzał uważniej na Julien. Zobaczył purpurę na jej twarzy. Uderzenie. Mocne.

— Zemdlaleś — szepnęła.

— To Tenan? — spytał cicho, czując ukłucie gniewu.

Skinęła głową.

Serce Sela zakłuło ostrzegawczo. Poczł nacisk. Nie teraz! Musi nad tym zapanować. Musi to jakoś przetrzymać.

— Powiedział, że wkrótce będę jego dziwką. Kopnęłam go w krocze.

Patrzyła na niego z niepokojem. Musiał wyglądać naprawdę źle.

— Otwieram puszkę... — szepnął cicho do siebie. — Wkładam jedną po drugiej zardzewiałą łyżkę, złamany patyk, kamień z rzeki... — wymieniał cicho pierwsze rzeczy, które przyszły mu na myśl, zaczynając swój niecodzienny zwyczaj radzenia sobie z gwałtownymi emocjami.

— Co robisz? — spytała, ocierając mu pot z czoła chustką.

— Zamieniam myśli w przedmioty i zamykam w puszcze — odparł. — To mój sposób, gdy naprawdę jest źle.

— Działa?

Był tak blisko, by krzyżeć z rozpaczy...

— Musi — usiadł z wysiłkiem.

Nie pomoże nikomu, jeśli teraz się podda.

Oddech powoli się uspokajał.

Serce zwalniało bieg. Zdawało mu się, że wewnątrz piersi ma wypaloną dziurę, ale mimo wszystko wciąż żył. Mimo wszystko...

— Wychodzimy stąd. Musisz stąd uciekać!

— Ledwie możesz chodzić!

— Dam sobie radę. Zawsze jakoś daję.

Tak właśnie znaleźli się w pokoju Rossa. A teraz Sel szykował się do drogi, lecz cierpienie nie pozwalało mu się ruszyć. Wszyscy to zauważyli.

W końcu spojrzął, przytłoczony tym wszystkim, w oczy swego pierwszego kochanka...

Ross nie czekał na więcej. Przyskoczył do niego i objął go delikatnie, zupełnie inaczej niż Moren, szepcząc mu do ucha kojące słowa. Julien patrzyła na to zmieszana, wstrząśnięta tą tajemnicą Selariona. Czułość tego objęcia nie pozostawiała wątpliwości. Milera jej wspominała, że Sel często bywał w Domu Uciech. Że lubił towarzystwo zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Miała nadzieję, że kiedyś zdobędzie jego miłość i wyglądało na to, że wszystko zmierzało już w tym kierunku, dlatego, że Sel po ślubie nigdzie już nie bywał.

Ross był drugą stroną Sela. I miał jakieś miejsce w jego życiu. Coś ich łączyło.

Nie potrafiła obwiniać Sela o to. Małżeństwo z Milerą było układem. Czas miał dopiero pokazać, jaka będzie ich przyszłość.

— Ross — powiedziała więc cicho, czując, że przyjaciółka nie miałaby jej tego za złe. Na pewno nie chciałyby, by Sel był teraz sam. — Jedź z nami.

Ross powoli puścił Selariona, sprawdzając, jak się trzyma. Wydawało się, że teraz już jest lepiej.

Spojrzął na nią. Wiedziała, o czym teraz myśli. Zastanawiał się ile wie o przeszłości. I co, tak naprawdę o tym myśli. Zawahał się.

— Jedźcie z nami — spojrzała też na Valerię, chcąc mu pokazać, że naprawdę ma dobre intencje.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Valeria także się zawahała. Nie spodziewali się takiej propozycji. Choć Julien miała w tej kwestii zbyt mało doświadczenia, intuicja podpowiadała jej, czemu tak bardzo ich to zaskoczyło. W ich świecie, pełnym zepsucia, nikt nie pomyślałby o nich.

— I co by tam na zewnątrz robiła stara dziwka? — spytała cicho, parząc na Julien z ciepłem w oczach. — Jedźcie dzieci. Daleko stąd. Nie oglądajcie się za siebie.

Spojrziała wyczekująco na Rossa. Sel także.

— Może przyjadę was kiedyś odwiedzić — uśmiechnął się szelmowsko, choć wyraźnie przyszło mu to z trudem. — Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie.

Poza pokojem więc rozdzielili się. Nikt nie rozpoznał Sela i Julien wśród wielu podobnych ludzi. Nikt nie powiązał Valeri i Rossa z nimi, gdy odeszli każde w inną stronę. Nim jednak doszło do rozstania, Ross dotknął lekko ramienia Julien.

— Dbaj o niego, proszę — szepnął.

Spojrziała na niego, wciąż wstrząśnięta ujawnieniem tej drugiej natury swego przyjaciela. Zauważył jej zmieszanie.

Wyszła na zewnątrz, nie patrząc na boki, na obściskujące się pary, tuż za Rossem, który pilnował, by nie była przez nikogo nagabywana. Nie widziała Sela i Valeri. Zniknęli jej w tłumie. Minęła nawet Morena, wciąż szukającego Tenana.

Nie poznał jej. Nie tego przecież się spodziewał. Dom Rozkoszy nigdy nie miał żadnych murów, bram czy nawet ogrodzeń. Strażnicy wypatrywali tych samych ludzi, którzy przyszli z Morenem. Nie kurtyzany i jej odpowiednika. Ludzie wchodzili i wychodzili pewni swego, przepojeni władzą i przekonani, że kilka rzeczy, które należały do uzdrowiciela uchronią ich przed wszystkim. Lub po prostu, dlatego, że nie mieli, dokąd pójść, a pracując dla Morena, mieli przynajmniej za co żyć. Dom Rozkoszy, okazała budowla, największy budynek na Ulicy Rozkoszy, z bogatymi kobiercami i wszelkimi luksusami, stał się główną siedzibą Bandy Morena. Ściągali tu złodzieje i mordercy. Kilku innych opryszków i ich ludzi, równie obrotnych jak Moren, najwyraźniej dzieliło z nim kwatery. Idąc, rozpoznała jednego z listów gończych rozwieszonych w mieście. Byli tu bezkarni. Wątpiła, by Czerwona Rebeka, właścicielka burdelu, była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Chyba już nie żyła.

Dom zawsze cieszył się tu pewną renomą. Nawet ona słyszała o tym co nieco. Do niczego tu nie przymuszano, nie oferowano klientom dzieci. Ludzie Rebeki, dopóki robili to, co mieli tu robić, byli otoczeni ochroną. Burdy były nie do przyjęcia. Brudni i chorzy klienci nie mieli wstępu. Przemoc wbrew woli – była niedozwolona.

To wszystko nadawało atmosferę temu miejscu. Czysta rozrywka, same przyjemności, nieprzerwana zabawa. Nastrój niczym na nieustającym festynie. Teraz to był to istny jarmark. Tak samo obrzydliwie hałaśliwy i ohydny jak najgorszy burdel. Wszystko, co mieszkańcy Domu starali się osiągnąć, nadając mu pewien szyk, legło w gruzach. Znaleźli się w rękach ludzi, którzy nie mieli ochoty przestrzegać tu jakichkolwiek zasad. Julien widziała zmęczone, przestraszone kobiety, próbujące uciec od natrętów. I poobijane twarze mężczyzn z Domu, zapewne nie raz obrywających w ich obronie. Na jej oczach, w jednym z pokoi zobaczyła przelotnie jak dwóch bandytów bije jednego z tych nieszczęśników. Ross pośpiesznie zabrał ją od tego widoku.

Ulubione siedlisko zarazy. To była tylko kwestia czasu.

Spojrzała na niego. Poczula, że nagle zaczyna mu współczuć. Żałowała teraz, że odrzucił jej propozycję. To miejsce, którego zdawał się tak kurczowo trzymać, nie było już bezpieczne. Chroniąc ją przed natrętami ryzykował tym, że to właśnie jego mogli za chwilę zacząć bić. Widziała obawę w jego oczach, gdy zauważył tamto zdarzenie. Był gotów przyjść z pomocą. Powstrzymała go tylko jej obecność i po-czucie obowiązku.

Jej stosunek do niego i jego przeszłości z Selem złagodniał. To nie był człowiek, którego spodziewała się tutaj spotkać. Podobnie było z jego starszą przyjaciółką.

Ross stanął pod ścianą na zewnątrz i zapalił cygaro. Minęła go bez jednego gestu, jak było przedtem umówione. Nawet nie zerknęła. Mieli unikać takich

gestów. Już miała wyjść, zmieszać się z ludźmi, którzy wchodzili i wychodzili na podjazd.

Gdy nagle ją zauważyła.

Reniel nie mogłaby z nikim pomylić. Była tak podobna do niej i Oliwiera, jakby łączyły ich więzy pokrewieństwa. Z dziwnym uśmiechem, jakby wpół obłąkana, wyciągnęła z kieszeni brudny szal, upstrzony białymi plamami wymiocin. Założyła go na szyję spokojnym gestem.

Pogodzenie z losem.

Szal był skażony. Wyszła, by zdobyć coś, co należało do zmarłych na zarazę. Postanowiła zarazić Morena.

Zabije wszystkich.

Julien wydała z siebie zduszony jęk i z przerażeniem spojrzała za siebie. Ross napotkał jej spojrzenie, a poza nią zobaczył nadchodzącą Reniel.

— Uciekaj — szepnęła bezgłośnie, schodząc z drogi nieszczęsnej dziewczynie. — Jak najdalej!

Zadrżała z niepokoju. Nieszczęśni mieszkańcy Domu! Biedna, zdesperowana dziewczyna! Tak podobna do Oliwiera...

Zwiastun jego koszmaru.

Obejrzała się.

Rossa już nie było... Wszedł do budynku.

Reniel przeszła spokojnie obok rozmawiających na zewnątrz ludzi, w drzwiach ocierając się nieświadomie o kilka osób.

Julien zacisnęła dłoń w pięść. Sel będzie się martwił. Nie może mu o tym powiedzieć.

Ross pewnie poszedł ostrzec innych.

Wolał upредить przyjaciół o niebezpieczeństwie, niż ratować życie.

„Powodzenia” — pomyślała, w duchu życząc szczęścia zarówno skrzywdzonej dziewczynie, jak i jemu.

Spotka się z Selem w umówionym miejscu i razem zrobią wszystko, by Oliwier nie wrócił już do Morena. Reszta musi pozostać milczeniem. Przynajmniej na razie.

* * *

— Niech to wszystko szlag trafi! — Moren gniewnie uderzył w stół.

Kielich z winem zakółsał się i przewrócił. Czerwień koloru krwi z wolna spłynęła ze stołu na podłogę. Ledwie to zauważył.

Tenan przyjął ten wybuch ze spokojem. Jak zwykle zresztą.

— Wykorzystał okazję — Moren zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

— Mówiłem ci, że to się nie uda — Tenan niedbałym ruchem odsunął

zasłonę, by wyrzeć przez okno. — Zabiłeś jego żonę. Chcesz zniszczyć jego przyjaciół. Mogłeś chociaż zostawić jego starych. Ale ty chciałeś inaczej. Jak zwykle posłuchałeś siebie. I tylko siebie.

— Chciałem zacząć od nowa...

Tenan spojrział na niego z lekkim rozbawieniem, ujawniając inne uczucia, niż zimną obojętność. Na takie zachowanie pozwalał sobie tylko, gdy byli sami. Jak teraz.

— Nie pytałeś go o zdanie.

— Jak to zrobił?! Przecież był osłabiony!

— Ktoś mu pomagał. Mam popytać?

— A co to zmieni? — głucho zapytał Moren, patrząc przed siebie niewidzącym okiem.

— Chciałeś tego, prawda? — zapytał spokojnie Tenan, przyglądając się mu

— Jednak chciałeś, żeby odszedł.

Wzrok Morena stał się posępny, jego oczy podejrzenie błyszczały.

— W sumie, gdyby Oliwier także uciekł... — zaczął Tenan, lecz na te słowa Moren zerwał się nagle i chwycił go za poły koszuli.

— Gdyby Oliwier uciekł — rzekł złowrogo, a jego oczy nabrały szaleńczego wyrazu, niespokojnego i niewiarygodnie nieludzkiego. — Dorwałbym go tam, gdzie się schował, wywlókł z kryjówki i pieprzył tak długo, aż błagałby o śmierć. A wtedy zgotowałbym mu ją, lecz taką, o której opowiadaliby w całym królestwie.

— Skąd taka zawziętość? — zainteresował się Tenan z pozornym spokojem, choć nawet on poczuł się niepewnie wobec tego spojrzenia.

— Bo mi się postawił — Moren nieoczekiwanie poklepał Tenana po policzku, na co tamten szarpnął się gniewnie. — Ty też chcesz to zrobić, wiem to — uśmiechnął się do niego szaleńczo. — Już się mnie nie słuchasz. Co mówiłem o Julien, ha? — Usiłował go złapać wolną ręką za podbródek, lecz Tenan nie był z tych, którzy bezkarnie pozwalali komuś na takie gesty.

Wyszarpnął się z uścisku.

— Mówiłem później, prawda? Mówiłem. Nie masz pojęcia, co zrobiłeś. Oliwier wie, że ją uderzyłeś. Gdybyś ją zgwałcił, także by wiedział. To bliźnięta. Są połączeni, ty tępy przybłodo! Mieliśmy zrobić to jednocześnie. Taki był plan. A ty to zepsułeś. On nie wróci. Ja muszę go szukać. Ty musisz go szukać. Mnóstwo roboty i zachodu. I po co to było?

Tym razem Tenan nie zdołał się wyszarpnąć z uścisku.

— Oto, co zrobisz — Moren spojrział mu w oczy. — Pójdiesz do zamku, znajdziesz go i sprowadzisz tutaj. Razem z tym, co ze sobą weźmie. Będzie chciał uciekać z miasta. Weźmie wisior dla ochrony. Weź tylu ludzi, ilu zechcesz. Sel i Julien zapewne będą chcieli dać mu znać, że są wolni. Być może nie spieprzysz tego i sprowadzisz ich także. I pamiętaj! Jeśli planujesz samowolkę, ja i moi ludzie

cię znajdziemy. Nie zdołasz ruszyć dupy z miasta. A jeśli nawet... To nie masz pojęcia, jak ja uwielbiam polować. Uwielbiam czuć strach. Ludzie trzęsą się ze strachu, płaczą, srają w gacie, a ja uwielbiam patrzeć, jak to robią. A złamać ciebie — naparł na niego całym ciałem. — To będzie sama przyjemność. Bo wiem, jak bardzo chcesz być wolny. Słyszysz, Tenan? Wiem o twojej tajemnicy. O bransolecie. I kłątwie.

— Jesteś obłąkany — wyszeptał cicho Tenan, tracąc swą starannie nakładaną maskę obojętności.

Moren obserwował go chłodno, jak wcześniej Oliwiera, zadowolony, że wy dobył z niego lęk. Nasycił się nim.

— Sel nie bał się mnie — rzekł na pozór spokojnie. — A wiesz dlaczego?

— Bo nie miał nic do stracenia — odparł cicho Tenan.

Moren gwizdnał z podziwem, zwalniając jednocześnie uścisk.

— Każdy dzień mógł być jego ostatnim — dodał. — Mógł mi się postawić, kłócić się, nawet mnie pobić, gdyby miał na to siłę. I co ja bym mógł mu najgorszego zrobić? Gdybym zaczął go bić — umarłby, nim dobrze bym zaczął. Nie mogłem nim rządzić. Nawet go postraszyć. Nic na niego nie miałem. Śmierć wciąż była blisko. Wiesz, czemu nie załatwiłem mu spotkania z uzdrowicielem do tej pory? Bo wtedy zaczęłoby mu zależeć. Na życiu, na tych wszystkich sprawach. Nawet tobie zależy. A ja chciałem, żeby nadal był niezależny, żeby miał własne zdanie. Chciałem przyjaciela, nie kolejnego pomagiera.

— Nie pozwoli na nasz plan. Będzie chciał cię powstrzymać.

— I na wszystkie demony!!! — wrzasnął podniecony i szaleńczo tym uszczęśliwiony Moren. — Niech tego chce. JA TEGO CHCĘ!

Tenan patrzył na niego tak długo, aż sens tych słów w pełni dotarł do jego świadomości.

Moren był obłąkany.

Tenan rozważył możliwości. Ułożył plan działania.

Potem skinął głową i ruszył już bez słowa ku wyjściu.

W drzwiach niemal zderzył się z Reniel, która spojrzała na niego z dziwnym spokojem. Zerknął na Morena.

— Wpuść ją — nakazał Moren, wciąż podniecony swymi planami. — Mam ochotę na rozrywkę.

Przepuścił ją, znów nakładając swą maskę obojętności i wyrachowania.

ROZDZIAŁ 5 — Śladami spisku

Po stronie wschodniej, na rogu zamkowego budynku dwoje okien w komnatach należących do uzdrowiciela wychodziło na targowisko za zamkowym murem i ulice Wermodu.

Wiwan stał przy oknie, obserwując kłębiący się na dole tłum z targowiska. Ludzi było znacznie więcej niż dzień wcześniej. Nieustannie gromadzili się, czekając. Poranny incydent z wozem i niezwykłą dziewczyną tylko ich rozzuchwiał. Nie mogli go widzieć, ukrytego za firanką, lecz ich oczy wciąż śledziły okna. Gdyby je otworzył, czego zrobić nie mógł (były w nich kraty, a same okna zabito gwoździami), mógłby ich usłyszeć.

Walczył z poczuciem osaczenia i narastającą słabością. Wciąż odczuwał wszystko to, co pojawiło się w jego umyśle po tym, jak wicekról go dotknął w czasie obiadu. Nieszczęsna królowa Konstancja... Krzyk. Płacz. Ból. Przemoc. Okrucieństwo...

Nienawidził tego miejsca.

Nienawidził tego, jak zatruwało jego myśli, psuło obraz świata, jaki wolał mieć w pamięci. Był obdarzony wrażliwością na innych większą, niż zwykły człowiek. Jego uczucia były spotęgowane. Nazywano to kobiecą naturą. Próbowano to wyśmiewać. Działo się tak dopóty, dopóki Wiwan swoimi czynami i zachowaniem nie udowodnił, że to, co inni brali za słabość, oznakę braku męskości, było tak naprawdę jego siłą. Jego naturą miała być uczuciowość, zdolność współodczuwania. Bez tego nie byłby najpotężniejszym uzdrowicielem w królestwie, lecz zwykłym, liczącym zyski handlarzem cudów. Miłość do innych potęgowała jego dar. Nie mógł być inny. Gdyby stracił tę wrażliwość i zobojętniał, straciłby dar, który czasem, jak teraz, stawał się dla niego ciężarem, lecz jednocześnie był esencją jego istnienia.

Tymczasem tu robiono wszystko, by wyssać z niego ostatnią kroplę życia. Niczym dzikiego ptaka złapano go i skazano na złotą klatkę. Oderwano od wszystkiego, co dawało mu siłę: od ludzi, którzy go kochali i tych, którzy na pewno potrzebowali teraz jego pomocy. Kazano leczyć drobne dolegliwości, kłaść dłonie na uprzywilejowanych. Rozmieniano jego dar na drobne, a jego samego traktowano jak egzotyczną zabawkę. Gasł z tęsknoty, rozpacz i poczucia bezradności. Zabijała go wszechobecna żądza, gniew, spiski, kłamstwa, nieufność, brak poczucia bezpieczeństwa, znikoma troska o innych i nade wszystko powszechna w zamku znieczulica. Świat może ginać, lecz ja muszę mieć na kolację cielęcinę, czy suknię gotową na wieczór. Gdzie moja służąca? Odeszła? Uciekła?

Umarła? Co z tego? Niech zaraz poślą po inną. Skrzywdzono cię? To zejdź mi z oczu. Martwisz się o swoich ludzi poza zamkiem? To my sprawimy, że znajdzie się powód, przez który popadniesz w niełaskę króla i stracisz wszystko...

Był pewien, że zniósłby nawet to. Ale ciągły niepokój o bliskich pozbawiał go sił. Gdyby chociaż miał jakieś wieści... Milczeli wszyscy, nawet młody książę. Czego więc miał się trzymać? W czym pokładać nadzieję? Co postawić przeciw nim wszystkim?

I jeszcze ten potworny człowiek... Wicekról. Jego intrygi, których wciąż nie potrafił udowodnić. Zbyt wiele rzeczy odciągało tu jego uwagę. Podobnie jak pogarszające się samopoczucie.

To wszystko nie może się stać!

* * *

— Ty szmato! — wrzasnął Moren. — Myślałaś, że mnie zarazisz?!

Reniel leżała na podłodze. Była jedynie w połowie ubrana, lecz w dłoni wciąż ścisnęła szal, niczym nóż. Z jej rany na głowie płynęła krew. Moren uderzył ją kilkakrotnie w twarz w przyływie szału, a wtedy upadła uderzając przy tym o kant stołu. Czuła ból i dziwne odrętwienie. Jakby zabrano jej coś, co już nie wróci. Jakąś część jej własnego ja, ważną część, lecz nie potrafiła nazwać, co to było. Gubiła myśli. Ale szal wciąż był najważniejszy. Był ważny. Pamiętała.

— Zobacz — wyciągnął rękę i szarpnął ją bezceremonialnie z podłogi. — Zobacz sobie — sięgnął jej ręką na swoją pierś, by dotknęła koszuli. — To koszula uzdrowiciela.

Dotknęła w oszołomieniu jedwabnego materiału. Był taki miły w dotyku! Potem jednak szepnęła cicho, z głębi przytępionej świadomości:

— To twoja koszula.

— Ogłuchłaś? — pchnął ją na podłogę — To koszula uzdrowiciela!
Mówiłem ci wcześniej.

— To już twoja koszula — uśmiechnęła się, a przynajmniej tak jej się zdawało — Nosisz ją bez przerwy. Twój pot. Twój smród. Nie zostało nic innego.

Popatrzyła z wysiłkiem w jego oczy, ciekawa reakcji na słowa.

Moren zbladł.

Tym razem była pewna, że się uśmiecha.

* * *

— Spodziewają się nas tam, wiesz o tym? — Sel zagadnął Julien, próbując jakoś odwrócić uwagę od ponurych myśli.

— Co z tego? — mruknęła. — Nie zamierzam dać się złapać.

„Nie dam rady — pomyślał z goryczą. — Nie mam dość sił. Przeze mnie grozi jej większe niebezpieczeństwo. Jestem do niczego w takich chwilach”.

Przeklął własną słabość po raz kolejny w swoim życiu. Gdyby był zdrowy... Gdybanie w niczym im jednak nie mogło teraz pomóc.

— Czekaj — powiedział, zatrzymując ją gdzieś w bramie. — Muszę się napić.

Oparł się o ścianę, walcząc z pokusą osunięcia się po niej na ziemię i pozostania w tej pozycji na bardzo długo.

Wyciągnęła z torby, którą dał jej Ross buteleczkę z eliksirem.

Byli o dwie ulice od targowiska. Wokół było pusto i głucho, jakby Wermod nigdy wcześniej nie był tętniącym życiem miastem. Gdzieś skrzypiały złowieszco koła wozu. To mogli być grabarze. Myśl o nich podsuwała smutne wspomnienia. Skupiła się na Selu, który z wysiłkiem wypił trochę eliksiru. Po chwili jego oczy wyraźnie nabrały blasku. Wyprostował się.

— Działa coraz krócej — szepnął.

— Po prostu musisz odpocząć — wyciągnęła chustkę z ukrytej kieszeni sukni, by otrzeć mu spocone czoło.

Obramowane czarną kredką oczy spojrzały na nią poważnie.

Zrozumiała to spojrzenie.

— Nie — odparła na jego słowa, nim zostały wypowiedziane. — Nie. To nie-prawda!

— Tylko ci zawadzam.

— Przestań! — zakryła mu usta dłonią. — Przestań natychmiast! Pomyśl lepiej, co możemy z tym zrobić.

Zaczekał, aż zabierze rękę, wciąż zdeterminowany niewypowiedzianą myślą.

— Właśnie pomyślałem — odparł spokojnie.

Pogroziła mu palcem nerwowo i zamasyście, w typowy sposób dla pełnych temperamentu kobiet mieszkających tutaj. Jej suknia dodawała jeszcze energii tym ruchom. Złagodniał, widząc jak z trudem powstrzymuje się, by na niego nie krzyknąć. Nie widział jej takiej od jakiegoś czasu. To była Julien, którą znał.

— Po prostu — wycedziła w końcu — Poszukamy koni albo jakiegoś wozu, ukryjemy gdzieś i pójdziemy po Oliwiera. Albo ja po niego pójdę, a ty zostaniesz przy koniach.

— To twój plan?

— Tak.

— A strażę? W zamku jest uzdrowiciel. Straże są wszędzie wokół.

— Coś wymyślę — odparła, siląc się na pewność siebie.

— To marny plan.

— Masz inny?

Pokręcił przecząco głową. Żaden pomysł nie przychodził mu teraz do głowy.

Może rzeczywiście, gdy będą już blisko zamku...

„Co z ludźmi Morena?” — zastanowił się.

Spojrzał na Julien uważnie. W tym stroju była nie do poznania, to prawda, lecz jednocześnie jej czerwona suknia bardzo rzucała się w oczy. On sam był przebrany lepiej, biorąc pod uwagę okoliczności. Niestety ten kamuflaż był niewystarczający. Fizycznie brakowało mu sił, zbyt łatwo się męczył. Przymknął oczy w irytacji. Był równie użyteczny, co złamane koło. A to oznaczało, że bardzo wiele zależałoby od Julien. Właściwie wszystko.

— Czy Ross dał ci jakieś ubranie? — zapytał.

— Tak. Dla ciebie i dla mnie.

Spojrzał na nią krytycznie.

— Będzie pasować ... — rzekł do siebie po krótkim rozeznaniu.

Spojrzała na niego pytająco.

— Musisz się przebrać... — zaczął mówić, ale weszła mu w słowo.

— Wiem. To strój dziwki.

Uniósł brwi w zaskoczeniu na tę uwagę, lecz spokojnie mówił dalej:

— Założysz ubranie Rossa...

Spojrzała na niego zdumiona.

— ...i zdobędziesz te twoje konie — dokończył. — Albo wóz. Co zechcesz.

A potem zobaczymy...

* * *

Ross otworzył przejście, prowadzące do pokoju Valerii. Zaprzyjaźnili się, kiedy zjawił się w jej życiu po raz pierwszy — ulicznik, ojciec nieznany, matka wiecznie pijana i w towarzystwie, wśród którego nie było miejsca dla wrażliwego dzieciaka. Valeria wzięła go pod opiekę po tym, jak zjawił się u niej pobity przez kolejnego kochanka matki, załatwiła mu pracę w Domu Rozkoszy. Ona nigdy nie miała dzieci, on — prawdziwego domu.

Troszczyli się o siebie nawzajem.

— Valerie — celowo powiedział z akcentem ludzi zachodu. — Pora już na nas.

Valeria poprawiała przed lustrem makijaż, bardziej z przyzwyczajenia niż z rzeczywistej potrzeby.

Odwlekała moment powrotu na Wielką Salę, gdzie miała zabawiać klientów. Obejrzała się na niego z lekkim rozbawieniem.

— Tak szybko zmieniłeś zdanie?

Podszedł do niej pośpiesznie, delikatnie ujmując jej dłoń.

— W Domu jest zaraza. Reniel ją przyniosła.

Zmartwiła, uśmiech zgasł zaraz na jej twarzy.

— Biedna dziewczyna ...— szepnęła współczując jej szczerze, a potem szybko zapytała. — Wszyscy już wiedzą?

— Nie. Nikt nie zauważył.

— Musimy im powiedzieć, Ross.

— Oczywiście. Powiedz im. Ja pójdę po konie.

— Stój! — zatrzymała go, nim wrócił do przejścia. — Dwa konie to za mało! Zabierz powóz Rebeki!

— Valerie... — chciał zaprotestować, lecz oboje wiedzieli, że nie potrafiliby postąpić inaczej.

Dom Rozkoszy był jak jedna rodzina. Może nie wszyscy się w nim nawzajem lubili, ale z całą pewnością trzymali się razem wobec świata, który brał od nich z chęcią, nic prawie nie dając w zamian.

— Zajmę się resztą.

— Uważaj na siebie.

Zmierzyła mu włosy matczynym gestem.

— Robię to całe życie, skarbie. Nie wiesz, czy chodziła po Domu?

— Przyszła prosto z miasta do swojego pokoju.

Zastanowiła się chwilę.

— Nim pójdziesz do stajni, zabierz z kuchni jakiś prowiant. Po obiedzie jest tam wielkie zamieszanie. Nikt nie zwróci uwagi na to, co robisz.

— Nie mamy czasu...

— Ross, weź to, co będzie pod ręką. Idź już! Idź.

Patrzyła za nim, gdy zamykał drzwi tajnego przejścia. Zakrywający je kobierzec całkowicie je zamaskował...

* * *

— Dowody! — księżę, który przyszedł odwiedzić uzdrowiciela, zacisnął w gniewie pięści. — Wiesz dobrze, że potrzebne nam są dowody, Wiwan!

— Wiem — odparł uzdrowiciel. — Więc zdobądź je. Obserwuj go uważniej!

— Myślisz, że nie próbuję?! — przyszły następca tronu zaczął krążyć nerwowo po pokoju. — Nie mam nic pewnego. Jedyne Celina wtedy była tak blisko...

Umilkł nagle, gdy obaj uświadomili sobie, jak skończyła nieszczęsna dziewczyna.

— Mówiła o spisku...— szepnął Wiwan.

— Delen ma dziś zdobyć dowody. Jego ludzie nad tym pracują.

— Wiesz, na co go narażasz?

— Widzisz inne wyjście? Poza tym...— westchnął księżę, siadając w fotelu

— Sam zgłosił się na ochotnika. Może czuł coś do tej dziewczyny.

— Była bardzo odważna — rzekł cicho uzdrowiciel, podchodząc do okna. Tłum na targowisku zwiększył jeszcze swą liczebność.

— A twój ojciec?

— Ojciec działa na własną rękę — prychnął Meron. — O niczym mi nie mówi. Ale jest wściekły.

— Pytałeś czy wie...? — Wiwan nie mógł się powstrzymać.

Niemal codziennie zadawał to pytanie.

— Mówi, że nie ma na to czasu — wzruszył ramionami ksiązę, nie kryjąc lekkiego rozdrażnienia. — Mam ci przekazać, byś przestał robić przedstawienie i zaczął normalnie jeść, inaczej wyznaczy ludzi, którzy zaczną karmić cię siłą. Martwisz moją matkę a tego ojciec nie może znieść. No i na swój sposób także go to martwi.

„Narażam jego życie” — w myślach zauważył Wiwan z ironią.

— Nie głodzę się, by go zmusić do uwolnienia — Wiwan nie mógł oderwać oczu od targowiska, przyciągany do niego dziwną, niepokojącą siłą.

— A co to niby jest? — Meron stanął przy nim. — Niczego tym nie wskórasz. Nie u niego. Prawdę mówiąc, choć nie popieram sposobu, w jaki to uczynił... — zawahał się — ...to uważam, że było to mądre posunięcie.

Wiwan spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Chodzi o dobro królestwa — ciągnął z wahaniem ksiązę. — To potrafię zrozumieć. Ale ja sprowadziłbym tu też twoją rodzinę. To było okrutne. Potworne. I za to cię przepraszam. W naszym imieniu.

Wiwan pomyślał w duchu: „Co z innymi?! Z moimi przyjaciółmi, sąsiadami? Oni się nie liczą?! Nie zasługują na życie, bo są mniej ważni?!”.

Byłoby to nierozsądne urazić jedną z przychylnych mu osób, przyszłego króla. Może nawet zbyt emocjonalne, dziecinne.

Pragnienie ochrony wszystkich, którzy w jego życiu coś znaczyli, którzy traktowali go życzliwie, bez chęci zysku, miałyby być dziecinadą?! Nie potrafił tego zrozumieć. Nie on.

Milczał więc, a Meron wziął to milczenie za niemy bunt.

— Widzisz tych ludzi? — z powagą wskazał mu targowisko. — Jak myślisz, co stałoby się, gdybym teraz cię uwolnił? Zaatakowali dziś wóz z żywnością. Ojciec wstrzymał po tym dostawy i zmniejszył racje. Musimy radzić sobie sami. A gdybyś wyszedł z zamku... Pomyśl! Są zdesperowani, pozbawieni nadziei. Zdolni do wszystkiego! Roznieśliby cię na strzępy — szepnął cicho.

Słowa jednak nie złagodniały od szeptu, lecz zaciążyły niczym kamień w sercu uzdrowiciela.

Wzbudziły wspomnienia koszmarów, które śnił przez ostatnie dni.

* * *

Delen liczył na to, że spotka Selenę w zamkowej kuchni. Nie pomylił się. Wychodziła właśnie, po tym jak zaniósła już ostatnią partię talerzy. Z powodu ograniczonej liczby miejsc część możliwych musiała obyć się bez osobistej służby, w tym hrabina Weren. Dotyczyło to oczywiście tych mniej znaczących. W zamian zaoferowano im usługi służby królewskiej. Biorąc pod uwagę, jak wielu odmówiono schronienia w zamku z braku miejsc czy odpowiedniej pozycji w towarzystwie, wyróżnieni woleli z tym nie polemizować, choć oczywiście psuło to ich nawyki.

Selena wraz z dwiema innymi służącymi obsługiwała gości w dzień. Inne czuwały nocą, w razie gdyby ich pomoc była potrzebna. Zdarzało się, że ktoś zniknął lub odchodził, choć to drugie zdarzało się jeszcze rzadziej niż to pierwsze. Król wydał oficjalny rozkaz, by służbę traktowano dobrze ze względu na panujące okoliczności, jednak zdarzały się sytuacje, gdy nie każdy wypełniał ten rozkaz.

Selena wzbudzała zainteresowanie przez poranne wydarzenia i niejednoznaczność, intrygującą urodę. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jest dziś obdarzana przez wszystkich szczególną uwagą. Spotkanie z Delenem potraktowała z wyraźną ulgą i zmieszaniem jednocześnie, wiedząc o nieustannych ciekawskich spojrzaniach ze strony licznej w tym miejscu służby.

— Porozmawiasz ze mną? — zapytał łagodnie.

— Ale nie tutaj — poprosiła.

Ku jego zdumieniu gestem wskazała mu okno, przez które po chwili wyszła na szeroki dach.

Wieczorem często tak wychodzono, by zaczerpnąć powietrza. Zauważył kilka znaczących uśmiezków, gdy podążył jej śladem. Stwierdził jednak w duchu, że w tej chwili takie podejrzenia są mu nawet na rękę.

Selena stanęła jak najdalej od okien i oparła się o ścianę.

Na jej twarzy zobaczył znużenie a pod oczami zaznaczały się cienie. Zaklął w duchu. Nie wiedział, że będzie zmęczona.

Rozejrzał się. Na dachu krążyło kilku strażników, w tym dwóch jego ludzi. Zbyt daleko, by słyszeli rozmowę.

— Wyglądasz na zmęczoną — zauważył.

— Nie spałam tej nocy — wyjaśniła cicho. — Chciałeś czegoś ode mnie?

Spojrzała na niego. Spod ciemnej grzywki włosów niebieskie oczy były równie piękne jak szafiry.

Celina miała brązowe. Może Selena miała je po matce?

Widział w tym spojrzeniu czujność, pomimo zmęczenia.

— Jesteś siostrą Celiny — rzekł do niej. — Potrafisz jak ona dochować tajemnicy?

Popatrzyła na niego uważnie.

— Jeśli to pomoże ujawnić mordercę...

Zdziwił się w duchu, lecz jednocześnie utwierdziło go to w przekonaniu, że miał dobre przeczucia. Wiedział, że może jej zaufać.

— W tym także będę potrzebował twojej pomocy — powiedział. — Dziś wieczorem Wicekról wyda rozkazy swoim ludziom.

— Jakie?

— Dotyczące zamachu na króla.

Pozwolił, by te słowa zawisły między nimi w powietrzu, przybliżając się tak, jakby prawił jej właśnie komplement. Ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Poczul delikatny zapach jej skóry, zapach mydła. Ani śladu perfum. Przyłapał się na tym, że nie może oderwać oczu od jej zaskoczonych spojrzenia.

Serce Oliwiera zaczęło szybko bić.

Zrozumiał w jednej chwili, w co się wpakował.

— Jesteś pewien? — zapytał, czując suchość w gardle.

Delen kiwnął krótko głową na znak potwierdzenia.

— Rozkazy będą prawdopodobnie na piśmie.

— Trzeba je więc przechwycić!

— Cała Celina — szepnął z uznaniem Delen, uśmiechając się lekko. — Gotowa wejść obiema nogami w gnojowisko dla sprawy.

— To będzie dowód dla króla, a jednocześnie pomoże ich powstrzymać. Bez rozkazu żołnierze nic nie zrobią.

Oliwier myślał gorączkowo, klnąc w duchu Morena, na czym świat stoi.

— Powiedziałeś — rzekł w końcu z pozornym spokojem — w tym także potrzebuję twojej pomocy. W czym jeszcze?

Ponownie się uśmiechnął.

— Właściwie chciałbym, byś zajęła się także naszym niespodziewanym gościem — rzekł z błyskiem w oku.

— Gościem?

— Do zamku, korzystając zapewne z naszego niefortunnego przyjazdu, wszedł pewien człowiek, który stanowczo prosi się o kłopoty. Jest teraz w twoim pokoju. Pomyślałem, że nie będziesz mieć nic przeciwko temu.

„Gadaj wreszcie! — zniecierpliwił się w duchu Oliwier — Jakbym nie miał na dziś dość niespodzianek!”

— O kogo chodzi? Kim on jest?

— To hrabia Pafian Beckert. Brat uzdrowiciela. Przypuszczam, że nie wpadł tu z wizytą.

Oliwier poczuł, że całe wcześniejsze znużenie na dobre go opuszcza...

* * *

Julien wyszła z kolejnego podwórza. Stajnie były już puste. W dwóch z pięciu bram, w które weszła, spotkała trupy zmarłych na zarazę. Cóż, zagościła ona już w jej własnym domu.

Co jeśli ją dopadnie?

Lepiej było o tym nie myśleć. Kto wtedy uratuje Oliwiera?

Wiedziałyby, gdyby zachorował. Tak, jak on wiedziałby o niej.

Wiedział o tym, że została uderzona. Musiał być wściekły. Miała nadzieję, że u niego nie stało się to w nieodpowiednim momencie. Nie, przecież... Dotknęła policzka. Ciepło wciąż przyjemnie rozchodziło się po jej skórze. Ślad po uderzeniu zniknął, lecz wrażenie zostało, jakby ręka uzdrowiciela wciąż spoczywała na policzku jej brata i jednocześnie jej. Czuła jego dotyk. Gdy była mała, matka brała czasem jej twarz w obie dłonie, smukłe, delikatne dłonie, a potem żartobliwie całowała ją w nos, przyciągając w ten sposób do siebie.

Już jej nie będzie... Dotyk dłoni uzdrowiciela tak bardzo to przypominał, tak bardzo przypominał też inne rzeczy — wczorajsze wydarzenia, niechciane obrazy. Budził tłumiony żal.

A jednocześnie ten wciąż wyczuwalny dotyk dodawał jej sił, podnosił na duchu.

Musi być teraz silna. To nie był czas na łzy. Musi odzyskać brata, musi być pewna, że jest przy niej, że wydostała go z tego koszmaru, całego i zdrowego. Nikt nie ma prawa do niego.

Tylko on jej został. Nie martwiła się o siebie. Była na razie bezpieczna. Ale on...

— Oliwier — szepnęła, dotykając wyleczonego policzka, ogrzewając go dłonią.

Pragnęła by poczuł ciepło jej dotyku na swojej twarzy, jak wcześniej ona poczuła kojący dotyk uzdrowiciela. Chciała mu przekazać, że o nim myśli, że nic jej nie jest. Chciała dodać mu otuchy. Czuł się tak jak ona, znużony i wyczerpany przeżyciami. Wyczuwała to.

— Myślę o tobie — szepnęła.

* * *

Oliwier dotknął ręką policzka. Delen zostawił go na dachu, śpiesząc do swego zadania. On także powinien się pospieszyć. Ale teraz nic na tę jedną chwilę nie było ważniejsze od czułego, siostrzanego dotyku. Jej dotyk, jej miłość i ciepło, nierozzerwalnie z nim połączone, zawsze bliskie i znajome, zawsze przywołujące w nim te same odczucia.

Bliźnięta.

Nie byli jednakowi, lecz zawsze o sobie wiedzieli, połączeni niewidzialną więzią. Więzy tych identycznych bliźniąt były podobno mocniejsze. Tak nierozzerwalne, że jedno myślało o tym, co drugie. Dzieliły nawet te same sny.

Oni cieszyli się, że ich była słabsza, choć nadal mocno ich spajała.

Trzymał rękę na policzku, przekazując jej te same myśli.

Uśmiechnął się.

Nagle, niespodziewanie dla niego, jej gest otworzył bramy uczuć, które tak dzielnie starał się dotąd stłumić. Ukryty w cieniu przed gorącym słońcem wczesnego lata, z daleka od strażników, którzy nie wkraczali w jego prywatność, zapewne dzięki pojawieniu się tu wcześniej Delena, poważanego wśród nich pomimo młodego wieku, miał chwilę, by zaczerpnąć tchu przed następnymi wydarzeniami.

A co będzie potem? Jeśli jakimś cudem uratuje skórę i wypełni swoją misję, musi wrócić do Julien.

Musi wrócić do Morena..

Umyślnie nie zaprzętał sobie tym głowy, spychał niechciane myśli w głąb umysłu. Nagle jednak poczuł, że nie ma siły, by to dłużej robić. Udręka ogarnęła go niczym wzburzona fala, zmiatając wszystkie inne uczucia.

Niezależnie od tego, czy to pomoże Julien czy nie, a czuł, że słowu Morena nie można już zawierzyć, zostanie poniżony. W końcu Moren dopnie swego, a kiedy już to się stanie, utrzyma go tak długo przy życiu, jak długo Oliwier będzie miał wolę, by nie dać się złamać. A to nie będzie trwało długo. Może dodawać sobie otuchy, czerpać pociechę z myśli, że może dzięki temu zostawią w spokoju jego siostrę, ale prawda była taka... że nie będzie w stanie tego znieść.

Osunął się na dach i zasłonił twarz, by ukryć łzy. Musiał sobie na nie pozwolić. Musiał to zrobić teraz. Potem nie będzie już miał nawet chwili.

A w dalszej przyszłości, tej najmroczniejszej, zrobi wszystko, by całą siłą woli, na jaką będzie go wtedy stać, nie błagać, nie prosić, nie zaklinać tego bydlaka, by go oszczędził. Nie da mu tej satysfakcji. Wiedział, że Moren właśnie tego hartu ducha po nim oczekuje, ale to nie miało znaczenia. Inaczej nie postąpi.

Jego udręka i strach odbiły się echem w sercu Julien, choć nie rozpoznała znaczenia tych uczuć. Oliwier cierpiał. Cierpiał w cichej rozpacz — to wiedziała.

Mimowolnie łzy spłynęły także i po jej twarzy, wywołane udręką brata. Obudziło się poczucie straty, odsuwane dotąd w cień. Żal po rodzicach. Strach o brata, który teraz dręczony ponurymi myślami jest sam wśród obcych.

— Oliwier — szepnęła cicho dotykając policzka — Ciii...

Wyczuła zmianę w jego nastroju, jakby ją usłyszała. Poczowała napływ ciepła na policzku, wcześniej dotkniętym przez uzdrowiciela. Oliwier także położył tam swoją dłoń w pocieszającym geście.

Kojące ciepło rozeszło się spod ich niewidzialnie połączonych dłoni i

niczym balsam otuliło jej serce i uspokoiło umysł. Dotyk uzdrowiciela raz jeszcze zadziałał.

I dodał im sił.

Rozejrzała się. Czuła, że Oliwier także się uspokoił, a ich więź słabnie do zwykłych granic, kiedy nie targały nimi silne emocje. Odsuwali się od siebie, choć przypominało to oddalenie na wyciągnięcie rąk. W pobliżu, lecz nie za blisko.

Godzinę temu niemal zostawiła Sela w jednym z opuszczonych domów, by poszukać koni. Wciąż niczego nie znalazła, a przecież Sel bez tego nie jest w stanie opuścić miasta. Mając na karku pościg wysłanych z pewnością za nimi ludzi Morena, będą potrzebować wierzchowców.

Sel jednak nie utrzyma się w siodle. Wszystkie niedawne przeżycia jeszcze pogorszyły jego stan, pomimo eliksiru elfów. Odepchnęła od siebie wstrętną myśl, że może należało go posłuchać.

Nie!

Sel zawsze im pomagał. Moren wpadał w szał zazdrości, gdy widział, że Sel rozmawia z Oliwierem, a potem wiąże się z Milerą, ale Sel nie pozwalał się zastraszyć. Miał w sobie nieugiętość człowieka, nad którym wciąż unosi się widmo śmierci. Moren wiedział, że nie może zbyt wiele zrobić. Czasem udawało mu się parę razy uderzyć Oliwiera. Najczęściej jednak jej brat niczym kot wymykał mu się z rąk, ze względu na siostrę. Z każdego miejsca potrafiąc się wspiąć, zeskoczyć czy przeskoczyć. Co do niej i Milery... Moren ograniczał się do gróźb. Sel wiedział, że Morenowi bardzo na nim zależy jako na prawdziwym przyjacielu, z którym zawsze mógł porozmawiać szczerze. Wiedział, że do pewnego stopnia ma na niego wpływ, jednak nie należało tego nadużywać. Gdy jeszcze chodziło o Julien i Milerę, Moren dawał się uspokajać, nie zależało mu na dręczeniu ich. Natomiast Oliwier... budził w nim tak skrajne uczucia, że czasem lepiej było zamilknąć, bo to potęgowało jeszcze jego emocje. Mimo to ani razu Sel nie ustawał w wysiłkach, by ich rozdzielić, odwrócić uwagę Morena. Zwłaszcza ostatnio, gdy okazywało się, że w zdobywaniu żywności Oliwier ubiegał jego ludzi. Sel pozwalał, by gniew Morena skupiał się na nim, bo i tak wciąż żył na granicy życia i śmierci.

Nie zostawi go tutaj, bo tym razem wściekłość Morena może go zabić.

Miasto było jak wymarłe. Czasem tylko słychać było piski szczurów, szum wiatru w pustych domach. Na tej ulicy mieszkały niedawno całe rodziny. W wąskich uliczkach chłopcy grali w szmacianą piłkę. Po upalnym dniu sąsiedzi siadali przy stolikach na zewnątrz, jedli i rozmawiali.

Nigdy nie było tak ciche.

Teraz cisza zdawała się napierać ze wszystkich stron.

Tu już nic nie ma. Musiałaby obejść wszystkie ulice Wermodu z nadzieją, że gdzieś jednak zostały konie. Lub je ukraść tym, co odważyli się jednak zostać.

Nigdy jeszcze nie musiała kraść. Zawsze robił to Oliwier.

Sprawdziła, czy włosy są dobrze ukryte pod czapką. Męski strój należący do Rossa był całkiem zwyczajny, nie przypominał tego, w czym go widziała. Pewnie wychodził w nim, gdy chciał po prostu wtopić się w tłum. Był na pewno wygodniejszy od sukni, którą zostawiła Selowi. Miała zamiar ją zabrać. Nigdy nie miała czegoś tak pięknego, choć pewnie nie będzie miała okazji jej włożyć.

Znów zaczęła poszukiwania.

Odważyła się szukać niedaleko od Domu Rozkoszy. Dzieliły ją dwie ulice od tego miejsca. Nikt by jej się tu nie spodziewał. Nie tak blisko. Będzie ostrożna.

Wtedy usłyszała tętent kopyt. Ulicą pokrytą kurzem jechał dziwny powóz. Była to raczej chata na kołach, pomalowana na biało, ze smokami przy koźle woźnicy i bogatymi malowidłami po bokach.

Widziała kiedyś podobną chatę, choć nie tak bogato wyglądającą. Miała ją rodzina pochodząca z Wędrownych Ludzi — pewnego plemienia, które nigdzie nie zagrzewało miejsca, żyło z koni, misternych ozdób i wróżb. Ojciec kupił wtedy od nich złoto. Wóz wydawał im się wtedy piękny i tajemniczy. Rodzina zatrzymała się u nich na noc, a ona i Oliwier zapoznali się z dwójką dzieci mniej więcej w ich wieku, które podróżowały tym pojazdem. Zapamiętała, jak bardzo uroda ich obojga spodobała się wędrowcom. Zwłaszcza fascynował ich Oliwier. Matka rodzeństwa chciała nawet wróżyć mu z ręki, ale Oliwier zawsze bał się wróżb, więc odmówił. Mieli wtedy jakieś dwanaście lat.

Nie wiedziała, że są tu takie wozy. Ale jeszcze bardziej zdziwiło ją, że woźnicą okazał się Ross. W środku widać było jeszcze parę osób.

Nie widziała za nimi Morena i jego ludzi. Serce jej podskoczyło z radości. Sel na pewno się ucieszy, a ona cieszyła się, że Ross tak szybko posłuchał jej rady.

Wybiegła mu naprzeciw.

— Ross!! — zawołała. — Zatrzymaj się!

Ross zdumiony zatrzymał konie. Zza niego wyjrzała Valeria.

— Matko Ziemio! — krzyknęła. — Czy to siostra Oliwiera? Co ty tu jeszcze robisz, dziewczyno?

— Sel potrzebuje pomocy — Julien podbiegła do nich, jednocześnie pełna obaw. — Moren jest z wami?

— Może tylko o tym pomarzyć — odparł Ross zeskakując na ziemię. — Gdzie jest Sel? Musimy stąd uciekać.

— Pokażę wam — odparła. — Ross... — nagle poczuła, że musi to zrobić, bez pomocy tych ludzi nie zabrze daleko. — Potrzebujemy waszej pomocy.

— Miałem nadzieję, że was znajdę — rzekł. — Chcesz, żebyśmy zabrali stąd Sela?

— Chcę znacznie więcej — odparła znacząco.

Uśmiechnął się, jakby właśnie powiedziała mu o jakiejś świetnej zabawie w okolicy. Zerknął porozumiewawczo na ludzi wewnątrz powozu.

— Wsiadaj! — chciał jej pomóc, ale sama świetnie sobie poradziła.

— Dokąd potem? — zapytał biorąc w dłonie lejce.

Obejrzała się, by zobaczyć innych. Valerie, wielki osiłek, dwie dziewczyny, dwóch młodych chłopaków, którzy znacząco się do niej uśmiechnęli. Zarumieniła się i szybko spojrzała na Rossa, który jej nie niepokoił.

— Do zamku — odparła.

— Tak jest! — smagnął krótkim batem w powietrzu z daleka od końskich zadów.

Nie mogła się powstrzymać ze szczęścia. Uściskała go radośnie, aż łzy wzruszenia zabłyśły w jej oczach jak gwiazdy. Roześmiał się mile zaskoczony, a jego śmiech przerwał panującą wokół grobową ciszę.

— Ładnie ci w moich rzeczach — rzucił żartobliwie.

Posłała mu spojrzenie z ukosa, lecz nic nie odpowiedziała.

Lekko, delikatnie dotknął jej dłoni, by ją ucisnąć. Odwzajemniła mocno uścisk w nadmiarze emocji. Nie chciał naruszać jej delikatnej równowagi, więc nie powiedział ani słowa. Wyrazem oczu powstrzymał Valerie przed zbliżeniem się do dziewczyny. Zrozumiała.

Poczuł wielką ulgę. Znów zobaczy Sela. I być może razem stąd wyjadą...

* * *

Oliwier westchnął z rezygnacją.

— Jeszcze mi tego potrzeba do szczęścia — szepnął nieco zgryźliwie, stojąc przy drzwiach do dawnego pokoju „siostry”, według słów Aleny, służącej, która obsługiwała wraz z nim możnych na piętrze z komnatami uzdrowiciela. Alena, młoda blondynka w ciemnej, żałobnej sukni, poszła z lekkim uśmieszkiem do komnat wicehrabiego Mardena, naprzeciw pokoi hrabiny Weren. Wicehrabia oczekiwał hrabiny przed kolacją. Alena zatem miała uporządkować mu pokój. Lubił idealny porządek. Przez całą drogę z kuchni do pokoi służby, dokąd stroskana Alena zaprowadziła Selenę, widząc jej stan, rozmawiały o bogatych gościach zamku. Właściwie to Alena mówiła, a Oliwier słuchał w milczeniu, z wdzięcznością znajdując w tym coś, co odwraca jego uwagę od ponurych myśli. Potem Alena uściskała go i odeszła. Oliwier poczuł jej przyjemny zapach, delikatne perfumy, którymi spryskała się pewnie u jakiejś bogatej damy na zamku. Jej dotyk był taki przyjemny.

Cóż, trzeba było wejść do środka.

W skromnie urządzonym i małym pokoju siedział na łóżku brat uzdrowiciela. Na widok wchodzącego wstał, odruchowo wyciągając miecz z pochwy szybkim wypraktykowanym od lat ruchem. Oliwier skłął siebie w duchu za sposób, w jaki wszedł. Ale przecież nie mógł pukać do własnego pokoju, nie

wzbudzając przy tym podejrzeń. Pafian schował miecz, widząc kobietę.

Po chwili jednak przyjrzał się Oliwierowi z wyrazem zaskoczenia.

— Julien? — zdziwił się, podchodząc bliżej. — Julien Rsewer?

Spodziewałem się... — urwał nagle, wpatrując się w niego.

Oliwier czekał na nieuchronne. Skoro hrabia tak dobrze zapamiętał Julien od czasu swej wizyty w ich domu...

— Zaraz — Pafian spojrzał na niego podejrzliwie, a jego ciemne długie włosy, które urosły jeszcze od czasów, gdy zjawił się z matką w domu złotnika, spięte w kucyk, płynnie spłynęły z ramienia na plecy — Nie jesteś Julien. Nie jesteś Seleną. Co to ma znaczyć, na demony?

— Mógłbyś ciszej wygłaszać swoje myśli? — rzekł z przekąsem Oliwier. — Nie jesteśmy na ulicy Rzemieślników.

Oczy Pafiana ze zdumienia zrobiły się okrągłe, gdy usłyszał dźwięk jego głosu, a potem szybko przybrały wyraz rozbawienia.

— Niech mnie diabli... — szepnął, mierząc go wzrokiem.

— Uważaj, bo się spełni! — zagroził mu Oliwier, któremu wcale się ów wyraz rozbawienia nie spodobał.

— Zawsze wyglądałeś jak baba — Pafian nawet mówiąc szeptem, nie przestawał się zawadiacko uśmiechać, a Oliwier zmierzył go morderczym spojrzeniem. — No, ale teraz...

Umilkł, gdy Oliwier ostrzegawczo uniośł rękę.

— Przyszedłem po brata — zmienił więc szybko temat, choć jego oczy nadal rzucały wesołe iskry.

— Niewatpliwie.

Pafian odciągnął go spod drzwi, obejmując ramieniem.

— Zaprowadzisz mnie nocą do niego?

— Nocą bardzo wiele się może zdarzyć — Oliwier zdjął jego ramię, przypięta do włosów peruka nielitościwie je pociągnęła.

— To twoje własne włosy? — zainteresował się Pafian — Wyglądają jak prawdziwe.

— Bo takie są — odparł Oliwier. — Ale nie są moje. A wracając do pytania...

— Nie masz rąk jak dziewczyna — zauważył Pafian. — Prawdę mówiąc, są trochę zbyt...

— Skończyłeś już? — Oliwier miał dość tych uwag.

Pafian w uśmiechu odsłonił białe zęby.

— Wiesz, mógłbym tak jeszcze długo... — parsknął, widząc groźny wzrok Oliwiera — Po co to wszystko? — zapytał poważniejąc wreszcie. — W co się wpakowałeś?

— Długo musiałbym mówić — rzekł cicho Oliwier.

Na jego twarzy Pafian zobaczył wyraźne ślady niedawnych przeżyć.

— Jest aż tak źle? — Zapytał z troską. — Coś ci grozi? A Julien? Twojej rodzinie? Powiedz.

Oliwier spojrział na niego ponuro. Pafian zasepił się. Gdy był tu w zeszłym roku z matką, która chciała odwiedzić rodzinę, u której spędziła miło czas, czekając na prezent dla Wiwana, sprawy między Oliwiera a jego sąsiadem, synem cukiernika, nie wyglądały za dobrze. Ludzie bez złych intencji nie stoją co noc pod twoim domem z dziwnym wyrazem twarzy. Na zakochanego tamten także nie wyglądał. Bardziej na człowieka ogarniętego jakąś dziwną, nienormalną obsesją. Coś wisiało w powietrzu, lecz Pafian był tam zbyt krótko, by głębiej w to ingerować. Zresztą, w obecności takich gości w domu złotnika, krewki sąsiad przezornie z niczym się nie wychylał. Wielka szkoda, bo Pafian chętnie poszukałby okazji do rozmowy z tym człowiekiem.

Pafian polubił rodzeństwo Rsewer. Nauczony przez brata wrażliwości na innych, nie mógł znieść, gdy ludziom, których darzył sympatią, działo się coś niedobrego. Natychmiast był gotów wkroczyć w sam środek i dociekać przyczyn wszelkimi sposobami. Czy to przed tym sąsiadem ukrywał się w zamku Oliwier w tym stroju i pod innym imieniem? Czy chodziło o coś innego?

— Chyba rzeczywiście muszę ci opowiedzieć — rzekł w końcu Oliwier.

Kiedy zaczął mówić o śmierci rodziców, o Morenie i jego zamiarach, aż wreszcie o spisku wicekróla, Pafian poczuł, jak groza narasta w jego sercu, a włosy na karku stają dęba.

Oliwier powiedział mu także z wahaniem, po co został wysłany przez Morenę. I choć niczego dotąd nie zrobił, w sercu poczuł się jak złodziej.

— Znam mojego brata — rzekł po dłuższej chwili milczenia Pafian. — Kiedy będziesz miał okazję pójść do niego znowu, po prostu powiedz mu to, co powiedziałaś mnie. Odda ci wisior bez wahania, bo taki po prostu jest. Jeśli to ma pomóc, zrobi to. A nocą zaprowadzisz mnie do niego i uciekniemy, nim zacznie się cała heca.

— A król?

— Przecież ty i Delen dacie znać, komu trzeba do tego czasu.

— Skąd znasz Delena? Miałeś szczęście, że to jego ludzie cię przyłapali.

— Prawda — zgodził się Pafian. — Szczęście początkującego — uśmiechnął się szelmowsko — Gościłem u niego w domu, gdy z jego bratem, który także tu służy, uczyłem się w szkole królowej Konstancji. To Kirian mnie znalazł, a raczej ja postarałem się, by mnie znalazł.

— Pokażesz, którędy cię tu przyniosło?

Pafian znów się uśmiechnął.

— To na nic. Teraz pełno tam strażników.

— Więc skorzystamy z mojego wyjścia?

— Masz już takie?

— Zdążyłem się rozejrzeć, chodząc po zamku. Mam kilka wyjść.

— Kilka?!

Pierwszy raz odkąd Pafian go zobaczył, Oliwier zdobył się na uśmiech. Był to ten sam uśmiech samozadowolenia niczym u kota, którego Pafian widział, gdy Oliwier pierwszy raz pokazał mu, jak potrafi się wspinać. Już wyczuł, co za chwilę usłyszy.

— Niektóre nie są dla ciebie — potwierdziły się jego przypuszczenia. — Ale z dwóch możemy wszyscy skorzystać.

— Co, jeśli przez ten chaos, który nastąpi, tamte wyjścia będą spalone?

— Zawsze są jakieś drzwi, które można otworzyć.

Ktoś zapukał.

W duchu ucieszył się, że dotychczas prowadzili całą rozmowę szeptem. Ostrożnie je uchylił.

— W porządku? — zobaczył zatroskaną twarz drobnej Aleny. — Lepiej już?

— Dużo lepiej — odparł zgodnie z prawdą.

Kiedy wreszcie mógł komuś się zwierzyć, poczuł prawdziwą ulgę. Nie był już sam.

— Cieszę się — powiedziała Alena. — Słuchaj, przed kolacją muszę pomóc hrabinie... — uśmiechnęła się znacząco, a Oliwier w duchu zdumiał się nad zmiennością tej kobiety — poprawić wygląd i zmienić suknię. Pójdiesz do hrabiego i zapytasz, czego sobie życzy na kolację. Podobno będzie jadł u siebie. Powiedz mu, że na rozkaz króla masz powiedzieć Nadwornemu Medykowi, czy ją zjadł. Szkoda, że hrabina mnie w to wplątała. Sama chętnie bym poszła. Zrobisz to?

— Oczywiście — uśmiechnął się z sympatią do ładnej dziewczyny.

— Masz miły głos — zauważyła. — Kilku gości ma jeszcze parę poleceń, które trzeba wykonać, nim pójdziesz do hrabiego. Może zrobimy tak... Jak pójdę...

W milczeniu wysłuchał, jak Alena dzieli ich obowiązki, czasem lekko potakując, aż wreszcie dziewczyna z ciężkim westchnieniem zamierzała odejść.

— Zimno się coś zrobiło, czy tylko ja tak marzną dzisiaj? — zauważyła, drżąc nagle.

Oliwier zdziwił się. Na dachu nawet w cieniu było gorąco, a w zamku panował zaduch.

Lecz zbyt pochłonięty tym, co wkrótce miało się zdarzyć, zauważył tylko spokojnie:

— Może złapałaś przeziębienie?

— Może — zadumała się, po czym pożegnała i odeszła.

Pafian zaczekał, aż Oliwier zamknie na powrót drzwi.

— Masz swoją okazję.

Ten uśmiechnął się do swojego gościa.

ROZDZIAŁ 6 — Grabarze

Każde ze słów Morena, kiedy dotarł do powozowni, zdecydowanie nie nadawało się do słuchania dla eleganckich uszu. Dom Rozkoszy był jednym wielkim chaosem. Ktoś rozpuścił wici o tym, że Reniel przyniosła zarazę. Wielu już wyjechało w niezwykłym pośpiechu. Moren zdawał sobie sprawę, że szukali tylko pretekstu do wyjazdu. Dom był przecież jedynym miejscem, które mieli. Kiedy tydzień temu on i przywódca Czerwonej Straży Ramoz, a z nimi paru innych pomniejszych rze-zimieszków opanowali to miejsce, zabijając Mateczkę, zwaną przez wszystkich Czerwoną Rebeką — od sukni w kolorze wina, które lubiła nosić od czasów młodości — obaj wiedzieli, że mieszkające tu dziwki wzniecą wkrótce bunt lub uciekną. Nie było dnia, by którejś lub któregoś nie nauczono pokory, lecz kiedy kończono z jednym, inni już podnosili głowy.

Jak Reniel. Miała dość jego praktyk. Ostatnio prawie nie wypuszczał jej z po-koju. Wreszcie postawiła mu się przedwczoraj, więc ją pobił. Gdyby franca dziś nie zrobiła tego numeru z zarazą, skończyłoby się na kolejnym dymaniu. Ale zrobiła to, a wcześniej Sel niespodziewaną ucieczką pokrzyżował mu plany.

Moren więc się zagalopował.

Musiał ją dobić. Po pobiciu bowiem była już do niczego. Jeden z ciosów najwyraźniej pomieszał jej we łbie. Głupia dziwka!

Patrzył teraz na puste wnętrze powozowni wściekły na nią i na Sela, że doprowadzili do takiej sytuacji. Przez nich stracił kontrolę. Jak dorwie Sela, nie omieszka mu tego wypomnieć.

— Kto, do kurwy nędzy, zabrał powóz Rebeki, Szeron? — zapytał z błyskiem w oku jednego z czterech swoich zaufanych, od początku będących w jego bandzie.

Szeron zajmował się zaopatrzeniem i to on właśnie wysłał Oliwiera z woźnicą Ramozem do zamku.

Fynn kierował siatką szpiegów.

Tenan zabijał i zastraszał.

Rosten, którego Moren kiedyś pobił, współpracował z Tenanem. Uwielbiał bić.

— Widziałem Dużego Lena, Sai i Lenę, te kurewki, co zawsze idą razem, starą Valerię, dwóch bawidamków, jeden to chyba Alesei czy jakoś tak, a drugi nie pamiętam. I Ross. Pamiętasz? To ta ciota, co przyłożył w gębę człowiekowi Ramoza, gdy zaczął bić Valerię za powolność. Poważnie myślałem, że to będzie koniec tej męskiej laluni, ale Ramozowi spodobała się ta jego rycerskość.

Ross!

Moren myślał gorączkowo. Kiedy on bawił u Reniel lub innej dziwki, Sel szukał towarzystwa wśród tych, którzy akurat nie byli zajęci. Nie paliło mu się do domu. W domu było zbyt ponuro, a tu zawsze było nastrojowo, grała subtelnie muzyka — choć Moren mało zwracał na to uwagi — można było napić się i potańczyć. Dom zawsze miał atmosferę zabawy w dobrym tonie, nie był jakąś tam speluną. Sel znał tu wszystkich dzięki tym wizytom, bo traktował wszystkich po przyjacielsku, a mieszkańcy Domu Rozkoszy współczuli mu smutnego życia. Mógł dzięki temu współczuciu mieć każdą dziwkę, ale z tego nie korzystał. Moren nigdy nie rozgryzł, czy nie chciał, czy nie mógł tego robić, bo bywały chwile, że Sel czuł się całkiem nieźle. Zamiast tego spał tam, gdzie mógł. W małym pokoju Dużego Lena pilnującego, by dziewczynom pracującym w Domu nie stała się krzywda. U Sai i Leny, które po robocie układały się zawsze w łóżu do snu po obu stronach Sela i tak ich zastawał Moren, gdy przychodził zabrać przyjaciela do domu. U Valerii — najczęściej — bo dawała mu klucz na całą noc i szła dolewać szampana, masować, podawać i coraz mniej kupczyć ciałem. Nawet u Czerwonej Rebeki, która zwykle głośno rechocząc, poruszając tymi dużymi cyckami, grała w karty do świtu.

I u paru innych.

Wreszcie Ross. Ta męska...

Już wiedział, kto pomógł Selowi i Julien.

Ross zabrał biały powóz. To on za tym stał, tego Moren był prawie pewien. Chciał pewnie zabrać Sela, który podobno nie tylko spał u niego. Julien... i Oliwiera! Zatrokana siostra nie zostawiłaby przecież brata w potrzebie! Nie pozwolą mu tu wrócić. Oliwier spotka Julien i już tu nie przyjdzie!

Więcej go nie zobaczy.

Nawet nie posmakuje jego strachu. Nie dotknie więcej jego skóry...

— Psiakrew! — uderzył w złości wrota powozowni.

Szeron pomyślał, że najwyższa pora zbierać ekwipunek i zniknąć na razie Morenowi z oczu. Pierwszy raz, odkąd do tego doszło, zatęsknił też odrobinę za Selem. Sel zawsze umiał zapanować nad nastrojami Morena.

— Gdzie jest Tenan? — zapytał wściekle Moren, a żyły na szyi i czole nabrzmiały mu od gniewu.

— Wysłałeś go — przypomniał mu Szeron, nie czując się zbyt pewnie w tej chwili, pomimo tego, że był od Morena wyższy i równie jak on silny. Każdy wiedział, jak nieobliczalny może być Moren w złości. Reniel już się o tym przekonała.

— Zmiana planów. Dołączymy do niego. Zbierz tych, co zostali...

— Będzie tylko kilku. Reszta związała z obawy przed zarazą — wtrącił Szeron, spoglądając znacząco na niego.

Wieść o tym, że dziewczyna weszła do pokoju z zakażoną częścią ubrania szybko się rozniosła. Ale mimo to, Szeron nadal wierzył w ochronną moc koszuli uzdrowiciela, którą przywódca miał na sobie, jak również wierzył w pas i kępkę włosów ze szczotki, którą nosił w kieszeni.

— Skoro tak... — zastanowił się Moren, lecz zaprzątnięty chęcią działania natychmiast zbagatelizował to. — Znajdziemy Tenana i razem zgarniemy Oliwiera, wisior, Sela, Julien i powóz. Z resztą zrobicie, co wam się spodoba.

— Miałem ci właśnie powiedzieć — westchnął ciężko Szeron i otarł nerwowo twarz dłonią. — Wieść niesie, że jutro o świcie wypuszczą uzdrowiciela z zamku. Tenan był przy tym, jak mi to przekazano. Już go pewnie nie zobaczymy. Sam zgarnie wisior albo krew uzdrowiciela lub kawałek jego skóry i ucieknie.

— Co ty opowiadasz? — zdziwił się Moren.

Te słowa zmieniły tor jego myśli. Kawałek skóry? Krew?!

— Bo widzisz — Szeron, któremu panujący upał i zamieszanie wokół zaczynały dawać się już we znaki, ściągnął przepoconą chustkę z szyi i otarł nią łysą głowę. — uzdrowiciel ma być sam. Bez straży. I żadnej ochrony. Ludzie rozerwą go na strzępy...

* * *

Wydawało mu się, że przymknął oczy jedynie na chwilę, czekając na Julien. Wokół panował upał i wszechobecna cisza. W bramie był cień. Wolał czekać tutaj. W domach kryli się zmarli.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył dwóch chudych mężczyzn o chciwym, niespokojnym spojrzeniu. Na szyi jednego z nich pobłyskiwało złoto, była to, dziwnie nie na miejscu, diamentowa kolia. Wydawało się kompletnym absurdem nosić coś takiego otwarcie na ulicy a dodatkowej ironii dodawał fakt, że robił to mężczyzna. Cóż, teraz jednak czasy i świat zupełnie się zmieniły, co nadawało całej sytuacji zupełnie inny wymiar i całkowicie odzierało ją ze śmieszności.

Mężczyzna nachylił się nad nim, gdy spał. Zobaczył jego twarz tuż przed swoją. Drgnąłby, gdyby miał na to dość sił.

— Ten jeszcze żyje! — krzyknął do swojego kompana. — I chyba nie zdycha tu na zarazę!

— Ma coś? — zainteresował się drugi.

Sel otworzył szerzej oczy i skupił się. Za mężczyzną z kolia zobaczył wóz. Był pełen ciał.

Grabarze!

— Ma złoty pierścień na palcu, ale będzie się o niego szarpał — odparł fachowo mężczyzna, przyglądając się Selowi i złotej obrączce.

— Czekamy?

Pytanie zawisło nad nimi niczym topór. Sel poczuł, jak sterane serce zaczyna mocno bić, a ciało oblewa mu pot. Nie miał siły nawet na to, by wstać. Wiedział, że jego czas może się zakończyć jeszcze tego dnia. Jego serce się poddawało.

Grabarz z kolia namyślił się.

— W łeb mu i do wozu! — zdecydował krótko. — A potem po innych. Nie chce mi się tu dziś wracać. Nikt tu nie zauważy różnicy.

Wstrzymał oddech, ale zaraz potem opanował go dziwny spokój.

„Co to w końcu za różnica? — pomyślał gorzko — Przynajmniej będzie szybko. Tylko Julien będzie musiała poradzić sobie beze mnie”.

Właściwie wołał, żeby teraz nastąpił wreszcie koniec. Miał dość swojego życia, wypełnionego chorobą i cierpieniem, z którego nigdy nie mógł w pełni korzystać. Był już zmęczony tą walką.

Grabarz sięgnął po łopatę. Brał ją z przyzwyczajenia. Od dłuższego czasu i tak nikogo nie grzebał, lecz palił. Czasem, jak teraz, trzeba było kogoś dobić, bo nagle rzekome trupy ożywiały się przy przenoszeniu na wóz a nawet na płonącym stosie! Łopata była dobra. Gdy trzymał ją w dłoni, siła jakby mu rosła w rękach. Nawet nie zmywał potem krwi.

Sel patrzył na to, wciąż bez lęku.

„Powinienem się bać — pomyślał — ale nie chcę. To wszystko nie ma już znaczenia...”.

Grabarz podszedł do niego, podczas gdy drugi z zainteresowaniem przyglądał się sytuacji.

Bez zbędnych słów, oprawca umarłych uniósł łopatę do ciosu. Nie spojrzał nawet w oczy człowieka, którego miał zamiar zabić. Myślał tylko o tym, gdzie wymierzyć odpowiednio cios, żeby był pewny. Nie znosił fuszerki, która zdarzała się jego kompanowi przy robocie. Cios zwykle okazywał się za słaby i trzeba było poprawiać, żeby przestawali się ruszać...

Sel uśmiechnął się do swojego mordercy z ironią...

Drugi grabarz, widząc to, otworzył usta w zdumieniu. W sercu poczuł nagle coś jakby drgnienie. Coś, czego nie czuł odkąd dobił pierwszego człowieka...

Szacunek dla odwagi umierającego.

— Stój!! — usłyszeli nagle głos.

Ulicą jechał biały, bogato zdobiony powóz, zaprzężony w dwa białe konie. Widząc ich zamiary, woźnica smagnął batem i nim powóz zrównał z wozem grabarzy, zeskoczył na ziemię. Za nim zeskoczyła dziewczyna w męskim stroju, a wielki, śniady osiłek szybko stanął w pobliżu.

— Ross, tylko ich nie dotykaj! — krzyknęła do woźnicy niemłoda już kobieta o ciemnych włosach.

Ross miał wielką ochotę smagać grabarza z łopatą tak długo batem, aż tonąłby we krwi. Z trudem zmusił się do tego, by uderzyć go tylko raz. Julien zaś

przyparła do siedzącego Sela. Jego stan ścisnął w lęku jej serce.

— Wynocha stąd! — wrzasnął na grabarzy wstrząśnięty i wściekły Ross.

Nie stawiali oporu. Woleli chronić skóry, ukryć swe mroczne zamiary. Grabarz z łopata skulił się od uderzenia i złym nienawistnym wzrokiem spojrzął jeszcze na młodego mężczyznę, który go zranił. Jego pijacka morda wykrzywiła się w ponurym uśmiechu.

Nim wszedł na wóz, wskazał palcem na Rossa, jakby go naznaczał.

Ross poczuł zabobonny lęk. Opanował się z trudem i smagnął batem raz jeszcze, nagłac ich do pośpiechu.

Ostatnie, co zobaczył to martwy mężczyzna, leżący z otwartymi oczami na wozie. Nie miał na sobie ubrania, jedynie zamię śmierci. Nikogo już nie obchodził. Stał się odpadkiem, który należało wyrzucić lub spalić by oczyścić miasto. Ross pomyślał, że jego ciało, tak ciepłe i żywe, może wkrótce, zgodnie ze zgubnym życzeniem grabarza, znaleźć się na tym wozie, tak samo bezimienne, zimne i pozba-wione godności. Ograbione z ubrań i duszy. Nikomu już niepotrzebne...

Len, bo tak miał na imię osiłek, uniósł zaskakująco lekkiego Sela i na rękach zaniósł go omdlałego do powozu. Przepełniona troską Julien, poszła za nimi i pierwszy raz zobaczyła wnętrze pojazdu utrzymane w kolorze purpury, z wielkim łóżem pełnym poduszek. Ułożyli Sela w satynowej pościeli, a potem szybko padały pośpieszne polecenia. Otworzono okna, przyniesiono wodę i eliksir elfów. Julien z troską otarła mu czoło, podczas gdy kobiety, Len i Ross stanęli obok równie zatroskani. Każde z nich lubiło Sela i widziało, jak bardzo jego stan jest poważny. Dwaj młodzi mężczyźni usiedli z przodu i powóz ruszył dalej.

— Sel — szepnął cicho Ross, rozpaczliwie próbując udawać, że nie widzi pogorszenia stanu zdrowia Sela odtąd się rozstali. — Posłuchaj, Oliwier ma kłopoty. Chodzą słuchy, że w zamku jutro wiele się będzie działo. Uzdrowiciela wyprowadzą o świcie bez eskorty. Wiesz, co wtedy mogą mu zrobić ludzie? — „Czy to wszystko jeszcze go obchodzi?” — pomyślał z rozpaczą. — Chcemy mu pomóc. On pomoże tobie. Tylko wytrzymaj. Proszę...

Nie był w stanie zapanować nad głosem przy ostatnich słowach. Wszyscy usłyszeli w nim drżenie. Julien spojrziała na niego z mieszaniną zaskoczenia, niedowierzania i niechęci. Zauważył to kątem oka. Teraz zupełnie go to nie obchodziło. Liczył się tylko Sel. To dlatego miał u siebie eliksir elfów! Miał nadzieję, że Sel kiedyś wróci...

Julien przyglądała się mu niczym egzotycznemu ptakowi. Nie widziała go nigdy wcześniej ani po tym, jak Sel zaczął spotykać się z Milerą. Nie było go w codziennym życiu Sela. Jakby czuł, że jego miejsce jest tylko w Domu Rozkoszy. Pewnie nigdy nie ujawnił dotąd swoich uczuć. Wszyscy, a zwłaszcza Sel, wiedzieliby o tym. Teraz patrzyli na niego równie zaskoczeni jak ona. Zniósł ich

spojrzenia, ignorując je. Już dawno minął czas, gdy baczny wzrok innych budził w nim zawstydzenie czy nieśmiałość. Przywykł do takich spojrzeń.

Sel zaś spoglądał na niego nieodgadnionym wzrokiem. Przeszedł tak wiele, że nie był nawet pewny, czy potrafi coś jeszcze odczuwać. Wydawało mu się, że jest pusty. Że uczucia wypłynęły z jego dziurawego serca i nie ma już nic. Z wysiłkiem zebrał się jednak w sobie, by podnieść na duchu zgromadzonych przy nim przyjaciół.

— Jak mógłbym przegapić taką awanturę — rzekł do nich, zdobywając się na heroiczny wręcz wysiłek, by wywołać uśmiech na twarzy.

Odpowiedzieli mu wymuszonym uśmiechem, nie dając się oszukać. Len ścisnął jego rękę.

Ross jednak spojrzął na Valerię, gdy położyła mu dłoń na ramieniu.
Zrozumiała go bez słów.

ROZDZIAŁ 7 — Krew i strach

Wieczór

— Moja lisiczko — powiedział z krzywym uśmiechem wicehrabia, gdy skończył się już ubierać. — Jesteś jak zwykle niezrównana.

Młoda hrabina Weren, odwrócona do niego plecami, uśmiechnęła się do swoich myśli. O tak, ten seks był niczym odświeżająca kąpiel po brutalnym potraktowaniu przez wicekróla. Do tego uzdrawiająca moc po dotyku przez Wiwana działała na nią pobudzająco. Radosny nastrój niemal ją rozpierał. Wicehrabia był młody, dobrze zbudowany, a w łożu swawolny. Potrzebowała właśnie tego. Przyjemnie zmęczona przeciągnęła się rozkosznie i obejrzała na niego. Pił wino, spoglądając na nią z dziwną mieszaniną pożądania i żalu.

— Będzie mi tego brakować — rzekł z nieoczekiwaną powagą.

Podszedł do niej. Zauważyła, że nie ma dla niej wina. Cóż za nietakt! Słowa, które wypowiedział zabrzmiały dziwnie złowieszczo. Zaniepokoiła się, lecz nie okazała mu tego. Powoli przesunął wzrokiem po jej ciele. Mimo ukłucia złości z powodu wina, obdarzyła go swym ciepłym uśmiechem, przeznaczonym dla najlepszych kochanków, tak niewinnie wyglądającym, tak innym od tego, co robiła w łożu. Pozornie niedbałym ruchem przesunęła dłonią po długich do pasa, płomiennych włosach, kaskadami spływającymi po plecach i po smukłej szyi, jakby nieco się przeciągając. Wodził wzrokiem za ruchem tej ręki. Potem spojrział na jej nagie piersi i kształtne biodra. W jego oczach widziała wahanie, które mylnie wzięła za zwiastun pożądania.

Chwilę potem to zobaczyła.

Sztylet!

Krew z podciętego gardła spłynęła na jej szyję i piersi. Chwyciła się obronnym gestem, chcąc zatamować ranę. W przeblysku przerażenia zrozumiała, że dar uzdrowiciela jej nie uratuje. Tylko jego bezpośredni dotyk mógł to zrobić, lecz trzebaby było najpierw stąd uciec i przemierzyć korytarz! Chciała wstać, naprawdę chciała. Dusiła się. Rozpaczliwie walczyła o swe młode, tak pełne energii życie, którym cieszyła się jeszcze przed chwilą. Zdołała jednak jedynie usłyszeć szybki, nerwowy głos wicehrabiego wśród ogarniającej czerwieni,:

— Wicekról zażądał ode mnie twojej śmierci w dowód lojalności. Podobno twoje usługi są już zbędne. Królowa cię zastąpi. Szkoda, ale jak to mówią: „Nie ma ludzi niezastąpionych”. Stałaś się zbyt uciążliwa, lisiczko. Podobnie, jak hrabia Beckert, twój obrońca.

Każde z tych słów wypełniały ją strachem. Lecz było za późno. Skonała w kałuży własnej krwi na podłodze.

Drżącą ręką uniósł kielich, by dopić wino. Zakrwawiony sztylet wypuścił z ręki, jakby nagle zaczął mu ciążyć. W milczeniu popatrzył jeszcze, jak jej włosy ciemnieją tam, gdzie dotyka ich krew.

Ta cena była konieczna.

Chwile powoli mijały, jedna za drugą, w zupełnej ciszy.

Nagle usłyszał pukanie. Wzdrygnął się nerwowo nim podszedł do drzwi.

— Panie wicehrabio — zobaczył za nimi bladą służącą. — Hrabina poleciła mi, bym przyszła po nią godzinę przed kolacją.

Starannie zasłaniając sobą wnętrze pokoju i maskując drżenie dłoni, odparł z wymuszoną uprzejmością:

— Hrabina zostaje dziś u mnie. Kolację zjemy tutaj.

Nie okazując zaskoczenia tą decyzją, dziewczyna skłoniła się w dygu. Przez cały czas jej twarz była bardzo poważna, jakby ledwie panowała nad sobą. Prawdę mówiąc jednak, nic go to nie obchodziło. Chciał już zamknąć drzwi.

— Tak, panie wicehrabio — rzekła mu i oddaliła się.

Zamknął drzwi i oparł o nie czoło, uspokajając łomoczące serce.

Najwyższy czas zawołać żołnierzy wicekróla.

* * *

Oliwier pierwszy raz zobaczył królową Konstancję tak blisko. Mieszkając w Wermodzie całe swoje życie, miał okazję widzieć ją nieraz w powozie lub nawet wtedy, gdy przemawiała do tłumu poddanych na ważnych uroczystościach. Nigdy jednak nie był tak blisko, by wyraźnie widzieć zielony kolor jej oczu. Wraz z księżną Redanu i kilkoma dwórkami siedziała teraz na tarasie zamkowym, niewidoczna dla poddanych. O tej porze taras spowijał cień, jednak panujący upał i parne powietrze wprawiały w rozdrażnienie i senność zgromadzone kobiety. Zadaniem Seleny było tym razem dostarczenie napojów orzeźwiających i pilnowanie by na pewno ich nie zabrakło. Gdy przyszedł, wciąż był duży zapas dzbanów, a służące wachlowały kobiety teraz zajęte haftowaniem i czytaniem książek. Królowa Konstancja, widząc służkę z nowym, zimnym napojem — jak mniemała (i słusznie, gdyż napoje trzymane były w zimnej wodzie strumienia, który niedawno przebił sobie drogę przez posadzkę korytarza łączącego dwa skrzydła zamkowe, a obecnie był ujarzmiony przez nadwornego architekta pod postacią fontanny, w której chłodzono napitki) — poprosiła o podanie go. Przejęty niespodziewanym spotkaniem Oliwier znalazł się blisko niej. Z bliska jej włosy były ognistorude, jej cera miała urocze piegi ukryte pod cienką warstwą pudru, a jej twarz... była jedną z najpiękniejszych, jakie widział w życiu. Uśmiechnęła się

i podziękowała uprzejmie, patrząc na niego, co stanowiło rzadkość w tym miejscu. Większość moźnych nie zwracała uwagi na to, kto ich obsługuje.

Nie pamiętał, czy coś odpowiedział.

Szybko znalazł się za drzwiami. Czy jego pośpiech był podejrzanym? Nie wiedział. Wiedział tylko, że musi wyjść, bo ukryte pod suknią spodnie boleśnie zaczynają go uwierać i naprawdę zrozumiał teraz, czemu mężczyźni mówią z takim podziwem o jej urodzie, a król szaleje na jej punkcie. Przy tym najwyraźniej prawdą było też to, że nie była próżna.

To było ostatnie zadanie przed pójściem do hrabiego Beckerta, którego brat zamknął w swoim pokoju, by czekał do zmierzchu. Wkrótce miał po niego wrócić.

Zastanawiał się czy męskie i kobiece wcielenie, które miał w sobie, nie doprowadzi go w końcu do szału. Z jednej strony czuł najwyraźniej budzące się zmysły, może za sprawą uzdrowiciela, a może jego samego — a z drugiej musiał je ujarzmić, by wcielić się w rolę. Nie wiedział, czemu pobyt tutaj tak bardzo mącił mu w głowie, ale zaczynał się tym niepokoić. Miał poważniejsze sprawy przed sobą, nie powinien się rozpraszać, bo łatwo było można popełnić błąd. Idąc korytarzem, narzucił sobie opanowanie. Zwłaszcza, kiedy po drugiej stronie zobaczył Alenę. Rozmawiała właśnie z wicehrabią o hrabinie Weren. Trzymając naręczę świeżych ubrań, potrzebnych w razie, gdyby uzdrowiciel chciał się przebrać do kolacji, skinął głową pilnującym drzwi wartownikom i zapukał.

Hrabia uśmiechnął się, widząc go ponownie. Wydawał się jednak czymś pochłonięty.

— Nie widziałeś teraz niczego podejrzanego? — zapytał niespokojnie, gdy tylko znaleźli się dalej od drzwi.

Pokręcił przecząco głową, zgodnie z prawdą, kładąc ubranie na stoliku.

— Coś się stało — szepnęła uzdrowiciel. — Coś złego... Ale moje zmysły... Zaczynam wszystko odczuwać, jakbym był na dnie studni...

— Może przyprowadzić medyka? — zaniepokoił się Oliwier.

Uzdrowiciel lekko się uśmiechnął.

— Nie on mi może pomóc.

— A kto?

— Ktoś, komu na mnie zależy. Troszczy się o moje dobro.

— Naprawdę?!

— Posłuchaj... Jakie właściwie naprawdę nosisz imię?

— Oliwier.

Uzdrowiciel spojrzał na niego z sympatią.

— Jeśli coś mi się stanie — zaczął z powagą — Jeśli zacznę umierać...

— Umierać?!

Uzdrowiciel gestem nakazał mu milczenie.

— Oni tego nie rozumieją. To nie jest jakaś moja fanaberia. Ten zamek jest

przepełniony zepsuciem. Zatrzuwa mnie. Niszczy. Potrzebuję życzliwości i miłości. Potrzebuję jej jak powietrza.

— Nie możesz jakoś zapanować na tym nastrojem? — zdziwił się Oliwier.
— Przecież ta niewola nie będzie trwała wiecznie. I nie jest tu tak źle.

— Jestem wrażliwy na nastroje — próbował mu spokojnie wyjaśnić uzdrowiciel. — To nie jest mój wymysł. Tak zostałem stworzony. Czerpię siłę z miłości. Tu prawie jej nie ma.

Wiedział jednak, że nie przekona chłopaka tymi słowami. Ciężko byłoby przekonać kogokolwiek, jeśli tego nigdy nie doświadczył. I być może nigdy nie doświadczy...

— To tylko jakieś...

Spodziewał się takiej właśnie reakcji.

Dotknął delikatnie jego ramienia. Oliwier poczuł jak napięcie go opuszcza, a myśli się uspokajają. Przypominało to dobre chwile, kiedy w dzieciństwie matka przychodziła nocą i okrywała go kołdrą, którą zrzucił przez sen. To kojące ciepło, jej dotyk, gdy głaskała go po głowie nim odeszła. Opanował go spokój, którego tak bardzo pragnął. To było wspaniałe uczucie.

— Spójrz — powiedział spokojnie uzdrowiciel. — Wystarczył mój dotyk i czujesz się lepiej. Czujesz się pewniej, jesteś spokojny, prawda? A z czego ja mam czerpać siłę? Może jest tu kilku ludzi, których trochę obchodzę, ale dla nich, jak i dla innych, jestem tylko użytecznym przedmiotem. Mógłbym zmienić nastroje ich wszystkich, złagodzić spory. Ale ich jest wielu. A ja jestem tu sam...

Umilkł, nie chcąc męczyć swego rozmówcy dalszymi wyjaśnieniami. Traktował swój dar z całkowitą powagą, nawet jeśli w oczach innych jego podejście do świata wydawało się nieco naiwne. Jego przyjaciele i bliscy traktowali to jako coś oczywistego. To mu zwykle wystarczało.

Oliwier zaczynał rozumieć.

W przypiływie impulsu objął go i ścisnął mocno, z całego serca pragnąc, by to pomogło.

— Posłuchaj — szepnął mu do ucha — to się wkrótce skończy. Wytrzymaj! A potem, po krótkiej chwili namysłu dodał, ostrożnie dobierając słowa: — Nie jesteś tu sam.

Bał się powiedzieć więcej. Gdyby zdradził, że jest tu jego brat, a coś by się stało... Obejmując Wiwana, czuł nawet przez ubranie, że tamten jest dziwnie chłodny mimo niezwykle panującego wokoło upału.

Nagle poczuł, że to ulega zmianie. Po tych wyszeptanych kilku słowach kojące i ciepło zaczęło promieniować z ciała uzdrowiciela. Przeszła mu przez głowę myśl, że o ile bardziej oddziaływałby on na wszystko swoją obecnością, gdyby właściwie o niego zadbano. Jego dotyk przywodził na myśl najmiłsze chwile w życiu. Od bardzo długiego czasu Oliwier nie czuł się tak dobrze.

Wiwan powoli wysunął się z jego uścisku. W jego oczach Oliwier dostrzegł to, co widział dawnej, gdy pierwszy raz zobaczył go wśród ludzi. Iskry życia. Nie znajdował na to innych słów. Tak jak wtedy, Wiwan stanął przed nim z tą samą energią, przestał się lekko garbić i nade wszystko teraz biła od niego tak niezwykła siła, jakiej w tym miejscu u niego dotąd nie widział.

— Sam zobacz, co daje mi już twój gest i słowa — szepnął uzdrowiciel. — Dzieje się tak, ponieważ są szczerze. Pomyśl, co będzie, gdy wrócę do swoich?

W tym momencie, choć wcześniej nigdy by się o to nie podejrzewał, Oliwier uświadomił sobie rzecz niezwykłą. Nie przypuszczał nigdy, że ktoś obcy tak szybko i równie mocno jak własna rodzina stanie się bliski jego sercu. Teraz nagle zrozumiał, że zrobiłby wszystko, by go chronić. Wiwan nie może w tym miejscu zostać dłużej! Ono go zabije!

— Posłuchaj — rzekł poważnie, świadomy niezwykłej zmiany w jego sercu. — Jestem gotów pomóc ci w ucieczce. Muszę też jednak coś zrobić. Od tego zależy godność i życie mojej siostry! Przybyłem tu, by coś zabrać...

Bez dalszych wstępów opowiedział mu o Morenie i swoim zadaniu. Nie wspomniął jedynie o tym, co stanie się z nim, gdy powróci. Dopóki był w zamku, mógł spojrzeć na to z dystansu. Wydawało mu się jednak, że w oczach uzdrowiciela zobaczył cień podejrzliwości. Jakby tamten wiedział, że za tą historią kryje się coś jeszcze. Wiwan nie powiedział jednak na ten temat ani słowa.

— Więc o to chodziło? — zapytał. — O mój wisior?

Oliwier jęknął w duchu. W ten sposób słowa sprowadziły jego opowieść na zupełnie inne tory. Złodziej łudzący uzdrowiciela obietnicami dla pozyskania pożądanego przedmiotu!

Ta myśl przygnębiła go tak bardzo, że miał ochotę wyjść natychmiast. Lub nawet poddać się zupełnie.

— Wierzę ci — zapewnił go Wiwan, wyczuwając jego nastrój. — Oczywiście, że ci go dam.

— Oddam ci!

— Wiem — uśmiechnął się pogodnie uzdrowiciel, słysząc tak szczerze zapewnienie. Oliwier z całą pewnością nie chciał go oszukać. Potrafił to wyczuć.

W jego towarzystwie wreszcie poczuł się lepiej, niż przez ostatnie dni. Nareszcie. Zaczynał już dusić się w tej atmosferze a to wcale, o czym doskonale wiedział, nie wróżyło dla niego dobrze.

Zgonie z przewidywaniami swego brata, sięgnął więc bez wahania do zapięcia łańcuszka na karku.

Wtedy gwałtownie otworzyły się drzwi...

W progu stanął kapitan Gereme i kilku jego ludzi.

— Panie hrabio! — Rzucił krótko — Zaraza jest w zamku! Jedna ze służących upadła w kuchni. Trzeba się spieszyć!

W mgnieniu oka wszystko inne poszło w niepamięć. Wiwan zdążył się już przekonać, jak szybko śmierć wyciąga ręce po chorych.

— Choć ze mną! — rzucił szybko Oliwierowi.

— Dziewczyna miała dziś wiele zajęć w związku z panującym upałem — mówił po drodze siwowłósy kapitan, podczas gdy jego ludzie w pośpiechu rozchodzili się po korytarzach. — Moi ludzie dzięki wskazówkom ochmistrza znajdą tych, u których dziś była i zgromadzą ich w sali jadalnej.

— Doskonale kapitanie — odparł krótko Wiwan. Nie znosił tego człowieka. To właśnie Gereme brutalnie ściągnął go do zamku. Ograniczał więc wymianę zdań z tym człowiekiem do minimum.

Kapitan do tej chwili nie przeprosił go za złe traktowanie, a nawet nie czuł się w jakikolwiek sposób winny. Uważał, że zrobił wszystko, co zrobić musiał i jak tego od niego oczekiwała zwierzchność. Rozkaz brzmiał, by sprowadzić uzdrowiciela do zamku za wszelką cenę, bez względu na konsekwencje. To oznaczało, że w imię dobra króla i jego rodziny mógł nawet wymordować tych, którzy próbowaliby stawiać opór. Omal do tego nie doszło.

Wiwan, chociaż zwykle nie bywał pamiętliwy, tym razem nie zamierzał puścić tego w niepamięć, tym bardziej, że Gereme nie zamierzał go przeproszać za sumienne wykonanie rozkazu. Nie była to kwestia ślepego posłuszeństwa wobec króla, lecz fanatycznej wręcz lojalności i dyscypliny. Rozkaz musiał być wykonany. I nawet krew i łzy tego nie zmieniają. Ich nieliczne spotkania polegały więc na wymianie koniecznych informacji. Przy czym Gereme wierzył w złe zamiary wicekróla, ponieważ udaremnił kilka spisków z jego strony na życie brata. Nigdy jednak nie było bezpośrednich powiązań wicekróla z zamachowcami. Ci ostatni szybko ginęli, a tropy przepadały. Mając więc szczególną troskę o dobro królewskiej rodziny, kapitan nie puszczał mimo uszu słów uzdrowiciela w tej jednej ważnej dla niego kwestii.

— Porucznik Delen bada teraz jedną niepokojącą sprawę — dodał kapitan, gdy byli już na korytarzu prowadzącym do kuchni. — Nikt nie wie, gdzie jest hrabina Weren, panie hrabio. Podobno miała pójść na schadzki do wicehrabiego Marden, ale ten nagle twierdzi, że jej nie widział.

Wiwan zatrzymał się gwałtownie.

To uczucie...

Przybycie Oliwiera rozproszyło jego uwagę. Echo uczuć, które nagle dotarły do jego duszy, były tak słabe jak ukłucie igłą i równie szybko rozplynęły się w nicość. Wyczuł tylko czyjś strach. Teraz to już przepadło. Nie czuł się najlepiej, gdy się pojawiło, a teraz nie umiał już ich określić. Odeszło...

Ale znaczyło coś bardzo złego. I nie było z daleka.

Czy mogła to być Nilan?!

— Panie hrabio? — kapitan spojrzał na niego pytająco.

Wiwana spojrział na Oliwiera, świadka porannych zajęć z wicekrólem. Oliwier zrozumiał niepokój malujący się na jego twarzy. On również powiązał fakty. Czas jednak naglił. Nie mogli dłużej zwlekać. Pobiegli do kuchni gnani niepokojem.

Na środku podłogi leżała dziewczyna. Wszyscy wcześniej tu obecni, uciekli w popłochu, jedynie nadworny medyk wraz z pomocnikiem walczył o jej życie. Medyk obmywał jej usta wodą, podczas gdy młody pomocnik alkoholem pocierał z całej siły jej blade nogi i brzuch. Jej czarna spódnica podniesiona była do góry. Na białej niemal skórze widać było niebieskie nitki żył.

— Wielka Matko, najwyższy czas!! — zawołał zdenerwowany medyk. — Wiwana, w gorszym miejscu to nie mogło się stać!

Wiwana przypadł do nich na kolana, bez chwili zwłoki. Dłoń położył na brzuchu chorej. Drugą położył na czole dziewczyny, jakby chciał zmierzyć temperaturę.

— Alena — szepnęła tymczasem wstrząśnięty Oliwier.

— Przynieś czyste szmaty, skarbie — polecił mu medyk. — I dorzuć drew do kominka. Żwawo dziewczyno!

Pospiesznie zaczął wypełniać polecenia, zerkając przez ramię.

Alena spojrziała na Wiwana przytomniejąc. Wstrząsana drgawkami, niezdolna powiedzieć słowa, zacisnęła dłoń na jego dłoni spoczywającej na brzuchu.

— Wiem — powiedział do niej łagodnie. — To zaraz minie. Jeszcze tylko ciało się oczyści. Jeszcze tylko ten raz, Aleno. Już tu jestem.

Nieczystości zabrudziły jej bieliznę, biała papka, na kształt ryżowego kleiku wypłynęła z jej ust. Alena jęknęła rozpaczliwie upokorzona swoim stanem. Oliwier zamarł zdruzgotany tym widokiem, pełen bóleści i ponurych wspomnień. Wiwana delikatnie pogładził dziewczynę po głowie.

— Dobrze — rzekł wciąż tym samym spokojnym, melodyjnym tonem. — Teraz jest już po wszystkim. To zaraz minie. Czujesz ciepło? Będzie dobrze, zobaczysz.

Na jego twarzy nie pojawił się nawet przez moment grymas odrazy. Oliwier widział, że młody pomocnik medyka cofnął się niespokojnie na widok nieczystości, ale medyk Sedon uważnie i z podziwem obserwował działanie uzdrowiciela. Oliwier zauważył także coś jeszcze. Korzystając z tej niezwyklej sytuacji Sedon z troską przyglądał się samemu Wiwanowi. Ten zaś nie zabrał ręki spod dłoni dziewczyny, choć jej uścisk musiał go boleć. Przez cały ten czas, kiedy z wolna brzuch przybierał normalną barwę, a nogi przestały mieć kolor marmuru, przemawiał do niej spokojnie. Jej oddech powoli się uspokajał, a drgawki ustawały.

Wreszcie pojawiły się łzy ulgi i zmęczenia.

Oliwier na znak medyka sięgnął po czyste, płócienne ściereczki z kredensu. Uśmiechnął się pocieszająco nim zaczął ją obmywać. Bez słowa, lecz tak

delikatnie, jak tylko potrafił, przejęty tym co teraz zobaczył. Sedon gestem nakazał pomocnikowi wyjść i usunąć te szmaty, których użyto wcześniej. Wiwan dotknął czoła chłopca, nim wyszli. Medyk uściśnął mu ramię w niemym podziękowaniu. Dopiero wtedy Wiwan zdobył się na ciche westchnienie ulgi.

Oliwier został z nim sam przy wyleczonej dziewczynie. Alena patrzyła w oczy uzdrowiciela. Rozumiał. Nie chciała, by patrzył tam, gdzie Oliwier ją teraz obmywał, wciąż jak inni przekonana, że jest Seleną. Zaciskała dłoń, choć uścisk wyraźnie słabł. Oliwier wymazał z pamięci wszelkie znaczenie tego, co właśnie widział. Skupił się na delikatnym myciu, nie myśląc o udach i ciele kobiety. Zdjął brudną bieliznę. Po skończeniu zrobił prowizoryczne pieluchy z czystych ścierek i założył. Bez śladu myśli, które miał przy królowej czy hrabinie Weren, bez obrzydzenia. Jakby robił to przez całe życie. Pilnował się tylko, by wszystko przeszło zgrabnie i szybko. Poprawił sukienkę. Obmył twarz Aleny, spoglądającej już teraz na niego z wdzięcznością. Uśmiechnęła się słabo do nich obu nim zasnęła.

Wiwan dotknął czoła Oliwiera, na którym perlił się pot.

— Dla ochrony — wyjaśnił.

— Zauważyłem.

— Musi być ci bardzo gorąco w tym wszystkim.

— To stanowczo za mało powiedziane — odparł Oliwier z przekąsem. — Zaniesiemy ją do jej pokoju?

— Zawołam Sedona. Ty jesteś dziewczyną, a ja nie mam na to dość sił. Zostań tylko przy niej, by ją przebrać z tej sukni. Do rana wydobrzeje. Musi tylko odpocząć.

— A ty? Wyglądasz na zmęczonego.

— Miałem ciężki dzień — uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo — Prześpię się jak zabity aż do świtu i będę jak nowonarodzony.

Oliwier przyjrzał się bacznie uzdrowicielowi. Pomimo zmęczenia, Wiwan i tak wyglądał lepiej niż rano, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Chyba rzeczywiście mu pomógł. Zdziwiło go to, lecz jednocześnie napawało też pewną dumą.

Wiwan spojrzał raz jeszcze na śpiącą i uwolnił wreszcie swoją dłoń, na której widać było wyraźny czerwony ślad...

Wstał, by wezwać medyka.

Sedon zaczął natychmiast wydawać polecenia. Jeden z kucharzy, który widocznie darzył Alenę szczególną sympatią, zaniósł ją do przydzielonego jej pokoju. Wraz z nim odszedł zgodnie z prośbą Wiwana Oliwier i wszystko zorganizował.

Dopiero wychodząc, uświadomił sobie, co w sprawie zaginięcia hrabiny wydawało mu się podejrzanym od samego początku.

Kapitan Gereme przekazał słowa wicehrabiego. Ten twierdził, że hrabina Weren nie przyszła do niego. Tymczasem on, Oliwier, widział, jak Alena rozmawia

z wicehrabią przez uchylone drzwi. Tyle, że nie słyszał słów, wciąż przejęty niedawnym spotkaniem z królową i prośbą złożoną Wiwanowi.

Teraz jednak przypomniał sobie rozmowę z Aleną.

Alena mówiła, że musi pójść po hrabinę przed kolacją...

Wiwan spytał go zaraz po przyjściu, czy nie zobaczył czegoś podejrzanego.

Coś najwyraźniej wyczuł...

Oliwier poczuł, jak zaczyna ogarniać go groza.

Sympatyczna, choć rozpustna hrabina.

Incydent z wicekrólem.

Jawne kłamstwo wicehrabiego. Dziwne przeczucia uzdrowiciela.

Alena mogłaby powtórzyć, co powiedział jej wicehrabia, ale teraz była na to zbyt wyczerpana.

Był pewien, że hrabinie coś się stało. Może nawet nadal jest w pokoju wicehrabiego?

Musiałby spotkać się z Delenem i zbadać to. Sam nie może tam iść. To zbyt niebezpieczne. Nie mógł, choćby ze względu na więź, narażać się na takie ryzyko.

Miał się tym zająć? Czy zostawić wszystko i uciekać z braćmi Beckert z zamku zgodnie z planem?

Zostać, czy odejść?!

Co, jeśli tej uroczej kobiecie coś się stało? Jeśli potrzebuje pomocy?

Potrafiłby spojrzeć w oczy Wiwanowi, wiedząc, że ją zostawił?

Komukolwiek?

Zabierze Pafiana i razem poszukają Delena.

Wrócił pośpiesznie do swojego pokoju.

— Co z moim bratem? — zapytał natychmiast Pafian

— Poszedł spać. Właśnie uratował dziewczynę przed śmiercią. Daj mi chwilę... — usiadł zmęczony napięciem i niepokojem. Musiał się skupić. — Pora się stąd zbierać i zabrać twojego brata. Tylko najpierw jeszcze coś sprawdzimy.

— Jeśli mowa o rodzinie — rzekł Pafian, wyciągając z kieszeni kawałek pergaminu. — Ktoś to wsunął pod drzwi, gdy tu kwitłem z nudów.

Zaskoczony Oliwier wziął podany pergamin, myśląc, że pewnie Delen daje mu jakiś znak. Na kartce skreślono starannym pismem zagadkowy tekst: „Nie wracaj do domu. Czekamy tu na ciebie. Twoja rodzina”.

Wpatrywał się w pismo ze zdumieniem. Niewątpliwie charakter pisma należał do Julien. Treść była nieco dziwna, ale z uwagi na okoliczności to zrozumiałe. Nie wyczuł w tym strachu czy przymusu.

Więc była wolna! Uciekła Morenowi i czekała gdzieś tutaj na niego. Ktoś jej pomógł. Pewnie Sel. W duchu pomysłał z wdzięcznością o swym chorym przyjacielu. Dopiero w chwilę potem dotarła do niego inna myśl, pełna niewysłowionej wręcz ulgi.

Nie musiał wracać do Morena...

Usiadł, by ochłonać. Zbyt wiele naraz zaczynało się wokół dziać, a czuł, że daleko jeszcze dziś do końca. Ale przynajmniej było to... Już nie musi... Nie musi...

— Daję ci parę chwil na zachwyt i ruszamy — stwierdził rzeczowo Pafian, ciesząc się w duchu jego radością. — Kręci się tu coraz więcej straży.

Słyszając słowo „straż”, Oliwier spojrział na Pafiana nieco nieprzytomnie.

A potem zrozumiał podświadome myśli...

* * *

Królewskie ogrody zajmowały ogromną przestrzeń, w większości rozciągającą się za zamkiem. Z przodu prowadziła do zamku aleja wśród nielicznych drzew palmowych i mieszanych. Ogród układał się na niewielkich wzgórzach niczym delikatny kobierzec mieniący się tęczą barw. Pośród alejek, ścieżek i mostków wiły się strumienie, mieniły niewielkie stawy, a kwiaty i krzewy wszelkich odmian i odcieni kwitły przez cały rok. Z łatwością wśród panującego tu gąszczu można się było ukryć. Nawet, jeśli trzeba było ukryć także biały, ozdobiony wóz. Lub zgraję opryszków.

Sel unikał każdego z charakterystycznych miejsc w ogrodzie. Doskonale wiedział, że Moren zna każdą altankę, ozdobną basztę czy posąg w tym miejscu i tam w pierwszej kolejności będzie ich szukał. Zgodnie z jego przypuszczeniami jedną z grup znaleźli przy charakterystycznych pniach wielkiej sekwoi. Jeden z dwóch pni ułożył się tuż nad ziemią w łagodny łuk, obok którego zatrzymało się kilku członków bandy, dwóch wysyłając na zwiady.

Problem tkwił w tym, że byli to ludzie Ramoza...

— Ilu ich jest, Alesei? — Sel podszedł do okna, wolno niczym starzec. Wciąż odzyskiwał siły.

Młody mężczyzna, który jeszcze niedawno, przed wybuchem zarazy, wraz z przyjacielem zabawiał bogate klientki w Domu Rozkoszy, przysiadł przy nim na komodzie. Należał do tych, którzy dla wyróżnienia się nie nosili, jak Ross, ostrego makijażu. Jego ciemne włosy splecione były w warkocz, a pod skórą grały dobrze wyćwiczone mięśnie.

— Dziesięciu. W tym Ramoz. Dwóch przeszukuje okolicę.

— Nie zostało mu wielu popleczników — Sel uśmiechnął się z satysfakcją.

— Ta zaraza ich trochę przerzedziła — Alesei skrzyżował ręce na piersiach.

— Szybko nas znajdą.

— Im nie chodzi o nas. Tylko o uzdrowiciela.

— Też mam taką nadzieję.

Sel obejrzał się za siebie. Julien spała w łóżu, przykryta kolorową narzutą.

Sam o to zadbał. Była bardzo zmęczona.

— Myślisz, że znajomy strażnik Sai i Leny dostarczył list Oliwierowi? — zapytał.

— Selenie — Alesei uśmiechnął się, wyobrażając sobie chłopaka, którego parę razy zdarzyło mu się widzieć jako syna złotnika, w damskich ciuszkach. — Dobrze, że Darmon był tam wtedy, gdy uczono młodego tej historyjki przed wyjazdem. Podobno Oliwier był nie do poznania — pokręcił głową z uśmiechem. — Oczywiście, że strażnik dostarczył wiadomość. Powiedział Sai, że tęskni za następnym spotkaniem.

Sel uśmiechnął się także, choć ze smutkiem. Niespodziewanie przypomniała mu się Milerka. Ścisnęło go w gardle z żalu.

— Co jest?! — zaniepokoił się natychmiast Alesei, widząc zmianę na jego twarzy.

Kiedyś widział, jak Sel dusił się, nie mogąc złapać tchu. Nie mógł zapomnieć tamtego widoku. Ani swojej wtedy bezradności.

— Pomyślałem o Milerce — wyjaśnił mu Sel.

Alesei w duchu odetchnął z ulgą, choć jednocześnie głęboko mu współczuł. Lubił Milerkę.

— Gdzie jest Darmon? — zapytał Sel, przerywając po chwili milczenie — Powinien już wrócić.

Alesei wyjrzał przez okno z niepokojem. Na zewnątrz byli pozostali, ciesząc się wonnym powietrzem ogrodu, a Ross mył się szybko w miednicy z wodą. Zmywał makijaż. Alesei zerknął na Selariona, który wciąż był pomalowany. Ciemna kredka oczu rozmazała się w grubą kreskę. Wyglądał jak jakiś duch śmierci. Może dziewczyny mogłyby się tym zająć. Albo Ross. Wyglądało to upiornie.

— Oby nie tam, gdzie pomyślałem, że jest — odparł mu cicho.

Zobaczył w jego oczach ten sam niepokój, który nim targał.

* * *

Julien otworzyła zaspane oczy. Sel stał przy oknie z jednym z tych młodzieńców, których profesjonalne uśmiechy nieco ją denerwowały. Czowała się naga pod ich spojrzeniami, jakby potrafili odgadnąć każde jej ukryte pragnienia i myśli.

— Sel — powiedziała cicho, zaskakując obu mężczyzn nagłym brzmieniem swojego głosu. — Powinieneś odpoczywać.

— Nie mogę leżeć — odparł jej, zgodnie z prawdą.

Wstała i podeszła do nich, unikając wzroku Aleseia.

— Pozwoliłeś mi spać zbyt długo.

— Potrzebowałaś tego. Musisz mieć siłę.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Trzymasz się? – spytała z troską.

Ross opowiedział jej o losie rodziców Sela, gdy chory zasnął. Nigdy ich nie lubiła. Wydawali się uprzejmi, ojciec Sela był nawet miły, jednak dla niej zawsze najważniejsze było to, że czekali na śmierć swojego syna. Pozornie dbali o niego, miał opiekę, był zawsze zadbany tak, jak powinien być jako osoba nosząca szanowane od pokoleń nazwisko. Ale go nie kochali. Jej matka częściej ocierała mu łzy, pocieszała, rozmawiała z nim, niż jego własna.

Nie odpowiedział, ale jego oczy ujawniły ukrywane cierpienie.

Ross wszedł do środka.

Wpatrzyła się w niego zdumiona. Wyglądał tak zwyczajnie, choć jednocześnie tak niezwykle, jak na niego. Pod makijażem ukrywał się sympatyczny chłopak o ciepłym spojrzeniu. Teraz wilgotne włosy skręcały mu się lekko. Zniknęła cała drapieżność, wyzywające spojrzenie, nawet prowokacyjne ruchy. Poczula ukłucie żalu, widząc, jak patrzy na reakcję Sela i szczerze ją to zdziwiło. Ross zmienił wygląd, to prawda, lecz nie zmienił upodobań. Z niewiadomych powodów czuła się teraz tym zraniona i zawiedziona. Jakby nagle zobaczyła go innymi oczami...

Sel miał minę, jakby dopiero teraz rzeczywiście go dostrzegł. Kryło się w tym także coś jeszcze, coś, co Alesei zauważył wprawnym okiem. Ross także to zauważył.

— Masz jakąś koszulę? — Alesei spytał z pozorną swobodą, jakby niczego nie dostrzegał.

— Właśnie przyszedłem sprawdzić, czy Valeri mi coś wzięła.

— Dam ci moją — rzekł szybko Alesei, niemal wchodząc mu w słowo. Po minie Sela widział, na co się zanosí — Plecak mam z tyłu wozu.

Po czym zerknął znacząco na Julien, która nie rozumiała zupełnie powodów jego zachowania i wyszedł.

Zostali we troje.

Julien dopiero teraz poczuła się niezręcznie. Wyraźnie na coś się zanosíło. Ross, który wiedział już, o co chodzi, poczuł się skrępowany spojrzeniem Sela. Ledwie parę dni temu byłby wdzięczny losowi za to ponowne zainteresowanie. Teraz coraz bardziej zaczynał się czuć tym poniżony. Nie przyniesie mu to nic dobrego.

Sel podszedł do niego powoli, prostując się. Upił łyk eliksiru, który stale trzymał teraz przy sobie i odrzucił pustą butelkę. Ross poczuł wzbierający żal. Sel nigdy nie podchodził do niego tak bez słowa, nie zaczynał nigdy w ten sposób. Tak robili klienci, którym zależało jedynie na szybkim zaspokojeniu...

Julien spuściła wzrok, by ukryć niespodziewane łzy. Nie mogła jednak na

długo oderwać oczu od ich obu.

Sel ujął twarz Rossa i pocałował go. Nie był to delikatny pocałunek. Był gwałtowny, zapalczywy, jakby drzemała w nim jakaś siła szukająca ujścia. Zaczął zapamiętale go całować, szamotać i pieścić, a w jego ruchach nie było śladu powściągliwości i opanowania. Nie było żadnej delikatności.

Nagle opanowała go chęć, by pozbyć się całego nagromadzonego napięcia naraz, gwałtownie, bez zahamowań. Zagłuszyć cierpienie, wyłączyć myśli. Zaspokoić się.

Julien poruszona jego zachowaniem postanowiła wyjść. On, przyjaciel, jeszcze niedawno mąż jej najlepszej przyjaciółki zamierza teraz...?

Nie mieściło jej się to w głowie.

Nie potrafiła tego zrozumieć.

I Ross... Chłopak, którego polubiła. Prawda, wiedziała, kim jest, ale nie wiedziała, że będzie...

Że właśnie tu i teraz...

— Sel... — szepnął Ross. — Sel, przestań!

Czuł się w tej sytuacji coraz gorzej. Obecność Julien przy jego upokorzeniu była jeszcze bardziej krępująca. Przechodziła właśnie, chcąc ich opuścić, a wtedy Sel postawił na swoim, bo Ross nie będzie w stanie mu odmówić. Chwylił zatem w reakcji obronnej rozpaczliwie jej rękę swoją wolną dłonią, próbując odsunąć od siebie rozgorączkowanego Sela. Spojrzała na niego zaskoczona, wytrącona z równowagi ich zachowaniem. Zobaczyła niemą prośbę o pomoc.

Zrozumiała, co teraz czuł Ross. Jak bardzo zachowanie Sela raniło jego uczucia.

— Sel — pochwyciła go natychmiast i zaczęła delikatnie odciągać. — Zostaw go. Nie widzisz, jak go ranisz? Ross nie jest kurewką, której zapłaciłeś. Jemu na tobie zależy.

Sel spojrzał na nią przepętniony cierpieniem. Poczula żal, widząc jego ból. Z wolna osunął się na kolana i ukrył twarz w dłoniach.

W ciszy, która zaległa słychać było parskanie koni na zewnątrz i ciche głosy. Ross zamknął oczy. Poczul nagle, jak Julien przytula go delikatnie i trzyma w tych objęciach. Odwzajemnił jej uścisk, wdzięczny za niespodziewanie ciepły gest. I zrozumienie.

Ukląkł po chwili, delikatnie wysuwając się z jej objęć, by pocieszyć zdruzgotanego nieszczęściem Sela.

* * *

— Nie mogę znaleźć Wiwana — rzekł do nich Kirian, gdy Oliwier przyprowadził go ukradkiem do swojego pokoju. — Szukałem go wszędzie poza

komnatami królowej i salą jadalną. Może właśnie tam jest. Drzwi są zamknięte. Król rozkazał podwoić strażę, Geron szaleje. Muszę wracać. Zauważą moją nieobecność.

— Dzięki i za to — powiedział Pafian, biorąc z rąk Oliwiera pakunek. — Chociaż... znasz moją niechęć do mundurów.

Kirian uśmiechnął się. W wielu cechach przypominał starszego brata. Te same ciemne włosy, te same oczy i ta sama postawa. Wyraźne cechy rodziców. Jednak uśmiech miał zupełnie inny. Łagodny. Z ciepłem w oczach.

— Twój brat pomógł mi w zeszłym tygodniu — powiedział do Pafiana — Nils, jeden z przybocznych wicekróla, ubzdurał sobie, że przystawiam się do jego dziewczyny, która tu pracuje. Ciął mnie sztyletem przez twarz — wskazał kierunek nacięcia od lewego policzka do brody. — Powiedział, że teraz żadna już na mnie nie spojrzy. Trzy dni przesiedział za to w lochach. Wiwan mnie wyleczył. Pogadaliśmy. Pośmialiśmy się. Nic się nie zmienił, jeśli chodzi o podejście do ludzi. Tylko... — ciągnął dalej, podczas gdy Pafian w pośpiechu się przebierał. — Bardzo chce wrócić do domu. Podobno prawie nic nie je. I strasznie posmutniał. To miejsce źle na niego wpływa.

Pafian zacisnął szczęki w żalu i gniewie. W domu widział Wiwana przygnębionym bardzo rzadko, kiedy leczył kogoś po skutkach wyjątkowego okrucieństwa lub nie zdążył z pomocą. Znał brata niemal tak dobrze, jak siebie samego. Wiwan był od niego starszy o dwa lata i nie był dzieckiem jego ojca, ale to nigdy dla nich nie miało znaczenia. Był jego wzorem. Może nie we wszystkich sprawach, bo czasem Wiwan podchodził do życia zbyt emocjonalnie. Energiczny Pafian, który od dziecka nie mógł usiedzieć na miejscu rozwiązywał problemy w swoim życiu zupełnie inaczej. Ale brat był zawsze dla niego autorytetem. Uczył go słuchać innych, rozważać swoje poczynania także z punktu widzenia tej drugiej strony. Co prawda to przydawało się najczęściej w walce, by przewidzieć ruchy przeciwnika, ale jednak.

Przełożył łańcuszek z niewielkim flakonikiem za koszulę i zaczął zapinać guziki munduru. Wszystko to robił szybko i bez wysiłku. Kirian obserwował to z pewnym zdumieniem:

— Nie zostałeś ranny, gdy Geron zabierał Wiwana?! Mnie mówiono, że tak.

— Zostałem ranny — Pafian skrzywił się na wspomnienie pchnięcia mieczem w ramię, którym uraczył go jeden z żołnierzy oddziału kapitana Gereme. — Ale Wiwan zawsze zostawia nam ochronę, gdziekolwiek się wybiera. Każdy w naszej rodzinie nosi to — wyciągnął flakonik.

Kirian i Oliwier wpatrzyli się w przedmiot. Wewnątrz dojrzeli płyn koloru rubinu.

— To jego krew? — spytał cicho Oliwier.

Pafian skinął głową.

— Pomaga na wszystko — dodał.
— Cenny dar — rzekł z podziwem Kirian bez śladu zachłanności.
— Idziemy? — zapytał Oliwier nieco niecierpliwie.
— Gdziekolwiek zechcesz, pani — uśmiechnął się zawadiacko Pafian.
Oliwier zgromił go spojrzeniem.

* * *

— A więc? — spytał Pafian, gdy stanęli w miejscu rozwidlenia korytarzy, tuż pod wysoką wieżą zegarową. — Co teraz?

— Słońce właśnie zaszło — rzekł Oliwier. — Wyjdę przez okno na zewnątrz, a stamtąd bez wysiłku po krótkiej wspinaczce po skałkach i murach zajrzę do pokoju wicehrabiego. Tu nawet nie trzeba się starać. Ty stań na czatach.

— Nieźle — pokiwał głową Pafian. — Mam jedno pytanie?

— Myhym? — Oliwier otworzył okno za załomem muru, niewidoczny dla wartowników, stojących przed komnatami uzdrowiciela.

— Wszystko to zamierzasz robić w tej kiece? — Pafian z rozbawieniem wskazał suknię służącej.

Oliwier zaczął unosić rąbek sukni.

— Błagam, oszczędź mi tego — udał zgorszenie Pafian.

Oliwier spojrzał na niego z przekąsem.

— Mam spodnie — zauważył sucho. — A poza tym zostawię suknię na dole. Nie mogę bez niej poruszać się po zamku.

— Świetnie, ulżyło mi — rzekł szeptem rozbawiony Pafian. — Idź, zanim zauważą, że chodzę sam.

Chwilę wcześniej pozbyli się dwóch niewtajemniczonych strażników. Oliwier celnym strzałem z procy odwracał ich uwagę, a Pafian uśpił ich na dobre silniejszym ciosem. Obaj wylądowali za oknem w niewielkim zagłębieniu skalnym, a krzaki zamaskowały ich ciała. Z tego miejsca mogli się co najwyżej poobijać. Cały zamek ustawiony był na skale i podobnych zagłębieniach oraz nierówności nie brakowało wokół.

— Co powiesz, jeśli...? — zwrócił się do niego Oliwier.

— Że patroluję korytarz zgodnie z rozkazem.

— Idę — rzucił krótko chłopak i zeskoczył.

Ciemne włosy peruki i suknia zlały się w jedno w słabym blasku kończącego się dnia. Pafian wyjrzał, sprawdzając czy ktoś zauważył ich manewry. Wyglądało na to, że nie. Zerknął na panoramę Wermodu w dole, nieliczne światła oraz piękno budynków i wieżyczek strażników. W oddali zobaczył mury okalające miasto, a za nimi doliny i góry.

— Panie hrabio — usłyszał nagle zbliżający się głos z korytarza, którego w

tym miejscu nie widział dobrze — znamy przyczynę choroby tej pokojówki. Woźnica, który dziś towarzyszył tej dziewczynie, siostrze Celiny, miał jej objawy, według słów Nadwornego Medyka. To podobno była tylko kwestia czasu, kiedy nastąpiłby atak taki, jak u nieszczęsnej Aleny. Żywność zapewne pochodziła ze skażonych zbiorów lub sam ją skaził. Spaliliśmy wszystko.

Pafian rozejrzał się gorączkowo. Wiwan nie mógł go teraz zobaczyć, gdyż swoją uczuciowością mógłby go zdekonspirować. Zamknął okno i ruszył powoli przed siebie. Po chwili zobaczył wartowników przed komnatami brata. Wiwan tymczasem zbliżał się do rozwidlenia, a jak zwykle gadatliwy ochmistrz ciągnął dalej nerwowo:

— Dlatego pozwoliłem sobie przyprowadzić oddział porucznika Delena do sali jadalnej. Spotkał już pan tę odważną dziewczynę, prawda panie hrabio? Wysłałem ją zaraz do pana dziś rano.

— Widziałem się z Seleną — odparł spokojnie uzdrowiciel.

— Nadworny Medyk polecił mi, panie, przekazać, że kolacja ze zrozumiałych względów będzie mocno opóźniona. Wciąż tam wszystko myją i szorują. Czy przyprowadziłem do pana kucharza, który zaniósł Alenę do jej pokoju?

— Nie jestem pewien — odparł zmęczonym głosem Wiwan.

— Cóż, zapytam go w takim razie, czy na pewno tam był — mruknął pod nosem ochmistrz.

W tym momencie doszli do okna, przez które wcześniej wyglądał Pafian i Wiwan z zaskoczenia zatrzymał się nagle. Poczł znajomy zapach i resztki pulsującej energii kilku znajomych osób. Wyczuł Oliwiera. Oprócz niego był ktoś jeszcze w tym miejscu, ale jego obecność mieszała się z zapachem innej osoby. Niestety niewiele zapachów rozróżniał, choć po miesiącu pobytu może powinien. Zbyt rozpraszały go inne sprawy, by to zapamiętywać.

Pulsująca aura była tak niezwykle podobna do tej, którą roztaczał Pafian. Ale ten zapach...

— Panie hrabio? — zapytał zdziwiony ochmistrz, a strażnicy im towarzyszący spojrzeli z lekkim zdziwieniem na uzdrowiciela.

Wiwan westchnął. Był tak wyczerpany, że ledwie trzymał się na nogach. Przed chwilą opuścił salę jadalną, gdzie położył dłonie na każdej osobie, która od rana miała kontakt z Aleną, nie licząc Oliwiera, Sedona i jego pomocnika. Na dzień dzisiejszy miał dość i zaczynało mu być wszystko jedno, czy zje teraz cokolwiek. Wciąż czuł się pokrzepiony na duchu, ale jego ciało odmawiało już posłuszeństwa. Oczy dosłownie same mu się zamykały. Ledwie zauważył, że przed nimi idzie strażnik, który nie obejrzał się za siebie. Zwykle go zawsze witano. Wartownicy przy drzwiach jego pokoi wyprostowali się na jego widok, a jeden z nich uprzejmie otworzył mu drzwi. Musiał wyglądać upiornie.

— Marcus — Wiwan z wysiłkiem uśmiechnął się do gadatliwego ochmistrza — przekaż wszystkim, że idę na spoczynek. Nie będę jadł. Marzę tylko o śnie.

— Dobrze, panie hrabio — odparł ochmistrz ze zrozumieniem, widząc jego zmęczenie. — A rano każe podać solidne śniadanie do pokoju.

Oddalony o kilkanaście metrów Pafian, któremu korytarz zaczynał się już kończyć, usłyszał, jak za bratem zamykają się drzwi, a ochmistrz wraca wraz ze strażnikami do rozwidlenia korytarza, skąd pewnie uda się jeszcze do kuchni. Wtedy właśnie odważył się odwrócić i powoli zaczął iść do swojego stanowiska przy oknie. Oliwier powinien już wracać.

* * *

Oliwier przylgnął do ściany zlany potem, czując, jak przerażenie ściska go za gardło.

Zobaczył ją...

Zsunął się w mrok skały przylegającej do budynku, starając się uspokoić oddech.

Pokój wicehrabiego był pusty, nie licząc ciała kobiety ułożonego na łożu i przy-krytego prześcieradłem.

Jej włosy, piękne, skręcające się rude sploty — rozsypane spoczywały na pościeli. Prawa dłoń zwisała bezwładnie. Mogłaby się stać pięknym obrazem śmierci, gdyby nieszpęcające nacięcie gardła i doskonale widoczna plama krwi na pościeli.

Hrabina została zamordowana.

A morderca udał się zapewne do sali jadalnej, gdzie miał także pójść Wiwan przed położeniem się spać. Rozmawiał przecież z Aleną...

Czy wtedy hrabina już nie żyła?

Zapewne w jej śmierci także maczał palce wicekról, podobnie jak w śmierci Celiny. Stała się niewygodna, a wicehrabia pewnie coś za to otrzyma.

Oliwier przypomniał sobie jej uśmiech, jej nagle życzliwą radę, by Selena trzymała się z daleka od wicekróla. Nawet w poszarpanej sukni i włosami w nieładzie była piękna.

Była taka nawet teraz.

Ona i Wiwan przeciwstawili się wicekrólowi. Czy kazał także zabić uzdrowiciela?

Nie, jego na pewno nie. To byłoby szaleństwo!

Wstrząśnięty, drżącymi rękami założył znów suknię i wrócił na miejsce pod oknem, zwracając uwagę na wciąż nieprzytomnych strażników, leżących nieopodal

w zaroślach. Uniósł suknię i odwinął zawinięty wokół pasa elficki sznur...

* * *

Ochmistrz Kanel odchodził właśnie wraz ze strażnikami szybkim krokiem, mamrocząc coś pod nosem. Po chwili pojawił się Pafian.

— Czego się dowiedziałeś? — zapytał.

Nim przyszedł tutaj, Oliwier opowiedział mu także o incydencie z wicekrólem, nie wnikając w szczegóły.

— Hrabina została zamordowana — szepnął. — Uciekajmy stąd. Jak najszybciej!

— Nie musisz mnie do tego namawiać — odparł Pafian bez śladu uśmiechu na twarzy. — To miejsce coraz mniej mi się podoba. Jak zabierzemy Wiwana?

— Może wywabimy go z pokoju pod jakimś pretekstem?

— Nie. Właśnie powiedział wszystkim, że idzie spać.

— Spotkałeś go?!

— Na szczęście byłem daleko. Nie rozpoznał mnie.

Oliwier zastanowił się przez chwilę.

— Może nagły wypadek... — mruknął.

— Ty spróbuj — szepnął do niego Pafian. — Wartownicy przy drzwiach mnie widzieli. Dziwię się, że jeszcze nie zaczęli nic podejrzewać. Gdybym...

— Wiem — wszedł mu w słowo Oliwier.

— Wybudzili się? — Pafian zerknął przez okno.

— I tak są związani i zakneblowani. Miałem sznur.

Pafian spojrzał na niego z iskierką w oczach.

— Aż boję się zapytać, co jeszcze kryjesz pod spódnicą.

— Chyba musisz iść — zauważył chłodno Oliwier, któremu nie w głowie były teraz żarty. — Długo cię tam nie widzieli.

— I pewnie już zaczęli tęsknić — uśmiechnął się szelmowsko Pafian, lecz po chwili przygotował się, z trudem udając powagę na widok nachmurzonego Oliwiera i wolnym krokiem ruszył znów do korytarza z pokojami brata. Przechodząc, kiwnął głową uprzejmie.

I dopiero teraz zrozumiał, czemu wartownicy nie zagadnęli go już za pierwszym razem. Należeli do oddziału Delena i byli przy tym, jak Kirian, który został z częścią ludzi w zamku dla własnego bezpieczeństwa, co było niestety pomysłem starszego brata. Spotkał się z nim po przybyciu. Oddziałowi Delena mógł ufać. Mrugnęli do niego.

Cóż za doskonały łut szczęścia.

— Chcesz się teraz zobaczyć z bratem? — zapytał jeden z nich z uśmiechem. — Czy wolisz jeszcze pospacerować?

— Dałeś chłopakom smoczki i ululałeś do snu? — odezwał się drugi.

Strażnicy patrolujący korytarz należeli do oddziałów króla. Obaj wartownicy wiedzieli, że Pafian nie zabiłby ich, chyba, że musiałby bronić życia.

— I poduszeczki pod głowę — odparł Pafian.

Teraz uśmiechali się już wszyscy.

— Zaczekajcie — powiedział do nich i szybkim krokiem ruszył za Oliwiera, który pewnie udał się dalej korytarzem, by chwilę się przygotować. Ich wcześniejszy plan nie był już potrzebny. Kolejny korytarz zaczynający się za tym z oknem, z którego skorzystali, prowadził do kuchni i do części zajmowanej przez najważniejszych gości, doradców królewskich, królewskiego kanclerza, a dalej do komnat królewskich płataniną pomniejszych korytarzy. U jego wylotu Pafian zobaczył znikającego Oliwiera...

* * *

Oliwier dotarł do następnego korytarza i zobaczył kilku strażników. Zaklął w duchu. Głupki zaczęły go dziś kilka razy sprośnymi żarcikami. Znow będzie musiał je znosić...?

Dziwne. Na jego widok nastąpiło znaczne poruszenie. A na środku korytarza zobaczył wyraźnie kilku ludzi wicekróla, w tym dwóch z porannego incydentu z hrabiną, którym nie ufał. Jeden z nich wskazał go palcem.

— To ona! Brać ją!

W pierwszej chwili Oliwier zastygł w zdumieniu. O co chodzi? Nie zdemaskowali go, inaczej dwulicowy strażnik nie krzyknąłby w ten sposób.

A więc pozostało tylko jedno.

To ludzie wicekróla...

Błyskawicznie pojął niebezpieczeństwo.

Odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Do wylotu korytarza niewiele mu brakowało. Ale mógł nie zdążyć. Boczne wyjścia prowadziły do kuchni, pokoi służby i innych przejść. Tam mógł spróbować szczęścia. Lepiej było nie narażać Pafiana. Sam jeden nic by tu nie zrobił. Rzucił się w bok. Nie przewidział tylko jednego. Zdrady kilku strażników króla. Na schodach dogonił go jeden z tych, którzy raczyli go niewybrednymi żarcikami w ciągu dnia. Objął go w pasie i przytrzymał.

Nie wiedział jednak, że nie ma do czynienia z kobietą. Oliwier w swoim życiu bronił się wielokrotnie. A wieloletnie wspinaczki wyrobiły mu mięśnie. Wyprowadził cios prosto w twarz strażnika, przez co tamten musiał zwolnić uchwyt. Udało mu się rozkwasić mu nos, czego tamten się nie spodziewał. Strażnik nie był zaprawionym w bojach żołnierzem, inaczej być może nie dałby się łatwo wyrwać swej ofierze z uchwytu. Zerknąwszy za siebie, Oliwier zobaczył zbliżający

się pościg.

Znów zaczął biec po spiralnych schodach, lecz było już za późno. Dwóch ludzi wicekróla zyskało na czasie, dzięki tej krótkiej szamotaninie. Pochwycili go i zaczęli ciągnąć na górę. Gdyby zbiegł na dół, może ktoś zobaczyłby, co się dzieje. Ale nie zdołał. Wywlekli go szamoczącego się na górę, znów na ten sam korytarz.

— Silna z niej babka! — zauważył jeden.

— Zatlukę francę! — pieklił się ten z rozbitym nosem, próbując zatamować krew.

— Lepiej się ogarnij! — przykazał mu ten, który wskazał Oliwiera palcem.
— Dokąd teraz?

— Idziemy ukrytym korytarzem. Wyjdziemy obok pokoi królewskich i postaramy się, by nas nie zdybali, a potem do wicekróla — powiedział drugi ze znajomych Oliwierowi strażników, nerwowo przykręcając przy tym wąsa. — Ale szybko! Ktoś tu może przyjść!

— Szczęście, że wszyscy mieszkający tutaj jeszcze siedzą w sali jadalnej — zauważył inny, rozglądając się nerwowo.

Oliwier trzymany w mocnym, kleszczowym uścisku jednego z mężczyzn nie mógł nawet krzyknąć. Usta miał zakryte dłonią. Strażnik miał tyle siły, że łatwo mógł skrócić mu kark. Naciągnięte włosy peruki boleśnie ciągnęły jego włosy za wszystkie wsuwki i spinki, które wpięła mu jedna z kurtyzan, gdy go przebierano. Martwił się, by pletnia mocno przywierała, jak dotąd. Jak na razie z całą pewnością tak było. Mógł mieć nadal poważne obawy, że zerwą mu perukę razem z jego włosami, a sądząc po bólu może nawet ze skórą.

Grupa strażników w barwach wicekróla podeszła do jednej ze ścian. Uruchomiono sekretny mechanizm i wszyscy wraz z szamoczącym się Oliwierzem znaleźli się w wąskim korytarzu. Starannie zamknięto za sobą przejście.

Kilku innych przekupionych strażników króla niepostrzeżenie wróciło na swoje miejsca.

Zupełnie jakby nic się nie zdarzyło...

U wylotu korytarza, szarpany grozą i niepewnością, co do tego jak postąpić, stał Pafian, ukryty przed oczami zdrajców króla.

Wiwana i dwóch ludzi Delena byli niedaleko.

Ale brat był tak zmęczony, że jego pomoc nie na wiele mogła się przydać. A w imię czego miał narażać wartowników? Mogli dowiedzieć się o oszustwie Oliwiera, o czym pewnie nie mieli pojęcia. Dla dobra jego planu lepiej zostawić Wiwana pod ich strażą, niż teraz go narażać. I nie wtajemniczać nikogo.

Nawet Kiriana.

Musi zrobić to sam.

Musi uwolnić przyjaciela.

ROZDZIAŁ 8 — Pocałunek miłości

Noc

Szczęście sprzyjało porywaczom. Pokoje wicekróla były oddalone od innych, a na dodatek mieściły się w bocznym korytarzu. Pozostało przemierzyć krótki odcinek z ukrytego wyjścia do drzwi. Jeden z ludzi wicekróla postanowił wywołać skuteczne zamieszanie, odwracające uwagę strażników króla. Zabił jednego ze strażników, a następnie wybił szybę i uciekł przez okno z widokiem na ogród w mrok zapadającej nocy. Skierowanie uwagi na ten czyn pozwoliło porywaczom się przemknąć, nim ich zauważono.

— A teraz posłuchaj, dziwko! — pobudliwy, dwulicowy strażnik złapał Oliwiera za gardło, podczas gdy inny trzymał go w uścisku. — Wicekról ma teraz inne sprawy na głowie, ale przybędzie tu za chwilę. Nim spędzi czas z królową, najpierw chce wydymać ciebie. Nie możesz mu się opierać, a z tego, co widzimy będziesz. Musimy nauczyć cię pokory.

Pozostali, a zostało ich w sumie trzech, gdyż ten z rozwalonym nosem także musiał ich opuścić, uśmiechnęli się złowieszczo.

Potem padł pierwszy cios w policzek.

Wymierzony otwartą dłonią, by nie naruszyć kości, zapiekł boleśnie.

Zaraz po nim nastąpił kolejny.

I kolejny.

Po czwartym siarczystem policzku brutalni żołnierze uwolnili Oliwiera, który z szumem w głowie upadł na podłogę. Odruchowo skulił się przed kolejnym ciosem, lecz nie wydał z siebie nawet jęku, gdy żołnierze przyglądali się mu przez chwilę, czekając na spodziewaną u kobiety reakcję na takie traktowanie. Niestety to zachowanie nie zadziało na jego korzyść.

— Nawet nie krzyknęła — zauważył jeden.

— I nie płacze. Chyba za słabo ją uderzyłeś — zwrócił się do towarzysza drugi.

Wypowiedzenie takiej uwagi wzbudziło niebezpieczną agresję u szukającego tylko własnych korzyści strażnika. Naruszyło jego chorą ambicję.

Odepchnął towarzysza z zimną furią. Przypadł do skulonej postaci i złapał ją za włosy.

Cała głowa Oliwiera zabolęła jak po wbiciu setki szpilek. Choć strażnik złapał tylko garść, to nałożona peruka sprawiła, że zabolęło nie tylko miejsce pochycenia. Oliwier wstał szybko, by uniknąć większych katuszy, a wtedy strażnik popchnął go i przewrócił na łóżko wicekróla. Usiadł na nim okrakiem, a

potem zaczął okładać po twarzy raz za razem. Siarczyste policzki, od których mimowolne łzy pojawiły się w końcu na twarzy Oliwiera, padały jedna za drugą.

— Sten — wtrącił się w końcu drugi z dwulicowych strażników, widząc, że towarzysza najwyraźniej poniosło. — Przestań! Wicekról rozkaże cię zabić za obicie gęby tej dziwce! Słyszysz?!

Sten przestał równie gwałtownie, jak zaczął i z gniewnym sapaniem przyglądał się twarzy Oliwiera. Wyraźnie miał ochotę na jeszcze, a zbyt spokojna, nasycona pewną godnością postawa kobiety pod nim budziła w nim mroczne żądze. Opanował się z wysiłkiem. Tak silna była od niego aura furii, że nie tylko Oliwier bał się choć poruszyć. Nawet towarzysze Stena odczuli niepokój.

Sten nienawidził kobiet zachowujących się godnie w obliczu niebezpieczeństwa. Uważał, że zadzierają nosa i najprościej oduczyc ich tego można było mocnym pchnięciem w pochwę. Mógł to być brutalny gwałt lub użycie sztyletu. W tej chwili rozważał tę możliwość i tylko wyraźny rozkaz wicekróla powstrzymał jego zapędy.

— Ważne, że poskutkowało — ocenił w końcu, widząc spływającą łzę, na co nawet jego kompani zareagowali z pewną ulgą i wstał powoli, wreszcie uwalniając ofiarę od ciężaru swego ciała.

Oliwier czuł się tak, jak czułaby się teraz prawdziwa dziewczyna na jego miejscu. Poobijany, poniżony, ze świadomością, że za parę chwil czeka go jeszcze gorszy los. Twarz płonęła mu żywym ogniem bólu, skóra na głowie bolała, jakby próbowano ją ściągnąć.

Dobrze wiedział, co się stanie. Gdyby był dziewczyną wicekról dokończyłby dzieła nieobliczalnego strażnika, a potem zapewne rozkazałby zabić. Jako oszust, który nieumyślnie ośmieszył wicekróla, zwracając na siebie uwagę doskonałym przebraniem i doprowadził do pasji porywczego strażnika, mógł być pewien, że śmierć nie nastąpi szybko, lecz poddadzą go ciągnącym się w nieskończoność torturom.

I wtedy nagle uwolniła się w nim rozpacz. Straszliwe poczucie krzywdy i poniżenia. Nie mieli prawa mu tego robić. Moren nie mógł ot tak zaciągnąć go do łoża, dlatego że tego pragnął. Nie mógł krzywdzić jego ani jego bliskich dla własnej satysfakcji. Wszystko, co dotąd przeszedł przez tego bydlaka — wyobcowanie, poniżenie, próba gwałtu, ciosy — a teraz zboczony, tłusty wicekról, który najchętniej zrobiłby z nim to samo, gdyby był dziewczyną, którego sapania i stękanie wciąż słyszał w swojej głowie, i który wreszcie rozkazał zabić piękną kobietę, bo broniła jedyne go człowieka, którego uważała za pozbawionego panującego wokół zepsucia, Śmierć rodziców, Milery i policzek wymierzony Julien przepełniło w końcu czarę.

Wzbudziło nienawiść do wszystkich tych, którzy do tej chwili przyczynili się do jego cierpienia.

Oliwier przestał nad sobą panować.

* * *

— Ty!! — kapitan Gereme pojawił się u wylotu korytarza prowadzącego do pokoi królewskich. — Idziesz ze mną!

Pośpiesznym ruchem wskazał na Pafiana, który zamarł przez ułamek chwili z obawy przed zdemaskowaniem. Ogarnęła go złość. Nie miał czasu teraz na włączenie się ze strażnikami po zamku. Oliwierowi groziło niebezpieczeństwo. Szczęściem, zajęty własnymi myślami kapitan nie spojrzał nawet uważniej na niego. Inaczej na pewno by go rozpoznał. Jednak nagłe jego odejście teraz wzbudziłoby podejrzenia.

Kapitan ściągnął w ten sposób paru ludzi i znalazł się przed zamordowanym strażnikiem królewskim żądny relacji ze zdarzenia. Nastąpiło przesłuchanie świadków, opis zajścia.

Czas płynął.

Pafian poczuł, jak zaczyna oblewać go zimny pot. Nie tylko groziło mu zdemaskowanie w każdej chwili. Czuł gdzieś w swojej duszy, że w pobliżu dzieje się coś niedobrego. Nieodparta siła ciągnęła go w stronę korytarza, który prowadził do komnat wicekróla. Wciąż zwracał tam wzrok, bezradny wobec gromadzącego się oddziału. Wreszcie pojawili się członkowie rodziny królewskiej i uwaga kapitana skierowała się ku nim. Dołączyła osobista ochrona. Zrobiło się nieco zamieszania. Powoli zaczął się wycofywać z tłumu.

Wtedy napotkał spojrzenie młodego księcia.

Meron patrzył na niego, wyraźnie go rozpoznając. Otworzył usta, by coś powiedzieć. Kiedy usłyszał, że zabójca uciekł, jego twarz złagodniała, lecz nadal wyglądał, jakby w głębi duszy walczył z decyzją, czy ujawnić ojcu obecność wśród nich brata uzdrowiciela.

Królowa spokojnym gestem położyła mu dłoń na ustach i lekkim skinieniem głowy dała znak Pafianowi, by się oddalił. Uśmiechnął się lekko do niej swym zawiadackim uśmiechem, nieznacznie się kłaniając i odszedł powoli z ulgą. Syn i matka szybko powrócili wzrokiem do kapitana i jego ludzi, jakby nic nie zaszło. W obliczu zagrożenia, o którym słyszeli pogłoski, zgodnie woleli, by uzdrowiciel opuścił już Wermod.

Pafian spotkał jednak na swej drodze poważniejszy kłopot. Na korytarzu pojawił się już brat króla.

Zamierzał udać się prosto do swych pokoi, lecz widząc zgromadzenie, swego brata i jego żonę poczuł, że nie może ot tak tego zrobić. Jego niezadowolenie było widoczne dla każdego. W pokoju czekała go przyjemna niespodzianka, którą był zmuszony odkryć później. Z trudem udawał zainteresowanie sytuacją, tym

bardziej, że coraz mniejszą miał ochotę na zachowywanie pozorów. Właśnie zbliżał się wraz ze swymi ludźmi do zgromadzonych przy zabitym strażniku, mijając przyglądającego się mu Pafiana, gdy nagle drzwi do jego komnat otworzyły się z hukiem, przypominającym odgłos uderzającego gromu.

Nastąpiła cisza.

Ze swego miejsca Pafian i wicekról zobaczyli, jak czyjaś ręka chwyta rzeźbione odrzwia, a zaraz potem ukazuje się reszta pokrwawionej, w podartym ubraniu drobnej postaci, której ciemne włosy zlepiały się w strąki od potu i krwi.

Pafian podbiegł, nie zważając na nic, by złapać Oliwiera nim upadnie.

* * *

— Co robimy? — zapytał cicho Ross, gdy wreszcie udało się mu zaprowadzić Sela do wielkiego łoża. — Sel? Darmon nie wróci. Pewnie już nie żyje — ostatnie zdanie powiedział z cichym żalem.

Lubił Darmona. Wybrał go, by uciekał z nimi, bo Darmon nikogo nie potępiał, każdego darzył sympatią. Miał w sobie taką charyzmę, że każdego potrafił do siebie zjednać. Powinien prowadzić jakiś interes w stolicy zamiast usługiwać bogatym klientkom. Miał nawet już kilka pomysłów, jak zacząć. Był też takim kobieciarzem, że klientki przyjmował po dwie lub trzy jednej nocy. I dużo się śmiał. Ross lubił jego śmiech. Stawiał wszystkich na nogi. Rebeka mówiła, że ten śmiech ogrzewa jej serce. Valerie miała do niego słabość. Marzyła o takim mężczyźnie w swoim życiu. Oczywiście w jej wieku. Pewnie teraz rozpaczła skrycie. Powinien iść do niej.

I powinien także być tutaj. Po raz pierwszy czuł się tak wewnętrznie rozdarty.

Położyli się z Julien po obu stronach chorego, nasłuchując jego ciężkiego oddechu. Żal, który czuł w swym sercu sprawiał mu niemal fizyczny ból. Czuł, że śmierć chce już zabrać jego kochanka.

— Każ ruszać — poprosił ledwie dosłyszalnie Sel. — Powiedz, żeby podjechali jak najbliżej bramy zamku, lecz nie wyjeżdżali z cieni ogrodu.

Julien delikatnie pogłaskała bladego Sela po włosach.

— Ross — szepnął cicho Sel. — Przepraszam... Byłem...

Ross uśmiechnął się słabo, zbywając jego przeprosiny ruchem głowy. Jego serce już zapomniało.

Julien zerwała się gwałtownie, blada niczym płótno, przerywając im tę chwilę.

— Oliwier! — szepnęła.

Poczuła jego strach. Potem dławienie w gardle. Gdy targały nimi silne emocje, zawsze jedno czuło to, co w danej chwili spotykało drugie. Poczuła, jak

własny strach zaczyna ją dławić. Spojrzała na Sela, błagając w myślach by jej pomógł. Zmusił się do tego by usiąść, choć było to dla niego teraz niebezpieczne i otworzył ramiona. Zawsze, choćby nie wiadomo jak źle się czuł, gotów był przyjść z pomocą na tyle, na ile zdołał. Wzruszył ją ten widok. Kiedy jednak w komnacie wicekróla strażnik wymierzył Oliwierowi pierwszy mocny policzek, poczuła uderzenie na własnej skórze. Wszystko inne przestało się liczyć...

Zaskoczony nieoczekiwanym zachowaniem Julien Ross zobaczył, jak ciałem dziewczyny wstrząsają drgawki. Zagryzła wargę w nagłym bólu, a jej oczy zasły łzami. Przerażające wstrząsy po każdym uderzeniu w twarz sprawiały, że serca obu mężczyzn ścisnął niewytłumaczalny lęk przed nieoczekiwanym zjawiskiem. Ross usiadł przy cierpiącej.

Wreszcie Julien, w czasie, gdy wstrząśnięty po uderzeniach Oliwier leżał na łożu uwolniła się z bezradności i przyłgnęła do Sela rozpaczliwie. Rozszłochała się od nagłego wstrząsu, a na jej twarzy zaczęły pojawiać się purpurowe ślady uderzeń.

— Co się stało? — zapytał zdruzgotany tym widokiem Ross. — Chodzi o więź? — Upewnił się, dotąd nie znając rodzeństwa zbyt dobrze. — Są bliźniętami, tak ?

Sel kiwnął potakująco głową, głaskając ją drżącą ręką. Zawsze, kiedy zdarzyło mu się być świadkiem tego, jak działa ich więź, gdy jedno z nich czuło ból, złościła go własna bezradność i celowe działanie Morena, które zwykle było przyczyną cierpienia. Jak mógł bić i szarpać Oliwier, jak mógł myśleć o tym, z czym teraz się ujawnił na dobre, wiedząc, że Julien poczuje to także?! Dlaczego on, Sel nie dostrzegał wcześniej i w głębi serca wciąż nie chciał dostrzec, jakim człowiekiem był jego niedawny przyjaciel? Moren... Potwór i przyjaciel. Bez wahania krzywdził ludzi, by w chwilę potem niemal troszczyć się o śmiertelnie chorego kumpla. Kim był ten człowiek?! Dlaczego tak dał się mu omamić?! Wielką gorycz wzbudzały w nim te myśli, świat szarzał jakby w ich odbiciu.

Julien krzyknęła głośno, wyrwała się z jego uścisku. Zaczęły nią miotać drgawki, jakby opętał ją demon, co przeraziło obu mężczyzn nie na żarty.

I wtedy znów zaczęła krzyczeć.

Jej krzyki były raz cichsze, raz głośniejsze, lecz częste i rozpaczliwe. Sprawily, że pozostali uciekinierzy z Domu Uciech szybko się pojawili.

— Czy wy nie możecie być trochę ciszej przy zabawie? — zapytał nerwowo Alesei, nie wiedząc jeszcze co się dzieje. — Zaraz będziemy mieć wszystkich...

Zamarł, widząc Julien, a słowa uwieźły mu w gardle. Sel i Ross w daremnych wysiłkach próbowali pomóc jakoś nieszczęsnej dziewczynie, która rzucała się na łożu i krzyczała.

Widać było wyraźnie, że działo się tu coś niepojętego. Choć nie dla wszystkich było to zaskoczeniem. Troje ludzi spojrzało na siebie

porozumiewawczo.

— Sai, pamiętasz? — zapytał Len.

— Bliźniaczki Raven — powiedziała tamta cicho, a Lena przywarła do niej na to wspomnienie. — Zawsze chciałyśmy, by połączyła nas taka bliźniacza więź.

Ale ich miny teraz, gdy patrzyły na udrękę Julien wyrażały strach i ulgę, że jednak nie są tak blisko.

— Biedna dziewczyna — szepnęła Lena, patrząc ze zgrozą, jak na ciele Julien pojawiają się czerwone ślady po uderzeniach.

— Biedny Oliwier — sprostowała ją Valeria — jej to minie. Ale jej brat... — pokręciła głową z troską.

Wszyscy stali wstrząśnięci tym widokiem, dopóki Ross, ze łzami w oczach nie powiedział:

— Len, Alesei jedźcie stąd! Ruszajcie! Jak najbliżej bramy!

— Zwali nam wszystkich na kark — powiedział Alesei, starając się przybrać rzeczowy ton, tak delikatnie jak tylko potrafił. — Sel, wybac, ale jej krzyk...

Sel położył Julien powoli. Ścisnęła jego rękę z całej siły, więc wyciągnął drugą i nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, przyłożył ją do ust dziewczyny. By nie krzyczeć, zacisnęła zęby na jego ręce niczym na kneblu. Zęby przebiły skórę i wbiły się w ciało. Sel zachłysnął się i zacisnął wargi. Ross daremnie próbował uwolnić go z tego uścisku. W ataku niezwykłego cierpienia Julien nie było mowy o tym, by jakakolwiek siła zdolna była rozewrzeć jej usta.

Valeria, widząc, że trzeba podjąć jakieś działania na własną rękę, wysłała Aleseia, by wyjechał z wąwozu w inne miejsce, na wypadek gdyby Morenowi udało się odkryć ich miejsce ukrycia, choć wątpiła, by Darmon coś ujawnił. Wierzyła, że nie zrobiłby tego. Darmonowi nie brakowało dzielności. Prędzej umarłby, niż zdradził przyjaciół, chociaż jego powierzchowność mogła sprawiać inne pozory. Lena i Sai usiłowały podać Julien prowizoryczny knebel. Len zaś sprawdzał czujnie w czasie jazdy, czy nikt ich nie usłyszał.

Sel poczuł nagle zupełnie inny ból. Wewnątrz, silny piekący ucisk odbierał mu powietrze, przytłaczając tak, że po chwili w oczach zobaczył ciemne plamy. Nigdy dotąd nie było aż tak źle i dobrze wiedział, co może to dla niego oznaczać.

Gdy kobiety zdołały w końcu nakłonić Julien, by go puściła, zostawiając krwawy ślad na ręce, Ross złapał tracącego przytomność Sela.

Szybko zrozumiano, że znów dzieje się coś złego. Sel się dusił. Valeria położyła głowę na piersi chorego, nasłuchując serca, podczas gdy w tym samym czasie Julien ucichła i teraz tylko płakała bezgłośnie z wyczerpania, niezdolna do niczego innego, a dziewczęta pocieszały ją i ocierały jej twarz zimnym okładem, przykładając zimne kompresy do poobijanego ciała. Ross w geście czułości ujął jej zmaltretowaną dłoń, ale całą resztą ciała przywarł do umierającego Sela, tuląc go w ramionach. Valeria opatrzyła rękę. Z troską pogładziła Sela po cienkich włosach

i pocałowała z matczyną czułością przejętego przyjaciela w czoło. Nie mieli eliksiru. Żadnych leków czy mikstur, by mu pomóc. To mogło oznaczać tylko jedno.

Julien zamarła po chwili, ze wzrokiem wpatrzonym gdzieś poza miejscem, w którym była, zdruzgotana bólem i cierpieniem swoim i brata. Wciąż jednak, niczym tonący trzymała mocno ujmującą jej dłoń rękę, jakby resztkami sił chciała jeszcze walczyć o swoje zmysły i świadomość. Nie słyszała i nie widziała nikogo, a raczej słyszała i widziała, lecz sens tego zniknął gdzieś w jej świadomości.

— On jeszcze żyje. Wygląda na to, że śmierć jeszcze się nie spieszy. Zaczyna oddychać — szepnęła cicho Valeria do Rossa. — Ale sam wiesz... że wszystko to jest już tylko kwestią czasu.

Nie odpowiedział jej. Nie znajdował żadnych słów na to, co przeżywał. Nie tylko ze względu na swoją miłość, lecz także ze względu na to, co zobaczył. Cierpienie Julien było częścią cierpienia jej brata, który teraz leży gdzieś jeszcze bardziej brutalnie potraktowany niż ona. A Sel umierał... W tej jednej ponurej myśli zawierało się wszystko, co przeżywał, cała przeszłość i przyszłość. Tylko chwile dzieliły Sela od śmierci, a jego od czarnej rozpacz. Tylko to się liczyło...

* * *

— Wybacz — szeptał Pafian do półprzytomnego Oliwiera, biorąc go na rękę. — Przez tego cholernego kapitana spóźniłem się z pomocą.

Oliwier szepnęła cicho tylko jedno jedyne słowo, wyrażające cały stan jego duszy:

— Julien...

— Zobaczysz ją. Obiecuję — odparł Pafian.

Nie mogąc przejść przez gromadzących się ludzi z ciężarem w objęciach, położył go delikatnie na podłodze i szybko sięgnął po fiolkę ukrytą pod mundurem. Oliwier był pobity i pokaleczony. Gdziekolwiek na niego spojrzano była krew. Płynęła z rozbitej głowy. Z ponacinanych nożem draśnięć na odkrytych przez podartą suknię, nadzwyczajnie delikatnych, jak na młodego mężczyznę, ramionach, lecz całkowicie naturalnych u kobiety, którą widzieli wciąż w nim wszyscy prócz Pafiana. Sądząc po objawach, krwi w ustach i płytkim oddechu, miał złamanych co najmniej kilka żeber i obrażenia wewnętrzne. Na twarzy miał wyraźne czerwone sińce po uderzeniach. Pafian nie wahał się więc, choć wiedział, że grozi im prawdziwe niebezpieczeństwo. Wlał kilka kropel krwi swojego brata, troskliwie ukrywanej przed innymi, cenniejszej od jakiegokolwiek złota, czy skarbów tego królestwa, w usta śmiertelnie rannego przyjaciela i ukrył resztę, choć po poruszeniu, jakie po tym nastąpiło, zrozumiał, że został rozpoznany.

— Brat uzdrowiciela — rzekł krótko kapitan Gereme do króla, a zabrzmiało

to jak szczeniście.

Królowa Konstancja zamarła, przerażona konsekwencjami zdemaskowania, które miały właśnie nastąpić, podczas gdy wicehrabia Marden, morderca rudowłosej hrabiny, pobiegł do pokoi wicekróla wraz z kilkoma strażnikami. Na widok masakry zastygł w zgrozie i zdumieniu, a potem z lękiem spojrzął ku rannej dziewczynie w ramionach brata uzdrowiciela, zastanawiając się, jaką siłę i determinację miała w sobie, by wywalczyć wolność, pokonując trzech żołnierzy. Towarzysze zabitych oglądali ich z niedowierzaniem, wypatrując oznak życia, lecz szybko stało się jasne, że ich nadzieja jest daremna. Sten patrzył niewidzącym już wzrokiem na ich zachowanie, widoczny mózg po rozcięciu głowy przedstawiał grozę jego końca. Jego kompani przedstawiali się jeszcze gorzej, jakby przez pokój przeszedł demon. Nawet na ścianach były ślady krwi.

Powoli wielu podchodziło, by obejrzeć wnętrze zrujnowanego pokoju, w którym wszędzie było widać ślady walki. Część jednak, w tym rodzina królewska, pozostała przy rannej dziewczynie, ciekawa efektów działania krwi, czego dotąd nie mieli okazji zaobserwować.

Twarz Oliwiera zmieniała się z opuchniętej w delikatną w swej urodzie. Nacięcia zniknęły. Ciało goiło się w oczach.

Pierwszy z hipnotycznego zapatrzenia na to niezwykle zjawisko ocknął się wicekról, a wraz z nim jego brat.

— Co miałeś z tym wspólnego? — zapytał król swego brata.

— Jak ci się zdaje? — usłyszał twardą odpowiedź.

W tej samej chwili los królestwa stał już na ostrzu noża, a wicekról stracił cierpliwość do dalszego ukrywania swych zamiarów, skoro odebrano mu przedsmak przyjemności, jaką sobie obiecywał. Był rozczarowany i wściekły na dziewczynę, że potrafiła się wybronić i popsukała mu szyki. Obdarzył brata nagłym grymasem odrazy i złości, wreszcie ściągając maskę obłudy.

— Miejsce tej dziwki miała wkrótce zająć twoja żona! — wypowiedział znamienne w skutki słowa.

Niczym na umówiony sygnał obie strony wyciągnęły miecze. Ponad rannym Oliwierem, który z wolna przychodził do siebie i zaskoczonym obrotem spraw Pafianem załśniły złowrogo ostrza.

Meron odruchowo stanął u boku ojca, zastawiając sobą matkę i młodszego brata. Kapitan Gereme stanął obok nich wraz z niewielkim zgromadzonym oddziałem, gotów do odparcia ataku. Królowa Konstancja dotknęła ręką ukrytego w sekretnej kieszeni sukni sztyletu. W mgnieniu oka z pogodnej, pełnej życzliwości kobiety zmieniła się w gotową walczyć o siebie i bliskich wojowniczkę, co było dla wicekróla jeszcze bardziej pociągającym widokiem.

— Tron będzie mój! — zawyrokował krótko.

Lecz, kiedy kapitan Gereme wydał rozkaz obrony króla, wicekról

niespodziewanie wycofał się za swoich ludzi, pozostawiając im walkę. Pociągnął towarzyszącego mu wicehrabiego za ramię:

— Daj sygnał — rozkazał. — Czas zaczynać!

Wicehrabia wyciągnął przewieszony przez ramię róg i zadął w niego.

Dźwięk rogu zaskoczył wszystkich. To był początek. Z bocznego korytarza zdało się słyszeć zamieszanie. Z innych części zamku podobne dźwięki rogu odezwały się po chwili. Pafian zrozumiał, że Delen i Oliwier na próżno chcieli szukać listów z rozkazem ataku. Róg był sygnałem. Choć niewątpliwie rodzina królewska spodziewała się zamachu i przynajmniej miała broń przy sobie, szybko stało się jasne, że o najważniejszym nie zdołali się dowiedzieć w porę dzięki niefortunnemu zbiegowi okoliczności. Nie mając dowodów, nie mogli powstrzymać wicekróla wcześniej, a teraz wyraźnie widać było, że nie przygotowali należytej obrony.

— Wycofujemy się! — rozkazał król. — Kapitanie! Zwołaj swoich ludzi!

— Część z tych zdrajców widzę tutaj — odparł na to ponuro kapitan.

Król spojrział na swego oddanego sługę, nie okazując trwogi. Słuszność tych słów potwierdzały otaczające ich wrogie twarze. A on miał rodzinę do ocalenia.

— Więc musimy się bronić! — odparł stanowczo.

Niewielki oddział wicekróla, który pomógł mu oddalić się w stronę narastających odgłosów, zginął od ciosów mieczem wiernych strażników i członków rodziny królewskiej. Jedynie Aron nie zabił wtedy nikogo. Meron nie pozwolił, by doszło do bezpośredniego starcia młodszego brata, który miał zaledwie czternaście lat, z żołnierzem wicekróla. Sam go zabił w obronie. Pozwolił sobie jedynie na krótką chwilę lęku i żalu po tym, jak po raz pierwszy w życiu zabił człowieka. Wiedział, że prawdopodobnie uczyni to tej nocy jeszcze nie raz, a ta myśl sprawiła, że poczuł gorycz w gardle. Nic jednak nie mogło sprawić, by złego można było uniknąć. Najważniejsze, by jego rodzina mogła w tej chwili na niego liczyć. Nie był tylko księciem mającym kiedyś objąć tron po ojcu, który broni swojej spuścizny. Był obrońcą swojej rodziny i to było teraz znacznie ważniejsze od tytułu. Ojciec uścisnął mu ramię w uznaniu i pocieszeniu zarazem, a matka obdarzyła go smutnym uśmiechem. Jedynie Aron wydawał się rozczarowany tym, że nie stanął do bezpośredniego starcia i zagryzł wargi. Meron czekał zaledwie chwilę na wybuch gniewu brata pewien, że będąc ponownie w takiej sytuacji, uczyniłby tak samo. To był jeszcze dzieciak. Widzieć go, jak zabija człowieka po tym, jak widziało się go, jak cieszył się z organizowanych na zamku zawodów sportowych, wydawało się czymś niepojętym. Nagle poczuł się od niego dużo starszy, jakby to zabójstwo dodało mu lat.

Poszedł do Pafiana, który w czasie potyczki wycofał się z ranną dziewczyną do pokoi wicekróla. Już innym spojrzeniem, którego jeszcze nie miał przed paroma chwilami, obejrzał wnętrze. Nawet w jego zdrętwiałym teraz ze zgrozy sercu, jatka

wywołała niepokój. Podczas, gdy jego ojciec naradzał się pośpiesznie z kapitanem, przykucnął obok uzdrowionej. Oliwier leżał na podłodze, gdyż na łożu tkwił strażnik z rozciętą głową. Groza tego, co stało się w sypialni z wolna wsączała się w umysł Merona niczym odór zatrujący powietrze. Czy to naprawdę było możliwe, by ta dziewczyna, która leżała teraz zmaltretowana tuż obok, brała udział w tym wszystkim?! Zaniepokoił się.

— Pafian — powiedział. — Musicie iść z nami.

— To samobójstwo — odparł Pafian spokojnie. — Uciekajcie. Oni już wracają.

Sądząc po odgłosach, to musiała być prawda.

— Zabierz stąd brata — nakazał mu więc do Meron. — I wybaczczie, że was w to wciągnęliśmy.

To powiedziawszy, spojrzął na nich po raz ostatni i wyszedł szybko, by dołączyć do bliskich, oddalających się wraz z kapitanem z niebezpiecznej części zamku — tym samym ukrytym przejściem, którym przyciągnięto tu Oliwier. Po chwili na korytarzu znów pojawili się żołnierze w większej liczbie, lecz już bez wicekróla. Pafian nie miał nawet czasu, by zastanowić się, jaką strategię wybrał tamten, skoro nie stanął od razu do walki. Może tak naprawdę chodziło właśnie o to, że niespodziewany obrót spraw z Oliwierem pomieszał mu szyki. Żołnierze, których część walczyła już między sobą właśnie ich wypatrzyła. Kilku innych ruszyło ukrytym korytarzem.

Oliwier jęknął. Dochodził już do siebie. Oprócz coraz lepszego samopoczucia i powracających sił, czuł się tak, jakby w jego żyły ktoś właczał jakąś dziwną moc, która zaczyna go rozpierać, przenika jego członki, wpompowuje krew, nastawia bezboleśnie kości i sprawia, że rozpierało go wrażenie, jakby miał za chwilę eksplodować. Doszło do tego coś niesłychanie ekscytującego, czego dotąd nie miał okazji doświadczyć z taką siłą i wywołało rumieniec zażenowania na jego twarzy, gdy ciało, rozbudzone tą niezwykłą mocą zapragnęło pozbyć się rozkosznego, choć jednocześnie nieco bolesnego napięcia.

Pafian zamknął drzwi przed nosem strażników, o których nie wiedział, kto jest kim, bo ludzie króla i jego brata walczyli ze sobą nierzadko w tych samych barwach i teraz przystawiał do nich z wysiłkiem ciężką komodę. Potem spojrzął na przyjaciela. Z lekkim zaskoczeniem zobaczył, jak jego ciało zaczyna się prężyć, a oddech przyśpiesza, jak po wzmożonym wysiłku.

Szybko zrozumiał przyczynę tego stanu i pomimo panującego wokół zamieszania i niezbyt ciekawego widoku wnętrza, z trudem powstrzymał uśmiech.

Przyklął przy Oliwierze i siląc się na poważny ton, co przychodziło mu z trudem na myśl o tym, co tamten w tej chwili przeżywał, rzekł w miarę opanowanym głosem:

— Powinienem cię uprzedzić. Krew mojego brata działa na wielu ludzi

niezwykle pobudzająco. Na przykład jak najlepsza w twoim życiu noc z kobietą.

Oliwier spojrział na niego niepewnie, z czego Pafian od razu zrozumiał, że ani najlepsza, ani jakakolwiek dotąd noc z kobietą jeszcze w jego życiu nie nastąpiła. Uśmiechnął się więc z wyrozumiałością.

— Zaraz zrozumiesz, o czym mówię.

Po chwili obaj usłyszeli, jak ktoś próbuje wyłamać drzwi.

— Na szczęście to nie potrwa długo — dodał łagodnie, całkowicie nic sobie nie robiąc z odgłosów. — Przynajmniej umrzesz szczęśliwy — dodał z uśmiechem, na wszelki wypadek ujmując swój miecz.

Słyszając jego wyjaśnienia, Oliwier w daremnej próbie starał się powstrzymać ogarniające go wszechobecne uczucie całkowitej, zniewalającej rozkoszy. Równie dobrze mógłby próbować zatrzymać wiatr.

Bardzo szybko zdał sobie z tego sprawę...

* * *

Julien poczuła zbawienną moc krwi uzdrowiciela. A także ciepło dłoni trzymającego ją Rossa. Z wolna, lecz o wiele szybciej niż dotąd bywało, jej obrażenia znikwały i leczyły się. Równie szybko jej świadomość budziła się, jakby ze snu, nie tylko wspomagana wyraźną troską i niepokojem brata. Zacisnęła rękę na dłoni Rossa, swej więzi z rzeczywistym drugim człowiekiem. Miłość brata czuła w sobie, pulsowała w jej sercu. W myślach przeproszał ją za cierpienie, którego jej przysporzył. Poczowała łzę spływającą po policzku. Tak wiele czasem poświęcał, by ona była bezpieczna, wiedząc z okrutną świadomością, co się stanie, jeśli nie ustąpi, nie ucieknie niczym tchórz, nie schowa dumy do kieszeni, jak mówiono. Narażał się na utratę honoru i drwiny z jej powodu. Na samotność także, bo czy jakaś dziewczyna chciałaby chłopca, który unikał walki? Przez nią po części był sam. Zawsze się o nią martwił z powodu tego, co działo się w jego życiu. Teraz także, choć sam był ledwie żywy.

Kiedyś, kilka lat wcześniej, podkochiwała się w pewnym chłopcu. W końcu przyszedł moment, że zapragnęli się pocałować. A ponieważ zawsze i na zawsze była połączona z Oliwiera, wiedziała, że rozkosz tych pocałunków przepelni i jego. Cieszyła się z tego, bo miała nadzieję, że namiastka tych uczuć przyniesie mu pewne ukojenie w samotności. Choć jednocześnie bała się, że go zrani. Pocałunek Peera był spełnieniem. Najpiękniejszym wspomnieniem. Potem nie miała już nikogo, bo obiecała sobie, że dopóki Oliwier nie uwolni się od Morena, nie będzie się z nikim spotykać. Zerwała romans, który i tak nie miał szans na przetrwanie. Oliwier, choć starał się jak mógł by to ukryć, cierpiał. Pocałunek wzbudził ukryte tęsknoty w jego sercu. Ale był Moren i jego prześladowania. Były ciągłe utarczki obu rodzin, które przez dzieci przestały żyć ze sobą w zgodzie. Był Sel, który

narażał życie, by pogodzić obie strony. Matka, która bała się, że w końcu stanie się coś złego. Jak w tej sytuacji można było z kimś się związać, choćby na krótko? Każda dziewczyna, którą Moren zauważyłby z Oliwierem, narażona byłaby na niebezpieczeństwo.

To pocałunek po raz pierwszy uświadomił bliźniętom, że więź może być przekleństwem, nie ból od ciosów, który przyjęli za rzecz oczywistą w ich połączeniu.

Teraz jednak Julien poczuła ciepło niezwykłych wrażeń i uczuć, przy których uniesienie po pocałunku było zaledwie słabym ognikiem. Zaczęła ogarniać ją niezwykła gorączka, której źródło było w sercu jej kobiecości, tam gdzie nigdy dotąd się tak nie czuła. Ciało pulsowało i drżało, wyrrywając się do czegoś, czego nie zaznała. Podobnie, co także odczuwała, przeżywał jej brat, choć w jego uczuciach wyczuwała także strach i wstyd. Gdyby wiedziała, gdzie jest teraz Oliwier, zrozumiałaby nieco jego obawy, ale ich dar pod tym względem był ograniczony. Czuła tylko narastającą, boleśnie domagającą się spełnienia rozkosz, niemal tak mocno jak jej brat. Niczym nadchodzącą burzę.

Grom musiał uderzyć...

Spojrzała na dłoń, którą wciąż ją trzymała, z łomotem krwi w uszach. Widziała linię żył, czuła lekką szorstkość wewnątrz. Ross nie tylko przechodził z łoża do łoża, jak ośmieliła się wyobrazić, nie pozwalając sobie i nie umiejąc jeszcze przy swoim znikomym doświadczeniu w tych sprawach wyobrazić sobie czegoś więcej. Pracował też fizycznie lub po prostu dbał o formę. Jego ciało było harmonijnie ukształtowane. Stanowił prawdziwą przyjemność dla oka. Miał łagodne spojrzenie i wspaniałe śmiech. Był ucieleśnieniem pragnień kobiety.

Prawdę mówiąc, w swej obecnej sytuacji miała gdzieś jego upodobania...

Kiedy więc spojrzał na nią zainteresowany jej poruszeniem, z niepokojem w oczach przemieszonym ze smutkiem, uległa temu spojrzeniu bezgranicznie. Nie zważając na zdziwione spojrzenia pozostałych, ani samego chłopaka, chwyciła go za koszulę z niespodziewaną siłą, przyciągnęła do siebie i pocałowała. Delikatnie i zaborczo zarazem. Próbował się opierać, lecz coś było w przekazanym jej działaniu krwi uzdrowiciela, jakaś aura i moc, która nie dała mu żadnej szansy na obronę. Ross, wbrew całemu życiu, jakie dotąd prowadził, uległ pocałunkowi młodej dziewczyny. Bezradny wobec niezwykłego żywiołu zawartego w tym pocałunku, powoli położył Sela, ledwie to sobie uświadamiając. Odwzajemnił pocałunek. Nie był w stanie mu się oprzeć. Subtelnie i zmysłowo, jakby dopiero poznając smak ust kobiety. Zdumione obserwatorce tego zdarzenia poraziła pasja tego pocałunku. Ross całował Julien niczym ucieleśnienie ich pragnień. Jakby nie dzieliła ich przepaść życiowych doświadczeń i wyborów. Valeria nigdy nie widziała Rossa z kobietą. Jego pocałunek był dla niej podwójnym zaskoczeniem. Uśmiechnęła się ciepło, gdy pod ogromem uczuć, Ross dał się objąć przez Julien.

Wątpiła w to by, kiedy minie ta niezwykła chwila, był tym naprawdę zachwycony. Znała siłę jego uczuć do Sela. To, co teraz widziała, nie mogło być niczym więcej, jak rzuconym urokiem lub co najmniej czymś zupełnie niepojętym i niemożliwym. Nie zmieniłby się tak szybko. I nie w sytuacji, kiedy Sel był umierający.

Julien puściła Rossa z cichym westchnieniem, pozwalając, by po prostu osunął się na łożo, oszołomiony i zdruzgotany tym przeżyciem.

Ross nie umiał sam przed sobą wytłumaczyć, co go do tego skłoniło.

I szybko okazało się, że pocałunek przyniósł ze sobą także inne skutki niż niewysłowioną, przyjemność.

Czuł wszechobecny, niezwykły żar, niewywołany podnieceniem, czego był pewien. Jego ciało ogarnęło ciepło, które swoje źródło miało w brzuchu i nogach. Niemal płonął z nagłej gorączki. Zwlekł się z łoża, nie patrząc na nikogo, czując narastające mdłości i zawrót głowy. Był pewien, że nie było to wywołane wstrętem do Julien. Pocałunek był wspaniały, choć sam przed sobą bał się do tego przyznać. Działo się z nim coś o wiele gorszego. Coś, co przepełniało jego myśli lękiem, a ciało drżeniem.

— Ross — Valeria zaniepokojona jego stanem, szybko znalazła się przy nim, pomagając mu stanąć na nogi. — Co ci jest?!

Sai i Lena spojrzały na niego zaskoczone jego reakcją, choć mogłyby przysiąc, że nie widziały, by się wcześniej opierał. Ale ponad nim jednocześnie zobaczyły, jak Julien pochyla się teraz nad śmiertelnie bladym Selem. To sprawiło, że nie wiedziały już, co naprawdę o tym wszystkim sądzić. Powietrze wydawało się tu niemal iskrzyć niezwykłą mocą.

Len pomógł Valerii wyprowadzić drżącego Rossa na zewnątrz, gdzie tamten natychmiast wymiotował. Torsje wstrząsały nim raz za razem, jakby organizm domagał się gwałtownego oczyszczenia ze skutków dziwnej trucizny.

— Myślisz, że to zaraza? — zapytała zaniepokojona swego towarzysza, podczas gdy wstrząsany drgawkami Ross pozbywał się wszystkiego, co zjadł.

— Nie wiem — pokiwał przecząco głową Len. — Właściwie myślę, że zadziałał tu uzdrowiciel — podsumował swe rozmyślenia, a był to jeden z nielicznych momentów, gdy wypowiedział tak wiele słów w krótkim czasie.

— Uzdrowiciel? Poprzez Oliwiera do Julien?! I do Rossa?

— To bliźnięta połączone więzią.

Zastanowiła się.

— Ale jeśli Ross tak to odczuł, to oznacza, że był chory...

Zamarli porażeni tym stwierdzeniem. Z niewielkiego balkonika ledwie widzieli uciekającą drogę. Po chwili wóz się zatrzymał.

Alesei dojechał na miejsce.

— Musicie to zobaczyć! — zawołała ich nagle Sai. — Sel zdrowieje po jej

pocałunku!

Ross usiadł osłabiony mdłościami i siłą działania niezwykłego ciepła, które teraz wreszcie ostygło. Słowa Sai sprawiły, że wstał i najszybciej jak mógł, powrócił do łóżka, choć zataczał się przy tym jak pijany. Len i Valeria znaleźli się tam chwilę później, a Alesei zajrzał po drugiej stronie.

Patrzając, jak Ross siada obok kochanka i Julien, Valeria czuła jednocześnie ulgę i radość.

Jej młody przyjaciel, którego zawsze traktowała trochę jak swego syna z racji różnicy wieku, uniknął śmierci. Była niemal całkiem pewna, że chodziło o zarazę. Widziała złowróżbny gest grabarza, podobnie jak Ross. I poczuła wtedy niemal ten ogromny strach.

To musiała być Gemorte.

* * *

Walenie w drzwi ustało nagle i nastąpiła cisza. Z zewnątrz dochodziły podniesione głosy, krótkie rozkazy, pospieszne narady. Pafian nasłuchiwał, taktownie starając się nie patrzeć na Oliwiera, który skręcał się niemal od rozpierających go uczuć. Znał sposób na to, by mu ulżyć, nie wiedział tylko czy na pewno może to zasugerować. Oliwier był raczej skryty w takich emocjach, jak mu się wydawało.

Martwił się o brata. Czy wciąż jest bezpieczny? Przecież w interesie wicekróla w czasie zarazy nie będzie chyba zabicie uzdrowiciela?!

— Pafian? — usłyszał nagle znajomy głos Delena, porucznika straży. — Jesteście jeszcze tam? Kapitan mówił, że tutaj zabrałeś Selenę. Odezwij się. Żyjecie? Jest zdrowa?

— O, nie — szepnął, słysząc to Oliwier. — Tylko nie on. Jeszcze mi tego potrzeba...

— Jesteśmy cali i zdrowi! — krzyknął w odpowiedzi Pafian.

— Otwórzcie! Musimy was stąd zabrać!

Pafian zerknął na Oliwiera.

— Co masz do niego? — zaciekawił się.

— Nic — Oliwier zmusił się, by tego nie krzyknąć.

Czuł, jak jego duszę rozdziera pragnienie, a jednocześnie niczym uderzenie przepełniła go chęć spełnienia skrytych marzeń, która niewątpliwie pochodziła od Julien. Miał ochotę krzyczeć.

Pamiętał to uczucie. Julien właśnie miała zamiar kogoś pocałować

— Tylko on... — powiedział z wysiłkiem. — Znał moją siostrę.

Przypominasz sobie... co ci mówiłem? Chodzi mi o Celinę.

Pafian spojrzał na niego ze zrozumieniem. Nie zazdrościł mu tego, co

przeżywał. Choć jednocześnie z trudem panował nad sobą, by się nie uśmiechnąć.

— On mnie lubi! — dodał z rozpaczą Oliwier.

To dopeśniało obrazu dziwaczności i zarazem humoru całej sytuacji.

— Za chwilę! — odkrzyknął Pafian, wstając.

— Chwila to i tak za długo! — usłyszał odpowiedź.

— Nie mogę go nie wpuścić — odparł nieco bezradnie Pafian, patrząc na męki Oliwiera.

W tej samej chwili Julien pocałowała Rossa...

Oliwier wciągnął głośno powietrze, może nawet zbyt głośno.

Za drzwiami Delen i jego ludzie popatrzyli na siebie w zaskoczeniu. Delen poczuł ukłucie w sercu. I nieoczekiwaną dla siebie złość.

— Co wy tam robicie?! — zapytał.

Pafian przyskoczył do Oliwiera i dłonią zakrył mu usta. Pomimo to nie zdołał stłumić jęku, a zrozpaczony Oliwier poczuł na całym ciele skutki podwójnego pragnienia. Zemdłał z nadmiaru przeżytych emocji.

Szczęśliwie już wtedy nie odczuł skutków drugiego pocałunku Julien, lecz przekazał jej uczucie spełnienia...

* * *

Julien przysunęła się, nie zwracając zupełnie uwagi na to, co działo się wokół i pocałowała ledwie żywego Sela w sine usta. Jej dusza, podobnie, jak po uderzeniu w policzek odebrała podwójnie wszystko, co przekazał jej brat. Nikt na świecie, może poza samym uzdrowicielem, nie miał pojęcia, że u bliźniąt o duchowo połączonych sercach siła daru leczenia będzie działała nie tylko na nich, ale i też na każdego, kogo dotkną w tym momencie.

Julien nie myślała o tym, że może to być niewłaściwe. Lubiała Sela, którego zawsze traktowała jak przyjaciela. Do tej chwili nie myślała o nim inaczej, podobnie jak o Rossie. Lecz dar wszystko zmienił. Krew uzdrowiciela zadziałała niczym wino. Sel ostrożnie zaczął odwzajemniać pocałunek, choć nawet nie otworzył oczu. Potem, jakby z każdą przeciągającą się chwilą ten pocałunek dodawał mu sił, jego odwzajemnienie stało się bardziej żarliwe. Wreszcie Julien oderwała się od niego, co przyszło jej z zaskakująco większym trudem, niż przy całowaniu Rossa. Wtedy dopiero otworzył oczy.

Zdumiony wpatrywał się w dziewczynę. Julien patrzyła na niego przytomniejąc, podobnie zaskoczona, jak on swoim zachowaniem. Choć żadne z nich nie wypowiedziało na ten temat słowa, oboje zdali sobie sprawę, że sympatia nie wystarczyłaby do tego, co stało się właśnie między nimi. To uczucie musiało kiełkować już wcześniej. Zaskoczeniem jednak było nie tylko ujawnienie, lecz fakt, że niespodziewanie równie mocno wiązał się z kimś, o kim dotąd nie myślał w ten

sposób świadomie.

Postronni obserwatorzy obserwowali tę scenę ciekawi dalszego rozwoju wydarzeń. Ich ciekawość niemal natychmiast została zaspokojona. Sel zaczął się zmieniać. Z poszarzałej jego twarz zmieniła się z wolna w rumianą, a oczy zabłyśły innym blaskiem. Wargi przestały być sine. Pośród panującej ciszy zachłysnął się nagle, jakby długo nie mógł nabrać powietrza, a potem zaczął bardzo szybko oddychać. Przerażony swym stanem, zacisnął ręce na pościeli, a Julien i Ross przypadli do niego z początku przestraszeni, potem jednak na ich twarzach niemal jednocześnie zagościł uśmiech i niedowierzanie, a zaraz potem pojawił się na twarzach obserwujących kobiet i Lena, który ze śmiechem pokręcił głową na to niezwykle wydarzenie.

— Co robiliście, kiedy mnie nie było? — Alesei nie posiadał się ze zdumienia.

— Żałuj, że nie przyszedłeś wcześniej — uśmiechnęła się Sai.

— Co przegapiłem?

— Pocałunek miłości, stary — Len roześmiał się i wyszedł, by sprawdzić okolicę.

Kobiety usiadły na łożu i delikatnie uspokajały Sela, wstrząśniętego nagłą zmianą i tym, co wciąż się z nim działo. Miał wrażenie, że ktoś podał mu prosto do krwi życiodajny eliksir, który od ust poczynając rozplynał się po całym ciele, kojąco ciepły. Z początku zmiany nastąpiły gwałtownie, miał wrażenie, że serce mu zaraz pęknie, w głowie usłyszał jedynie szum krwi i łomotanie gwałtownie przyspieszonego pulsu. A potem, niczym cofająca się fala, wszystko zaczęło łagodnieć i cichnąć...

Najważniejszym jednak odczuciem było paradoksalnie to, że teraz już nie odczuwał bólu, tylko własny swobodny, pozbawiony wysiłku oddech. Słuchał sam siebie z niedowierzaniem. Nic się nie działo. Własne ciało nie odmawiało mu posłuszeństwa. Nie dusił się. Był wciąż przestraszony, a jego serce biło szybko, jakby zaraz miało mu wyskoczyć z piersi, ale nic złego go przy tym nie spotkało. Przez lata nauczony ostrożności i powściągliwości z trudem panował nad sobą, by teraz nie krzyknąć. Nagle uzyskana swoboda wprawiła go w stan upojenia. Ale ponieważ zawsze starał się być rozważny w działaniu, nie zapomniał gdzie się teraz znajdują i jakie grozi im niebezpieczeństwo. Dlatego pozwolił sobie jedynie na ciche szczęście. Objął Julien i Rossa, przytulił ich mocno do siebie, a potem się rozpląkał. Płakał wtulony w ich ciepło, ściskając ich mocno, tak mocno, jak nigdy dotąd nie potrafił. Dopóki się nie uspokoił, trzymali go w objęciach.

* * *

Pomimo zaognionej sytuacji w zamku, zaciekawieni odgłosami strażnicy

zerkali do środka, by się im przyjrzeć, gdy tylko Pafian otworzył drzwi. Jednak to, co zobaczyli poza nimi sprawiło, że uśmieški zamarły im na ustach. Ten oddział nie widział dotychczas poboju w sypialni wicekróla. Dlatego tym bardziej dziwili się temu, co słyszeli wcześniej. Brutalność, z jaką zabito zdradliwych strażników, nie sprzyjałaby raczej intymnym doznaniom, o które podejrzewali tych dwoje. Sam fakt, że drobna Selena mogła przyczynić się w jakiś sposób do tak gwałtownej śmierci swych porwaczy, nie mieścił im się w głowie.

Delen, udając taktownie, jako jedyny niestety, że niczego nie podejrzewa, zainteresował się zemdloną dziewczyną.

— Podałem jej krew mojego brata — szepnął do niego Pafian, uznając, że ujawnienie tego będzie najlepszym rozwiązaniem dla tej sytuacji. — Leczy każdą ranę i wprowadza w dobry nastrój.

Delen nie skomentował, co sądzi na temat tego dość niezwykle, lecz wiarygodnie brzmiącego, gdyż miał przed sobą brata uzdrowiciela, wyjaśnienia. I jakie jest jego zdanie na temat, w jaki to „dobry nastrój” mógł wprowadzić swym postępowaniem dziewczynę Pafian. Rzucił okiem na ciała zabitych, lecz nie rozważał teraz tego, co zobaczył. Widząc, że suknia jest potargana, w trosce o dziewczynę zdjął z siebie pelerynę i okrył ją z wyraźną troską. Pafian poczuł się niezręcznie, widząc, że Oliwier miał rację co do sympatii porucznika i wdzięczny był losowi, że tamten nie zna przyczyny zasłabnięcia „dziewczyny”. Oliwier ocknął się, gdy Delen rozważał, jak przenieść go w bezpieczne miejsce i widząc go, a zaraz potem czując dotyk jego peleryny, błyskawicznie oprzytomniał.

— Czuję się dużo lepiej — powiedział, zrywając się na równe nogi, czym zakończył dylemat porucznika. — Dam radę iść, dokąd tylko chcecie.

Kryjąc prawdziwe źródło zmieszania, udał, że szczerzej okrywa się peleryną, bo krępują go spojrzenia przyglądających się mu strażników. Wyszło mu to tak wspaniale, aż Pafian miał ochotę mu zaklaskać. Zagryzł jednak wargi i przejechał dłonią po niewielkim zarostwie by ukryć rozbawienie, które Oliwier świetnie wyczuwał.

— Jesteś pewna? — zapytał z troską Delen, na co Pafian udał, że ogląda jeszcze skutki zniszczeń w sypialni, lecz nawet ten widok z trudem mu pomógł w zachowaniu spokoju.

— Tak — odparł Oliwier silnym głosem, może nawet nieco za głośno, widząc kątem oka jego zachowanie.

— Chodźmy zatem — zdecydował Delen.

— Zaczekaj — Pafian opanował się i pochwycił go za ramię. — Co z moim bratem?

— On jest bezpieczny. W interesie obu królewskich braci jest zachować go przy życiu.

— Chcę go stąd zabrać!

Delen spojrział na niego. Poprzez mgliste podejrzenia co do tego, co działo się w pokoju wicekróla i lojalność wobec jego brata zastanowił się nad decyzją. Wreszcie spojrział na swoich ludzi i Selenę.

Sympatia, jaką czuł do uwięzionego Wiwana i delikatnej Seleny zwyciężyła. Uśmiechnął się. Jego ludzie także.

— Myślę, że możemy ci w tym pomóc — odparł.

ROZDZIAŁ 9 — Szalona ucieczka

Powrót z części zamku przeznaczonej dla rodziny królewskiej i najbliższych królewskich współpracowników okazał się znacznie trudniejszy niż przybycie. Ukryty korytarz był miejscem potyczki. Na innych członkowie straży chronili życie zaskoczonych możnych, którzy nie stanęli po stronie wicekróla. Wszędzie panował chaos i toczyły się walki. Korytarze szybko stały się miejscem starć pomiędzy popierającymi króla a jego zdrajcami. Delen prowadził dwoje przyjaciół przez zamieszanie, starając się unikać bezpośredniego kontaktu ze sceną potyczek. On i jego ludzie otoczyli swą ochroną drobną kobietę, nie pozwalając się do niej zbliżać, choć czasem okazywało się to niemożliwe. Kilka razy celnym strzałem z procy w oko lub twarz Oliwier zmieniał wynik pojedynku strażnika z oddziału Delena ze zdrajcami króla. Raz jego skuteczna metoda odwrócenia uwagi, czy raczej rozproszenia przeciwnika pomogła nawet samemu porucznikowi. To spotkało się z jego wdzięcznością, wyrażoną ciepłym uśmiechem, innym zupełnie od tych, które Oliwier widział u niego wcześniej, co sprawiło, że zaczęły go ogarniać wyrzuty sumienia. Nie chciał już dłużej oszukiwać tego sympatycznego człowieka, który najwyraźniej zaczynał czuć coś do Seleny. Dlatego zaczął być wdzięczny losowi, że znaleźli się w końcu na korytarzu łączącym się z tym prowadzącym do pokoju Wiwana. Stanowczo pora była już na to, by zrzucić przebranie i na dobre usunąć Selenę, nim narobi zbyt wielkiego zamieszania.

Znaleźli się tam po blisko dwóch godzinach starć, co wydawało się niewiarygodne, lecz z uwagi na to, że starali się przemknąć w miarę niepostrzeżenie, a dodatkowo, raz czy dwa, pomogli w obronie temu lub innemu człowiekowi króla, nie było to aż tak dziwne. Tu panował spokój. Korytarze łączące się pod zegarową wieżą były puste.

— Dziwne — mruknął Delen. — Zachowajcie czujność!

Kiedy stanęli na korytarzu prowadzącym do uzdrowiciela, zegar na wieży wybił północ. Miarowe, spokojne uderzenia dzwonu stanowiły niezwykle kontrast wobec toczących się wokół walk.

Pokoje były otwarte. Oliwier drgnął, widząc leżącą wciąż na łożu piękną hrabinę w pokoju wicekróla. Na jej widok strażnicy wyraźnie posmutnieli, bo choć jej bujne życie towarzyskie było czasem przedmiotem żarcików wśród żołnierzy, zawsze jednak darzyli ją pewną sympatią ze względu na temperament i urodę.

Pafian czuł narastający niepokój. Wyrwał się naprzód przed oddział, targany lękiem i wpadł do pokoju brata z mieczem w dłoni.

Po chwili zarówno dla niego, jak i dla innych stało się jasne, że pokój i

sypialnia są puste.

Wiwana nie było...

* * *

Len wszedł do wozu i przysiadł ciężko na wolnym fotelu.

— Ramoz jest po lewej. Moren po prawej. Obaj teraz pewnie naradzają się, jak dorwać nam się do dupy.

Przez chwilę panowała cisza. Ross zerknął na Sela. Kiedy euforia spowodowana szybko odzyskiwanym zdrowiem minęła, Sel zamilkł i zamknął się w sobie. Julien unikała spojrzeń ich obu, niespokojnie stojąc pod ścianą, gotowa podskoczyć lub krzyknąć, gdyby ktoś się do niej odezwał, więc zostawiono ją jej myślom. Każde słowo Sela zapadało w duszę Rossa, każdy gest miał teraz drugie znaczenie, gorzkie i nieuchronne. Ross wypatrywał oznak definitywnego rozstania. Teraz bowiem, gdy Sel był zdrowy, choć brakowało mu jeszcze kondycji — mógł być z kim chce, a najwyraźniej znów to była kobieta. Gdyby jednak umiał czytać jego myśli, zrozumiałby, w jakim jest błędzie. Sel daleki był od takich postanowień, choć pocałunek wywołał zamieszanie w jego sercu, zarówno dosłownie, jaki i w przenośni. Sprawy uczuć nie były jednak teraz dla niego najważniejsze. Wciąż nie oswoił się z nagłą zmianą na lepsze w jego zdrowiu.

Były też powody zbyt świeże i bolesne, o których jego dwoje przyjaciół, wzburzonych niezwykle sytuacją, zdawało się zapominać.

Lecz on nie zapomniał.

— Pora się przygotować.

— Tylko wasza trójka nie ma jeszcze broni — odparł Len. — Resztę już rozdałem.

Sai i Lena skinęły głową, podobnie Valeria. Alesei patrolował okolicę, mając pod ręką miecz, kuszę i sztylet. Wszystko to, co mogło się przydać, Ross i zebrani mężczyźni ukradli klientom Domu Rozkoszy. Sel był pod wrażeniem ich przygotowania.

Len podał Rossowi miecz i sztylet. Julien wybrała tylko to drugie. Sel wybrał kuszę. Nie nadawał się do bezpośredniej walki. Nie w tej chwili.

— Co dalej? — spytała Sai — Chowamy się jak szczury w kanałach?

— Nie Sai — odparł jej Sel z uśmiechem, który dotąd widzieli w znacznie osłabionej wersji. — Wykurzymy dzikiego zwierza, nim on zaatakuje nas.

Nie zdążyli nawet rozważyć tego pomysłu, gdy nagle drzwi wozu otworzyły się z łomotem. Oczom zaskoczonych ukazał się Alesei z ostrzem przystawionym do gardła, a za jego plecami stał sam przywódca Czerwonej Straży, drugiej po grupie Morena bandzie rzezimieszków w mieście. Jego nosząca ślady hulaszczego życia twarz przypominała oblicze zatwardziałego pirata. Plotka głosiła, że potajemnie

parał się niewolnictwem i to na wielką skalę.

— No, toście się spóźnili! — ryknął Ramoz, nie kryjąc satysfakcji. — Zwierz skoczył wam do gardeł!

Nim ktokolwiek zdołał zareagować, Julien podbiegła do okna, otworzyła je i z kocią zwinnością z pomocą komody i niespodziewanej, sławnej głównie u jej brata siły wciągnęła się na dach. Zdumieni ludzie Ramoza, którzy prędeż spodziewali się, że dziewczyna po prostu wyskoczy, zareagowali odrobinę za późno, co wystarczyło niedoświadczonym przyszłym obrońcom uzdrowiciela. Alesei odciągnął rękę z grożącym mu sztyletem i wywinął się z uścisku. Ramoz zaklął szpetnie, gdy zakładnik szybko wdrapał się po barierkach w ślad za Julien, a Len zamknął drzwi przed jego nosem. Sai, Lena i Valeria przez otwarte okno zaczęły obrzucać ludzi Ramoza tym, co wpadło im w ręce. Julien skoczyła na kozła. Jeden z ludzi Ramoza chciał ją pochwycić, lecz w tym momencie Sel otworzył drzwi i kuszą zdzielił go w twarz. Julien złapała lejce i ponagliła zaprzęgnięte konie. Wóz ruszył. Ramoz zachwiał się i spadł z niewielkiego balkoniku, a Alesei wsunął się do wnętrza wozu przez okno, w czym pomogły mu kobiety. Ross chwycił rzucony mu przez Lena łuk i kołczan, otworzył drzwi i napiął cięciwę pierwszej ze strzał. Raz za razem posyłał strzały tuż przed nogami goniących ich, zmuszając do gwałtownego przystawania i uników, dopóki nie znaleźli się wystarczająco daleko.

— Rebeka zawsze mówiła, że powinienes być łucznikiem w królewskiej armii, pamiętasz? — rzekł mu Len, patrząc na łuk w jego rękach. — Miała dobre oko do ludzi.

Ross uśmiechnął się ze smutkiem, przypominając sobie, kiedy pierwszy raz o tym wspomniała.

Nie bez przyczyny mieszkańcy Domu Rozkoszy nazywali ją Mateczką, choć czasem potrafiła mieć swoje humory i nieźle się przy tym nawrzeszczała. Wiedzieli jednak, że mogli na niej polegać.

Wóz zatrząsł się gwałtownie, gdy konie rżąc, stanęły dęba. Ross i Len obejrżeli się w stronę otwartych drzwi po drugiej stronie. Pomiędzy Julien i Selem, ktoś wyszedł naprzeciw rozpędzonych koni.

Znali tylko jednego szaleńca gotowego to zrobić.

Idąc w tę stronę, Ross poczuł uścisk dłoni zaniepokojonej Valerii. Ujął mocno tę dłoń, próbując dodać jej tym otuchy. Sai i Lena odruchowo schowały się za Lenem, jak za niedawnych jeszcze czasów, gdy pracował jako ich ochrona w Domu. Ich spojrzenia spotkały się na moment, wyrażając ten sam lęk.

Alesei zaklął szpetnie.

— No proszę — rzekł Moren, uśmiechając się złowrogo, podczas gdy jego kompani mierzyli z kusz do siedzących na kozle. — A jednak znów się spotkaliśmy...

* * *

— Może poszli do komnat królewskich — zasugerował Delen, widząc przygnębienie i wściekłość Pafiana. — Albo do zbrojowni.

— Ta twoja więź — Pafian zignorował jego słowa, szybkim krokiem podchodząc do zaskoczonego Oliwiera. — Ona nie może nam wskazać, gdzie jest?

Oliwier rozejrzał się spłoszony. Delen i jego kilku kompanów patrzyli na niego ze zdziwieniem.

— Więź? — zdziwił się porucznik — Jaka więź? O czym wy mówicie?

Oliwier nabrał tchu, by się opanować, a zdenerwowany Pafian szybko zrozumiał swój błąd.

— Mam siostrę bliźniaczkę — odparł drżącym tonem Oliwier. — Ja i Celina... — spojrzał znacząco na Pafiana — pochodzimy z licznej rodziny.

Delen nadal jednak patrzył podejrzliwie.

— A skąd WY się znacie? — zapytał, patrząc na obu. — Nie mówiłaś, że...

— Nie było okazji do zwierzeń — przerwał mu szybko Oliwier, obdarzając Pafiana krótkim, morderczym spojrzeniem.

— Ich ojciec kiedyś pracował przy naprawie naszego domu — wymyślił na poczekaniu Pafian, by ratować sytuację. — Chyba to nie ma teraz znaczenia, prawda? Chcę wiedzieć gdzie jest mój brat! — ostatnie słowa niemal wykrzyczał. Nie była to tylko udawana złość.

Delen przyjął ten wybuch spokojnie, marszcząc brwi w zastanowieniu. Oliwier był pewien, że teraz wspomina wszystkie informacje, jakich Celina udzieliła mu o swojej rodzinie. Trzeba było jak najszybciej odwrócić jego uwagę.

— To tak nie działa. Nie mogę przestawić się na kogoś innego.

— Pewnie nie próbowałaś — tym razem bardziej już przytomnie Pafian przypomniał sobie, w jakiej formie powinien się zwracać.

— To nie jest mój brat. Żałuję, ale nie mogę ci pomóc — odparł Oliwier, starając się nie popaść w rozdrażnienie. Z drugiej strony jednak rozumiał jego niepokój — Myślę jednak, że wicekról ma go przy sobie. Jest zbyt cenny, by przypadkowo zginął lub znów trafił w ręce króla. Umieści go tam, gdzie będzie pewien, że nikt nie będzie go teraz szukał. Jest tu takie miejsce?

— Chce objąć tron, tak? — zapytał rudowłosy strażnik z oddziału Delena. — To może są w Sali Tronowej. Albo... — przerwał na chwilę, widząc, że skupił na sobie uwagę wszystkich. — Może kazał tam przetrzymywać Wiwana, dopóki nie wróci. Wiecie, obejmie tron, uzdrowiciel będzie jego niewolnikiem... Kto by teraz zaglądał do Sali Tronowej?

Pozostali popatrzyli po sobie.

— No — powiedział do młodego strażnika Pafian, a na twarz powrócił jego

zawadiacki uśmiech. — To jest dobry pomysł na początek.

— Jak się tam dostaniemy? — zapytał Oliwier Delena.

— By uniknąć walk, najlepiej Łukowym Korytarzem poza pokojami. Inaczej znów będziemy się przedzierać.

— Idziemy! — zakomenderował krótko Pafian.

Strażnicy dla pewności sprawdzili, czy ich porucznik się z tym zgadza i po chwili wszyscy podążyli za nim, znów otaczając dyskretną opieką Selenę. Delen wyprzedził Pafiana, by wskazać drogę. Jego myśli nie przestawały jednak krążyć wokół dziewczyny. Coś ukrywała, a Pafian wraz z nią. Miał nadzieję, że w stosownym czasie dowie się prawdy...

* * *

— Co ja ci mówiłem Sel? — zapytał Moren, gdy zgromadził już wszystkich przed wozem. — Miałeś siedzieć na dupie! U MNIE!!

Sel milczał. Ze wszystkich sił starał się wyglądać jak dawnej, czyli na śmiertelnie chorego, choć witalność niemal go rozpieęła, a oczy błyszczały ożywieniem. Przy odrobinie wysiłku jednak i wciąż nałożonemu makijażowi, który po rozmazaniu sprawiał upiorne wrażenie, dało się to zrobić. Sprawił, że Moren znów nie traktował go jak przeciwnika.

— Gdzie ta męska dziwka, co pomogła wam uciec? — Moren rozejrzał się prędko, lustrując złapanych. — To ty! — odnalazł wzrokiem Rossa. — Nie masz tej tapety na gębie, ale to ty, gnido! Poznaję cię!

Ross, wiedząc jak kończą ci, którzy narazili się na gniew Moreny, przezornie milczał, patrząc mu w oczy. Moren przyjrzał się mu uważnie, szukając jakiegoś gestu, czy słowa prowokacji. P chwili sapnął zawiedziony.

— Potrzebuję dupy — rzucił wyzywającym tonem, obserwując jego twarz. — Nim zjawi się szanowny braciszek — skłonił się Julien, która spojrzała na niego z gniewem. — Chcę się zabawić. Miejsce już mamy. Za ile dajesz? — uśmiechnął się jadowicie do swej ofiary. — Ach, byłbym zapomniał! Przecież nie jesteśmy już w burdelu. Nie muszę ci płacić!

Ross instynktownie odciął emocje od tego, co robił Moren, jak robił to zawsze, gdy klient nie budził jego sympatii, był chamem lub wyjątkowym obrzydliwcem. W tym zawodzie własne odczucia nie były ważne, tylko satysfakcja klienta. I pieniądze. Kto łączył jedno z drugim szybko popadał w kłopoty, zapijał się lub popełniał samobójstwo. Choć doświadczenie w tym fachu Ross zdobywał od zaledwie trzech lat, szybko przyswoił sobie, że emocje nie pomogą mu przetrwać. Chłodnym spojrzeniem starego profesjonalisty spojrzał na Morena, budząc szacunek u pozostałych. I rosnącą obawę o jego los.

By zachować ten spokój, starał się nie patrzeć w stronę Sela.

Moren zdzielił go w twarz.

Ross posmakował własnej krwi z rozciętej wargi, lecz wyraz jego twarzy nie zmienił się. „Co z tego?” — mówiły jego oczy.

— Nie żałuj sobie — rzekł lekko prowokującym tonem, jak wtedy, gdy zachęcał niepewnych klientów.

Dostrzegł, że te słowa stały się dla bandyty zachętą do dalszego bicia. Przeczynał, że tak się właśnie stanie, odkąd Moren go odszukał. Tacy ludzie musieli wyładować na kimś swoją agresję — w ten czy inny sposób. Inaczej spodnie zaczynały ich uwierać.

Lepiej było dać mu się stłuc, niż pozwolić, by wziął go siłą z zemsty na Selu. On pewnie jakoś by to przeżył. Ale Sel, czy biedna, niewinna Julien już raczej nie. To byłby dla nich ogromny wstrząs, nie dający się zatrzeć w pamięci na resztę życia.

Moren zamachnął się do drugiego ciosu...

— Widzę, że zabawa trwa w najlepsze! — usłyszeli nagle znajomy głos.

Ramoz i jego ludzie zawrócili po konie i teraz siedząc w siodłach wyjechali powoli na niewielką polanę, gdzie zatrzymano wóz.

— Czego chcesz do cholery?! — Moren nie znosił, by mu przerywano w czymkolwiek.

Tym najszybciej można go było wyprowadzić z równowagi. Sel doskonale o tym wiedział. Korzystając z nagłego pojawienia się Ramoza, powoli zbliżył się do otoczonych przyjaciół.

— Daj mi wóz! — odparł niedbale Ramoz, a jego czarne jak węgiel oczy zmierzyły wszystkich uważnym spojrzeniem. Skinął ręką, wskazując na kobiety: — I te dwie dziwki — Lena ścisnęła dłoń Sai. — Z resztą baw się, jak chcesz.

Sai patrzyła na niego z pozornym spokojem, pod którym kryła się zimna furia. Każde spotkanie z nim wiele kosztowało je obie. I nigdy nie był sam. Kompanów było kilku.

Niestety, Sai nie umiała i, prawdę mówiąc, nie chciała wyrzec się emocji, co tak dobrze wychodziło Rossowi. Przyczyna na to była prosta. Nikt dotąd nie poniżył i nie traktował wyjątkowo podle ich przyjaciela.

Ale je obie tak.

Sai pragnęła śmierci Ramoza odkąd Lena po raz pierwszy płakała po nocy spędzonej w jego towarzystwie. Szczególnie za to pragnęła, by umarł. Los wpychał go niemal w jej ręce.

Moren stanął naprzeciw Ramoza. Obaj mieli tylko kilku ludzi. Tym, że ludzie przeciwnika znajdowali się na koniach, w ogóle się nie przejmował. On miał kusze. Przez chwilę mierzyli się długim spojrzeniem.

Potem nagle, jak na komendę wybuchli śmiechem, a po chwili dołączyli do nich niepewnie ich ludzie. Nie był to jednak szczery śmiech, lecz na pokaz. Ani

przez chwilę bowiem nie spuszczała z siebie wzroku. Ramoz, zawsze podejrzliwy, co nieraz uratowało mu jego bandyckie życie — czujnie obserwował też ruch za plecami Morena. Widział, jak dawny kumpel przeciwnika staje za plecami osiłka, który tak bronił Rebeke — Mamuskę — a za którym wstawiło się kilka dziwek, gdy chciał go zabić. Bały się, że już nie będzie miał kto stanąć w ich obronie. Teraz Sel przecinał mu szybko więzy sztyletem, bo idiota Moren nawet nie pofatygował się, by go zrewidować. Czy on naprawdę uważał, że nawet śmiertelnie chory nie będzie umiał korzystać z ostrza, gdy nadarzy się ku temu okazja? Niewiarygodna głupota. Odczekał tę chwilę, by spodziewana rozgrywka nabrała smaku, aż Sel uwolnił Lena. Kiedy więzy pękły, Len zdzielił w twarz zaskoczonego Szerona. Ramoz wyciągnął miecz i tym razem jego uśmiech był szczery i przepelniony szyderstwem.

Aż do granic.

— Miecze! — krzyknął, a jego zorganizowani ludzie błyskawicznie sięgnęli do pochew. — Zabić tego głupca! — wskazał na Morena.

Sel w pośpiechu odciął więzy Rossa i Alesei. Ross wraz z Aleseiem pomógł kobietom dostać się do powozu.

— Jazda Len! — wrzasnął Alesei, szczęśliwy, że Ramoz i Moren tak zajęli się potyczką, że niemal o nich zapomnieli. Niedługo jednak dane mu było tym się cieszyć.

— Wóz!! Do diabła, wy ciemięgi przeklęte! — zawołał Ramoz. — Gonić ich!

Moren pobladł z wściekłości. Sel wymykał mu się z rąk, zabierając ze sobą Julien. Nawet nie stanął z nim do walki. Nie mógł pojąć, bo jego uczucia były zbyt samolubne, że Sel wolał zabrać przyjaciół w bezpieczne miejsce, nim dojdzie do ostatecznego starcia. Wszyscy, na których mu teraz zależało, mieli być wtedy daleko stąd, by nieobliczalny Moren nie mógł ich więcej dosięgnąć.

— Do koni!! — wrzasnął do swoich Moren, aż żyły nabrzmiały mu na skroni. — Oni są moi! I tylko moi!

Rozpoczął się szaleńczy pościg.

Len poganiał konie głośnymi okrzykami, podczas gdy Ramoz i jego ludzie, a tuż za nimi Moren z resztkami swoich, zjednoczeni teraz w jednym celu, podążali za nim. Wóz trzeszczał i trząsał się na pokonywanych szybko zakrętach alejek, aż do bramy wjazdowej ogrodu. Nie było mowy, by konie ścigających zrównały z wozem w bramie. Była na to zbyt wąska. Musieli więc się wycofać. Stracili cenne chwile, podczas gdy rozpedzony wóz wjechał na drogę wiodącą do zamku, którą rano pokonywał wóz z żywnością, niemal w tym samym tempie. Na niedalekim targowisku płonęły nieliczne ogniska i pochodnie. Ross ponownie wziął łuk i z ciężkim sercem wymierzył w pierwszego z ludzi Ramoza. Nigdy dotąd nikogo nie zabił. Miał wrażenie, że łuk i strzała są przedłużeniem jego ciała. Zwolnił

ciężką. Niezawodnie, zgodnie z wyczuciem Mateczki Rebeki strzała dosięgła celu i trafiła w serce.

Niemal poczuł ten sam ból.

Len wjechał pomiędzy zgromadzonych ludzi, by spowolnić pościg. Teraz wozem rzucało, gdy manewrował między wąskimi przejściami przy nielicznych, jeszcze nierozebranych straganach. Ludzie uciekali w popłochu, złorzecząc i krzycząc. Był środek nocy, jednak nie wszyscy spali, niecierpliwie czekając na świt.

Bezpieczny ze swego miejsca na dachu niewielkiego domku Tenan obserwował, jak biały wóz pędzi w stronę ulic miasta, a Moren jedzie obok, niemal już przy tylnych kołach. Po drugiej stronie pędził konno Ramoz, klnąc, na czym świat stoi.

To sprzyjało jego zamierzeniom, więc uśmiechnął się lekko, a jego jasne oczy nabrały blasku.

Na pierwszej z szerszych ulic Wermodu, prowadzących do placu, gdzie odbywały się egzekucje lub inne uroczystości, pewien uciekający z rodziną człowiek zgubił worek z ziarnem. Worek spadł prosto w końskie łajno, lecz to nie zniechęciło ulicznych żebraków. Rozerwali go i rozgorzała zacięta walka o zdobycz, w wyniku, której zginął jeden z nich. Pozostali zostawili ciało, a że grabarzy było coraz mniej i nadchodziła noc, gdy miało miejsce to zdarzenie, ciało leżało tam nadal.

Len, który doskonale poradził sobie jako woźnica wśród ludzi na targowisku, bo pomagały mu światła ognisk i pochodni, wyjeżdżając z zakrętu nie zauważył w porę trupa w ciemnej ulicy. Przejechał po nim, gruchocząc kości. Wóz przechylił się na jedną stronę i opadł gwałtownie.

Z piskiem drogę przebiegły dwa szczury.

Przestraszone tym konie stanęły dęba i decydując się na ucieczkę, rzuciły się w bok. Len wpadł do środka wozu, a zaraz potem zmuszony do skrętu w miejscu wóz przechylił się, przerzucając ludźmi. Zakołysał się niebezpiecznie.

Potem się przewrócił...

* * *

Delen przeprowadził swój niewielki oddział przez Łukowy Korytarz. Szalony architekt, który projektował cały zamek, tym razem ograniczył się do białych ścian i łuków, co było prawdziwym ukojeniem dla oczu. Zmęczeni nieco ludzie, poza Oliwierem, w którego żyłach krążyła wciąż krew uzdrowiciela, dodając mu sił i energii, rozczarowali się wyjściem na zewnątrz. Zamiast spodziewanego chłodu nocy, zastali duszne powietrze pozbawione wiatru. W mgnieniu oka ich ciała pokryły się potem.

— Ani jednej chmurki — zauważył z pretensją jeden z ludzi porucznika. — Gdzie ta cholerna burza, jak jest potrzebna?

Wchodząc znów na korytarze prowadzące między innymi do Sali Tronowej, w miarę możliwości unikali bezpośredniego starcia z żołnierzami wicekróla. Nie zawsze jednak udawało się to zrobić.

— Z rozkazu królowej mamy zabrać ciebie i Wiwana w bezpieczne miejsce — wyjaśnił krótko Delen pomiędzy kolejnymi potyczkami. — Oczywiście dotyczy to także waszych przyjaciół — spojrzał ciepło na Oliwiera, przez co tamten poczuł się nieswojo, zwłaszcza, że po chwili napotkał wiele znaczący uśmiešek Pafiana. — Do cholery, mam zamiar wypełnić ten rozkaz!

— Nieźle się wpakowałeś — odparł Pafian.

— Łatwo nie jest — zauważył Delen, zatrzymując wszystkich i ostrożnie wyjrzał zza zakrętu korytarza prowadzącego do Sali Tronowej.

Przed salą i w jej wnętrzu roiło się od żołnierzy wicekróla. Zaklął plugawo.

— Co jest? — spytał krótko Pafian, gotów wyrzeć także, lecz Delen go powstrzymał.

— Zbyt wielu dla nas — oznajmił krótko.

— Czyżby? — mruknął Pafian, zrećnie się uwalniając, by rzucić okiem. Powrócił do nich z ponurą miną.

— Nie widzę wnętrza. Nie wiem, czy Wiwan tam jest.

— Mogę sprawdzić — wtrącił się Oliwier. — To żaden problem.

— W jaki sposób? — zdziwił się Delen.

— Zejdę z dachu aż do okien sali i rzucę okiem.

Teraz uwaga wszystkich bez wyjątku skupiła się na nim.

— Powtórz, słońce — odezwał się ciemnowłosy mężczyzna z oddziału Delena. — Powiedziałaś: Zejdę z dachu?!

Oliwier skinął głową. Delen wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

— Masz zadziwiające talenty — zauważył. — Ale to może potrwać zbyt długo.

— Długo? — tylko chwilę Oliwier rozważał tę możliwość, ale był już w swoim żywiole. — Nie — zaprzeczył. — Projektant tego zamku nie oszczędzał na gzymsach, łukach i innych ozdobach. Zaraz wrócę.

Nie zastanawiali się. Delen otworzył jedno z okien, a pozostali skupili się w pobliżu, by nie przeoczyć początku wyprawy.

— Uważaj na siebie — powiedział, ujmując uprzejmie rękę Oliwiera, by pomóc mu wejść na parapet.

Speszony coraz bardziej okazywanym zainteresowaniem porucznika i wymownymi spojrzeniami jego ludzi, Oliwier zamrugał szybko kilka razy, a jego twarz pokryła się rumieńcem. Delena zachwycała wrażliwość dziewczyny.

Wpatrzył się w jej błękitne oczy.

— Seleno — rzekł miękko — wróć do nas.

I nim Oliwier zdołał temu jakoś zapobiec, pocałował go delikatnie w usta.

Burzy uczuć, którą wtedy odczuł nie potrafił nawet określić. Był jednak pewien, że nigdy dotąd czegoś takiego nie przeżył i nic nie zdumiało go bardziej niż może tylko odkrycie przyczyny tajemniczego zachowania Morena.

Pafian chrząknął znacząco, ponaglaając do pośpiechu i chwila przysła.

Delen puścił rękę oszołomionego Oliwiera, który walczył sam ze sobą, by jakoś się opanować.

Ktoś próbował zagwizdać, jednak w porę się powstrzymał. Okoliczności temu nie sprzyjały.

Czując, jak twarz mu płonie, Oliwier obdarzył wszystkich ostatnim spojrzeniem, napotykać życzliwe spojrzenia i uśmieški. Pafian gestem dodał mu odwagi. Tylko on wiedział o nim więcej od innych. Oliwier wziął głęboki wdech i wyszedł, wspinając się niczym cyrkwiec po rzeźbach i łukach, zadziwiając wszystkich lekkością i zręcznością.

— Hej — głośno szepnął jeszcze za nim czarnowłosa. — A co z kiecką? Nie przeszkadza ci?

Ta uwaga spotkała się z ponurym wzrokiem Delena.

— Przepraszam, panie poruczniku — wyjąkał mężczyzna tylko odrobinę speszony tym spojrzeniem. — Złe nawyki.

* * *

— I jak się mają nasze sprawy? — zapytał wicekról, siedząc wygodnie na tronie.

Niemal już czuł jak wspaniałe to będzie uczucie w przyszłości, która właśnie zaczęła się realizować.

— Królowa i jej dzieci zniknęły — odparł wicehrabia z gniewem. — Król zablokował nam drogę. Nie zdołałem zobaczyć, dokąd poszli.

Terlan wstał z ociąganiem, namyślając się.

— Nie zostawili go. Konstancja tego nie zrobi. Są nadal w zamku.

— Tylko gdzie?

— Myśl, głupcze! — krzyknął wicekról, uderzając go znienacka w czoło otwartą dłonią. — Pewnie idą właśnie tutaj! Co z moim bratem?

— Zamknął się w pokoju. Forsujemy drzwi. Na dole jest przepaść. Może wymknąć się nam jedynie w objęcia śmierci.

— Inni?

— Dopadliśmy Wielkiego Kanclerza. Siedzi w lochach. Pozostałych usuwamy według rozkazu.

— Gdzie jest medyk?

— Ostatnio przeszukiwał pokoje piętro niżej ze swoim oddziałem. Wkrótce tu będzie.

— Zachowajcie czujność. Postępujemy według planu.

Wicehrabia skłonił się i wyszedł z sali. Wicekról rozejrzał się, sprawdzając czy wszyscy żołnierze stoją w gotowości. Pora była ruszać i sięgnąć po ostatni atut. Mimo niewielkich komplikacji, jego plan się sprawdzał. Spojrzał na stojącego pod strażą uzdrowiciela. Nie wyglądał zbyt dobrze. Ale przecież nie musiał dobrze wyglądać. Ważne, że stał na nogach.

— Już gratulujesz sobie sukcesu? — rzekł cichym głosem Wiwan.

Terlan stanął przed nim w całej swej okazałości. Dumny i zwycięski. Mierząc go spojrzeniem, zastanawiał się, co jest takiego w tym człowieku, że mimo wszelkich prób, by to stłumić, czuje w głębi duszy ciężar wyrzutów sumienia. To, że swoją postawą, spojrzeniem, samą obecnością wywoływał w nim takie uczucia, budziło gniew wicekróla. Nie chciał czuć się winny tego, co robił.

To musiał być uzdrowiciel. To on wpływał na jego nastrój.

— Nie próbuj tych swoich sztuczek — rzekł do niego. — Niczego nie zmienisz.

Wiwan spojrzał na niego uważnie. Z początku nie zrozumiał. Potem dotarło do niego, że gdzieś w sercu wicekróla toczy się walka z sumieniem. Walka, z którą nie miał nic wspólnego. Nie miał siły by wpływać na nastrój. Świadomość, że wicekróla coś gryzie poprawiła mu jednak humor. Niech myśli, że dzieje się tak za jego sprawą...

— Wychodzimy! — rozkazał ponurym tonem Terlan, znów mierząc go spojrzeniem.

Ale podobnie jak działo się to wiele razy wcześniej i teraz nie wywołał tym strachu w młodym uzdrowicielu.

Nagle, gdy Terlan się odwrócił, Wiwan poczuł neodparty impuls, by spojrzeć w okna po lewej stronie. Wyczuł znajomą obecność.

Zerknął.

Zobaczył Oliwiera w przebraniu, zagląającego do Sali Tronowej. Strach, by nie został wykryty sprawił, że na moment bicie jego serce przyśpieszyło.

Niemal natychmiast, zaraz po tym, jak ich spojrzenia się spotkały, odwrócił wzrok.

Po chwili odczuł, że tamten odszedł.

— Jaśnie panie! — zawołał znajomy głos i do środka wszedł Nadworny Medyk Sedon. — Mamy królową Konstancję!

Zawahał się nagle, widząc uwięzionego uzdrowiciela i jego stan.

— Co on tu robi? — zapytał nerwowo. — Miał odzyskać wolność. Dlatego do was przystałem!

Wiwan zmierzył go ponurym spojrzeniem. Miał szacunek do wiedzy Sedona,

najwyraźniej jednak medyk był naiwny, skoro wierzył słowom wicekróla.

— Gdzie ona jest?! — zapytał wicekról, odzyskując dawny rezon i pychę, gdy usłyszał te wieści.

— Wiwan, ja... — zająknął się Sedon, wyraźnie zbity z tropu.

„Wielki medyk” — pomyślał uzdrowiciel z pogardą, tracąc do niego szacunek.

— Mów zaraz!! — wicekról chwycił zmieszanego mężczyznę za ramiona, potrząsając nim. — Albo pasy każę z ciebie drzeć!

— Potrzebujecie mnie! — syknął w odpowiedzi Sedon, wreszcie odzyskując panowanie nad sobą. — Jestem najlepszym medykiem w królestwie, a na zewnątrz panuje zaraza. Umowa była jasna! Wiwan miał odzyskać wolność!!

Przez chwilę mierzyli się gniewnym spojrzeniem.

— Odzyska ją! — odparł przez zaciśnięte zęby wicekról. — Na moich warunkach! Pojmać go!

Posłuszni żołnierze pochwycili szarpiącego się medyka.

— Nie możesz...! — zaczął gniewnie.

— Albo natychmiast powiesz mi, gdzie jest królowa, albo każę swoim ludziom zakuć cię w kajdany i prowadzić za mną jak posłusznego kundla, a wtedy nie będziesz mógł opływać w dostatki jak tego pragniesz! Będziesz jadł jak pies i spał jak pies, a za każdy sprzeciw będę bił cię jak nieposłusznego psa!

Sedon drżał z wściekłości i poniżenia. Wiedział jednak, że groźba wicekróla jest jak najbardziej realna.

— Jest w komnacie wieży zachodniej. Pilnują jej moi ludzie — odparł w końcu.

— Sama?

— Tak.

— To na pewno podstęp — wicekról zastanowił się przez moment. — Pilnujcie jej! — rozkazał medykowi, gestem polecając żołnierzom, by go uwolnili. — A ja odprowadzę naszego uzdrowiciela do drzwi.

— A więc jednak go uwolnisz — na twarzy Sedona pojawiła się ulga. — Wyprowadzisz tajnym wyjściem poza miasto, jak ustaliliśmy?

Teraz nawet na twarzy wicekróla odmalowała się pogarda dla tego człowieka. Trwała tam jedynie chwilę.

— Tak — odparł zręcznie kłamiąc. — Wyprowadzę go.

Wiwan wyczuł ukrytą groźbę w tych słowach. Ogarnął go chłód.

* * *

Wchodząc na górę Oliwier zauważył nagle jakiś ruch. Nieco dalej od niego ktoś spuścił się na linie do komnat piętro niżej i zajrzał przez jedno z okien. Po

chwili dał sygnał pohukując, jak sowa i kilku innych ludzi pokazało się nagle na dachu. Przez uchylone okno w Sali Tronowej usłyszał gniewne głosy. Rozpoznał głos Nadwornego Medyka i usłyszał groźbę wicekróla skierowaną pod jego adresem. Przeklęty zdrajca! Naiwny głupiec!

— To może być podstęp — mówił właśnie wicekról o miejscu pobytu królowej, podczas gdy tajemniczy ludzie z dachu zsunęli się tą samą drogą, co ich poprzednik po linach. Jeden z nich zauważył go przy ścianie.

Ku swojemu zdziwieniu Oliwier zobaczył księcia Merona.

Wszyscy zniknęli we wnętrzu komnaty poniżej. Oliwier spojrzął w stronę wieży, gdzie zamknięta została królowa. Była niedaleko stąd. A po jej ścianach skradali się właśnie jacyś ludzie...

Tyle, że wicekról zamierza najpierw zaprowadzić dokądś Wiwana. Nie wejdzie w pułapkę, o czym tamci nie wiedzą. Ostrożnie i zwinnie zszedł do miejsca, gdzie zniknął książę Meron. Na jego widok spory oddział ukryty w komnacie odruchowo wyciągnął miecze. Zobaczył kilka znajomych twarzy prócz księcia, w tym brata porucznika.

— Wicekról tu nie przyjdzie — powiedział — Wyprowadza dokądś uzdrowiciela. Wyczuł podstęp.

— W takim razie rozdzielamy się — rzekł książę. — Powiadomcie ojca, że pójde za wujem. Gdy rozprawi się z medykiem, dołączy do mnie.

Jeden z żołnierzy skłonił się i wyszedł przez okno. Książę i jego ludzie zaczekali aż Medyk przejdzie obok komnaty. Był sam, zgodnie ze słowami tej odważnej dziewczyny. Kirian spojrzął na okno, gdzie jeszcze przed chwilą stała na parapecie. Już jej nie było...

* * *

— Wszystko widzieliśmy — przywitał Oliwiera czarnowłosa z lekką przyganą w głosie.

Jednak słysząc wieści, które dziewczyna miała do przekazania, spoważniał. Pafian natychmiast zdecydował, że idzie za bratem i podczas gdy Julien i jej towarzysze stali przed Morenem, oni wyszli z ukrycia i podążyli korytarzem za wicekrólem.

Zdołali zobaczyć go w momencie, gdy wyprowadzał Wiwana z zamku bocznym przejściem, prowadzącym do korytarzy dla służby, które rano — choć teraz wydawało się to tak dawno temu — przemierzał Oliwier.

Właśnie wtedy wyłonił się wicehrabia ze swym oddziałem. Na jego widok Oliwier poczuł wzbierający gniew. Morderca hrabiny Weren!

— Łatwo ci przychodzi zabijać bezbronne kobiety? — syknął wściekle. — Morderca i głupiec ślepo słuchający rozkazów! Ani ty, ani wicekról nie

posmakujecie władzy, której tak pragniecie!

Pafian spojrział na wzburzonego Oliwiera, tak wiele razy zaskakującego dziś wszystkich swoim zachowaniem. Czy słyszał w tym głosie okrucieństwo? Nie. Jedyne żal i gniew. Kolejny raz pomyślał o tym, co naprawdę stało się w komnacie wicekróla, tam na górze. Wciąż nie wierzył, by za masakrą stał ten chłopak. Jego rozważania nie trwały dłużej niż chwilę, podczas gdy Delen i jego ludzie zrozumieli, że stoją przed mordercą pięknej hrabiny i przeciwnikami, więc wyciągnęli miecze. Do wicekróla nie było innej drogi. Musieli ją sobie wywalczyć. Delen rzucił sztylet dziewczynie, nie dysponując na razie lepszą bronią, a jego oddział odruchowo niemal zasłonił ją sobą. Pafian stanął u boku Oliwiera, spoglądając na pobladłego wicehrabiego. „Boisz się — zauważył z pogardą. — I słusznie”.

Jego domysły potwierdził ciemnowłosy, który najwyraźniej pałał sympatią do każdej kobiety, jaką napotkał.

— Nie martw się, słońce — rzekł do Oliwiera. — Zapłaci za śmierć hrabiny. Delen potwierdził jego słowa skinąwszy lekko głową.

Gdy w czasie walki Oliwier zdobył miecz i zabił pierwszego w swym życiu człowieka, jego siostra uciekała wraz z innymi białym powozem.

Delen starł się z wicehrabią i odciął mu głowę. To zakończyło walkę. Pozostali zdrajcy zginęli z ręki jego ludzi. Pafian, niespokojny, że ten incydent opóźnia uwolnienie jego brata, chciał ruszać dalej, gdy nagle Oliwier upuścił miecz i krzyknął przeraźliwie. Jego ręka zupełnie nieprawdopodobnie trzasnęła nagle, co w nagłej ciszy opuszczonego korytarza zabrzmiało jak uderzenie we wrota i sprawiło, że wszyscy odruchowo drgnęli z zaskoczenia i grozy. Druga ręka od łokcia do nadgarstka pokryła się wieloma głębszymi lub płytszymi nacięciami, szybko zalewającymi się krwią, widocznymi przez podarty rękaw sukni. Na twarzy także pojawiło się kilka nacięć. Upadł na kolana, blednąc nagle, drżącą zranioną ręką próbując przytrzymać drugą. Poczł jak ogarniają go mdłości i strach o siostrę, która czuła się teraz z pewnością gorzej od niego.

Otoczyli go przejęci, wszyscy prócz Pafiana, zaskoczeni tym, co się stało. Pafian zmartwił się, lecz nie tylko tym, co może dziać się teraz z siostrą Oliwiera. Ponad wszystko zmartwił się o los brata, którego życie było teraz w rękach wicekróla. Co teraz z nim robią? Dokąd go zabrali? Współczuł Oliwierowi z powodu jego daru współodczuwania. Niepokój o brata był jednak silniejszy.

— Trzeba to opatrzyć — powiedział Delen. — I unieruchomić rękę.

— Bliźnięta... — przypomniał sobie któryś z żołnierzy.

— Ja to znam — odezwał się inny o intensywnie zielonych oczach i ciemnych włosach. — Mam w domu braci bliźniaków. Jak jeden obrywał, to drugi też to czuł. Ale to jej zaraz minie. Ręka zrośnie się bez śladu, a zranienia znikną. Jakby nic się nie stało. A po mojemu te rany wyglądają, jak po wpadnięciu na

szybę. Raz brat wpadł na ludzi, co okno nieśli. Dopiero się działało.

Oliwier zdusił w sobie mdłości, czując teraz narastający ból poranionej szkłem ręki i pulsującej drugiej, złamanej gdzieś powyżej łokcia.

— Ale póki co, ona teraz cierpi — zauważył Delen, patrząc na dziewczynę ze współczuciem i troską. — Jak długo to zwykle trwa?

— Pafian — wtrącił się cicho Oliwier, przerywając im. — Idźcie. Dam sobie radę.

Pafian poczuł przyływ wdzięczności dla Oliwiera za to, że troszczył się o Wiwana pomimo odczuwanego cierpienia. Lecz chociaż martwił się o brata, nie potrafiłby zostawić przyjaciela w potrzebie.

— Idź — powtórzył znów Oliwier. — Ten człowiek... — wskazał na zielono-okiego, który opowiedział im o swoich braciach.

— Marten — przedstawił się zielonooki.

Oliwier skinął mu głową.

— Ma rację — dokończył. — To minie.

— Idiota ze mnie. Jeszcze się zastanawiam. — mruknął Pafian szybko, sięgając po flakonik i podając mu.

— Tak naprawdę nie jestem ... — zaczął Oliwier, ale widząc jego ponaglące spojrzenie, upił mały łyk.

— Zostań tutaj — nakazał mu Pafian. — Ja muszę iść.

— Panie poruczniku? — zapytał czarnowłosey.

— Idziemy z nim — postanowił szybko Delen. — Wybacz, nie mogę...

Oliwier okazał stosowną wyrozumiałość.

— Idź — nakazał mu, w miarę możliwości starając się złagodzić ton głosu.

W innych okolicznościach Pafian byłby ponownie pod wrażeniem jego doskonałego aktorstwa.

— Kertis — wskazał na czarnowłosego Delen. — Marten. Zostańcie z nią dopóki nie wydobrzeje. Potem wszyscy dołączycie do nas.

Przypominając sobie nagle poprzedni efekt uboczny działania krwi uzdrowiciela, Oliwier chciał zaprotestować, lecz Pafian ruszył już dalej, a Delen i jego ludzie skłonili się i podążyli za nim. Poczuł, że oblewa go fala gorąca.

— To była krew uzdrowiciela, ten flakonik? — zapytał Kertis. — Słyszałem, że rozpala trzewia niczym ogień.

Obaj przyjrzeni się uważniej dziewczynie.

— Masz rumieńce, słońko — zauważył po chwili.

Oliwier pozwolił sobie na wyjątkowo brzydkie przekleństwo w myślach, czując jak opis działania krwi przez Kertisa dokładnie zaczyna pokrywać się z jego odczuciami.

— Dasz mi teraz całusa? — zapytał żołnierz żartobliwie.

Oliwier wstał gwałtownie i odepchnął zaczepiającego go wojaka leczącą się

zranioną ręką. A potem, nie czekając na nich, ruszył za Pafianem.

Na placu zamkowym ścierali się żołnierze wicekróla z żołnierzami królewskimi, a kilku ludzi właśnie zamykało zamkową bramę. W tym momencie starcia przybrały jeszcze na sile. Młody przyszyły następca tronu stanął u boku uwolnionej już przez ojca matki i brata, który podobnie jak syn wy dostał się z pułapki wraz ze swymi ludźmi. Król dał znak i jeden z ludzi zadał w róg.

Po dłuższej chwili przerwano walkę.

— TERLAN!!! — Zawołał król władcym głosem. — Nakazuję ci wyjść ze strażnicy i stanąć do walki. Nie ukrywaj się przede mną!!

Pafian i Delen wraz z ludźmi, nie będąc jeszcze wtedy na placu, gdy zamykano zamkowe wrota, zaczekali wraz z królewską rodziną. Nawet jeśli znaleźliby się tam w tej właśnie chwili, nie spodziewali się tak niezwykłego postępowania z uzdro-wicielem. Po chwili, wciąż przeżywający wahania nastrojów, pojawił się przy nich Oliwier i dwaj żołnierze.

Wicekról i towarzyszący mu ludzie pojawili się na placu zamkowym. Terlan zmierzył brata pogardliwym spojrzeniem i zerknął z lubieżną rozkoszą na stojącą u jego boku królową, która odruchowo przysunęła się bliżej męża.

— Gdzie jest Wiwan? — szepnął Pafian, blednąc.

— MYŚLISZ — odezwał się z ironicznym uśmiechem wicekról, patrząc na brata — że po tylu staraniach zamierzam uczciwie stanąć z tobą do walki? — splunął w jego stronę.

Po zgromadzonych żołnierzach i cywilach, stojących po stronie króla przeszedł pomruk zgorszenia.

— Jeśli chcesz tej korony... TAK — odparł Heron.

— Cóż — Terlan spojrział na niego wciąż z tym samym uśmiechem. — Sam przyniesiesz mi ją w zębach! — to powiedziawszy, skinął ręką, a na dany znak jeden z jego ludzi wystąpił naprzód i wypuścił z łuku płonąca strzałę.

Ten sygnał sprawił, że wokół rozbrzmiały wojenne okrzyki, a na murach i wysypując się przez wyjścia pojawili się wojownicy w obcych barwach i zbrojach. Wzniesli miecze, wyrażając tym gotowość do walki.

— Najemnicy — szepnął Delen. — Ciekaw jestem, co im za to obiecał. Pół królestwa?

Wyraźnie widać było, że są wyposażeni lepiej od niejednego z obecnych ludzi króla. Władca spojrział na wciąż uśmiechniętego brata swym chłodnym spojrzeniem. Ten człowiek był mu kiedyś bliski. Rywalizowali niegdyś z sobą jak to zwykle bracia, nigdy jednak nie było w tym tak wiele zawiści. Przez lata wczesnej młodości Terlanowi odpowiadało bycie tym drugim, opływanie w dostatki i luksusy bez zbyteńnego wysiłku. Lecz odkąd na królewskim dworze pojawiła się Konstancja...

Tak, wiedział o tym. Słyszał plotki, udaremnił dwa zamachy na swoje życie,

których nie potrafił powiązać z bratem z braku dowodów. Konstancja po dwóch porodach nie zbrzydła i nie przytyła. Wciąż jaśniała niczym gwiazda u jego boku, bo połączyło ich nie tylko dobro dwóch królestw, z których jednym miał kiedyś władać Meron, a sąsiadującym Amalantem — gdzie wciąż panował ojciec królowej — jej brat, kiedy tylko osiągnie pełnoletność. Łączyła ich miłość. A Terlan zawsze zazdrościł mu pięknej i oddanej żony. Żądza wzburzyła w nim krew i przyćmiła rozum. Od pożądanego Konstancji wykiełkowała w nim chęć władzy, nagła potrzeba, by mieć wszystko, czego zechce. Gotów był pogrążyć świat w chaosie dla swoich pragnień i niestety, gdy doszłyby do spełnienia, szybko nasyciłby się nimi i porzucił. Oddałby je znudzony i znalazł inną rozrywkę. Zdobyłby królestwo za wszelką cenę dla swych zachcianek. I doił je, póki nie pogrążyłyby go w czarnej rozpacz, jednocześnie na boku szukając drogą manipulacji innych atrakcyjniejszych celów. A Konstancja...? Byłaby doskonałym spełnieniem. Dopóki nie załamałaby się z rozpacz, pohańbiona, poraniona na ciele i duszy. Wtedy pewnie oddałby ją swoim żołnierzom i poszukał innej zdobyczy.

Dla tego człowieka...

Nie było innej drogi — niż śmierć.

Rozpętała się walka. Delen skrzyknął ludzi i wspólnie poprzez panujący chaos zaczęli się przedzierać, chroniąc Pafiana i Oliwiera najlepiej jak umieli. Ich celem była brama zamkowa.

— Co z moim bratem? — zapytał Pafian w trakcie walk. — Nie wyjdę bez niego.

— Pafian!! — usłyszeli nagle krzyk.

Wicekról wsiadł na przyprowadzonego mu konia i ujął mocnej miecz w dłoń. Władczym spojrzeniem boga wojny omiótł pole walki.

Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Oliwiera. Skinął na swoich ludzi, posyłając ich w tę stronę, a jego obwisłe nieco oblicze, błyszczące od potu wykrzywiło się od pogardliwego uśmiechu. Potem jego uwaga jakby nieco niedbale skierowała się na przedzierającego się do niego na białym koniu brata. Z każdą chwilą w coraz bardziej jaśniejącym dniu, biała maść konia błyszczała na placu niczym gwiazda.

To Kirian wołał, przedostając się do nich wraz z paroma innymi żołnierzami.

Kilkoma słowami sprawił, że pod Pafianem ugięły się nogi.

— Twojego brata ludzie wicekróla wypchnęli na zewnątrz — powiedział. — Bez eskorty!! Wicekról oddał go w ręce ludu, by go ugłaskać. Liczy na to, że ludzie dosłownie rozerwą go żywcem. I wiesz, obawiam się, że tak się właśnie stanie...

ROZDZIAŁ 10 — Krew na bruku

To była masakra...

Gdy uzdrowiciel rozmawiał jeszcze z wicekrólem, na chwilę przed tym, nim wydano go na śmierć, biały powóz Czerwonej Rebeki z trzaskiem pękającego szkła i łamiących się desek wlekły przestraszone konie. Skołowane i wystraszone zwierzęta biły nim po ścianach domów, prócz wstrząsów, wywołując większe szkody. Wreszcie jednak zostały zatrzymane, a rozjuszeni bandyci włamali się do wnętrza, gdzie wszystko było roztrzaskane i pogrążone w chaosie, a ludzie ledwie okazywali oznaki życia, zamroczeni upadkiem.

Pośród pościeli, powywracanych mebli i rozsypanego wszędzie szkła z wybitych okien, garstka uciekinierów właśnie otwierała oczy.

— Gdzie jest ta kurwa, co zabiła Peresona?! — wrzasnął łysy, ponaznaczany licznymi bliznami mężczyzna, wpadając do środka jako pierwszy. — Już nie żyjesz!!

Len, z trudem odzyskujący przytomność po silnym uderzeniu w głowę, pierwszy zobaczył półprzytomnego Rossa, który najwyraźniej przed upadkiem zdołał złapać Julien i obrócić się tak, że teraz leżała na nim, zamiast być na ramie wybitego okna, gdzie wszędzie połyskiwało szkło. Nie był w stanie jednak w porę mu pomóc, nie mogąc się jeszcze otrząsnąć. Bezradnie widział więc, jak mężczyzna ściąga Julien z Rossa jakby była lalką, by dostać go w swoje ręce. Wyszarpnął go z płataniny zasłon, desek i szkła, wywołując jęk bólu w rannym, co sprawiło tylko bandycie większą satysfakcję.

— Zaraz będziesz krzyczał! — wycodził mu w twarz, z pomocą kumpla wywlekając Rossa na zewnątrz.

Na plecach rannego była krew i Len niemal pewny był, że widział liczne kawałki szkła wbite w ciało. Gdy weszli pozostali bandyci, a wraz z nimi Moren, Len próbował wstać. Z zewnątrz dobiegły go krzyki przyjaciela, co wzburzyło w nim krew na to okrucieństwo i rozjaśniło myśli. Nie dane mu było jednak pomóc. Szeron, jeden z najbliższych ludzi Morena, stanął przed nim, nim choćby zdołał zebrać się z klęczek.

— Mamy rachunki do wyrównania — rzekł.

Len zdołał zobaczyć, jak szykuje się do ciosu, unosząc w górę miecz. W krótkim błysku zrozumiał, że to już koniec i ogarnął go żal, że nie zdoła pomóc przyjacielom, jak to zawsze dotychczas robił. Spojrzał w oczy swego wroga bez lęku.

Po chwili ostry miecz odrąbał mu głowę...

— Sel!! — wrzeszczał tymczasem Moren, obojętnie traktując działania Szerona. — Sel, gdzie jesteś?!

Zobaczył Julien. W pierwszej chwili zignorował to, że jeden z ludzi Ramoza ciągnie ją do wyjścia, a dziewczyna ożywa nagle z krzykiem, chwytając swoją rękę. Dopiero w kilka uderzeń serca później dotarło do niego to, co zobaczył i jakie to ma konsekwencje dla Oliwiera.

— Precz! — zdzielił w twarz bandytę, chwytając jednocześnie Julien. — Ona należy do mnie!

Jego ludzie stanęli przy nim, powstrzymując chęć odwetu u porywacza i jego kumpli.

— Co z tą ręką?! — zdenerwował się Moren. — Złamana?

— Chyba tak... — uniosła ponownie z trudem dziwnie ociężałą i bolesną drugą rękę, dobrze wiedząc, że nie powinna być mu wdzięczna za ocalenie. Chwilowo był tylko mniejszym złem.

Moren zastygł, widząc krew.

— Pokaż — rzucił krótko, oglądając rany.

W ręce aż po łokieć pełno było wbitego szkła.

— Cholera — zaklął. — Oliwier też to czuje prawda? — spojrzała na niego zła i jednocześnie zdumiona nagłą troską w jego głosie. — Wyprowadźcie ją stąd. Trzeba to opatrzyć! — spojrzał na Szerona, który opuścił miecz i z nieoczekiwaną delikatnością pomógł wyjść dziewczynie. Oczywiście troszczył się także o swoje dobro, tego była pewna. Teraz, gdy pierwsze oszołomienie minęło, zobaczyła ciało zabitego Lena. Widziała, jak szamoczące się dziewczyny są wyprowadzane na zewnątrz. Alesei leżał wśród bałaganu martwy czy żywy — nie wiedziała. Nigdzie nie widziała Sela. Ani Valerii.

I nie widziała Rossa.

Dopóki z Szeronem nie wyszła na zewnątrz zgruchotanego powozu i wśród kilku ludzi Ramoza nie zobaczyła go krwawiącego, pobitego, walczącego o utrzymanie się na nogach. W jego stronę zmierzał łysy bandzior o twarzy poznaczonej bliznami i kawałkiem ułamanej deski uderzył go w kark.

Krzyknęła przeraźliwie.

Ross upadł i już się nie poruszył.

Poczuła rozchodzące się z wolna ciepło w złamanej ręce. Potem rozpląnęło się w drugiej, a szkło bezboleśnie zaczęło wysuwać się z jej ciała i wypadać na ziemię.

Oliwier znów spotkał uzdrowiciela! Byli razem!

Łysy bandyta z krzywym uśmiechem stanął przy konającym i z wolna, umyślnie się nie spiesząc uniosł wyłamaną deskę do drugiego, ostatecznego ciosu, podczas gdy Ramoz klnąc, wydawał rozkazy pozostałym wściekły o utratę powozu.

Nagle za jego plecami pojawił się Sel.

Wyglądał okropnie. Rozmazany makijaż nadawał mu wygląd demona wśród ludzi, krew z licznych nacięć na twarzy i rękach dopełniała upiornego dzieła. Roztargane ubranie i dziki wyraz oczu, wbity spory kawałek szkła w nogę przeraziły Julien. Tak niebezpiecznym i nieobliczalnym nie widziała go nigdy. Nikt nigdy go takim nie widział.

Sel wypadł przez okno, gdy wóz się zakołysał i odtoczył na bok, co sprawiło, że zniknął błyskawicznie wśród wyrzuconych skrzynek, ubrań i wszelkich śmieci na ulicy. Upadek powozu zaraz potem sprawił, że o nim zapomniano. Teraz wstał po tym, jak odzyskał przytomność, a krew płynąca ze zranionej nogi odebrała mu siły, gdyby nie wściekłość, która niczym ogień rozpalala się w jego wnętrzu po tym, gdy zobaczył, co zrobiono Rossowi. Chociaż nie umiał dobrze władać mieczem, bo jego wcześniejsza choroba nie pozwalała mu na wysiłek, choć noga odmawiała już posłuszeństwa przy każdym ruchu rozdierana przez szkło, to gniew tłumiony w nim przez całe życie w jednej chwili uczynił z niego demona zemsty.

Rzucił się na przeciwnika, powalając go na ziemię tuż obok konającego Rossa i chwytając go za głowę uderzał nią tak mocno i długo o ziemię aż pękła czaszka. Poderwał się, zabierając ze sobą drąg i uderzył pierwszego z nadchodzących przeciwników.

Julien usłyszała głucho uderzenie i drugi z nich padł od ciosu mieczem z rąk niewprawionej w bojach Valerii.

Valeria przy upadku powozu miała wiele szczęścia i wyszła z tego bez szwanku. Spadła na pościel, która zsunęła się z łoża, a samo łoże podparło się o ścianę na ukos, tworząc nad nią coś w rodzaju ochronnego parasola przed gradem szkła i mebli. Nikt nie zauważył jej w pierwszej chwili pod stosem poduszek. Wyszła chwiejąc się, gdy Moren poszedł za Julien, zaintrygowany odgłosami zamieszania na zewnątrz. Miecz zabrała zaskoczonemu przeciwnikowi, a jej cios na nieszczęście dla niego nie był czysty. Bolesnie i długo się wykrwawiał, lecz ją to nie obchodziło. Widząc Rossa całego we krwi czuła, jak wraz z nim obumiera jej serce.

Jej przyjaciel.

Jej powiernik.

Odkąd się pojawił, jej życie miało jakiś cel. Gdy był w pobliżu mogła znieść wiele. I nawzajem. Kiedy rozpaczał po tym, jak dowiedział się o ślubie Sela. Pocieszał ją, gdy pijany klient przezwalał ją starą suką, a jej wydawało się, że wszyscy tak właśnie o niej myślą. Niemal syn.

Podeszła do niego z mieczem skapanym we krwi, zdruzgotana, chcąc sprawdzić, czy jeszcze żyje. Przerazona, że nagle może go zabraknąć.

Julien krzyknęła ponownie, widząc jak jeden z ludzi Ramoza sięga po krótki topór u pasa i rzuca w stronę Valerii. Ostrze wbiło się w tył jej głowy.

Kobieta upadła, nie zdążywszy nawet odczuć w pełni zaskoczenia.

Moren wysunął się naprzód zaniepokojony o los Sela, siejącego spustoszenie tym, co akurat wpadło mu w ręce i widząc, że jest ranny. W imię tak wielokrotnie przez niego zbrukanej przyjaźni nakazał bronić Julien, a sam przyszedł rannemu z pomocą. Wmówił sobie, że wszystko, co dotąd było da się jakoś wyprostować, ustawić. Wyjaśnić. Może nawet wybaczyć. Że być może odpowiednie słowa i czyny przyjdą same i naprawią wyrządzone zło, jakby można je było naprawić tak, aby było jak przedtem. Chciał pokazać, że pomimo wszystko Sel nadal może liczyć na jego pomoc w potrzebie.

Ramoz zszedł z konia, z krzywym uśmiechem obserwując swych przeciwników. Uwielbiał chwile, gdy jego życie staowało na ostrzu noża. Obserwując wszystko, nie zauważył pojawienia się nowego przeciwnika, który zaszedł od tyłu pilnującego Julien Szerona i jednym jakby wyćwiczonym ruchem podciął mu gardło, choć widok krwi spowodował w nim wzdrygnięcie.

Zaskoczona Julien zobaczyła Aleseia z wyrazem oczu, jakiego w nim dziś nie widziała. Z przeciętej skroni krew wsiąkła w ciemne, hebanowe włosy i spłynęła aż na szyję.

— Kolejna męska dziwka — uśmiechnął się Rozten, drugi z kompanów Moreny, widząc Aleseia. Nigdy nie olśniewał swą inteligencją.

— Ty zabiłeś Darmona? — wychrypiął Alesei, a dźwięk jego głosu tak inny od nieco beztroskiego łagodnego tonu, jaki znała Julien, sprawił, że pomimo ogarniającego ją ciepła pochodzącego od uzdrowiciela, przez jej ciało przeszły ciarki.

— Chodzi ci o tego waszego zwiadowcę? Był do dupy. I kwiczał jak świnia — odparł Rozten, wyciągając sztylet.

Alesei wiedział, kto, prócz Tenana, zajmował się karaniem i zabijaniem. Sadystyczny Moren wybierał inaczej swoje ofiary. A jego ulubieńca nie było tutaj.

Umiejętności katowania i zabijania Roztena były nikłe wobec pełnego gniewu i żalu silnego młodego mężczyzny. Rozten mocny był tylko tam, gdzie jego ofiary były słabsze od niego i bezbronne. W prawdziwej walce szybko by przegrał. Jak teraz. Alesei pochwycił go i wbił ostrze w brzuch, powoli je przekręcając. Rozten wrzasnął przeraźliwie. Przez chwilę, tylko i aż chwilę, Alesei, który do tej pory nie podniósł ręki na nikogo, napawał się tym krzykiem, dopóki nie dotarł on do mrocznych krańców jego duszy, a potem poderżnął gardło Roztena aż trysnęła krew. Julien przytknęła oczy, gdy krople spadły i na nią. Działa się sprawiedliwość. Przez chwile czy dwie przypomniała sobie młodego mężczyznę, który u boku Aleseia po raz pierwszy się do niej uśmiechnął z wnętrza powozu. Nigdy jej nie zaczepiał. Dopóki był, a teraz to wreszcie odkryła, swoją obecnością, dobrym słowem i gotowością do działania, niemal niewidzialny, poruszał wszystkich, gdy ona i Sel pograżyli się we własnych sprawach. To on zachęcił

Aleseia by pierwszy raz prowadzili powóz. On znalazł miejsce na postój, które Sel zaakceptował. Był jak duch. Znalazł strumień, z którego wodę do mycia zaczerpnął Ross. Było też mnóstwo innych, pozornie nieistotnych rzeczy, którymi dyskretnie się zajął, gdy oni nie byli w stanie jasno myśleć.

I wreszcie to właśnie on, udał się na zwiady...Z których już nie powrócił.

Nie mogła sobie przypomnieć, czy zamieniła z nim choć słowo.

Pozwolili, by trup upadł bezwładnie na ziemię.

Sai pochyliła się nad mężczyzną, który rozzłoszczony oporem Leny, nie mogąc dopiąć swego siłą, wbił jej ostrze przypominające widły z przedłużonym środkowym kolcem prosto w serce. Sai zabrała mu drugie podobne, gdy wciąż siedział na zamordowanej przyjaciółce i wbiła mu w szyję.

Nie mogło to już zwrócić życia Lenie.

Zaskoczona drobna dziewczyna czekała na rozdzierający ból, towarzyszący podobno bliźniętom, gdy jedno z nich umiera. Lecz on nie nastąpił. Obawiały się tego. Przeczuwały to. Lecz, choć nie były naprawdę związane więzami rodzinnymi, pragnęły, by coś je łączyło. Wierzyły, że tak jest, choć mylnie pojmowały powody tych uczuć.

Pozostała tylko rozdzierająca strata.

Wstała powoli z ostrzem w ręce, nie patrząc już na niewidzące zielone oczy ukochanej.

Gdy się obróciła, zobaczyła Ramoza naprzeciw Sela i Moreny.

Stary bandyta z mieczem w dłoni czekał na walkę. Nie miała zamiaru pozwolić mu walczyć z Selem i narażać przyjaciela, ale Ramoz musiał zapłacić za swoje czyny. Za każdą łzę Leny. Za każdą ranę. Każdą krew. Każdy gwałt. Każdą przerażającą noc w jego towarzystwie.

Zaszła go od tyłu. Kątem oka zobaczyła, że Moren nie zamierza się wtrącać ani ostrzegać swego przeciwnika. Spojrzała na niego zimno.

Ramoz wyczuł czyjaś obecność za sobą. Obrócił się zaintrygowany i w tym momencie uniosła rękę, wbijając ostrze w jego serce. Pchnęła go, by upadł, wyrwała ostrze i wbiła jeszcze raz. I jeszcze. Jeszcze...

— Sai — Alesei powstrzymał jej rękę, klękając obok. — Wystarczy.

Zaczekała, aż światło życia zgaśnie w bandycie na zawsze. Drżąc, bez jednej łzy patrzyła na niego, aż Alesei odciągnął ją delikatnie i przytulił. Nawet wtedy nie zapłakała. Zadrzała tylko mocniej. Wydawało się jej, że on także drży.

Julien chciała ją pocieszyć. Ale pomiędzy nią a Selem stał Moren. Prócz niego nie został nikt przy życiu z ich prześladowców. Jaśniejące niebo wyraźnie ukazywało ulicę pełną krwi i trupów, pomiędzy którymi kręciły się konie. Za sobą usłyszała narastający gwar ludzkich głosów — gdzieś od strony targowiska. Na dodatek jej ręce wciąż jeszcze się leczyły. Szkło wypadło z tej poranionej, lecz rany się nie zamknęły i nie zbliżniły jeszcze. Złamana ręka najwyraźniej się

jeszcze nie zrosła. Prawdopodobnie do całkowitego wyleczenia potrzebna jej była obecność samego uzdrowiciela, choć wyraźnie pomogło to Oliwierowi. Ale Oliwier był...

Uzdrowiciel!

ŚWIT!!

Ross...

Podbiegła do Rossa i ostrożnie sprawdziła jego stan. Żył. Niewiarygodne, lecz wciąż żył. Choć ledwie oddychał.

— Julien — odezwał się cicho Sel, jednocześnie zerkając na czujnego Morena, rozdarty między pragnieniem, by znaleźć się przy nich, a ostrożnością wobec dawnego przyjaciela, któremu już nie ufał.

— On umrze, jeśli nie pomoże mu uzdrowiciel — wyszeptała. — Sel — zniżyła głos — chyba właśnie wyprowadzono uzdrowiciela za bramę...

Sens jej słów był aż nadto jasny dla wszystkich.

— Chcesz go ratować — rzekł nagle zupełnie spokojnie i rzeczowo Moren, jak zawsze, gdy razem uzgadniali jakiś plan w przeszłości, widząc cierpienie na twarzy Selariona. — Ratuj uzdrowiciela. — Nim ktokolwiek zareagował, podszedł do jednego z opuszczonych koni i wskoczył na siodło. — Czas płynie, Sel. Ruszaj! — dodał i odjechał, nim się otrząsnęli. Popędził w kierunku targowiska.

— Pojechał po uzdrowiciela? — zdziwił się Alesei.

Sel poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach. Spojrzał z rozpaczą na Julien i nieprzytomnego Rossa.

W mgnieniu oka zrozumiał, że Moren dotąd bronił się przed zarazą, mając zapewne coś, co należało wcześniej do hrabiego Beckerta i dlatego był tak pewny siebie. Stracił powóz, pozostawił niezafatwione porachunki z nim, porzucił nawet Julien, która była jego kartą przetargową! Stracił także swoich ludzi. Był pewien, że w chorym umyśle dawnego przyjaciela wszystkie wcześniejsze wydarzenia były zaledwie niewielką komplikacją i zapewne po zakończeniu tego całego zamieszania wszystko znów będzie jak dawniej. Na pewno myślał, że dojdą do porozumienia, zachowa plan działania z poprzedniego dnia.

Lub też, że uda mu się zrealizować swój zamiar. A potem niech nawet wali się świat!

Ponieważ od długiego czasu jego myśli krążyły stale wokół jednego celu. I tylko on miał pierwszorzędne znaczenie. Tylko to się liczyło.

Wczorajszego dnia, który zdawał się ciągnąć przez wieczność, wysłał Oliwier po wisior należący do uzdrowiciela. Liczył zapewne, że tamten zdobędzie go, mimo wszystko, a może nawet nie dowie się o ucieczce siostry i zmianie planów!

Moren pojechał po to, na czym zależało mu przede wszystkim.

Pojechał po Oliwier...

Zimny dreszcz przebiegł przez jego kręgosłup. Spojrzał na udręczone ciało kochanka, czując rozdzierającą rozpacz. Podszedł do niego. Ross był blady i nawet nie drgnął.

Umierał.

Kolejna droga mu istota umierała przez niego. Przez to, że zaślepiiony fatalnym zauroczeniem, pozwolił żyć temu zwyrodnialcowi tak długo. To przez niego się tu znaleźli! Ukląkł przy nim, by złożyć pocałunek na jego czole a potem przez chwilę położył swoją dłoń na ramieniu konającego, walcząc z falą nienawiści do samego siebie i łzami rozpacz. Przez całe lata oszukiwał sam siebie, niczym głupiec a teraz płacili za to bliscy i przyjaciele.

Pozwolił, by gniew znów zaczął w nim wzbierać, a potem rozejrzał się i pochwycił porzuconego konia.

— Zostań przy nim — poprosił cicho Julien. — Nie możesz pomóc inaczej. Jesteś ranna.

Obrócił się, by dosiąść wierzchowca i w tym momencie jego noga ostatecznie się poddała. Upadł, tracąc w niej oparcie, z nagłym zdumieniem spostrzegając wreszcie wbity kawałek szkła i płynącą krew.

Zrozumiał, że jeśli wyjmie szkło, będzie znacznie gorzej. Już teraz poczuł dreszcze i mdłości, gdy uderzenie adrenaliny minęło. Alesei przypadł do niego i ściągnął koszulę oraz pas.

— Nie wyciągaj — powiedział ostrzegawczo Alesei. — Masz cholerne szczęście, że nie wbiło się głębiej.

— Wiem — szepnął. — Pomóż mi tam dojechać.

— Jesteś szalony.

Ale już wyciągnął szkło i opatrywał jego nogę, mocował pas. Sai zamknęła oczy Leny i zabrała ostrza. Wetknęła je za pas, który także zabrała zabitemu człowiekowi Ramoza. Potem poszła do wozu, odnalazła łuk i kołczan, którego wcześniej używał Ross.

— Wiesz, że to może cię zabić? — Dodał Alesei, pomagając Selowi blademu niczym płótno wsiaść na konia.

— Jeśli go nie ocalę — odparł Sel cicho, chwytając mocniej zabranej jednemu z wrogów miecz — to mogę już umrzeć. Niewiele zostało mi powodów, by żyć — zerknął na Julien i Rossa, szczególnie boleśnie i przepraszająco spoglądając na dziewczynę.

A Julien, która przeszła z nim całe swoje dotychczasowe życie i znała ogrom tego, czego doświadczył, widziała śmierć jego żony, a swojej przyjaciółki, wspierała się na nim, gdy płakała, ocierała jego pot, gdy on był chory... Poczuli nagle, że jest gotowa bez żalu pozwolić mu na ten wybór. Jak najlepsza przyjaciółka spojrzała na niego z ciepłem i wyrozumiałością. Kiwnęła potakująco głową, dając mu wolność od uczuć, które nie miały szans na przetrwanie.

Ruszył przodem, a Alesei i Sai dosiedli koni i pojechali za nim.

Została z Rossem. Uścisnęła jego dłoń, bladą i bezwładną, siedząc obok niego na brukowanej ulicy. Nie mogła go przenieść. Wstała jedynie po chwili po to, by pochwycić zasłony z leżącego powozu i owinąć ich kawałkiem nabrzmiałą, poranioną rękę. Nakryła ciało zamordowanej Valeri, na wypadek gdyby Ross się ocknął. Drugiej zasłony użyła, płacząc z bólu, by choć prowizorycznie opatrzyć rany chłopaka. Wyjmowała szkło z jego pleców, targała zasłonę, by zrobić z niej szarpie. Opatrzyła jego szyję. Obmywając łzami bólu i żalu nad rannym, i nad swoim zranionym sercem opatrywała poważniejsze skaleczenia jak umiała. Nie poruszył się. Nie jęknął nawet. Lecz kiedy podłożyła mu pod głowę poduszkę i koc wyciągnięte z chaosu, jaki pozostał po powozie — najostrożniej, jak tylko potrafiła — gdy okryła go ostrożnie, zakrywając rany, zobaczyła wolno toczące się łzy po jego twarzy. Wypląnęły spod zamkniętych powiek i wyraźną oznaczyły się ścieżką.

Poczuła, jak żal wzbiera w niej falą.

Ross czuł! Był w tym zdruzgotanym ciele! Musiał być! Inaczej nie zobaczyłaby jego łez!

Strach o brata, napięcie z całego tego koszmarnego dnia i straszliwa rozpacz nad sobą i rannym zawładnęły jej sercem. Przytuliła się do niego, płacząc cicho.

Z oddali słyszała gwar i krzyki dochodzące od strony targowiska. Ulice wokół były ciche i puste. Wszyscy, którzy liczyli na coś należącego do uzdrowiciela i ci, którzy w ten lub inny sposób odeszli, opuścili wymarłe miasto.

Nagle usłyszała stukot kopyt na bruku. Ktoś zsiadł przy nich z konia. Z wolna uniosła głowę, by go zobaczyć.

W blasku budzącego się dnia stał Tenan.

Jego stalowoszare oczy miały niezwykły wyraz i przez chwilę Julien nie mogła zrozumieć, co w nich tak ją zaskoczyło. Albo raczej — nie mogła uwierzyć w to, co widziała.

Oczy Tenana wypełniał smutek. Szybko jednak zmieniły wyraz, by znów ukazać znajomą obojętność, a dziewczyna przypomniała sobie, że przecież nikt inny, tylko on przyczynił się do śmierci Milery i ich dwojga starych służących.

Zapewne teraz ją zabije.

Tenan kucnął przy nich. Odważyła się spojrzeć mu w oczy tak budzące dreszcze. Po co miałyby okazywać mu strach? I tak zrobi, co zechce. Przynajmniej może mu pokazać, jak należy umrzeć z godnością.

— Nie wziąłem tego dla siebie — powiedział nieoczekiwanie łagodnym tonem, a jego głos zabrzmiał dziwnie miękko i delikatnie. — Chciałem tego dla ciebie — wyciągnął coś z kieszeni koszuli.

Iskry srebrnego blasku i rubinowej czerwieni zalśniły w porannym słońcu. Widząc, że dziewczyna nie wyciąga po to ręki, delikatnie położył rzecz na piersi

rannego. Przy jego nadgarstku zobaczyła teraz złotą, pokrytą symbolami bransoletę. Wiedziała jedynie, że symbole były magiczne. To ona zwróciła wtedy jej uwagę w ich domu. Dziwna bransoleta.

— Przed chwilą miał to na sobie — rzekł. — Wciąż jest ciepłe.

Spojrzała na to, co im ofiarował i drgnęła. Widziała, jak robił to jej ojciec.

Wisior. Dłonie trzymające rubin.

Jeszcze raz popatrzył na nią spokojnie, bez drwiny, bez swej zwykłej u niego chłodnej obojętności, a potem wszedł na konia i odjechał.

Chwyliła wisior tak boleśnie znajomy, tak wiele przywołujący wspomnień. Rzeczywiście był ciepły. Jak dotyk na jej policzku wczorajszego dnia.

Uzdrowiciel.

Łańcuszek był zerwany. Jakiegokolwiek Tenan miał intencje jedno się nie zmieniło. Zerwał go z szyi, pewnie teraz otoczonego przez tłum, uzdrowiciela, nie udzielając mu pomocy. Po prostu go tam zostawił. Jego serce na pewno nie miało w sobie ludzkich odruchów. Musiała się mylić.

Zacisnęła dłoń na wisiorze, czując rozchodzące się ciepło i ulgę, gdy ból zaczął ustępować. Co teraz się dzieje? Co zrobią z uzdrowicielem?!

Szybko zawiązała łańcuszek przejęta przerażającą wizją.

A potem zawiesiła „dłonie” na szyi Rossa. Rubin zaśnił czerwienią.

Tenan.

Zaskoczył ją tym gestem. Niechętnie wspomniała ich sporadyczne spotkania, odkąd przystał do bandy Morena. Zawsze był zimny. Nawet nie był wyrachowany. Raczej obojętny. Bez uczuć.

Zawsze.

Sprawiał, że bała się jego spojrzenia. Widziała, jak na nią patrzy. Sądziła, że kryje się pod tym okrucieństwo. Kopnęła go w Domu Rozkoszy.

Cokolwiek myślał ten człowiek o niej... jeden gest, kilka słów... nie mogły niczego naprawić. Powinna się go bać i unikać, jak ognia.

Powinna go nienawidzić.

Wystarczyło, że przypomniała sobie, jak powiesił Milerę. Jak szarpała się w jego rękach.

To potwór, który, jeśli nawet miał uczucia, to były robaczywe i zgniłe jak jego dusza.

Syciła oczy niknącą w oddali sylwetką na czarnym koniu. Oby zaraza go dopadła! Oby umarł w męczarniach za śmierć przyjaciółki, dwojga oddanych służących i kto wie ilu ludzi jeszcze!

Poczuła delikatny ruch. Palec wskazujący Rossa poruszył się i zacisnął lekko na jej palcu.

— Jesteś? — zapytała cicho.

Znów zacisnął palec, jakby potwierdzając. Uniosła jego dłoń i pocałowała.

— Nie martw się. Pomoc nadejdzie — szepnęła, bojąc się, że gdyby podniosła nieco głos, zdradziłaby ukryty w sercu lęk.

Jeśli Sel i jego towarzysze nie sprowadzą tu uzdrowiciela, Ross umrze, bo wisior nie wystarczy, by mu pomóc.

Aż bała się pomyśleć, co teraz groziło uzdrowicielowi...

Pośród kłębiącego się zewsząd tłumu, szarpany na wszystkie strony uzdrowiciel był niemal niewidoczny, ale jego krzyk wstrząsnął nawet Moreną, który wstrzymał konia. Jeden rzut oka na całą sytuację pozwolił mu stwierdzić z pewną domieszką grozy, że dla tamtego nie ma już ratunku.

Przez chwilę, przez jeden krótki moment drgnęło coś w jego duszy, jakby współczucie, bo w końcu to był uzdrowiciel. Zastanowił się nad skróceniem jego cierpień. Widział, na co się zanosi. Ten widok tak zaabsorbował jego uwagę, że nie zauważył nawet oddalającego się Tenana, który nim poszedł po ukrytego konia, obejrzał się za nim z namysłem. Jednak myśl, że Oliwier może wymknąć mu się z rąk zwyciężyła nawet ten ludzki odruch. Moren obejrzał się, czy nie ściga go Sel i czujnie rozejrzał się po okolicach zamku. Może trzeba się tam wspiąć? Oczywiście nawet on mógłby to zrobić, gdyby zechciał. Trzeba tylko zorientować się w rozmieszczeniu strażników.

Oliwier wciąż musiał być w zamku, inaczej już dawno odnalazłby siostrę i przyjaciela. Pojechał, więc w stronę bramy.

* * *

Oliwier znalazł się w potrzasku, gdy usiłovali otworzyć bramę. Garstka obrońców walczyła przeciw żołnierzom wicekróla i najemnikom, przy czym ci ostatni widząc ładną dziewczynę, podnieceni dwoili swoje wysiłki. Z pomocą ludzi swojego męża przyszła królowa. Widząc brata uzdrowiciela w potrzebie, wysłała tam oddział swoich żołnierzy. Nikt nie byłby teraz w stanie uwierzyć, że jeszcze niedawno siedziała pośród dam dworu plotkując i pijąc zimne napoje. Splamiona krwią, w zniszczonej sukni i ognistorudych włosach mokrych od potu, wyglądała jak krwawa bogini. Kierowała nią determinacja, by uchronić własne dzieci i ukochanego, choć może w życiu zbyt stanowczego, męża. Niestety, oddanie części swoich ludzi sprawiło, że chwilowo pozostała bez osłony. Król Heron zgubił w tłumie swego brata właśnie w tym momencie. Książę Meron i jego brat chronili siebie nawzajem. Choć Meron osłaniał matkę, nie był na tyle ostrożny, by chronić także siebie. Mocny kopniak wymierzony z konia i zderzenie z silnym zwierzęciem zwały go z nóg i niemal pozbawiły przytomności. Wysiłkiem woli odzyskał nad sobą panowanie, słysząc poprzez dudnienie krwi w uszach odgłosy walki. Był przyszłym następcą tronu. Tam walczyła jego rodzina, bez której nic nie będzie mieć znaczenia. To dodawało mu sił. Poczul ból nosa. Wstał chwiejnie i

dotknął go. Odruchowo starł krew.

I wtedy zobaczył tego, który go tak urządził.

Wicekról konno i mieczem torował sobie drogę do jego matki. Żądza popychała go do działania. Odciał Konstancji drogę ucieczki i mocnym, pewnym ruchem zdobywcy złapał ją za spleciony naprędcie warkocz grubych, rudych włosów.

— Zabiorę cię ze sobą, Konstancjo — powiedział zimnym, przyprawiającym o lęk głosem, przyciągając jej głowę do swego siodła. — Choćby do grobu!

Szarpnęła się rozpaczliwie, czując przeszywający ból. Młody książę ruszył z pomocą swej matce. Król Heron wreszcie wyraźnie widząc w morzu walki, co się dzieje, swym koniem zaczął gniewnie torować sobie drogę do brata i żony. Kilku ludzi wicekróla próbowało go powstrzymać, lecz równie dobrze mogliby chcieć zatrzymać lawinę kamieni.

Żaden z nich jednak nie zdążyłby przyjść z pomocą, gdyby nie Oliwier. Jego przyjaciołom udało się wreszcie wspólnym działaniem doprowadzić do otwarcia zamkowej bramy, a niemal płonący z niepokoju Pafian mieczem torował sobie drogę do wyjścia. Oliwier wykorzystał lata praktyki polegającej na kluczeniu i wymykaniu się próbującym go schwytać ludziom i zyskał chwilę wytchnienia długą na tyle, by zorientować się w sytuacji. Zobaczył wicekróla ciągnącego szarpiącą się królową. Bez namysłu, mając jedynie krótką chwilę na namierzenie celu, wyciągnął procę. Kamień wystrzelony z niej trafił w oko. Wicekról krzyknął z bólu i na moment osłabił chwyt. Królowa zdołała wysunąć w tym czasie niemal cały warkocz, z czego skorzystał jej syn i uderzył mieczem. W zaciśniętej na powrót żelaznym uchwytem dłoni pozostał tylko koniec warkocza, którym wicekról nie cieszył się jednak długo.

Jeszcze przez jedno czy dwa uderzenia serca król wahał się przed zabiciem brata, nim jego koń zrównał z koniem wicekróla. Tuż obok jednak podjął ostateczną decyzję i wziął mieczem mocny zamach...

Głowa wicekróla nagle straciła kontakt z ciałem i spadła na bruk, a ciało osunęło się powoli z konia. W ręce wciąż tkwił koniec warkocza królowej...

Wicekról nie żył.

To był koniec wielkiego przewrotu.

Pozbawieni swego przywódcy żołnierze wicekróla częściowo zaprzestali walk i poddali się, inni uciekli, ale niektórzy walczyli jednak do końca za przegraną już sprawę. Najemnicy przerwali walkę i zaczęli gromadzić się przy swoim przywódcy. Skoro ich morderczy trud nie zostanie już nagrodzony, nie warto było przelewać krwi. Teraz zbierali się na placu, otoczeni przez przeciwników, kąśliwymi uwagami i krzywymi uśmieszkami dając do zrozumienia, że nic sobie nie robią z tej niebezpiecznej sytuacji, w którą wpakował ich osobiście wicekról, obiecując solidną nagrodę. W końcu ich zadaniem było wykonać swoją robotę, jak

należy. A nawet jeszcze lepiej. Nie bez powodu byli uznawani za najlepszych. Kilku z nich, którzy otoczyli obrońców Pafiana i zagrożonej wojowniczej Seleny o błękitnych oczach, pożegnało się jak gdyby nigdy nic, obiecując dziewczynie kolejne spotkanie w bardziej sprzyjających okolicznościach, opatrując tę obietnicę dość zbereźnymi uwagami. Delen miał ochotę im przyłożyć, lecz Selena powstrzymała jego zapędy.

— Zrobiłeś dla mnie już dość — powiedział łagodnie Oliwier, naprawdę czując się już niezręcznie w swym przebraniu wobec wyraźnej sympatii porucznika i członków jego oddziału.

Ci ludzie byli przekonani, że bronią niezwykłą kobietę. Na pewno zraniły ich uczucia, ujawniając teraz prawdę. Postanowił więc zachować to w tajemnicy, aż do rozstania. Nie zamierzał już używać kiedykolwiek jeszcze damskiego przebrania. Niech Selena pozostanie tylko wspomnieniem. Z miejsca, w którym stał, zobaczył, że rodzina królewska znów jest razem. Uszczęśliwiony król pocałował mocno swoją małżonkę, zadowolony z tego, że nic jej się nie stało. Z zadumą spojrzął na jej piękne włosy, poruszane teraz wiatrem, a potem uściśnął obu synów, z troską oglądając starszego i coś do niego mówiąc. Lecz przede wszystkim był ogromnie zadowolony, że rodzina jest w komplecie — cała i zdrowa — nie licząc jego złamanego nosa i kilku otarć. Potem rozejrzał się wreszcie po zamkowym placu znów wcielając się w swą królewską rolę i rozważając kolejne posunięcia. Wtedy jego wzrok spoczął na młodej kobiecie pod zamkową bramą, jedynej wśród zgromadzonych tu mężczyzn, nie licząc królowej. Oliwier poczuł, że znów się rumieni. Król skinął z uznaniem głową, lecz nim zdołał zrobić coś więcej, z murów zamkowych dobiegł czyis krzyk:

— LUDZIE! NA TARGOWISKU MORDUJĄ NASZEGO
UZDROWICIELA! DO BRONI!! ZABIĆ SZUBRAWCÓW!

Pafian, stojący wciąż po walce obok ludzi Delena zbladł gwałtownie. Stojąc u wejścia, nie mógł stąd widzieć targowiska, lecz straszny lęk opanował jego serce. Król wydał rozkaz, by część żołnierzy ruszyła na targowisko, a pozostali zostali przy nim, zanim ludzi ogarnie ogólny szal i wściekłość. Najemnicy na krótką komendę wodza unieśli miecze z bojowym okrzykiem, a potem uderzając się równocześnie w piersi złożyli w ten sposób hołd królowi, by następnie ruszyć ku bramie. Uzdrowiciel był dobrem danym wszystkim ludziom. Był poza polityką królestwa. Najcenniejszym skarbem. A jako Wiwan Beckert — nawet nie hrabia Beckert, gdyż rzadko tego tytułu używał — mimo że jego ojczym oficjalnie uznał go za syna, znany był ze swego dobrego serca i gotowości do pomocy. Ludzie, którzy dla złota czy innego wynagrodzenia zabiliby każdego, dla niego jednego gotowi byliby skoczyć w ogień. Był niemal świętością.

Zdruzgotany wieścią Pafian, biegnąc drogą z oddziałem Delena, myślał teraz o jednej z rozmów, jaką przeprowadził z bratem. Kiedyś, widząc jak Wiwan bez

śladu zniecierpliwienia pozwala się zaczepiać ludziom, pomaga w drobnych nawet dolegliwościach i wysłuchuje życiowych historii, nie wytrzymał i krzyknął gniewnie:

— Nie powinienes tego robić! Ludzie, jeśli tylko by mogli, zjedliby cię żywcem!

Wiwana wtedy tylko się uśmiechnął.

Co powiedziała by teraz?!

Na widok tego, co działo się na targowisku, włosy zjeżyły mu się na głowie. Przerażeni widokiem Kiriana, jego brat i ich towarzysze zbledli ze zgrozy. Spełniały się słowa Pafiana powiedziane w gniewie. Słowa, które wypowiedział, nie przywiązując do tego znaczenia. Ludzie rzucali się na Wiwana jak wygłodniałe bestie. Szarpali, targali ubranie na strzępy, za wszelką cenę próbując dostać się do choćby kawałka mięsa, polizać, gryźć, possać. Nawet najemnicy i królewscy żołnierze zamarli, wstrząśnięci tym widokiem bestialskiego okrucieństwa.

I nagle stało się coś, co jeszcze bardziej nimi wstrząsnęło.

Kilku ludzi posiniało nagle i chwyciło się za serca. Wokół uzdrowiciela zrobiło się luźniej, gdy ciała tych, którzy byli najbliżej padły nagle na ziemię.

Jedno wszyscy zrozumieli na pewno.

Nie była to sprawka innych padlinożerców.

Dziwnym sposobem odpowiadał za to człowiek, który dotąd służył z ratowania ludzkiego życia.

Uzdrowiciel.

Upadł tam, gdzie stał, a jego głowa zderzyła się z ziemią z nieprzyjemnym stukiem.

I już jakaś stara raszpła zamierzyła się na niego swym brudnym nożem, gotowa rozpocząć krwawą rzeź, gdy nagle dosięgła ją strzała....

Po drugiej stronie zbiegowiska piękna delikatna dziewczyna, którą niektórzy rozpoznali, jako klienci Domu Rozkoszy, opuściła łuk, siedząc w siodle karego konia. Jej pólnagi towarzysz, z rozwianymi, ciemnymi włosami, krzyknął w stronę Pafiana i stojących obok niego ludzi:

— Na co jeszcze czekacie?!

Trzeci z nich — także w siodle jak pozostali — którego twarz była groteskową maską upiory, uniósł miecz i wjechał między nagle zmieszany tłum. Ludzie cofali się przed nim w popłochu, przerażeni jego wyglądem. Gdy uderzył pierwszego z tłumu, posypały się strzały. Kilku najemników zaczęło zaciekle strzelać w tłum, uważając by nie zranić niespodziewanego, demonicznego sprzymierzeńca. Sai strzelała, dopóki kołczan nie został pusty. Zaskoczeni niedoszli kanibale rozpierchali się w popłochu na wszystkie strony, lecz dla żadnego z nich za ten czyn nie było litości. Zabijano ich jednego po drugim. Mężczyzn i kobiety. Rozwścieczeni ich okrucieństwem żołnierze krwawo odpłacali

im za niegodziwość.

Pafian przedarł się do brata, mijając bladego demona na koniu, który wyjechał z targowiska w stronę zamku. Pórnagi czarnowłosa był już przy rannym.

— Żyje — odparł niepytany — Ledwo.

— Zabierzmy go stąd! — Pafian z przerażeniem patrzył na brata, na jego krew i rany. Wszędzie było tyle krwi. Tyle krwi...

— Tak go nie wyniesiecie — stwierdził Kirian zbielełymi wargami. — Zorganizujemy transport. Zawieziemy go do zamku!

— Po moim trupie! — krzyknął zaciekle Pafian. — Nie wrócę tam z nim!

— Więc już go zabiłeś — odparł mu Kirian. — Tam będzie miał najlepszą opiekę. Być może nasz zdradziecki medyk wciąż żyje!

— Żyje! — krzyknął jeden z żołnierzy króla. — Król rozkazał wtrącić go do lochu, by czekał na osąd!

Kirian spojrział wymownie na Pafiana. Wokół krwawe walki z niedobitkami dobiegały już końca.

— Tylko on może mu teraz pomóc.

Na twarzy Pafiana pojawił się grymas wściekłości i rozpacz. Zaciśnął zęby, w milczeniu niezdolny mówić bez gniewu.

— Potrzebne nosze! — krzyknął Kirian. — Albo wóz!

Kilkunastu ludzi pospiesznie ruszyło do zamku.

Walki zakończono. Tylko nieliczni złoczyńcy zdołali uciec przed rzezią. Wszędzie wokół leżały trupy. Część z nich miała w rękach rzeczy należące do uzdrowiciela. Wielu miało na rękach jego krew. Ze zbolałym sercem i uczuciem, że straszliwie go zawiódł w potrzebie, Pafian objął brata, jakby był zrobiony z najdelikatniejszej w świecie porcelany. Przytulił go do swojej piersi, czując napływające łzy. W subtelnej ciszy poranka, gdy wszyscy z trwożliwą czcią zerkali na nich, zdruzgotany, zdrętwiały z rozpacz tulił Wiwana jak nigdy dotąd tego nie robił — w żalu i łzach, czując ciężar straszliwej winy. Bracia powinni sobie pomagać. Ile razy Wiwan leczył jego rany i ślady po pobiciu. Bez wiedzy rodziców. Po tym, jak wdawał się w bójkę? Co zrobili z jego bratem, którego jedyną wadą było to, że kochał ludzi takimi, jakimi byli? Który przejmował się losem innych, bezwiednie angażując się w ich problemy? Oddał im siebie, swój dar, biorąc za to symboliczne opłaty za radę ojczyma, który chciał, by w ten sposób ludzie mieli dla niego respekt. By nie osaczyli go kiedyś ze wszystkich stron. Przyjmując w pewnych ustalonych godzinach przed południem, ograniczał zapędy tych, którzy najchętniej co chwilę prosiliby go o pomoc, nawet w błahej sprawie. Oczywiście te godziny były sprawą umowną. Zawsze można było na niego liczyć.

Zawsze.

I jak odwdzięczono mu się za tę życzliwość? Jaka za to spotkała go nagroda?!

— Co oni z tobą zrobili? — szepnął. — CO MU ZROBILIŚCIE?! — załkał w rozpacz. — Spójrzcie! Zobaczcie, co z nim zrobiliście?!

W jego sercu wzbierał ogromny żal. Zawiódł go. Nie uchronił przed tym okrucieństwem. Nie potrafił wydostać go wcześniej z tego luksusowego więzienia. Nie potrafił go obronić.

Kiedy nadjechał powóz królewski, targnął nim gniew i straszne poczucie krzywdy.

— Nie wróci do zamku — rzekł. — Już wolę, żeby umarł tutaj.

— Pafian — usłyszał za sobą znajomy głos. — Wiem, co czujesz...

— TAK?! — odwrócił się nieco, by spojrzeć w twarz młodego księcia, który wyjechał mu na spotkanie. — Nie wydaje mi się. To wasza wina, że on tu trafił! Wy go porwaliście! Wy na to pozwoliliście! Liczyły się tylko wasze polityczne gierki!

Meron, księżę Wermodu wysłuchał tego w milczeniu. Te zarzuty spotkały się w jego sercu z poczuciem winy, które sam odczuwał. Nie podniósł więc głosu, nie ukarał za zuchwałość wobec królewskiej osoby. Wiedział, że zaniedbał przyjaciela, część jego obaw, jakże trafnych, urzeczywistniło się właśnie dziś, przypisując być może to nadmiernemu emocjonalnemu zaangażowaniu. A przecież powinien był go słuchać. Powinien też więcej z nim rozmawiać, zapewnić mu więcej swobody, a tylko ulegał woli ojca. Marnym był opiekunem i gospodarzem. Marnym też przyjacielem.

Siedział na koniu, gotów eskortować osobiście uzdrowiciela, którego zawiódł. Wiedział już, że nie chce powrotu Wiwana na zamek. Wiwan zasługiwał na wolność po tym, co mu tu zgotowano, a jeśli teraz wróci, jego ojciec znów go nie wypuści. Na pewno istniał inny sposób na zachowanie bezpieczeństwa królewskiej rodziny. On nie chciał już, by nadal przetrzymywano Wiwana w zamku. Nie potrafiłby tego znieść. Nie podjąłby takiej decyzji nawet, gdyby ojciec teraz mianował go królem. Nie po tym, co właśnie tu zobaczył.

— Panie hrabio — ośmielił się odezwać Alesei. — Znam miejsce, gdzie moglibyśmy go przewieźć. Pewien jestem, że mój przyjaciel nie będzie mieć nic przeciw temu.

Oddział Delena otoczył powóz gotów do eskortowania uzdrowiciela w bezpieczne miejsce. Dołączyli do nich najemnicy zgromadzeni na placu. Wyjątkiem byli żołnierze króla, czekający na rozkaz księcia. Ludzie Delena nie podlegali księciu, lecz bezpośrednio królowej Konstancji i w swym mniemaniu nadal towarzyszyli Pafianowi zgodnie z rozkazem.

— Pamiętasz, panie, rodzinę złotnika, u której gościłeś jakiś czas temu? — Mówił szybko Alesei, opierając się o wóz. — Rodzinę Rserwer?

Pafian skinął potakująco głową, jednocześnie czując nagle iskierkę niepokoju w sercu. Rodzina Oliwiera.

— Selarion jest najlepszym przyjacielem Oliwiera, którego panie poznałeś. W domu złotnika są ślady zarazy, lecz w domu kupca... — głos Aleseia zamarł na chwilę, gdy według zasłyszanych jeszcze w Domu Rozkoszy plotek wyobraził sobie sypialnię rodziców Sela — jej nie ma. Z pewnością poczuje się zaszczycony, goszcząc uzdrowiciela w swoim domu, panie hrabio.

— Prowadź — rzekł tylko Pafian. — Chętnie przyjmujemy propozycję.

Spojrzał na brata, który poruszył się nerwowo. Zmarnowali dość czasu.

Rozejrzał się ze swego miejsca, lecz nigdzie nie zobaczył Oliwiera. Alesei wydawał tymczasem instrukcje żołnierzom w czasie transportu.

— Nie wchodźcie do sypialni. Nie naruszajcie spokoju zmarłych — polecił im na koniec, obiecując sobie, że jak tylko dopilnuje losu Sai, Julien i zabitych przyjaciół, zajmie się także i tą sprawą, o ile Sel nie wróci. Znał go na tyle dobrze, że był pewny tego, iż nie będzie mu miał za złe takich gości.

Powóz jechał pospiesznie, a z nim liczna eskorta wraz z księciem i jego ludźmi.

— Pafian. Dołączę do was później — odezwał się Kirian przez okno do swego dawnego towarzysza ze szkoły królowej. — Delena nie ma. Pojechał w czasie potyczki w stronę zamku i wiem już dlaczego. Selena zniknęła. Jadę za nimi.

Jego niepokój udzielił się także Pafianowi, który słusznie przeczuwał, że Oliwierowi coś się stało. Kirian, nie czekając na odpowiedź, odłączył się od grupy, zabierając ze sobą dwóch ludzi.

Tymczasem jadący pospiesznie orszak wjechał na ulicę, na której przewrócił się powóz Czerwonej Rebeki. Niemal na środku ulicy, przed przewróconym powozem, pośród trupów, leżało na ulicy dwoje ludzi. Na ten widok dwoje przyjaciół Julien przyspieszyło tempo, by się przy nich znaleźć.

Uwolnione od połamanego powozu cztery siwe konie stały nieopodal.

To, co przyciągnęło uwagę zarówno księcia, jak i Aleseia oraz Sai, jaśniało wyraźnie purpurą i srebrem.

Na szyi rannego lśnił wisior uzdrowiciela...

ROZDZIAŁ 11 — Ocalenie

Głosy...

Znów głosy...

Omdlewał. Nie potrafił skupić się na dłużej...

Światło. Błyski...

Ból.

— Matko Ziemi — rzekł cicho jakiś głos, znajomy głos.

To było pierwszy raz i tylko dlatego, że był znajomy, skupił się na nim dłużej. Ale to przecież niemożliwe. On przecież został w domu! Był ranny!

— Spójrzcie na jego oczy!

Coś nie tak...?

I wreszcie jasna, świadoma myśl. Fala wspomnień. Koszmar. Wciąż słyszał głosy. Nie rozpoznał tonacji, tylko ich melodię. Jakby było ich więcej. Brzmiały donośnie. Za głośno. I ten szum. Ten szum! Ten gwar. Ta gwałtowność. Zbyt wiele!!

Wciąż jest na targowisku!!

Ten ból...

* * *

— Wiwan! — Pafian poczuł nagle, jak ciałem brata targa niespodziewanie silny wstrząs.

Przez ostatnią godzinę on i drobna dziewczyna o imieniu Sai, którą medyk królewski wziął do pomocy, tłumacząc, że jego asystenta zabito w czasie walk w zamku a także sam Sedon, łatali uzdrowiciela, szyli i przemywali sokiem z cytryny i wodą. Dosłownie. Wtedy Wiwan leżał niemal całkiem nagi i nieprzytomny. Błady niczym płótno. To, co zobaczyli po zdjęciu jego ubrania, a raczej tego, co z niego zostało, wstrząsnęło nimi do głębi. Na ciele Wiwana nie było miejsca, którego by nie zadrapano, nie pobito, nie rozdarto czymś tępym, wreszcie — nie pogryziono do krwi! Te pogryzienia martwiły Sedona bardziej niż cięcia. Bał się zakażenia, trudnych ran, które niełatwo będą się goić. Kiedy jednak Pafian drżącym głosem zapytał, czy chce wypalić rany, wyśmiał ten pomysł. Nazwał to dodatkowym okrucieństwem i nie-potrzebną głupotą. Pracując z nimi gorączkowo, nie omieszkał skłąć konowala, który postanowił wypalić ranę na nodze Wiwana po pogryzieniu przez smoka, pozostawiając na udzie okropną bliznę. Tę opowieść znali już wszyscy w królestwie. Kiedy Wiwan miał piętnaście

lat, jego i jego konia zaatakował smok na drodze do Adelaine. Szczęśliwie Wiwan wyślizgnął się wtedy z jego paszczy, lecz koń nie przeżył. Towarzyszący mu wtedy hrabia Beckert i jego ludzie zgładzili bestię.

Wtedy Wiwan był o krok od śmierci. Podejrzewano trujący jad w ranie. Była to bzdura, ponieważ te akurat odmiany zielonych smoków nie miały w sobie jadu, ale naprędce znaleziony medyk najwyraźniej tego nie wiedział i nie chciał słuchać miejscowych. Ludzie omal go wtedy nie pobili za cierpienia zgotowane uzdrowicielowi, gdy się dowiedzieli, jakie zastosował metody.

Ale nawet wtedy... Wiwan nie wyglądał tak źle, jak teraz.

Kiedy Pafian zobaczył jego przyrodzenie miał ochotę płakać. Najwyraźniej cieszyło się szczególnym zainteresowaniem, a sądząc po ilości podrapań, ludzie mieli wielką ochotę po prostu wszystkiego go pozbawić.

Wiwan znów poruszył się nerwowo. Wstrząsnął ciałem tak nagle, aż wzdrygnęli się odruchowo, zaskoczeni tym ruchem. Potem zrobił to znowu. I raz jeszcze. Otworzył usta, łapiąc spazmatycznie powietrze.

Nagle, co było niewiarygodne, po tym ile stracił już krwi, podniósł ręce i zaczął się rzucać, odpędzając się usilnie przed czymś lub przed kimś. Ze wszystkich sił broniąc się przed ich dotykiem, odpychając ręce, które usiłowały go powstrzymać a zarazem przytrzymać. Zrywając rozpaczliwie opatrunki, które najwyraźniej odczuwał, jako coś obcego, może czyjś dotyk.

Nie krzyczał, niemal nie wydawał głosu, tylko bronił się rozpaczliwie. Pafian próbował do niego przemówić, przekonać że jest już bezpieczny. Uspokoić. Lecz Wiwan zamknięty w swym własnym koszmarze tak długo nie przestawał się szarpać, aż wreszcie Sedon polecił przytrzymać go siłą i wlał mu coś przemocą do ust...

Jeszcze chwilę Wiwan miotał się w ich ramionach. Nawet w trójkę mieli poważny problem by go utrzymać. Wreszcie najwyraźniej działający uspokajająco lek zaczął w końcu działać i ciało opadło bezsilnie, choć umysł nadal był w oparach przerażenia i poczucia bezradności. Pafian z bólem w sercu obserwował jak jego brat opada z sił i zapada w sen. Osłabiony, niemy i daleki od nich myślami, gdzieś w odmętach własnych koszmarów. Widząc to u człowieka, który dotąd zawsze gotów był spieszyć mu z pomocą i którego łagodny ton głosu uspokajał niejedną kłótnię, budziło rozpacz i lęk.

— Mów do niego — powiedział mu cichym głosem Sedon. — Mów teraz! Niech wie, że jest przy nim ktoś mu bliski.

Łzy – nieproszone, potoczyły się po twarzy zwykle silnego duchem Pafiana. Drżącym z emocji głosem przemówił do brata, próbując przedrzeć się do jego głowy przez porywy szaleństwa i rozpacz, przerażony tym, jakie konsekwencje, sądząc po tym ataku, może mieć okrucieństwo, którego dokonali na nim ludzie.

A jeśli Wiwan popadnie w obłąd?

Jeśli zniszczyli jego umysł i już nigdy nie będzie takim, jakiego znał całe życie?

Sedon i Sai, której drżały ręce, choć myślała, że nic już dziś nie poczuje — znów zabrali się do pracy. Medyk polecił dziewczynie — widząc, że nie ma do czynienia z nieskalaną niewinnością, lecz kobietą, której najwyraźniej nieobcy był widok męskiego ciała — zając się przyrodzeniem uzdrowiciela. I jeśli Sai dziś miałaby ochotę za coś podziękować wszelkim bogom, które znała, to właśnie za to, że lek podany przez Sedona najpierw uspokoił, a potem, wspomagany najwyraźniej głosem brata lub działaniem tego specyfiku — uśpił go. Bo choć robiła co w jej mocy, by opatrywać go naprawdę delikatnie i z wprawą — na pewno by cierpiał.

Znała ból, który by poczuł, choć inaczej go jej zadawano.

Wreszcie skończyli go opatrywać, delikatnie przenieśli do łóża, które wcześniej przygotowała, nakrywając puchową pierzyną. Łóże i pokój należały do Sela. Pierwszy raz tutaj była. Mnóstwo rysunków ozdabiało ściany, jednak nie miała czasu, by im się przyjrzeć. Pościel wcześniej była zmięta. Wyraźnie też wyczuła charakterystyczny zapach znany jej z Domu Rozkoszy.

Więc to prawda, że czasem Sel mógł to robić w czasie swej choroby...

Rzeczy jego i Milery ukryła na razie w kufrze nieopodal łóża. Zmieniła poszwy. Kiedy uzdrowiciel znalazł się w łóżu, w którym jeszcze tak niedawno Sel kochał się z Milerą, Sai umyła połączone, przyniesione w pośpiechu przez żołnierzy, stoły, z krwi i włosów, które musieli zgolić z głowy uzdrowiciela. Pafian zaś usiadł przy bracie na fotelu, trzymając go za rękę. Wzruszyła ją ta czułość, tak dla niej niezwykła, jeśli chodzi o mężczyzn. I tak szczerą. Sedon wziął jeden z arkuszy na biurku Sela i wypisywał wskazówki dotyczące opieki nad rannym, jednocześnie cicho i lekko drżącym głosem wypowiadając je na głos. Wysłuchiwała ich w milczeniu. Kiedy podać zioła, kiedy zmienić opatrunki, obserwować rany, przyzwać go w razie gorączki, na co uważać, czego przestrzegać... Zmyła podłogę. Zebrała najbardziej ociekającą krwią ściereczkę — część tego, co zostało po prześcieradle z kufra Sela — wzięła wiadro i otworzyła drzwi.

Na korytarzu całkiem niezłego domostwa było wielu ludzi, głównie żołnierzy. Najbliżej byli książę Meron i Alesei, obok nich strażnicy królewscy, których zadaniem było wcześniej sprowadzić medyka z lochów, a teraz go do nich zaprowadzić. Wszyscy oczekiwali na wieści z niepokojem.

Uprzejmie poleciła im poczekać na wyjaśnienia medyka Sedona, dygając delikatnie przed młodym księciem. W gruncie rzeczy była tak zdruzgotana tym, co zobaczyła i przeżyła, że ledwie miała ochotę na to, by prowadzić jakieś uprzejme rozmowy. Bez słowa wcisnęła Alesejowi skrwawiony strzęp materiału, licząc na to, że będzie pamiętał, co z nim zrobić.

— Wybacz moja droga — odezwał się cicho książę, lecz bez skrępowania —

ale jestem zmuszony wydać odpowiednie rozkazy. Zaraza wciąż jest w mieście. A ja mam rodzinę, którą muszę chronić!

Potem wskazał na wiadro, które trzymała w ręku.

— Zabrać wiadro i rozdzielić jego zawartość. Przygotować dla mnie flakon!

Otworzyła usta w niemym oburzeniu, czując jak krew burzy jej się na to zuchwalstwo. Alesei położył jej dłoń na ramieniu. Strząsnęła ją gniewnie.

— On się wykrwawia, a wy chłepczecie jego krew?! — krzyknęła do księcia i do wszystkich zgromadzonych, tocząc po nich gniewnym spojrzeniem, którego wszyscy teraz unikali.

— Czy nie to samo zamierzałaś zrobić dla swoich przyjaciół, których zabraliśmy po drodze? — odpowiedział młody książę, zbliżając się do niej z błyskiem w oku i wskazując na Aleseia — Czym twój czyn różni się od mojego, dziewczyno? To nasza jedyna, pewna ochrona przed zarazą i innymi chorobami. Przed ranami i śmiercią. Nie tylko ty masz bliskich, których pragniesz chronić!!

Wiedziała, że miał rację.

Dla Rossa był to jedyny ratunek.

Dla wielu innych także.

— Będzie jeszcze jedno wiadro — odparła, martwiejąc.

Głos odmówił jej posłuszeństwa, rwąc się pod wpływem wzruszenia. Wyszła w pośpiechu, nie patrząc na nikogo. Była dalej od ludzi. Wreszcie w ogrodzie za domem znalazła spokój. Uklękła w niemej rozpacz, im pozostawiając domysły, jak wiele jeszcze krwi dostaną do podziału a także co jeszcze to oznacza — że wiele łez, bólu i cierpienia musiał znieść i jeszcze zniesie uzdrowiciel, kiedy oni będą już pod ochroną jego cudownego daru.

W głowie kłębiły jej się obrazy. Wiwan, rozpaczliwie broniący się przed nimi, Lena zabijana przez jednego z tych zwyrodnialców, którzy wraz z Ramozem tak chętnie się z nimi nieraz zabawiali. Jej płacz, jej rany. Rany uzdrowiciela. Jego zmasakrowane ciało, rozdierane przez tłum, gryzione...

Ludzie trzymają w sobie potwory. Maskują to, kryją w ciemnościach, po to by w odpowiedniej chwili uwolnić je niczym wściekłe psy i pozwolić sobie na czyste okrucieństwo. Potem tłumaczą to koniecznością lub wulgarnie milczą. Lecz zawsze dążą do tego, by znów się zaspokoić.

* * *

Oliwier dotąd tak naprawdę się nie bał. Był otoczony ludźmi, którzy dbali o jego bezpieczeństwo w czasie walk. Czuł się przy nich pewnie. Teraz jednak, kiedy wyszli za bramę na ratunek Wiwanowi, jego odwaga nagle zniknęła wobec człowieka, który stał się dawno jego największym koszmarem. Którego miał nadzieję już nigdy więcej nie zobaczyć.

Moren!

Zobaczył go siedzącego na koniu, przypatrującego się pilnie wychodzącym. Wpadł w panikę. Nawet lęk o Wiwana nie potrafił tego stłumić. Moren szybko go zauważył. Był jedyną kobietą w tym tłumie, a on widział go już w kobiecym przebraniu. Zbyt wielu było ludzi, by zdołał się do niego zbliżyć, ale próbował tego gwałtownie i zapalczywie. W mgnieniu oka Oliwier zrozumiał jak blisko jest swojej zguby. Zawrócił. W panice zaczął przedzierać się przez szeregi żołnierzy i najemników. Nie obeszło się bez szarpaniny, bo jeśli ci pierwsi przepuścili go po prostu, to ci drudzy, żałując widocznie przegranej, która odebrała im zdobycie łupów i gwałty, nie szczędzili mu uścisków, siarczystych pocałunków i prób odkrycia piersi, które — uformowane specjalnym gorsetem, odlane z miękkiego tworzywa na podstawie oryginału, będące częścią cudacznego wyposażenia Domu Rozkoszy — przyjemnie dla oka kształtowały się pod zniszczoną suknią. W mgnieniu oka Oliwier wpadł w jeszcze większe kłopoty, bo uzdrowiciel uzdrowicielem, ktoś inny może mu teraz biec na pomoc, skoro tu trafiła się taka gratka! Wściekły na to Moren wjechał między rozochoconych mężczyzn i pociągnął paru za łby.

Wtedy obok pojawił się Delen.

Kilka pewnych uderzeń i wołanie na pomoc żołnierzy z placu błyskawicznie przerzedziło grupę, która najwyraźniej nie licząc się z obecnością króla, kto wie, jak potraktowałyby dziewczynę, wciąż czując w sobie niespełnioną żądzę mordy i zniszczenia.

Oliwier przedarł się wreszcie. Był w opłakanym stanie, lecz cieszył się, że bandziorom nie udało się zajrzeć mu pod spódnicę. Tak obcesowo potraktowany był dotąd tylko przez Morena. Myśl, że jest on tuż za nim sprawiła teraz, że nie zatrzymując się nawet, choć miał na to wielką ochotę, by chwilę ochłonąć, biegł aż znalazł się znów na korytarzu dla służby, niemal o tej samej porze, co wczorajszego dnia. Przystanął za zakrętem, by nieco uspokoić serce i opanować się na tyle, by zacząć szukać jakiegoś rozwiązania. Dobrze, że pojawił się Delen. Oby przez to nie zginął! Czuł wciąż obleśny dotyk najemników, przedsmak tego, co może mu zrobić Moren, jeśli go schwyta. Przerazenie tak bardzo chciało nad nim zapanować, sprawić, że straci zdolność racjonalnego myślenia, aż wpadł w złość na samego siebie i w gniewie uderzył pięściami na oślep po ścianach, by jakoś się opamiętać.

Ból obdartych rąk otrzeźwił go. Powrócił rozsądek.

Nagle usłyszał szybkie kroki. Ktoś biegł w tę stronę!

Zatkał usta skrwawioną ręką, wstrzymując oddech.

Kroki umilkły.

Ten ktoś nasłuchiwał. Czuł to.

Nagłe zamieszanie i gwar głosów ludzi przy niedalekim stąd wejściu

przerwało ciszę. Mógł powoli odetchnąć.

— Seleno! — usłyszał znajomy głos porucznika. — Seleno, gdzie jesteś? Odezwij się!

Ale przecież porucznik wszedł dopiero teraz razem z kilkoma ludźmi, być może z powracającą do zamku służbą, która skryła się w czasie walk...

— Znalazłem cię — usłyszał nagle znajomy głos, ten głos i poczuł zimne ukłucie stali.

Moren stanął przy nim, sztyletem dotykając odsłoniętego gardła.

Oliwier spojrział w jego zimne, bezwzględne oczy. Poczuł jak ogarnia go dreszcz.

— Przymuszenie łamie podobno każdego — rzekł Moren. — Historia zatoczyła dziś koło, nie uważasz? Znów jesteś w sukience... Gotów do zabawy.

Przybliżył twarz do jego twarzy, ocierając swój szorstki zarost o policzek Oliwiera.

— Będzie jej mnóstwo, zapewniam — szepnął mu do ucha. — Ty, ja i twoja siostra. Za jednym zamachem. Bo ona też to poczuje, prawda?

Krew zawrzała w Oliwierze. Ale sztylet wbił mu się lekko w jego szyję, pozbawiając możliwości obrony i wyrażenia gniewu.

— Zabiję cię dopiero wtedy, gdy zaczniesz o to błagać — dodał cicho rozgorączkowany Moren, zachęcony jego milczeniem. — Nie zrobisz tego od razu, wiem o tym. Będziesz walczył. A ona będzie cierpieć razem z tobą...

— Dlaczego? — zapytał drżącym głosem, wreszcie zdobywając się na to. — Dlaczego ja, Moren?

Tamten spojrział na niego z zadumą, jakby w myślach układał właściwe słowa.

— Ręce precz od niej! — usłyszeli cichy, mocno jednak akcentujący te słowa głos i nim Moren odpowiedział, dobiegło jeszcze: — Albo ty posmakujesz mojego sztyletu...

Sztylet Delena załśnił w półmroku, niespodziewanie szybko pojawiając się tuż przy gardle Morena. Tak blisko, że gdy tylko tamten nerwowo się poruszył, ostrze delikatnie nacięło skórę do krwi. Lecz ręka, która je trzymała, nadal robiła to pewnie.

Mimowolnie Oliwier zastanowił się, w którym momencie Delen ich odnalazł? I jak wiele usłyszał? Słowa Delena pozwoliły mu się domyślić, że nie mogło to być wcześniej, niż przed chwilą...

Moren uśmiechnął się szyderczo i w pozornie poddańczym geście uniósł obie ręce, by widział je stojący za plecami przeciwnik.

Oliwier nie czekał na lepszą okazję. Odepchnął Morena, by umożliwić sobie ucieczkę. Nie miał przy sobie do obrony niczego, prócz procy, gdyż miecz wydarto mu z ręki w tłumie. Nie mógł liczyć, że cios w szczękę zablokuje Morena, bo

wielokrotnie miał okazję przekonać się o twardości jego głowy. Nie chciał też dawać mu okazji do zranienia lub zabicia porucznika. Wiedział jednak, że będzie go ścigał. To było lepszym rozwiązaniem niż walka Delena z Morenem.

Zaczął więc szaloną ucieczkę przez znajome korytarze.

Odepchnięcie pozwoliło Morenowi uchylić się przed sztyletem i uderzyć porucznika. Zgodnie jednak z tym, co przewidywał Oliwier, Moren nie tracił czasu na potyczkę, lecz ruszył w pościg za swoją ofiarą. Parł do przodu, nie zważając na nic. Nieugięty. I nieustępliwy. Gdziekolwiek Oliwier znalazł się podczas swojej ucieczki, Moren był niemal tuż za nim. Prawie pochwycił kilka razy podartą suknię. Był tuż tuż. O krok za nim.

Delen uderzył go mieczem na głównych schodach, raniąc w ramię.

Moren stracił resztę pozorów jakiegokolwiek psychicznej równowagi. Ryknął wściekle i pochwycił ścigającego go porucznika. Delen miał więcej siły od Oliwiera, lecz ledwie zdołał podołać morderczemu uściskowi. Miecz zaś wytracono mu z ręki, zupełnie jakby był dopiero co wyszkolonym młodzikiem.

Pomimo stanowczego oporu, runął w końcu na schody, tracąc równowagę w czasie mocowania się z Morenem, potężnym i naładowanym niezłomną siłą. Uderzył tak mocno, aż huknęło doniośle na pustym chwilowo korytarzu. Oliwier zmartwił, bojąc się, że Moren złamał Delenowi kręgosłup, na szczęście jednak tak się nie stało. Delen oszołomiony bólem nie miał już jednak sił, by się podnieść, a ucieszony tym faktem Moren przysiadł przy nim i ujął jego głowę w swe silne ręce, gotów rozbić mu czaszkę.

Oliwier dobiegł do pierwszej rzeczy, której mógłby użyć jako broni przeciw swemu prześladowcy.

U szczytu schodów na niewielkiej kolumnie stał wazon z kwiatami. Wyrzucił je w pośpiechu i szybko znalazł się przy Morenie.

Z całej siły zadał wazonem cios.

Moren, kierowany jakby szóstym zmysłem, zablokował to uderzenie, szybko wstając z wyciągniętą ręką. Potem uderzył Oliwiera wierzchem dłoni. Uderzenie było tak silne, że Oliwier miał wrażenie, jakby właśnie pękła mu kość policzkowa. Twarz zapłonęła ogniem. Przez jedną krótką chwilę pomyślał o Julien i krew mu zawrzała z gniewu. Przypomniawszy sobie słowa Morena na zakręcie korytarza. Tymczasem upuszczony wazon roztrzaskał się na kawałki. Oliwier ujął jeden z odłamków, raniąc dłoń o ostre krawędzie i zamierzył się na Morena. Moren sparował i ten cios, odepchnął go, zwalając z nóg, a potem przyskoczył do Delena i zadał mu kilka ciosów.

Obaj spadli ze schodów.

I wtedy Moren ujął po raz drugi głowę Delena, uderzając nią o posadzkę.

Oliwier wiedział, że Moren lubuje się w zadawaniu ciosów w głowę na różne wymyślne sposoby. Zmusił się do tego, by szybko wstać, choć szumiało mu

w uszach, a twarz płonęła ogniem bólu.

Tym razem jego cios zabranym odłamkiem rozciął głowę Morenowi i zwałił go z nóg.

— Idziemy! — Oliwier pomógł wstać oszołomionemu porucznikowi, zerkając z obawą na ogłuszonego bandytę. — Drugiej szansy nie będzie!

— Zabiję go! — Delen zmrużył oczy z bólu, lecz podniesiony miecz w jego ręce nawet nie zadrżał.

— Doskonale — stwierdził na to z sarkazmem Oliwier. — Bądź taki jak on. Dobij nieprzytomnego!

Delen spojrzał mu w oczy. Widoczne było, że zależy mu na życzliwości niezwykłej dziewczyny.

— Wezwę strażników — rzekł więc po krótkim namyśle. — Niech zamkną go w lochach.

Słyszając gwar głosów w końcu korytarza, zaczął wołać strażników, podczas gdy Moren leżał nadal nieprzytomny. Oliwier nie chciał być już w jego pobliżu. Zaczął iść w stronę głosów, marząc o tym, by wreszcie opuścić zamek. Pierwsi ludzie, służący i strażnicy, właśnie się pojawili, a widząc leżącego i porucznika straży królewskiej przyspieszyli kroku.

— Seleno — powiedział do niego delikatnie porucznik, na co zmęczony psychicznie Oliwier z trudem zareagował, jak powinien, mając już dość przeżyć na dzisiaj. — Zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce.

Moren zerwał się nagle, nim pierwsi strażnicy doszli do niego, odepchnął ich gniewnie, jednemu z nich wydzierając zza pasa sztylet. Znalazł się przy Delenie i Oliwierze szybciej, niż można by przypuszczać po jego obrażeniach głowy. Przystawił sztylet do gardła odwróconego do niego tyłem porucznika, przypierając go całym ciałem i szybkim, mocnym ruchem podciął mu gardło.

Zaskoczony Delen nie zdołał nawet wydać dźwięku. Podniósł rękę w obronnym geście, zakrywając ranę.

Oliwier wstrzymał oddech.

Delen upadł pośród zaskoczonych i wstrząśniętych ludzi.

Nie żył.

Moren chwycił za suknię wstrząśniętego Oliwiera i obrócił się tak, by znaleźć się za jego plecami. Znowu przystawił mu do gardła sztylet.

— Należy do mnie! — krzyknął zebrany i nadchodzącym strażnikom. — Nie zbliżajcie się, bo zginie jak wasz rycerzyk!

Kilka kobiet zapłakało. Mężczyźni z gniewną miną trzymali w pogotowiu miecze. Moren wycofał się powoli, ciągnąc ze sobą Oliwiera, aż znalazł jakiś pokój i po krótkim zerknięciu do wnętrza, wciągnął tam chłopaka, a następnie zamknął drzwi.

— Każdy mój plan... — wymamrotał pod nosem ze złością. — Ściągaj te

kudły! — wrzasnął wściekły Oliwierowi do ucha, szarpiąc za włosy peruki. — Ciągłe włożą mi do gęby!

Ale mocno przytwierdzona licznymi wsuwkami peruka nie chciała się oderwać. Oliwier jęknął, gdy poczuł wyraźny ból głowy przy wyrywaniu swoich prawdziwych włosów.

— Zostaw! — krzyknął ze złością, na co Moren uderzył go w twarz i okręcił sobie długie ciemne sploty wokół ręki.

— Skoro tak dobrze się trzymają — mocnym ruchem przyciągnął go do swoich nóg. — To niech się przydadzą.

Oliwier rozpaczliwie zaczął się szarpać, wciąż myśląc o tym, co może dziać się teraz z Julien. I co za chwilę stanie się z nim... I z nią.

— Chodziło ci głównie o moją siostrę?! — zapytał gniewnie. — To ją chcesz przymusić? Poprzez mnie?!

— Chciałbyś, żeby tak było, prawda? — odparł pytaniem Moren, z dziwnym uśmiechem na ustach. — Nie, Oli. Chcę CIEBIE. A skoro to dotknie także i ją — dodał i znów uderzył go w twarz, aż Oliwier usłyszał dzwonięcie w uszach — to dodatkowa przyjemność...

* * *

Julien płakała w udręce. Jej twarz zmieniała się coraz bardziej. Puchła i czerwieniała od uderzeń zadanych nie jej bezpośrednio, lecz mocą więzi doskonale wyczuwalnych.

Była w pokoju, który znalazł im Alesei tylko z Rossem. Zamknęła się z nim z obawy przed najemnikami, którzy chwilę jeszcze kręcili się po domostwie Sela, dopóki nie usłyszeli od nadwornego medyka wieści o uzdrowicielu. Potem opuścili dom, pozostawiając w nim królewskich żołnierzy, których do pilnowania braci Beckert wyznaczył sam książę. Zarówno jedni, jak i drudzy byli mylnie przekonani, że podobnie jak Sai Julien także pracowała w Domu Rozkoszy, więc z braku rozrywki dawali jej różne propozycje, rzucane również przez zamknięte drzwi. Część z nich, o czym nie wiedziała, napiła się nieco krwi uzdrowiciela, co oczywiście spotęgowało ich pragnienia seksualne. Ignorowała ich, przejęta stanem brata, którego strach i ból czuła teraz nieustannie.

Alesei odwiedził ich na chwilę, nim zajął się losem zabitych przyjaciół i zniszczonego powozu, który stał się teraz ich, czyli jego, Sai i być może Rossa, jedynym domem. Przyniósł ściereczkę mokrą od krwi uzdrowiciela. Podał kilka kropli Rossowi. Namówił też i ją. Ale więź sprawiała, że nowe ślady uderzeń pojawiały się mimo to. Trwały krócej, to prawda, ale jednak były. Strach i ból wygrywał z pra-gnieniami, których teraz nie odczuwała. Zbyt mocno się bała tego, co może się stać. Pragnęła jedynie, by ból Oliwiera zelżał po użyciu daru

uzdrowiciela.

Wiedziała o wszystkim, co go spotykało i nawet moc niezwyklej krwi uzdrowiciela nie mogła tego stłumić. Czuła jego panikę.

— Julien? — usłyszała słaby głos Rossa z łóżka pod oknem. — Coś złego dzieje się Oliwierowi?

Spojrzała na niego. Po godzinie od podania mu krwi uzdrowiciela wreszcie mógł mówić i nieco się poruszyć, lecz wciąż nie było to zbyt wiele. Najwyraźniej tak poważne pobicie wymagało czasu na wyleczenie. Zmęczenie także pewnie robiło swoje. Jednak, co nie ulegało wątpliwości, z każdą chwilą cud przywrócenia go do życia i zdrowia zaczynał być coraz bardziej widoczny.

Nie odpowiedziała. Kiwała się miarowo na boki, nasłuchując w sobie myśli brata, próbując dociec, co z nim się teraz dzieje. Wprowadzało ją to w dziwny trans. Jakby zatracala samą siebie, traciła kontury swego istnienia, własnej tożsamości...

— Chodź — szepnął Ross, zaniepokojony jej nastrojem. — Chodź do mnie. Nie bądź z tym sama. Chcę ci pomóc.

— Nie potrafisz mi w tym pomóc — odparła w cichej rozpacz.

Poczuła ból. Jakby ktoś wrywał jej włosy z głowy. Z piersi wydarł jej się jęk.

Ross z wysiłkiem uniósł rękę. Przyzywał ją.

Poczuła kolejne uderzenie i strach. Zbliżało się nieuchronne. Nie pomogłaby mu. Gdziekolwiek jest, cokolwiek go czeka, będzie to czuła razem z nim.

Spojrzała na Rossa. Opuścił rękę, niezdolny do dłuższego wysiłku, lecz jego oczy spoglądały na nią ze zrozumieniem i współczuciem. Podbiegła do niego. Wsunęła się pod kołdrę i przylgnęła do niego mocno, jakby mógł ją jakoś ochronić.

— Boję się — szepnęła.

Poszukał ręką jej dłoni. Ujął ją delikatnie.

Po chwili poczuła na swoim czole delikatny dotyk jego warg.

Wtuliła się w jego rozpalone gorączką ciało, zaciskając dłoń na jego dłoni.

* * *

Głuche uderzenie w drzwi zniweczyło dalsze zamiary Morena. Rozejrzał się nerwowo. Jego wzrok padł na biurko ustawione pod oknem.

— Idziemy! — poderwał Oliwier z podłogi i zmusił do wejścia na parapet okna, by tą drogą móc się rozejrzeć.

— Co robisz? — zaniepokoił się na to Oliwier, jednocześnie w duchu modląc się, by pomoc zza drzwi zdążyła przyjść na czas, nim Moren zrobi coś szalonego.

Za oknem po stronie ogrodu ciągnęła się przepaść. Nieco dalej zaczynały się

okalające zamek skały, jednak z tego okna nie można było się do nich dostać. Na pewno nie mógł tego zrobić mocarny syn cukiernika. Moren spojrzął na Oliwiera. On by mógł. Wspina się jak kot. Ale on nie musi uciekać. To jemu idą na pomoc.

Zrozumiał, że jest zgubiony.

Nie.

Nie pozwoli na to, by tak po prostu wygrali! Nie zabiorą mu Oliwiera!

Otworzył okno, które nie miało krat, bo nie byłoby śmiałka, który odważyłby się tu dostać tą drogą.

Drzwi wyważono z hukiem. W progu pojawili się strażnicy i gapie.

Pomiędzy nimi stał zaniepokojony o los dziewczyny Kertis, który pozostawił rozpaczającego Kiriana i towarzyszącego mu Martena przy zwłokach porucznika. Była też Alena ze swoim przyjacielem z kuchni i ochmistrz Kalen.

Przed nimi w masce upiora stanął Sel...

W pierwszej chwili Moren go nie rozpoznał, podobnie jak Oliwier, który nigdy go takim nie widział. Sel wyglądał tak bardzo odmiennie od zgromadzonych tu ludzi. Dawny przyjaciel powiedział coś do strażników, którzy odstąpili, opuszczając miecze, choć Kertis nie był zdecydowany, by to zrobić i swój trzymał w pogotowiu, nie spuszczać z oka Morena, obserwując jego nerwowe ruchy. Sel wystąpił do przodu szybkim, pewnym krokiem, bez zadyszki. Stanowczo zbyt pewnie i zbyt dziarsko, jak na to, co Moren o nim wiedział.

Poczuł, że ogarnia go niepokój.

Chciał konfrontacji z Selem, nawet pragnął tego, marząc o uciszeniu w sobie niespokojnych myśli. Wyobraził sobie, że śmierć Sela lub jego samego położy kres dziwnym, niepokojącym zmianom w jego duszy. Zakończy wszystko tak czy inaczej. Coś w nim zmieni, przełamie, zniszczy nawet, lecz na pewno nie pozostawi tym samym, co poprzednio.

Ale miało się to odbywać na jego warunkach...

— Co teraz? — zapytał spokojnie Sel, patrząc na niego. — Co zrobisz, Moren?

Nie mógł spokojnie patrzeć w oczy obramowane czarnym tuszem, spoglądające na dawnego przyjaciela tak poważnie, z tak dziwnym chłodnym spokojem, różnym od niepokoju Morena. Usłyszał swój przyspieszony oddech, a ciało oblało się potem.

Sel chce go zastraszyć...

Najlepszy przyjaciel.

Oliwier poczuł, jak Moren powoli ciągnie go na krawędź. Bał się wydusić choć słowo lub zrobić jakiś gest. W każdej chwili nieobliczalny szalenciec mógł pociągnąć go za sobą w przepaść. Nie miał, jak uciec.

Oliwier nie bał się o siebie. Jeśli spadną, śmierć pewnie nastąpi szybko. Zginie, to prawda, ale nie to przyprawiało go o wielką rozpacz.

Gwałtowna śmierć jednego z bliźniąt sprawiała podobno niewyobrażalne cierpienie drugiemu. Zerwanie więzi było torturą, jakby rozdierano duszę. Zdarzało się, że ten, który przeżył, popadał w obłęd lub w krótkim czasie po śmierci bliźniaka popełniał samobójstwo.

Oliwier zawsze pragnął, by Julien wolna była od jego kłopotów i mogła wieść normalne życie. A odkąd dzięki niej poznał rozkosz pocałunku jeszcze z wcześniejszych czasów, marzył o tym, by znalazł się sposób, który pozwoliłby im na intymność w takich chwilach.

Chciał, by przynajmniej ona była szczęśliwa, skoro jemu nie było to dane.

Jego śmierć nie przyniosłaby jej ukojenia, zniszczyłaby jej życie.

— Należy do mnie — oznajmił Moren z dziwnym spokojem.

Sel zastanowił się. To nie był moment na oskarżenia i wyrzuty, choć bardzo pragnąłby je teraz wykrzyknąć. Moren stał na krawędzi parapetu. Mocno obejmował jedną ręką milczącego Oliwiera, a drugą przykładając sztylet do jego szyi. Jego oczy zerknęły czasem na tłum gapiów, sprawdzając, czy doskonale wiedzą, na co narażają porwaną ofiarę jakimś nierozsądnym postępkim.

Oliwier zaś błagał go wzrokiem: „Zrób coś” mówiły jego oczy.

— Nigdy się nie domyśliłeś — zdobył się więc na jedyne słowa, które mogły zmienić zamiary Morena. — Nigdy nawet nie przyszło ci to do głowy. Prawda, Moren?

Złowróżbny ton w głosie Sela sprawił, że zapadło milczenie.

Świadomość, że za jego plecami wszyscy go słyszą nie dodawała mu sił. Ale zrozumienie w oczach Oliwiera tak.

Oliwier wiedział.

— Co takiego? — zdziwił się Moren, zgodnie z założeniem Sela zapominając na chwilę o samobójczych planach. — O czym ty teraz mówisz?!

— Kochałem cię... — szepnął mu Sel, wkładając w te słowa wszystkie niedawne uczucia.

Moren zastygł w zdumieniu, doznając wstrząsu jakiego nie zaznał pewnie nigdy w życiu. Omal nie opuścił ręki ze sztyltem, pierwszy raz zaskoczony i zdruzgotany wieścią dla niego tak nieprawdopodobną, tak szokującą, że w pierwszej chwili nie tylko zabrakło mu słów.

Prawie poczuł, jak z wrażenia jego serce przestaje bić!

I ten ton... Ten ton, którego użył Sel. Nie krzyczał, nie miotał się w wielkiej rozpacz.

Powiedział to tak, jak pewnie rzekłby te słowa nad jego grobem.

Jakby Moren właśnie umarł.

— Sel... — Moren poczuł nagle, że nic prócz ich trzech nie było już teraz ważne. Jakby wszystko inne wokół przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. — Jesteś moim przyjacielem... — zaczął mu łagodnie tłumaczyć.

To przecież nie może być prawda!

Maska śmierci na twarzy Sela wykrzywiła się w nagłym gniewie i rozpacz.
— NIE JESTEM JUŻ TWOIM PRZYJACIELEM!! — krzyknął, wchodząc mu w słowo, głosem pełnym bólu i gniewu.

Moren zdrętwiał, słysząc ten krzyk. Poczł strach.

Pierwszy raz odkąd wybrał drogę przemocy, działając według własnych upodobań, zaczął się bać, zupełnie jakby dopiero teraz odkrył, że swoim postępowaniem przekroczył wszelkie dopuszczalne granice.

Sel, śmiertelnie chory na serce według wiedzy Morena, do niedawna przyjaciel. Człowiek, który żyjąc na krawędzi życia i śmierci, jako jedyny nie bał się jego gniewu — stał przed nim niczym sędzia i demon zagłady w jednym, nie zamierzając odpuścić mu żadnej winy. Żadnej wyrządzonej krzywdy i zadanego bólu.

To koniec.

Nagle pewność siebie go opuściła, jakby rzeczywiście stał teraz przed narzędziem sprawiedliwości, rozliczając się z wszelkich win.

Przypomniał sobie, jak zabił matkę Sela...

Chciał mu wytłumaczyć raz jeszcze, że było to dla jego dobra, że i tak go nie kochała, lecz nagle wszelkie argumenty wydały mu się głupie i okrutne, zupełnie jakby zbudził się gwałtownie z dziwnego transu.

To była zbrodnia. Zwykle morderstwo. Taka była prawda.

Rozkazał Tenanowi zabić jego ojca. A Tenan musiał usłuchać rozkazu.

I do tego jeszcze Milera...

Dobrze było działać cudzymi rękami, udając że czyni się to dla czyjegoś dobra.

Każdą osobę, która oddzielała go od Sela zwykle postanawiał zabić.

Swoimi lub cudzymi rękami.

Jak tę męską dziwkę. Okazja by jego także się pozbyć, nadarzyła się sama. Zabił jednego z ludzi Ramoza. To wytłumaczenie także miał pod ręką, gdyby Sel kiedyś o to pytał. A Julen zbyt się spoufalala. Ją należało zniszczyć, nie zabić. Zabicie jej zniszczyłoby Oliwiera zbyt wcześnie.

I Oliwier...

Piękny, smukły, hardy. Tajemniczy i dwuznaczny.

Tak bardzo się mu opierał.

A jego przyjaźń z Selem sprawiała, że Moren pragnął go jeszcze bardziej. Obaj lubili tego samego człowieka. Coś ich łączyło. Mogliby przemierzać świat we trójkę...

Był idiotą, który te złudzenia uznał za prawdę dawno temu! Przekręcał znaczenia słów lub gestów od dawna, by pasowały do jego pragnień. Ustawiał okoliczności zgodnie z własnym punktem widzenia.

Przestawiał świat tylko na swoją modłę.

Głupiec!

Ślepy głupiec!

Zdobył się na głębokie westchnienie. Było coś oczyszczającego w tym nagłym przebłysku zrozumienia, jakby właśnie tego przez cały czas szukał, chcąc konfrontacji z Selem. Poczł dziwny spokój, gdy powiedział do mrocznej postaci, cienia dawnego przyjaciela, któremu tak okrutnie i bezwzględnie zniszczył wszystko, co było mu drogie dla własnych, samolubnych korzyści:

— Rozumiem.

Naprawdę teraz to wszystko rozumiał.

Spokojny ton jego głosu, tak inny, a jednocześnie tak dawno upragniony przez Sela, zaskoczył Oliwiera. Co mógł oznaczać?

Życie czy śmierć?

Moren, wciąż go trzymając, pokiwał potakująco głową i z ulgą w sercu zobaczył, że oczy Sela na ten gest zabłysły od łez. On także zrozumiał. Dla niego była nadzieja. Wciąż miał w sobie siłę i serce.

Spojrzał na Oliwiera, swoją jedyną miłość. Widział część jego twarzy, ciemne włosy peruki. Czuł tak mu bliskie, tak upragnione ciepło jego ciała przy swoim ciele. Chciał go zniszczyć...? Czy może raczej zachować na zawsze?

Znów to przekłete wahanie!

Za chwilę przekona sam siebie, że robi to, bo tak być musi. Lub wmówi sobie inny równie głupi, koszmarny argument. Myśli zmieniały bieg jak źle złożony mechanizm.

Oliwier należał do niego...

Oliwier zginie przez niego...

Wtulił twarz w jego szyję, upajając się jego zapachem. Zapachem krwi i potu, lecz nade wszystko słodkim dla jego zmysłów zapachem kochanego człowieka. Oliwier zamknął oczy. Cokolwiek miało teraz się stać, zależało tylko od Morena.

Niepewność ta była udręką, ze względu na los bliźniaczej siostry.

Śmierć mogła być ukojeniem...

Moren poczuł, jak jego ciało znów zaczyna ogarniać gorączka. Ciepło Oliwiera znów stało się pochodnią, która rozpałała stos. Ciało Morena naprężyło się, a napięty członek zaczął pulsować.

Oliwier poczuł jak na niego napiera i zaczął drzeć.

— Nie bój się — szepnął mu do ucha jego prześladowca. — Już po wszystkim.

Potem spojrzał raz jeszcze na Sela.

Na chwilę.

W tym spojrzeniu zawierało się wszystko.

Puścił Oliwiera raptownie, odsunął rękę ze sztyletem i cofnął się dokładnie o ten jeden ostatni krok, który oddzielał go od śmierci...

Pod Oliwierem ugięły się nogi i mimowolnie podążyłby jego śladem ku przepaści, gdyby nie Sel, który skoczył do przodu, spełniając niemą prośbę Morena — chwycił go i odciągnął od okna. Przerażony Oliwier przylgnął do niego.

— Ja ją wezmę — usłyszał znajomy głos ciemnowłosego Kertisa i w chwilę później poczuł, jak ktoś próbuje go odciągnąć.

— Seleno — przemówił do niego Kertis, widząc, że stawia opór. — Twój przyjaciel ledwo stoi na nogach. Jest ranny. Puść go. Zaprowadzimy was z Aleną w spokojniejsze miejsce, bez gapiów.

Oliwier spojrział na przyjaciela z przestachem. Dopiero teraz zauważył, że tamten ma na nodze dziwny opatrunek, przesiąknięty krwią, a całe jego ciało nosi ślady walki. Alena zaczęła do niego coś mówić, gdy nagle Sel ruszył do przodu, znów na parapet. Zupełnie jakby miał zamiar...

— Stój! — zatrzymał go gwałtownie, obejmując mocno. — Nie, Sel. Nie!

Miał straszliwe przeczucie, że Sel zamierza wyskoczyć, był tego pewny jak bicia własnego serca.

Nie zamierzał kiedykolwiek mu na to pozwolić!

Gapie wciąż jeszcze stali, choć kilkoro z nich odeszło, czekając aż uczestnicy niezwykłego wydarzenia wyjdą z pokoju. Jeden z obecnych żołnierzy wszedł na parapet i zerknął w dół.

Potem spojrział na Sela i kiwnął potakująco głową.

Moren nie żył.

* * *

Ross zasnął dopiero wtedy, gdy oddech Julien stał się miarowy i spokojny. Po tym, jak płakała, tuląc się do niego, umierał z niepokoju, że za chwilę stanie się jej coś znacznie gorszego niż to, co zdołał dotąd zobaczyć. Do tego stopnia przejmował się jej losem, że jego stan spowolnił w rekonwalescencji. Nieustannie dręczyła go gorączka. Jakby siłą woli powstrzymywał zbawienny dar uzdrowiciela. Gdy Julien zasnęła, w końcu pozwolił sobie na nieco odpoczynku.

Jego sny były niespokojne. Niepokój o Julien, o jej brata, którego znał zaledwie z widzenia, lecz martwił się ze względu na nią, niedawne przeżycia i wreszcie najbardziej bolesny lęk o Sela, który pojechał za Morenem, nie dawały mu chwili wytchnienia.

Pomiędzy snem i lękiem wzbierał też żal...

Szeptał przez sen jej imię.

Kiedyś po prostu spotkali się na jednej z wąskich uliczek. Wzruszył ją jego los i cicha godność. Dawała mu jedzenie lub kilka monet, odkąd pierwszy raz

zauważyła na jego ciele ślady pobicia. Znajomi jego matki po pijaku lubili pokazywać, kto jest panem w norze, którą Ross musiał nazywać domem. Ci, co przez jakiś czas zostawali dłużej, rwali się do tego, by go wychowywać lub w ten sposób uciszali, gdy był mały. Pięć lat temu po raz ostatni dotkliwie go pobito. Za przekonania (jak ogólnie wyjaśnił Walerii — jedynej osobie, którą znał na tym świecie, troszczącej się o jego dobro). Uciekł z domu z trudem i już tam nie powrócił. Valeri wstawiła się za nim u Rebeki i początkowo został tam jako służący, kiedy już mógł swobodnie chodzić. Sam zdecydował o swoim dalszym losie i cieszył się dużym zainteresowaniem wśród klientów.

A teraz Valeri nie żyła...

Wiedział o tym. Bolesnie świadomy mimo wielkiego bólu, słyszał, co się działo tam przy przewróconym powozie. Nie mógł się poruszyć, nawet odezwać, ale wciąż słyszał. I zastanawiał się po raz pierwszy w życiu, kiedy los litościwie go zabierze w objęcia śmierci, bo przerażała go myśl, że w tej drętwocie mógłby pozostać na resztę swojego życia, bezradny i niemy. Słyszał cichy, tak niezwykle, bo smutny, głos Tenana, tego zabójcy, prawej ręki w bandzie Morena, jak przemawiał do Julien. Poczł prawdziwe ukojenie, gdy Julien założyła mu na szyję wisior i ciepło otuliła. Słyszał nawet, jak zbliżają się jeźdźcy i żołnierze, co przyjął z ulgą, bo wydawało mu się, że z oddali słyszy także skrzypienie wozu grabarzy, którzy zapewne mieliby uciechę z jego nieszczęścia.

A teraz we śnie wołał ją do siebie, chcąc ją jeszcze raz zobaczyć. Dręczyła go myśl, że nigdzie jej nie widzi, nie ma jej przy nim, jak dotąd była. Nauczyła go tak wiele. Polegali na sobie. A teraz nie mógł jej odnaleźć nawet w snach, jakby nagle wymazano ją z jego życia...

Julien zbudziły jego niespokojne ruchy. Czowała się już lepiej, a ślady po uderzeniach zniknęły. Wiedziała, że cokolwiek robi teraz, jej brat jest już bezpieczny, choć czowała jego smutek. Spokojnie, jak czasem robiła to, gdy była z chorym Selem lub by pocieszyć Oliwiera, łagodnym ruchem gładziła śpiącego, rozgorączkowanego Rossa po głowie, aż uspokoił się wreszcie, jakby tego właśnie pragnął. Gorączka spadła, a na twarzy pojawiły się zdrowe kolory.

Myślała także o Selarionie.

Nie znosił tego pełnego imienia.

Zastanawiała się, czy wciąż żyje. Moren zabrał mu niemal wszystko. Jak mogło rozstrzygnąć się ich spotkanie?

Sel tak spokojny, jakby pogrążony w wiecznym smutku. Nie takim widziała go po raz ostatni. Te oczy...

Bardzo chciała, by obaj już wrócili. Chciała objąć Oliwiera i mocno go przytulić. Niezależnie od tego, jak wiele czasem sprawiło jej to bólu i łez, kochała swojego brata smutną siostrzaną miłością, kochała drugą połowę swej duszy i czowała, że on myśli podobnie. A Selarion zawsze był ich przyjacielem. Chwilowe

pragnienie i pocałunek, iskrę między nimi w sercu na zawsze postanowiła stłumić. Ross był w swoich uczuciach szczery, tego była pewna, choć nie przywykła jeszcze do jego odmiany miłości. A Sel, odkąd dowiedział się o tym, sprawiał wrażenie człowieka, który nagle przejrzał na oczy. Chciała, by teraz wreszcie zaczął żyć. Oby tylko los mu na to pozwolił...

* * *

Sai przysiadła na piętach przy grobie Leny, wpatrując się w świeżą ziemię. Alesei wzmocniony przez dar uzdrowiciela, jak w delikatnej formie wszyscy zaczęli nazywać krew, kończył przysypywać grób Lena. Pomiedzy znajdował się jeszcze grób Walerii, co z pewnością przyniesie pewną ulgę Rossowi, gdy dowie się, że spoczęła w ogrodzie Sela. Lepiej, by nie wiedział, że umarła od tak straszliwego ciosu.

Żadne z nich nie chciałoby śmierci, gdyby mieli wybór.

Dzień przyniósł ze sobą gorące słońce i szybko zbliżającą się burzę. Nie był to najlepszy czas na kopanie grobów. Woda mogła zmyć świeżą ziemię. Dlatego Alesei zbierał wiele kamieni z pomocą żołnierzy, którym zapłacił za to i za pomoc w naprawie i sprowadzeniu powozu na podwórko. W tej chwili pracowali tam wytrwale, ciesząc się, że mają coś do zrobienia, miast bezczynnego czuwania w oczekiwaniu na coś nieznanego.

Gdyby nie krew uzdrowiciela, Sai i Alesei już dawno poddaliby się i leżeli w łóżkach w pokoju obok Rossa i Julien. Ale Alesei nie pozostawił ciał przyjaciół przypadkowi. Zaraz po tym, jak obłożył świeże groby kamieniami, miał zamiar jechać do ogrodów królewskich i nawet nadchodząca burza nie mogła wpłynąć na jego plany. Czuł, że inaczej nie może postąpić.

W ogrodach leżało gdzieś ciało przyjaciela.

Razem weszli do Domu Rozkoszy, by dorobić trochę grosza na przyjemnościach. Kobiety czuły się zaszczycone, gdy je wybierali — nigdy nie było na odwrót. Uwielbiali je i dobrą zabawę. A jeśli jeszcze można było na tym nieźle zarobić...

Potem mieli wyjechać gdzieś i wreszcie się ustatkować, osiąść w przytulnych domkach za parę lat, z ciepłą i ponętną żonką u boku, jak czasem żartowali. Sela polubili, bo chociaż nie mógł pić z nimi, był dobrym kompanem w zabawie, a jego cicha tęsknota za swobodą w przyjemnościach życia chwytiała ich obu za serce.

Darmon nie zasługiwał na śmierć. Ani na to, by jego ciało leżało gdzieś teraz w rowie. Był świetnym kompanem i wiernym przyjacielem. Zasługiwał na przyzwoity pochówek.

— Jesteś Alesei, tak? — usłyszeli znienacka cichy głos.

Spojrzał nieco rozdrażniony na mężczyznę, który ośmielił się przeszkodzić

mu w takiej chwili. Żołnierz speszył się nieco, widząc naprężone mięśnie na odsłoniętym brzuchu. Biała koszula przywierała do ciała spoconego od gorąca i wysiłku, co także zdenerwowało żołnierza, nieprzywykłego do oglądania takiej siły. Musiał wstąpić do służby niedawno. Alesei mógłby się także założyć, że nikogo jeszcze nie chędożył.

— Czemu pytasz? — odparł Alesei swym wciąż chrypiącym głosem, który nie wrócił jeszcze do pierwotnego stanu.

— Widzisz... — zawahał się żołnierz — pozostali prosili, żeby ci przekazać, że boją się, by martwi nie pociągnęli żywych za sobą do grobu. Taki przesąd. Uzdrowiciel jest... — zająknął się nieco — Uzdrowiciel jest chyba umierający. W rany wdała się infekcja, majaczy w gorączce. Nie dają mu... — tu znów umilkł, nie mogąc najwyraźniej nawet znieść tej myśli — zbyt wielkich szans. — Innymi słowy — zaczął w inny sposób, wzdychając głęboko — zajmij się także ciałami w sypialni na końcu korytarza, by jakiegoś nieszczęścia nie spowodzić.

Alesei popatrzył na niego w zadumie. Młodzik oblał się rumieńcem. To musiało być jego pierwsze poważniejsze zadanie. Z pewnością nie brał jeszcze udziału w walkach. Mimo braku doświadczenia i straszliwej nieśmiałości przyjęło go jednak do wojsk królewskich, pewnie dzięki znajomościom. On i Darmon nie mieli tyle szczęścia, gdy się o to ubiegali. Nie przyjmowano synów właścicieli winnic, których majątki popadły w ruinę przez marne zbiory i wysokie podatki dla króla. Nie mieli znajomości, a nie chcieli zostać najemnikami, gdyż tam ściągano wszelką hołota. Dom Rozkoszy nie był taki zły. Mieli szczęście, że ich ciała wydały się Rebecce całkiem do rzeczy, gdy ich oglądała pierwszy raz.

Młodzik nie przekroczył progu domu Mateczki Rebeki. Jego niewinność tak doskonale widoczna dla wprawnego oka nawet nieco bawiła, pomimo powagi tematu rozmowy. Dlatego też Alesei nie uniósł się gniewem. Uśmiechnął się lekko, patrząc w ciemne chmury nadchodzącej burzy. Widać stąd było każdą błyskawicę. Gromy stawały się coraz głośniejsze.

— Powiedz chłopcom — rzekł więc — że pochowam ciała, jak tylko skończy się burza.

— Ale trupy w domu...! — zaprotestował natychmias żołnierz.

Alesei z pozorną niedbałością udał, że się przeciąga, w rzeczywistości chcąc dać mały pokaz swej dobrze ukształtowanej muskulatury. Sądząc po minie młodzika, efekt został osiągnięty.

— Powiem to tylko jeszcze ten jeden raz — zakomunikował powoli — pochowam ich po burzy. To rodzina człowieka, u którego gości uzdrowiciel. I choćby dlatego należy im się odrobina szacunku, a nie pogrzeb w błocie i deszczu.

— Pamiętam ich — odparł cicho żołnierz. — To najlepszy kupiec jedwabny w mieście. Przed zarazą moi rodzice często tu kupowali towary. Widziałem go kilka razy w składzie. Podobno... — zaciął się nagle, coś sobie przypomniawszy i

zerknął nerwowo na Aleseia. — Przekażę im — zmienił nagle ton.

— Co chciałeś powiedzieć? — zapytał Alesei ponurym głosem z warczącą chrypką w tle.

Żołnierz wyraźnie chciał już odejść, lecz po namyśle odparł:

— Rodzice podobno go nie kochali. Dbali o niego, ale tak naprawdę mieli gdzieś. Czekali aż umrze. Wszyscy wokół o tym wiedzieli.

Spojrzeli na siebie w nagłym porozumieniu.

Alesei prawie się uśmiechnął na tę myśl, która najwyraźniej podzielał obaj.

— Kusząca propozycja... — odparł na niemą sugestię młodzika.

Chłopak uśmiechnął się i odszedł.

Alesei był pewien, że tamten miał co najmniej kilka pomysłów na to, co zrobić z ciałami rodziców, którzy nie chcieli kochać swojego dziecka. Zdziwiła go ta sympatia do Sela, która zasugerowała ten pomysł, ale nie pierwszy raz przyjaciel budził w ludziach niemal odruchowo, ciepłe uczucia, gdy go widzieli. Niestety, żołnierz zapomniał zapewne, podobnie jak jego dowódca i kompani, jak zginęli rodzice Sela. On pamiętał. I dlatego uśmiech nie pojawił się na jego wargach. Rubaszne, żołnierskie żarty były tu nie na miejscu. Kiedy wszedł pierwszy do domu Sela, kierując się zasłyszaną historią sprawdził od razu sypialnię.

I nie zapomniał tego, co tam zobaczył...

Tego nie można było zapomnieć.

* * *

Oliwier siedział w kącie swego służbowego pokoju, powoli i z rozmysłem wyciągając wsuwki wpięte w pletnię mocno naruszonej peruki. Część długich włosów została wyrwana przez Morena. Gdyby pozostały rozpuszczone, każdy domyśliłby się oszustwa. Ale nie to przysparzało mu cierpienia. Podczas gdy wykąpany i przebrany Sel spał w przyniesionym przez przyjaciół Aleny wąskim łóżku, ustawionym obok jego, bez niepotrzebnych pytań, Oliwier wspominał ostatnie chwile Delena i swoje własne słowa. Gdyby go nie powstrzymał, pewnie by żył. Dlaczego to zrobił?! Czemu mu na to nie pozwolił?! Moren był łajdakiem i nie zasługiwał na uczciwą śmierć. Nie zasługiwał na śmierć, którą sam na siebie sprowadził. Była zbyt łagodna dla niego...

Wsuwki uwalniały włosy, które kosmykami zsuwały się na ramiona, kłuły boleśnie. Pod pletnią czuł twarde skorupy zakrzepłej krwi, własnej krwi i piekący ból głowy. Mimo to dążył do zdjęcia peruki nadal, nie stosując żadnych mikstur, które Alena zostawiła im na ukojenie bólu.

Zasługiwał na ból. Jego cierpienie było niczym wobec tego, co zgotował Delenowi swą marną próbą szlachetności. Tak właśnie to odczuwał. Łzy płynęły już mimowolnie po jego twarzy, wywołane bólem szarpanej skóry. Nie zważał na

to. Aż do chwili, gdy nie wyczuł już żadnego zapięcia i mógł zdjąć perukę. Jego własne włosy przylepiły się do niej potem i krwią. Jej zdjęcie było bolesnym koszmarem. Mimo to nie zrobił nic, by sobie ulżyć. Płacząc w cichej męce, wywołanej nie tylko cierpieniem ciała, ściągnął z wolna z głowy dowód oszustwa, symbol fałszywej tożsamości. Czuł się, jak bandyta, który wybrał to przebranie, by manipulować ludźmi do własnych celów. Zdrajca, łajdak najgorszego gatunku. Ci ludzie stawali w jego obronie, pomagali mu.

Ufali mu.

Oszukał ich. Nie chciał, by tak się to potoczyło, ale stało się. Czy mógł spojrzeć im w oczy i wyznać prawdę? Czy miał powiedzieć Kirianowi, że jego szlachetny brat zginął za przebierańca? Zraniłby ich uczucia i zbezczeszczył czyn Delena. Delen umarł, jak bohater, broniąc kobietę. Prawda ośmieszyłaby jego czyn. Odebrałaby mu honor.

Nie mógł mu tego zrobić.

Popatrzył na perukę. Wewnątrz było wiele jego własnych włosów i krwi. Tak wiele, że lękając się tego, co pozostało na jego głowie, ujął małe zwierciadło i przyjrzał się.

Zaparło mu dech.

Najpierw szalony strażnik i jego kompani, potem Moren. Wiele włosów zostało wyrwanych, jakby ciągnięto je garściami. Łsych, boleśnie piekących miejsc było tak wiele, aż wydawało się cudem, że peruka trzymała się wciąż głowy. Te, które pozostały, a nie było ich wiele pokryte były strupami.

Widok był przerażający. Teraz z pewnością nikt nie nazwałby go pięknością, gdyby go ujrzano. Podarta suknia, ledwie trzymająca się ciała, liczne ślady zadrapań przez najemników, siniaki — dopełniały reszty.

Nie wiedział, czy ten widok bardziej go przeraził go czy zasmucił. W pierwszej chwili wystraszył się, co było zupełnie naturalne, lecz potem pomyślał, że może dobrze się stało. Może zasłużył sobie na to? Może los pokarał go za zwodzenie ludzi dwuznaczną urodą? Jego wygląd był przekleństwem, spotkała go kara...

Pukanie do drzwi wyrwało go z tych ponurych rozmyślań. Założył perukę, kilka wsuwek i kawałkiem sznurka związał ją we wciąż gęsty i gruby kucyk ciemnych włosów.

Za drzwiami stała Alena.

— Seleno — zmartwiła się, widząc jego twarz i z troską ujęła jego rękę. — Mogę wejść, kochanie?

Kiwnął głową w odpowiedzi, wpuszczając ją. Zamknęła drzwi i poprowadziła go do krzesła, na którym przed chwilą siedział. Delikatnie pogładziła go po twarzy. Z trudem powstrzymał się by nie wyznać jej prawdy. Miał dość udawania. Dość samego siebie w tym stroju. Dość wszystkiego.

— Mam coś niezwykłego — powiedziała łagodnie Alena. — Zdobyłam trochę krwi uzdrowiciela. — Wyciągnęła niewielką buteleczkę z brunatną zawartością. — Pomoże tobie i twemu rannemu przyjacielowi.

Wpatrzył się w buteleczkę z trwogą.

— Nie obawiaj się — rzekła mu Alena. — Uratowali go. Ludzie chcieli rozedrzeć go żywcem na strzępy, ale udało się uchronić go przed najgorszym. Zjawił się tam nagle jego brat i jacyś ludzie, którzy podobno pracują albo też pracowali w najlepszym burdelu w mieście! Masz pojęcie, co działo się na targowisku? Ludzie rozdzierali naszego uzdrowiciela, jakby był kawałem mięsa! — Ostatnie słowa powiedziała ze łzami w oczach oburzona tą brutalnością. — Brat zabrał go na Ulicę Rzemieślników do domu kupca jedwabnego Andilo. Podobno właściciele zabił ten sam szaleniec, który zaatakował ciebie. Znałaś ich?

Oliwier stracił mowę, słysząc te nowiny. Kiwnął potakująco głową. Jego wzrok spoczął odruchowo na Selu i ciche współczucie przeniknęło jego myśli. Moren zabił rodziców Sela. Co jeszcze zrobił ten potwór?! Ile jeszcze zbrodni popełnił, o których się dowie?

Jak ten człowiek mógł jeszcze nazywać się czyimkolwiek przyjacielem?!

— Mi... — w porę ugryzł się w język, myśląc gorączkowo. Nie może wypaść z roli, obiecał sam sobie. — Chodziłyśmy czasem z Celiną do sklepu kupca, gdy miała wychodne. Gdy odwiedzałam ją, będąc w mieście z matką, korzystałyśmy wtedy z gościny złotnika, który tam mieszka. Lubiliśmy oglądać kolory tkanin i marzyć o nich — dokończył cicho.

Matko Ziemio i wszyscy znani i nieznan bogowie! Jego rodzice, niech ich dusze zaznają ukojenia, niczemu nie mogli już zaprzeczyć. Nie lubili kłamstw.

Alena przyjęła tę historię.

— Masz — podała mu buteleczkę — wystarczy kilka kropel.

Zaczekała, aż skosztował. Mimowolnie, smakując krew, zadumał się nad tym, jak dziwnie toczą się ludzkie losy. Wiwan, którego nie mógł obronić, choć obiecywał to w duchu i pragnął spełnić tę obietnicę, ale musiał ratować własne życie, był teraz w domu Selariona, kilka kroków od jego wasnego domu. Sel całe życie marzył, by uzdrowiciel mu pomógł. I oto wreszcie spełni się jego marzenie, a nawet otrzymał od życia nieco więcej.

Nie wiedział, że serce przyjaciela jest już zdrowe i to także za jego sprawą... Podał delikatnie kilka kropel krwi do ust Sela, przypatrując się, czy na pewno ją połknął, przekonany, że pomaga mu nie tylko w zaleczeniu rany na nodze i licznych mniejszych i większych obrażeń. Chciał, by spełniły się jego marzenia. Sel, za sprawą leczniczej, uspokajającej herbatki podanej wcześniej przez Alenę, z trudem połknął dar, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. Oliwiera pocieszała we własnych zmartwieniach przyszła radość przyjaciela, gdy dowie się, że jest wyleczony. Choć martwiło go źródło uleczenia. Krew. Jak bardzo krwawił Wiwan?

Czemu rozdawano ją w ten sposób?!

Rozkoszne ciepło i odprężenie rozchodziło się po nim niczym kojąca moc balsamu. Przenikało kości, leczyło zranienia, likwidowało siniaki. Głowa okryła się tym ciepłem, jakby położono mu na nią leczniczy kompres. Ból zniknął.

Wiwan pomógł mu, choć on nie zdołał zrobić tego samego dla niego.

Poczuł, jak oczy pieką go od łez.

— Co z uzdrowicielem? — zapytał cicho.

— Niestety, podobno nie jest dobrze. Sedon wróci wkrótce do lochów.

Mówił, że trzeba mieć nadzieję, ale... — rozłożyła ręce w cichej rozpaczce. —

Trzeba czekać. Mieć nadzieję i być cierpliwym. Jeszcze go dziś odwiedzi.

Oliwierowi ścisnęło się serce.

— To tam spotkałaś tego bydlaka? — zapytała Alena. — Podobno zebrał bandę jemu podobnych. Nazywano ją Bandą Moreny.

Znów tylko pokiwał głową twierdząco.

Czuł smutek, choć nie był tak silny, jak przed chwilą. To zapewne było zasługą daru uzdrowiciela.

Jego krwi.

Ujęła w geście pocieszenia jego rękę.

— A słyszałaś o chłopaku, którego w mieście nazywano Kotem? — zapytała, by zmienić temat. Spojrzał na nią zaskoczony. — Podobno zawsze mu się wymykał i potrafił chodzić nawet po gołej ścianie. Nikt nie wiedział na pewno, kim jest, ale dzieciaki w Wermodzie opowiadały sobie o nim niesamowite historie. Był ich bohaterem. Mam nadzieję, że żyje i nie dał się zarazie.

Mimowolnie i to chyba po raz pierwszy, odkąd uniknął śmierci, Oliwier uśmiechnął się lekko. Dziwnie było słuchać o sobie w ten sposób. Jakby mówiono o kimś zupełnie obcym.

— Trochę — odparł cicho.

— Lepiej? — zapytała Alena. — Może pomóc ci teraz?

— Dziękuję — czuł, jak wyraźnie przybywa mu sił. — Już bardzo wiele dla mnie zrobiłaś.

Alena wstała, zbierając się do wyjścia.

Miał tak wielkie pragnienie, by zdradzić jej swoją tajemnicę. Ale zdobył się tylko na lekki uśmiech.

— Nie podziękowałam ci jeszcze za pomoc — powiedziała. — Miałam szczęście, że byłaś wtedy przy mnie.

— Nie musisz dziękować.

— Twój przyjaciel jest sławny, wiesz? — mówiąc to, Alena starała się ukryć swoje zażenowanie związane z przykrymi dla niej wspomnieniami. — Przejechał przez atakujących uzdrowiciela ludzi niczym taran. A Kertis kazał mi powiedzieć, że za pomoc udzieloną tobie, on i jego kompani z oddziału są gotowi pomóc jemu.

I jeśli ktoś będzie mu w jakikolwiek sposób ubliżał lub wyśmiewał jego... — zawahała się skrępowana — Wyznał miłość wtedy... — zamilkła na chwilę, by dać mu czas na zrozumienie, choć było to niepotrzebne, domyślił się, o co chodzi. — To ta osoba będzie mieć z nimi do czynienia — dokończyła nieco niezręcznie.

— Przekaż, że dziękuję w jego i swoim imieniu — uśmiechnął się Oliwier, rozumiejąc już, czemu bez oporów wstawiono tu łóżko dla Sela. Nie było zagrożenia dla cnoty Seleny.

A to również oznaczało, sądząc po przekazanych przez Alenę słowach, że jego przyjaciel może tu być narażony na przykrości.

Trzeba opuścić zamek tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Gdyby zależało to od niego, odszedłby choćby teraz. Ale dobrze wiedział, że nie może tego zrobić.

— Seleno. Są jeszcze dwie sprawy.

Teraz, pokrzepiony kojącym ciepłem, czuł się na siłach, by dalej grać swoją rolę. Ponure myśli słabły. Otucha wstąpiła w jego serce. Już niedługo, jak miał nadzieję, to wszystko się skończy.

Zegar na zamkowej wieży wybił południe. Alena odczekała, by zamilkł ostatni ton, by powiedzieć z cichym współczuciem:

— Jutro jest pogrzeb Delena. Z wszelkimi honorami.

Przełknął nerwowo ślinę. Musiał tam być. Był mu to winien.

— Pytają, czy przyjdiesz ...

— Tak.

— Pogrzeb odbędzie się w południe.

— Będę. Obiecuję.

Alena westchnęła.

— Może chcesz, żebym...

— Nie — odparł smutno Oliwier. — Potrzebuję odrobinę samotności.

Alena zamilkła na chwilę.

— A druga sprawa? — zapytał cicho.

— Król pragnie podziękować za pomoc w ratowaniu królowej. Jutro po śniadaniu, na specjalnej audiencji, na którą zostaną zaproszeni wszyscy. Hojnie wynagrodzi cię za odwagę. A także kilku innych ludzi, którzy wykazali się nią w czasie walk. Potem będzie wielka uczta.

Oliwier zamknął oczy. Jeszcze tego brakowało!

Alena podeszła i bez uprzedzenia przytuliła go mocno.

— Wiem, że to wiele dla ciebie — szepnęła. — Ale wytrzymaj. Jeszcze trochę. Jeszcze tylko trochę.

Miał wrażenie, że usłyszy to niejeden raz...

Pafian spojrział na Sedona, nim ten opuścił pokój. Za drzwiami czekało na niego kilku strażników. Jeden z nich zamknął je uprzemie.

Został tylko on i Wiwan.

Burza zawisła już nad domem kupca i pierwsze ciężkie krople spadały na suchą ziemię i świeże, zabezpieczone kamieniami nagrobki w ogrodzie. Dziewczyna, która pomagała na początku, kiedy opatrywali Wiwana, nie ruszyła się jednak z miejsca. Tam, w grobie, przed którym siedziała, musiał być ktoś naprawdę jej bliski. Muskularny czarnowłosy skończył swą ponurą robotę i teraz przemawiał do niej. Pafian nie widział jej twarzy, ale był pewny, że nie słuchała. Wreszcie, ponieważ gromy padały gęsto, a deszcz na dobre się rozpadał, osiłek wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Nie broniła się, przytuliła się do niego, a jej twarz pozostała dziwnie spokojna.

Grzmoty nie byłyby w stanie obudzić Wiwana. Był tak osłabiony atakami wysokiej gorączki i utratą krwi, że wreszcie się poddał. Spał, uspokojony miksturami podanymi przez Sedona w końskiej dawce. Jego oddech był tak cichy, że przestraszony Pafian sprawdzał niemal co chwilę, czy brat wciąż żyje. Prawie nie było go widać spod opatrunków. Ręce musieli mu przywiązać do łoża, ponieważ w strachu przed majakami rozrywał opatrunki. Na oczach miał ziołowe kompresy. Popękane żyłki w oczach nadawały mu wygląd istoty nie z tego świata. Będzie musiał je zdjąć, gdy Wiwan się obudzi. Więzy i ślepotą przerażyłyby go jeszcze bardziej.

Czując skrajne wyczerpanie, usiadł ciężko na fotelu i ujął jego rękę.

Mimowolnie, by dać odpocząć umysłowi przyjrzał się rysunkom nad jego głową. Należały do syna kupca.

Widok zamku z dachu jakiegoś budynku. Wejście do ogrodów królewskich.

Czworo ludzi przy jednym stole. Kobieta, mężczyzna, chłopiec i dziewczynka.

Jego rodzina?

Młody mężczyzna o barczystej sylwetce byka, śniadej cerze i hipnotyzującym spojrzeniu. To chyba Moren, ten prześladowca Oliwiera.

Widok miasteczka w dolinie, uderzająco podobnego do Barnicy.

Jasnowłosa dziewczyna o dość pospolitej urodzie w stroju ślubnym. Pod tym rysunkiem krył się drugi, jego fragment wystawał nieco. Kiedy go odchylił, zobaczył chłopaka w ostrym makijażu, o ciemnych przygładzonych do tyłu włosach. Aktor teatru lub jeden z tych ze znanego tu burdelu w mieście, Domu Rozkoszy. Tam podobno mężczyźni tak się malują.

Kimkolwiek był Selarion, którego pamiętał jedynie z tego, że był chory i przez to widział go może raz, czy dwa w czasie swego krótkiego pobytu ostatnio, najwyraźniej przedstawiał na tych rysunkach miejsca dla niego ważne i ludzi

znaczących w jego życiu.

Spojrzał jeszcze raz na rodzinę przy stole. Coś się nie zgadzało.

Dziewczynka ubrana była w czerń, miała zamazaną twarz bez rysów.

Chłopiec był szary. Cały był w tym kolorze, niemal nie widać było twarzy.

Kontury postaci też były lekko zarysowane, jakby miał za chwilę zniknąć. Matka była w sukni koloru purpury, ojciec zwykłej czerwieni.

Genialne. I przerażające.

Spojrzał na rysunki uważniej, bardziej przytomnie. Dolina, w której było rodzinne miasteczko jego i Wiwana, olśniewała kolorami. Kraina marzeń...

Za Morenemna ścianie był cień. Ale wyglądało to tak, jakby czerń wylewała się z niego i wsączała w tło. Źródło ciemności...

Panna młoda wyglądała na czystą i niewinną, co skutecznie odwracało uwagę od jej dłoni. W jednej trzymała ludzkie serce i wyglądało na to, że ściska je zbyt mocno, wbijając paznokcie.

Na dobre już zaintrygowany odchylił więc jej portret i przyjrzał się chłopakowi w makijażu.

Poza charakteryzacją nie było w tym portrecie nic niezwykłego.

Tknięty przecuciem odchylił nieco ten portret, by zajrzeć na drugą stronę.

Był tam inny rysunek. Jakiejś postaci.

Czując się trochę jak świętokradca, zdjął rysunki i przyjrzał się swemu odkryciu.

Po drugiej stronie był młody mężczyzna. Po chwili, rozpoznając rysy, Pafian zrozumiał, że patrzy na tego samego chłopaka, lecz bez mocnego makijażu z pierwszej strony. Ten portret był pozbawiony mrocznych cech. Idealny wizerunek widziany oczami...

Pośpiesznie powiesił wszystkie rysunki na swoje miejsce. Teraz był pewien, że zajrzał w czyjąś prywatność i już obiecywał sobie, że nawet nie spojrzy na pozostałe, choć z tamtych ich autor nie robił tajemnicy i na pewno widziało to wiele osób. Wtedy zobaczył znajome twarze.

Rysunek przedstawiał pewną parę. Chłopak o niezwyklej urodzie i ciemnowłosa dziewczyna. Oliwier i Julien. Podobieństwo było uderzające. I także nie kryło w sobie mrocznych podtekstów.

Nie miał o nim żadnych wieści, odkąd Kirian ruszył na pomoc bratu. Do tej pory przytłoczony tym, co się stało z Wiwanem, ze wstydem musiał sam przed sobą przyznać, że zupełnie o nim zapomniał.

To przywołało wspomnienie o wisiorze Wiwana.

Ten ranny chłopak, znaleziony przy powozie z Julien, miał wisior. Jakim cudem wpadł w jego ręce?

Czy to on zerwał go z szyi Wiwana?! Ten, kto go pobił, zabrałby też wisior. A tak się nie stało. I towarzyszyła mu Julien..

Wisior lśnił własnym blaskiem na szyi tego chłopaka. Nigdy czegoś takiego nie widział.

Wokół leżały trupy.

Co właściwie się tam wydarzyło? Jak Julien znalazła się na tej ulicy?

Wstał.

— Panie hrabio — skłonili się pilnujący drzwi żołnierze.

— Macie wieści o poruczniku Delenie?

— Jeszcze nie, panie hrabio.

— Gdzie są ludzie, których zabraliśmy z ulicy?

— Tu w pokojach gościnnych, panie hrabio — żołnierz wskazał na drzwi dwóch pokoi na korytarzu po swojej lewej stronie. — A dokładnie są w tym pierwszym.

— W jakim stanie jest ranny?

— Dostał już... — żołnierz zawahał się. — Widziałem jak...

— Rozdzieliliście krew Wiwana?! — domyślił się wstrząśnięty Pafian.

— Rozkaz księcia, panie hrabio — odparł żołnierz cicho.

Pafian poczuł, jak krew wzbiera w nim ze wzburzenia. Zacisnął szczęki.

— Powiedz mu, że jak tylko będzie mógł wstać, ma stawić się u mnie. I na wszelki wypadek... — celowo zrobił krótką pauzę — miejcie ich oboje na oku.

* * *

O losie Oliwiera Pafian dowiedział się od sprowadzonego do domu kupca kucharza Janceya i towarzyszących mu strażników królewskich ze skromnym zapasem żywności. Tajemniczy przyjaciel Oliwiera, którego rysunki tak przykuły jego uwagę, uratował mu życie i obaj pozostali na zamku, by odpocząć do dnia jutrzejszego. Z tego, co usłyszał, Oliwier nadal był Seleną. Może dlatego, że następnego dnia król pragnął podziękować za pomoc niezwyklej pokojówce.

Delen zginął, zamordowany przez Morena.

Pafian współczuł Kirianowi. Delen był szlachetnym człowiekiem, pełnym odwagi. Do końca był przekonany, że broni życia kobiety. Oliwier musi czuć się zdruzgotany takim obrotem spraw. Dobrze, że jest z nim ktoś, komu może ufać. Żołnierze rzucali jakieś rubaszne żarciki pod adresem Selariona, szybko ich jednak uciszył, przypominając, że goszczą w jego domu, a jego zamordowanych przez tego samego bandytę rodziców kilku z nich pomagało muskularnemu Aleseiowi znieść do splądrowanego składu. Wraz z nadchodzącym wieczorem zabobonny lęk przed zmarłymi tak się nasilił u wartowników, że Alesei, który wyjechał w czasie burzy, by zgodnie ze swoim postanowieniem poszukać ciała przyjaciela w ogrodach, a po powrocie ułożył je zawinięte w płótno w składzie, musiał w końcu spełnić ich prośby, gdyż ponoć kierowali się dobrem uzdrowiciela. Tego, że Moren

stał za zabójstwami, Pafian był niemal pewny. Wiele na to wskazywało. To przypomnienie o zamordowanych uciszyło wesołe komentarze i żarciki.

Wciąż trzymając Wiwana za rękę, martwił się z każdym niepewnym oddechem brata, by nie podzielić losu przyjaciół i także nie pograć się w rozpacz z powodu straty. Z każdą mijającą godziną mówił sobie, że to godzina więcej, że każda chwila więcej to być może chwila nadziei na to, że Wiwan przeżyje. Bo wciąż żył. Noc miała rozstrzygnąć jego los. Pafian nie pozwolił się nikomu zastąpić. Cały dom pograżył się w ciszy, część ludzi spała, lecz on nie chciał zmrużyć oka. Wreszcie jednak zmęczenie niedawnymi przygodami wzięło górę i zasnął w fotelu, wciąż trzymając Wiwana za rękę.

Tak zastała ich Julien, która wstała nocą z łóżka, wyleczona i podniesiona na duchu zarówno dobrym samopoczuciem Rossa, który wreszcie — co przyjęła z ulgą — spał snem zdrowego człowieka, jak i znacznie lepszym nastrojem brata, który gdzieś w zamku odpoczywał przed następnym dniem, najwyraźniej także pokrzepiony darem uzdrowiciela. Tym razem dar nie wzbudził w nich obojgu podniecenia, jakby już do niego przywykli. Wyciszył emocje i uspokoił, za co była wdzięczna. Widocznie działał tak przy szczególnie silnych emocjach, a tych wcześniej im nie brakowało.

Cicho i delikatnie przykryła śpiącego wojownika na fotelu i z troską ujęła owiniętą dłoń uzdrowiciela.

Po chwili poczuła jak delikatnie odwzajemnia uścisk.

Zamarła. Poruszona tym delikatnym gestem, przysiadła na łożu i ujęła dłoń uzdrowiciela w obie swoje dłonie. Dużo wcześniej, gdy trzymała tak za rękę Rossa, miała to samo ciche przekonanie, nadzieję, że tym gestem przytrzyma go, by nie odszedł w krainę umarłych.

— Nie odchodź — powiedziała cicho. — Walcz.

Dłoń uzdrowiciela pochwyciła ją pewniej. Jakby mówił: „Trzymaj mnie mocno”.

— Trzymam cię — zapewniła go, widząc ten gest.

Druga dłoń uzdrowiciela zacisnęła się mocniej na dłoni brata. Pafian otworzył oczy, czujny na każdy ruch rannego. Nie ośmielił się wzbudzić w sobie nadziei, lecz także ucisnął jego dłoń.

Potem spojrział na Julien, która z delikatnością gładziła opatrzoną rękę.

Odpowiedziała spokojnym spojrzeniem, pełnym smutku.

Żadne nie powiedziało tej nocy ani słowa.

ROZDZIAŁ 12 — Śmierć wszystko zmienia

Sel oddawał się niewesołym myślom, leżąc i spoglądając przez niewielkie okienko nad sobą w znów pogodne i słoneczne po wczorajszej burzy niebo.

Powinien myśleć o Morenie. Tak pewnie wypadaloby. Ale już nie potrafił. Odciął się od niego. Zupełnie jakby ktoś wreszcie zerwał zasłonę, za którą krył się prawdziwy obraz świata. Jego dusza nie była już w stanie unieść więcej. Może teraz nie potrafił tego udźwignąć. Może kiedyś przyjdzie jeszcze pora, gdy wyrwie to z siebie z korzeniami jak zły chwast?

Z drugiej strony jednak czuł lęk przed myślami o nim. Za Morenem i jego postępkami kryło się zło, wielki, wszechogarniający żal i poczucie nieodwracalnej straty. Nie był na to gotowy. Bał się, że zmierzenie się z tym będzie ponad jego siły. Nie chciał, by przeszłość go osaczyła, doprowadzając do utraty zmysłów z rozpaczy.

Chciał wreszcie zacząć żyć.

Przez całą swoją dotychczasową egzystencję, bo trudno nazwać byłoby to życiem, przygotowywał się na nagłą śmierć. Teraz mógł wreszcie odkryć co to naprawdę znaczy. Choć gorzkie były tego początki, chciał wreszcie tego posmakować. Wolałby już wtedy nie oglądać się więcej za siebie. Nie widzieć już niczego co przypominałoby mu przeszłość. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

Dlatego starał się nie myśleć o Morenie. Wspominał jak udało mu się uratować przyjaciela. Zaczął snuć nieśmiałe marzenia o tym, że wreszcie będą żyć swobodnie w swej przyjaźni i nie tylko. Oliwier wreszcie będzie normalnie żyć na tyle, na ile on i Julien mogą. Nareszcie.

Czuł wyrzuty sumienia z powodu Milery. Nie dlatego, że spotkał ją straszny koniec. Tego żałował. Lubił jej towarzystwo. Potrafili ze sobą rozmawiać godzinami. A w łóżu... Jak na możliwości było całkiem nieźle. Milera czuwała nad jego samopoczuciem, zapewniając mu towarzystwo, za którym tak tęsknił, odkąd przestał być w zażyłych stosunkach z Morenem i opuścił przyjazny mu Dom Rozkoszy ze względu na nią. Tęsknił za tamtymi czasami, tęsknotą chorego człowieka, który wie że niewiele mu już zostało przyjemności na tym świecie. Wiedział, że ten rok będzie już jego ostatnim... Coraz trudniej było mu żyć i oddychać. Bał się pustki wokół siebie bardziej niż przedtem. Wiedział, że na rodziców nie może liczyć, dlatego sympatia i ciepło Milery były dla niego ukojeniem i tarczą przeciw samotności. I jednocześnie jej obecność odbierała mu to, czego pragnął.

Dlatego czuł się teraz winny, gdy o tym myślał. Ponieważ, chociaż ją lubił,

w głębi serca odczuwał ulgę, na myśl o tym, że nie jest już do niczego zobowiązany. Czy domyślała się tych uczuć? Nie sądził by tak było. Myślała, że z czasem się pokochają. Tyle, że tego czasu zaczynało już brakować a on od niedawna wyczuwał, przy kim tak naprawdę wolałby spędzić swe ostatnie chwile...

Czy dlatego chciała, żeby mieli dziecko?

A jeśli po ślubie im się udało? Jeśli ten morderca zabił nie jedno lecz dwa istnienia?

Już nigdy się tego nie dowie...

Zawsze jednak będzie się zastanawiał na tym, dokąd zmierzało wtedy jego życie.

Uzdrowiciel przeżył...Tylko co będzie z nim dalej? Jak pozbierać się po takim okrucieństwie?

Zostawił Rossa, któremu nie potrafił pomóc. Jego niewesołe myśli skupione były właśnie na tym. Tego bało się najbardziej jego serce.

Co jeśli umarł?

— Sel? — usłyszał cichy głos Oliwiera — śpisz?

Spojrzał na łóżko przyjaciela przy ścianie. Oliwier leżał ubrany w męskie rzeczy, ubrania, które ukrył tu lub zdobył. Nie miał też peruki, ta wisiała przy kominku.

— Chciałem znów poczuć się sobą — wyznał przyjaciel, widząc jego spojrzenie. — Oczywiście zamknąłem drzwi.

— Domyślam się.

— Alena obiecała mi, że znajdzie jakąś suknię na dzisiejszy dzień — Oliwier skrzywił się z goryczą. — Wszyscy mają się stawić u króla na audiencji, mnie podobno ma wynagrodzić. A potem ten pogrzeb... — zwiesił głos, wciąż spokojny i opanowany, jakby pogodzony z losem. — Muszę tam być.

Sel postanowił, że wstanie do niego.

I nagle poczuł zupełnie niespodziewany przypływ paniki, który aż ścisnął jego serce.

Zaczerpnął gwałtownie tchu, jakby znów, jak jeszcze całkiem niedawno to się zdarzało dusił się z braku powietrza.

Ogarnęła go całkowicie irracjonalna myśl, że znów jest jak było. Znów jest chory. I choć rozum wiedział swoje, ta myśl tak porażająca, tak nagła, miała w sobie taką siłę przekonywania, że w to uwierzył.

— Sel!! — Oliwier zerwał się z łóżka, widząc, co się dzieje. — Co z tobą?! Przecież dałem ci kilka kropli krwi uzdrowiciela. Wszyscy po tym zdrowieją! Jesteś zdrowy, słyszysz? Nic ci już nie dolega!

Wiedział, że to głupie. Wiedział, że on ma rację. Był pocałunek. Była krew. Jest zdrowy. Dlaczego więc myśli inaczej?! Skąd ten lęk?!

— Już nic ci nie grozi — powiedział Oliwier, starając się teraz mówić spokojnie. — Nic. Prócz życia... jak inni...

Pomógł mu usiąść. Serce biło w piersi Sela jak szalone, aż nawet Oliwier czuł jego uderzenia pod swoją dłonią, gdy położył ją w tym miejscu, by stwierdzić:

— Nie boli, prawda?

Ale im dłużej trwał strach w przyjacielu, tym wiara w moc daru uzdrowiciela zaczynała w nim słabnąć, mimo dowodów. Lęk zaczynał ogarniać także jego. Zebrał się w sobie i ujął rękę Sela, by ją pokierować:

— Nie jesteś ranny — przesunął tę dłoń i swoją na jego nogę, by siebie także utwierdzić w przekonaniu, że tam, gdzie jeszcze wczoraj był prowizoryczny opatrunek, nie ma teraz już nic. — Czujesz?

Czoło Sela, jak i całe ciało pokryło się potem. Wsparł głowę na ramieniu Oliwiera.

— Przez chwilę... Nie wiem, dlaczego...

— Wiem — uśmiechnął się Oliwier z ulgą. — Sam zacząłem już wątpić. Też nie wiem, dlaczego. To przecież niemożliwe.

Siedzieli chwilę w milczeniu, pozwalając, by z wolna powrócił im spokój.

— To pewnie będzie się jeszcze powtarzać — zauważył cicho Sel, już bardziej spokojnie. — Co pewien czas obudzę się zlany potem, bojąc się, że znów się duszę, znów jestem chory...

— Myślę, że tak — odparł Oliwier. — Zawsze możesz mnie wtedy przywołać.

Sel uśmiechnął się z sympatią do swego przyjaciela.

— Dziękuję — rzekł po prostu.

Milczeli przez chwilę.

— To przebranie — odezwał się ponownie Sel. — Nie jest dla ciebie przekleństwem Oliwier. Masz dar. Potrafisz wcielić się w kobietę tak doskonale, że nikt nie domyśla się prawdy. Widziałem to. Porucznik zginął w twojej obronie. Ale to chyba lepiej, że zginął nie wiedząc, kim jest Selena. Ci ludzie, którzy tu ci pomogli, byłiby zdruzgotani, gdyby dowiedzieli się prawdy. Nie rań ich uczuć.

— Nie zamierzam.

— Potem opuścimy zamek. Opuścimy Wermod. Na zawsze.

Oliwier spojrzał na niego. W milczeniu podzielał jego zdanie. Nic już ich tutaj nie zatrzymywało. Sel odsunął się, by mu się przyjrzeć. Włosy na głowie przyjaciela były mocno przerzedzone, ale miejsca, które jeszcze wczoraj zapewne były łyse, bo je wyrwano, porastały już delikatnym meszkiem. Wkrótce włosy znów będą gęste i sterczące.

Dar uzdrowiciela.

— Kiedy ta audiencja? — zapytał.

— Po śniadaniu.

— Będziesz jeszcze spał?

— Nie. Muszę zacząć przygotowania. Zamocować jakoś te kudły na głowie i założyć ten... — wskazał ręką na krzesło, gdzie beztrąsko leżał niezwykle gorset.

— No, wiesz... Normalka — dodał z lekkim uśmiechem.

Już nie odczuwał tak tego jako ciężaru. Kierowało nim poczucie obowiązku i odporność młodego wieku. A także słowa przyjaciela.

— To może w międzyczasie opowiesz mi, co tu się działo?

— Jeśli ty odwzajemnisz się tym samym.

— Nie mamy aż tyle czasu — uśmiechnął się Sel.

Oliwier spojrzał na niego, czując, jak coś ściska go na myśl o przeżyciach, jakie ma za sobą przyjaciel. Sel zrozumiał to spojrzenie i uśmiechnął się znów, ze smutkiem.

— Wydarzyło się o wiele więcej niż podejrzewasz. Zbyt wiele na jeden poranek. I... — urwał na chwilę, czując, jak jego oczy zaczynają go niebezpiecznie piec. — Na razie zbyt wiele dla mnie.

Oliwier delikatnie udał, że niczego nie dostrzega.

— Miałem dobre wejście... — zaczął zatem swoją opowieść, wstając. — Wjechałem do zamku rozpędzonym wozem.

Sel spojrzał na niego z zaciekawieniem, gotów dla odwrócenia uwagi od ponurych myśli, wysłuchać jego historii...

* * *

Ross usiadł gwałtownie na łóżku, przejęty nagłym lękiem.

Valeri!

Została na ulicy. Pewnie grabarze zabrali ją już na stos za miastem.

Spalili ją!

Wczorajszy dzień spędził w lęku i gorączce, a potem spał głębokim snem tak mocno, jak od dawna tego nie robił. A przez ten czas....

Serce łomotało w nim szybko, w głowie poczuł zamęt. Zbyt gwałtownie się zerwał. Następna myśl pchnęła go ku wyjściu z pokoju, więc usiadł wspierając stopy na podłodze. Poczuł dziwnie znajome uczucie. Już przez to przechodził. Tak czuł się kiedyś pierwszego dnia po długiej rekonwalescencji, gdy zebrał na tyle siły, by wstać. Różnica polegała na tym, że na jego ciele nie było śladu po wczorajszych przejściach. Dotknął karku.

Nic.

A jednak w ciele została pamięć o wczorajszych obrażeniach, która sprawiła, że wytracony był z równowagi. Dziwne oszołomienie, jakby ciało zapomniało nagle, jak ma właściwie funkcjonować, jak poruszać ręką lub nogą. Jakby uczyło się tego na nowo. Więc kiedy wstał, jak zwykle, świat zawirował.

Musiał się uspokoić i rozeznać w sytuacji.

Miał na sobie czyste ubranie, pachnące znajomo. Tym zawsze pachniał Sel, gdy przychodził, nie licząc potu. Julien, po wyleczeniu przebrała go i umyła. Teraz sobie przypominał, że czuł coś przez sen. Tak mocno spał, niewiarygodne! Och, ta dziewczyna pewnie nigdy nie widziała gołego mężczyzny! Poczł się odrobinę zażenowany, na myśl o tym, co zobaczyła Julien. Jego ciało nosiło blizny, które nie zniknęły. Całowali się...Widać nie myślał jeszcze jasno, skoro przychodziły mu takie rzeczy do głowy. Człł się tym zawstydzony. Tak naprawdę, poza Walerią, która go opatrywała, gdy zjawił się u niej pobity przed kilkoma laty, nie widziała go rozebranego żadna inna kobieta! To dlatego, a nie ze względu na niewinność Julien, człł się teraz skrępowany. Cieszył się, że nikt go teraz nie widzi, na pewno by kogoś rozbawił. Stary wyga w najstarszym zawodzie świata a płonie rumieńcem jak panienka! Musi się opanować! Najwyraźniej zamroczyło mu mózg!

Julien wyszła, zostawiając mu kartkę na stole i dzban z wodą, kubek, ręcznik i miskę. Wstał tym razem bardziej ostrożnie, czując się przy tym dziwnie jak starzec, ale pomogło. Ciało zrozumiało, co ma robić. Przeszedł wolno kilka kroków dzielących go od stołu. Równowaga niemal powróciła.

Kartka zawierała krótką informację. Julien poszła do uzdrowiciela. No tak, ona poznała kiedyś jego brata. Mieszkał u nich przez kilka dni. Sel wspominał o tym.

Ręka sama niemal skierowała się ku jego szyi. Wyczuł wisior. Spojrzał na niego nieco oszołomiony.

Misternie ukształtowane dłonie obejmowały rubin.

Wczoraj omal nie zginął.

Gdy się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że właśnie wczoraj śmierć kilka razy chętnie wyciągała po niego ręce. Ostatni raz prawie jej się udało.

Grabarz rzucił na niego klątwę? Dlaczego klątwy tak chętnie się spełniają? Szybciej niż dobre życzenia. Dlaczego, gdy przeklinał każdego, kto go pobił, a szczególnie tego ostatniego, Ramseya, który uważał, że biciem nawróci go na właściwą dla mężczyzny drogę, klątwa nie chciała się spełnić?

Bo zło dobrze się czuje w pobliżu innego zła, jak mawiała jego matka.

Cóż, nigdzie się jeszcze nie wybiera. Jeszcze nie.

Oni pewnie myślą, że ukradł wisior. Pewnie hrabia Beckert nie wierzy słowom Julien. Ich historia jest tak niezwykła, tak wiele wydarzyło się tej nocy.

Morderca zakochał się w niewinnej dziewczynie. Z premedytacją zerwał wisior z szyi uzdrowiciela, którego pewnie szarpały wtedy tłumy.

Chora miłość nie zasługuje na podziw.

Dzięki temu — był tego pewien, choć napełniało go to goryczą — wciąż żył. Tak niewiele brakowało. Mógł umrzeć lub zostać kaleką.

Pociągnął za łańcuszek. Zapięcie powinno puścić przy szarpnięciu, jak wtedy

Tenanowi.

Nic się nie stało.

Pociągnął raz jeszcze.

Znów nic.

Sięgnął do karku i przejechał palcami, szukając zapięcia. Potem obejrzał uważnie cały łańcuszek, coraz bardziej zdumiony.

Zapięcia nie było. Łańcuszek był jednolitą całością.

Wobec tego próbował przełożyć go przez głowę.

Niczym przyciągany niezwykłą siłą, łańcuszek ciągnął jego ręce ku szyi, nie pozwalając tego zrobić!

— To niemożliwe! — szepnął, czując jak ogarnia go panika.

Po kilku próbach zrezygnował i znalazł inny sposób. Chciał zdjąć sam wisior.

Nic z tego.

Rubin nie dał się zdjąć z jego szyi żadnym dostępnym sposobem.

Usiadł na krześle oszołomiony tym zjawiskiem.

— I co ja teraz im powiem? — zapytał sam siebie.

W to także mogą nie uwierzyć. To pewne.

Rozejrzał się, próbując zebrać myśli.

To był dom Sela.

Nigdy dotąd nie przekroczył jego progu.

Odkrycie tego faktu sprawiło, że wszelkie inne myśli na chwilę zblakły.

Dom Sela. Nie wiedziałby o tym, gdyby nie zobaczył na ścianie kilku znajomych rysunków. Sel szkicował ludzi na targowisku. Oszołomiony odkryciem Ross rozpoznał na tych szkicach piekarza, kram z warzywami a nawet jednego z klientów, którego zapewne nikt nie podejrzewał o kontakty z „porcelankami” z Domu Rozkoszy. Poczul jak serce zaczyna mu szybciej bić. Był w domu Sela! Nie spodziewał się, że kiedykolwiek tu się znajdzie. Nawet o tym nie marzył. Dla niego nie było tu miejsca. Jemu nie wolno było tu się znaleźć. Sel rozpoczął nowe życie bez niego. A teraz znalazł się w tym domu, czując się tak, jakby przekroczył próg zakazanej świątyni. Pdniecała go ta myśl. Czul się oszołomiony, szczęśliwy i zaniepokojony jednocześnie. Był w domu Sela! Dotykał rzeczy, których on pewnie dotykał. Nosił jego ubranie! A ten dom! Ten dom, w niczym nie przypominał tych, które pamiętał. Tak miał wyglądać pokój w domu, który mieli mieć z Valeri. Spokojny, bez ozdób. Bez brudu.

— Valeri — szepnął, ze łzami w oczach. — Widzisz to, tam gdzie teraz jesteś?

Trwał w tym upojeniu i smutku, dopóki emocje nie wygasły, delektując się ta chwilą, która być może nigdy się już nie powtórzy. Powoli jego myśli powróciły do rzeczywistości. Myśl o Valeri sprawiła, że teraz jego uwaga skupiła się na losie

jej ciała. Musiał dowiedzieć się, co się z nim stało.

Wyszedł z pokoju.

— Jestem Ross — uznał, że do zdobycia informacji będzie lepiej, gdy zapozna się ze strażnikiem na zewnątrz nieco bliżej. — Szukam moich przyjaciół.

Niestety jego gest, choć całkowicie pozbawiony dwuznaczności, zupełnie naturalny, spotkał się z nieprzychylnym przyjęciem. Na dodatek wisior na jego szyi obudził nawet podejrzliwość.

— Nie zadaję się z ciotą i złodziejem, Ross — jego imię strażnik wymówił akcentując je z szyderstwem. — Mam rozkaz mieć cię na oku. Na twoje szczęście, a uzdrowiciela nieszczęście, mamy nie przeszkadzać, dopóki hrabia Pafian sam do nas nie przyjdzie. Wtedy masz tam wejść. Wierz mi, na pewno cię tam zaprowadzę.

— Nie mam wątpliwości — odparł zimno Ross, zły na takie potraktowanie.

Stary instynkt przetrwania znów sprawił, że stał się czujny, skoro tak do niego podchodzono.

— Doskonale. Więc zabieraj dupę do pokoju. Mam ważniejsze zadanie niż pilnowanie ciebie.

— Ciekawe — Ross zbliżył się do tamtego, gotów nie puścić mu płazem tego zachowania. — Mówisz, że nie zadajesz się z ciotami, a mimo to pomyślałeś o mojej dupie. Nie tak brzmiały twoje słowa?

Strażnik zachłysnął się w narastającym gniewie i być może rozmowa przybrałaby ostrzejszą formę, gdyby nie pojawienie się Aleseia.

— O czym gruchacie gołąbeczki? — zapytał pozornie wesołym tonem. Jego oczy jednak czujnie obserwowały sytuację.

Strażnik uspokoił się. Kłótnia, gdy uzdrowiciel był w tak poważnym stanie, byłaby głupotą i nietaktem. Na dodatek świetnie zdawał sobie sprawę, że wina tak naprawdę leży po jego stronie. Spuścił więc z tonu. Miał zadanie do wykonania.

— Nie warto tracić czasu — mruknął, przybierając znów swoją pierwotną pozę.

Ross mierzył go nadal hardym spojrzeniem, podczas gdy Alesei zbliżył się do nich.

— Problemy? — zapytał go krótko.

— Tak — odparł cicho Ross. — Kolejny raz ktoś widzi tylko to, co chce zobaczyć.

Strażnik udał, że tego nie słyszy.

— Jak bardzo jest źle? — spytał Alesei, wskazując na drzwi do pokoju z uzdrowicielem w środku, chcąc tym rozładować napięcie.

Wymowne spojrzenie strażnika wystarczyło mu za odpowiedź.

— Cieszę się, że żyjesz — Alesei cicho zwrócił się do Rossa. — Brakowało mi kumpla do rozmowy. Wszyscy zachowują się, jakby przebywali w grobowcu.

Ross uśmiechnął się. Alesei nie szukał wcześniej kontaktu z nim, prawie ze

sobą nie rozmawiali. To Darmon był zawsze towarzyski i znał w Domu Rozkoszy niemal wszystkich. Alesei jakby bał się mężczyzn o innej orientacji, choć nigdy nie okazywał tego wrogością. Muskularny młodzieniec wyczuł ironię w uśmiechu Rossa.

— Śmierć zmienia ludzi — powiedział na to z nutą smutku.

Teraz Ross w pełni zrozumiał znaczenie jego wcześniejszych słów. Alesei musiał czuć się osamotniony po stracie najlepszego przyjaciela. Zupełnie jak on po stracie Valeri.

— Chciałem się tylko dowiedzieć, co stało się z ciałem Valeri — szepnął, nie patrząc na nikogo. — I co dzieje się z wami...

Strażnik poczuł się nieswojo, słysząc te słowa. Teraz naprawdę zrozumiał jak niewłaściwie się zachował.

— Pochowałem ją wczoraj w ogrodzie Sela — wyjaśnił Alesei. — Tak jak Lena i Lenę. I Darmona dziś rano... — zamilkł na chwilę, a potem dodał cicho: — I jak pochowam rodziców Sela, jeśli nie wróci do południa.

Obydwaj mężczyźni nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć. Ross poczuł ulgę i żał jednocześnie. Spuścił wzrok, kryjąc gorycz. Ci ludzie nie traktowali Sela jak powinni. A jego samego nigdy nie wpuściliby do swego wspaniałego domu, tego był niemal pewny. Stojąc na korytarzu tuż przy drzwiach, za którymi leżał uzdrowiciel, poczuł także lęk, że ten nieznanemu mu mężczyzna, słynący z dobrego serca i życzliwości, wkrótce podzieli los zabitych przyjaciół, a świat straci istotną część swej dobroci. Jego ręka sama odnalazła wisior, jakby przyzywana przez niego. Zło panoszyło się bezkarnie. Dobro traciło siły. Valeri, najlepsza kobieta, jaką znał, zginęła. I Len, gotów zawsze do pomocy przyjaciołom. Darmon. Lena, druga połowa duszy Sai...

— Nie masz wrażenia, że zło dobrze się tutaj czuje? — zapytał go Alesei, w zamyśleniu patrząc na drzwi, nieświadomie dzieląc jego uczucia. — Zabija bezkarnie zarzą i mieczem. Zadaje ból. I czeka na jeszcze. Czeka, aż umrze każdy, kto ma w sobie, choć iskrę dobra.

Ross spojrział na niego, czując chłód i niepokój. Jakby cień ogarnął jego duszę.

Okrucieństwo.

Zawiść.

Nietolerancja.

Wrogość.

Gniew.

— Przestań — powiedział, siłąc się na spokój, choć ponury nastrój po tym pytaniu udzielił się im wszystkim.

— Dlaczego? Nie mam racji?

— Zło nie może wygrać.

— Ono już wygrało Ross.

— Zaraza prędzej czy później wszystkich nas pozamienia w trupy — dodał ponuro strażnik.

Ross spojrział na nich obu ze zgrozą.

— Co się z wami dzieje? — zapytał trwożnym szeptem. — Alesei — chwycił przyjaciela za rękę — zło nigdy nie wygra. Nie może wygrać!

Nagle rubin zalśnił ciepłym łagodnym blaskiem, który zaskoczył mężczyzn. Ross poczuł, jak przenika go ciepło, dodaje mu siłę, nie fizycznych, lecz takich, które zaczynały promieniować w jego duszy, ogrzewały serce. Alesei wpatrzył się w niego w zaskoczeniu.

— Co u diabła? Co ty robisz?!

Ross zdziwił się także, ale nie czuł lęku. Słowa, które wypowiedział, tak wielokrotnie słyszane, że niemal stały się już banałem, nagle znów nabrały mocy dawnego znaczenia. Zobaczył, że ta sama otucha ogarnia również Aleseia, jakby życie znów nieoczekiwanie nabrało blasku. Ciepło przepływało poprzez wisior do jego serca i spływało na rękę, potem szło dalej, a on czuł to połączenie. Puścił Aleseia. Strażnik patrzył na niego.

— Zupełnie, jak wtedy, gdy hrabia Wiwan tak przy mnie stał — zauważył. — To samo uczucie. Jakby nagle człowiek mógł góry przenosić, a otucha tak rozgrzewała serce jak najcieplejsza kołdra w zimową noc.

Rubin zgasł, ale wrażenie zostało. Ross zaczął się zastanawiać, co właściwie to dla niego oznacza, gdy nagle poczuł, jak ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu.

— Złe zaczęliśmy tę znajomość — powiedział strażnik spokojnie. — Jestem Nils. A ty możesz iść z przyjacielem do ogrodu. Wszyscy znają polecenie hrabiego Pafiana. Nie muszę cię niańczyć przez cały czas.

Ross bez wahania uściśnął wyciągniętą teraz do niego rękę, czując ulgę.

— Już myślałem, że masz na to ochotę — odparł z uśmiechem.

— Zdaje się — rzekł Nils, wskazując na wisior. — Że on teraz należy już do ciebie. Hrabia się nie ucieszy.

Ross spojrział na obu mężczyzn spokojnie, wiedząc, że czekają na wyjaśnienie tego zjawiska. Odpowiedział, w tamtej chwili przekonany, że jest w tym wiele prawdy:

— Nie należy do mnie. Wypełnia się dobrem, jak kielich winem. Wciąż częściowo należy do uzdrowiciela.

Pożegnał się z Nilsem, idąc za przyjacielem.

— Więc wisior nie ma uzdrowicielskiej mocy, lecz podnosi ludzi na duchu, jak sam uzdrowiciel to zawsze robił? — upewnił się Alesei w drodze.

— Ma, ale niewielką. Nie jestem pewien reszty.

— Utrzymał cię przy życiu.

— Chyba tak.

Alesei stanął na schodach, niedaleko od następnych strażników i spojrzął z uwagą na Rossa.

— Mówię poważnie. Tylko dzięki niemu wciąż żyjesz, Ross. Umierałeś. Widziałem to.

Ross przełknął nerwowo ślinę.

— Wierzę ci.

Ale w duchu myślał nieco inaczej. Nim wisior trafił w jego ręce walczył, by żyć. Bardzo chciał żyć.

Wisior wsparł jego wysiłki.

Patrząc na Aleseia, przypomniał sobie nagle jego wcześniejsze słowa.

— Naprawdę chciałbyś mnie nadal znać? — zapytał, kryjąc w sobie nadzieję.

Alesei spojrzął na niego nieco zdumiony.

— Chciałbym... — zawahał się nieco z nerwowym uśmiechem. — Nie zrozum tego źle. Chciałbym zostać twoim prawdziwym przyjacielem.

— Jak miałbym to inaczej zrozumieć? — uśmiechnął się łagodnie Ross, wyczuwając między słowami ukryte znaczenie.

— Nie uśmiechaj się tak — zdenerwował się nieco Alesei. — Chcę powiedzieć, że nie chodzi mi o... — zrobił znaczącą pauzę, co sprawiło, że uśmiech Rossa mimowolnie stał się szerszy, a wzruszenie ścisnęło go za gardło. — Przestań się szczerzyć! — skarcił go, strasznie skrępowany tą sytuacją. — Nie jesteś, jak te zniewieściale cioty z Domu, a nawet gdyby... Byłbym dumny, gdybyś zechciał przyjąć moją przyjaźń. Naprawdę.

Ross milczał przez chwilę. Czuł, że strażnicy zerkają na nich, nasłuchując. Zbyt dobrze wiedział, co mogą robić, gdy tylko zejdą im z oczu. Uśmiezkom nie będzie końca. Głupim żarcikom zapewne także nie. Choć może nie miało to większego znaczenia i tak wkrótce ci ludzie tutaj odejdą w niepamięć. Wiedział jednak, że podobne sytuacje będą miały miejsce zawsze. Zawsze znajdzie się ktoś skory do żartów i szukania tego, czego nie ma, a Alesei nie był człowiekiem nad wyraz cierpliwym. Dermon o tym wiedział i hamował jego zapędy.

Z drugiej strony jednak... Co, jeśli Sel nie wróci? Lub wróci, lecz będzie chciał zostać z nim dlatego, że powinien, a nie dlatego, że chce?

Zniesie czającą się samotność?

— Przyjaźń ze mną nie będzie łatwa Alesei — zauważył łagodnie. — Zawsze znajdą się ludzie, który wezmą cię za mojego kochanka. Jesteś na to gotów? Jesteś gotów, by zaprzyjaźnić się z męską panienką? — użył jednego z łagodniejszych określeń.

Alesei zawahał się i po tym Ross spostrzegł, że o tym nie pomyślał. Nie trwało to jednak długo.

— Jesteś odważnym człowiekiem, który nie waha się pomóc przyjaciołom w potrzebie. Pomogłeś Selowi i Julien, choć wiedziałeś, co za to może ci zrobić

Moren. Zawróciłeś po Valeri i po nas, gdy dowiedziałeś się, co zamierza Reniel, choć mogłeś uciekać. Namówiłeś nas, by ruszyć po Oliwiera i pomóc uzdrowicielowi. Stawiłeś czoło Morenowi. Mam gdzieś, co będą o nas gadać.

Ross westchnął cicho.

Alesei wyciągnął rękę na znak przypieczętowania przyjaźni. Pozostało ją jedynie uściskać.

— Nooo... Mówiłem przecież, że nie jesteś jak baba — Alesei wyszczerzył zęby, czując jego uścisk.

— To ma być komplement?

— Dopiero się rozkręcam.

Gdy zobaczyli nastrojowo oświetlony przez poranne słońce ogród, jeszcze cały w rosie, obaj zatrzymali się na chwilę.

— Piękne miejsce — zachwycił się cicho Ross, a widząc już usypane kamienie grobów i klęczącą Sai, dodał: — Valeri zawsze marzyła o takim ogrodzie.

— Pomożesz mi? — zapytał równie cicho Alesei, jakby nie chciał naruszać spokoju tego miejsca. — Chyba będę musiał pochować rodziców Sela.

— Tak — odparł z powagą Ross, patrząc na groby. — Oczywiście, że ci pomogę.

Gdy podeszli, Ross delikatnie dotknął ramienia dziewczyny. Zdziwiła się najpierw jego obecnością, a potem ucieszona i wzruszona wstała i przytuliła się do niego mocno, jak nieraz robiła to w Domu Rozkoszy, gdy szukała pocieszenia. Był jednym z nielicznych mężczyzn, których знаła, z którego strony nie bała się zranienia. Nie płakała. Jakby nie miała już w sobie łez.

Poczuł znajome ciepło płynące z wisiora w kształcie dłoni trzymających rubin...

* * *

„Czy to znaczy, że umieram?” — Zastanowił się Wiwan i była to pierwsza świadoma myśl tego dnia.

Pamiętał dziewczynę, która trzymała go w nocy za rękę nim zasnął. Pamiętał, że obok czuwał przy nim brat, choć wydawało się to niewiarygodne.

Pamiętał atak.

I to, co było przed nim. Rozsądek przegrał z koszmarem. Znów ich czuł. Znów wydawało mu się, że jest szarpany przez ludzi.

A oni umierają przez niego...

Potem atak minął. Nim zasnął, słyszał przejęte głosy Pafiana i dziewczyny. I głos Sedona.

— Zabiłem tych ludzi — szepnął im, ale nie był pewien, czy słyszeli.

Widział jedynie ciemność.

Teraz obudził się, lecz już inny. Było jaśniej. Czuł i słyszał całym sobą.
Leżał na czymś miękkim.

Wszystko go bolało. Ciągnęło, rwało, ale było do zniesienia. Czuł się, jakby wypił zbyt wiele wina. Był ociężały.

Nie mógł się poruszyć. Ręce miał dziwnie zdrętwiałe. Poruszył językiem.

— Zaczekaj — usłyszał ten sam łagodny głos dziewczyny, a potem poczuł miękką, wilgotną szmatkę na wargach i kilka kropel wody zwilżających jego gardło.

Zaczekała widocznie aż przełknął, a potem dała mu więcej.

Gardło przestało palić go ogniem.

— Lepiej? — zapytała łagodnie.

Lekko kiwnął potakująco głową, czując ból przy tym ruchu. Usłyszał głośne westchnienia.

— Wiwan — głos Pafiana dobiegał bliżej. — Słyszysz mnie?

— Tak — chciał odpowiedzieć, ale z ust wydobył się jakiś dziwny skrzek, niepodobny do jego głosu.

A potem poczuł, jak ogarnia go senność. I znów zastanowił się nad swym pytaniem, nim osunął się w sen, który równie dobrze mógł oznaczać śmierć. Mógł już więcej się nie obudzić. Czemu nie ma siły, by zrobić przedtem coś więcej? Czemu tak właśnie musi się to kończyć? Chciałby móc chociaż się pożegnać.

Chyba, że na to nie zasłużył.

Śmierć...

...Może to być właśnie ona...

* * *

— Jesteś pewien, że wszystko trzyma jak należy? — Zapytał przejęty Oliwier. — Nie chciałbym zawalić na samym końcu.

— Leży idealnie — odparł spokojnie Sel. — Gdybym nie widział cię przez całe moje życie... — urwał nagle.

Słowo „życie” nagle wywołało w nim skojarzenia, wystarczyła jedna myśl, by zbladł, a łzy zabłyśły w jego oczach. Zdawał sobie sprawę, że jest zaledwie o krok od załamania i ta myśl dopingowała go do walki z samym sobą. Oliwier także zdawał sobie sprawę z jego stanu.

— Nie musisz iść ze mną — zauważył cicho. — Nie będę sam. Dam sobie radę. Kirian czeka przecież za drzwiami. Odpocznij.

— Nie zostanę sam z własnymi myślami, Oliwier — odparł ostrzegawczo Sel. — Nie chcę być sam. Nie teraz.

— Więc może wracaj już do domu...

— Jak to by wyglądało?

— Zrozumieliby.

Sel westchnął ciężko.

— Wiem, że żadna teraz ze mnie podpora jako przyjaciel...

— Przestań. Ja wszystko rozumiem...

Uniósł rękę.

— Zaczekaj! — zastanowił się przez chwilę. — Nie rozumiem tego. Zawsze umiałem nad sobą panować.

Oliwier spojrział na niego wymownie.

— Zawsze miałeś takie przeżycia za sobą?

Sel nie odpowiedział, lecz przyjaciel wiedział, że ma rację.

— Połową z tego, co przeżyłeś, można by obdzielić kilka osób — dodał.

— Ty dajesz radę.

— Moich rodziców nie zamordowano, Sel.

— Mam ich gdzieś! — wybuchnął nieoczekiwanie młody mężczyzna, na co Oliwier zamilkł nagle, choć chciał mówić dalej. Zaczekał na ciąg dalszy.

— Nie mogę zostać sam, Oliwier — Sel uspokoił się po tym wybuchu bardzo szybko, zbyt szybko. Zadziałało jego dawne panowanie nad emocjami.

— Ten mur obronny, który sobie postawiłeś, by panować nad sobą zaczyna pękać — zauważył cicho Oliwier. — Długo na tym nie pociągniesz. Nie przysparzaj nam kłopotów!

— Dam sobie radę. Przynajmniej teraz.

Oliwier przyjrzał mu się z troską. Jego peruka ułożona była w elegancki kok, na twarzy miał niemal niewidoczny makijaż, poza oczami, które miały się wyróżniać. Alena znalazła mu czarną suknię, skromną i z delikatnym dekoltem, któremu sporo brakowało do zmyślnego gorsetu, ale za to znakomicie podkreślała zaznaczoną przez niego talię. Oliwier był Seleną — dziewczyną o delikatnej urodzie, ciemnych, kręconych się włosach, ciemnej oprawie oczu i długich rękach, niemal nieskazitelnej cerze i figurze, której mogłaby pozazdrościć niejedna dziewczyna. Mógłby założyć nawet worek, a i tak dobrze by wyglądał — jak w duchu stwierdził Sel, gdy zobaczył go w pełni „zrobionego”. Za tą doskonałą maską kryła się jednak dusza chłopaka, który bez wahania gotów był do przygód. Dar uzdrowiciela poprawił jego nastrój. Nie działał jednak jak należy, jeśli chodziło o Sela. Zbyt wiele było w nim tłumionych uczuć.

— Będziemy tylko tyle, na ile to konieczne — obiecał przebrany przyjaciel.

— Wiem.

Oliwier odsunął się od niego. Zamknął oczy.

Przez chwilę stał tak, w myślach przygotowując się do następnych wydarzeń i wyobrażając sobie jak potem wraca do miasta i wita się z Julien. Myśl o siostrze sprawiła, że się uśmiechnął.

Wkrótce znów się zobaczą.

— Gotów? — zerknął przez ramię na Sela, który wyglądał dziś prawie normalnie, bez makijażu i w nowym ubraniu. Nie licząc śladów koszmarnych przejść widocznych na twarzy.

Sel stanął przy nim z werwą, podając mu ramię. Potem ujął gałkę u drzwi.

— Zaczynamy — powiedział ze smutnym uśmiechem — Sam jestem ciekaw, jak ci podziękują.

Oliwier uśmiechnął się także, gdy Sel otwierał już drzwi.

Nieopodal, na korytarzu, pośród kręcącej się w pośpiechu służby i żołnierzy oraz wydawałoby się, że i wszechobecnego ochmistrza, którego okrzyki i rozkazy słyszać było wszędzie, stało kilku ludzi w mundurach osobistej gwardii królowej — czyli to, co zostało z oddziału porucznika Delena. Przez pierś każdego z nich przewiązana była czarna szarfa na znak żałoby. Wokół witano ich przyjaźnie i z szacunkiem. Rudowłosy, Kertis, Marten, czterech innych, których imion jeszcze nie poznał, Oliwier i wreszcie Kirian, brat Delena. Tak niewielu... Kirian miał podkrążone oczy i wyglądał na wyczerpanego. Bardzo kochał swojego brata. Nawet krew uzdrowiciela, którą najwyraźniej musiał pić jak inni, bo nie było na nim widać nawet śladu zranienia, nie stłumiła jego żalu. Oliwiera ścisnęło serce. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Może powinien przemyśleć jeszcze swoją decyzję?

Ale czy to przywróci komuś życie? Coś naprawi?

Oczy żołnierzy spoczęły na nim i wszystkie wyrażały ten sam zachwyt i uznanie dla urody Seleny. Nawet Kirian patrzył na Oliwiera ciepło. Oliwier zarumienił się pod wpływem tych spojrzeń i mocniej przywarł do prowadzącego go Sela.

— Wyglądasz pięknie Seleno — powiedział Kirian, ujmując jego rękę, by ją pocałować.

Ten gest ostatecznie potwierdził decyzję Oliwiera. Nigdy nie dowiedzą się prawdy.

— To pewnie przez dar uzdrowiciela — odparł cicho, poruszony jego wyglądem.

Uśmiechnął się do niego ze smutkiem.

— Seleno — odezwał się Kertis. — Skarbie, królowa wzywa cię do siebie przed audiencją. Chce ci osobiście podziękować, nim zacznie się ta cała wielka pompa. Mamy cię odeskortować do jej komnat.

Oliwier spojrzał na Sela z lekkim zdumieniem.

— Nieźle — rzekł na to przyjaciel. — Będzie co opowiadać w domu.

Nie mógł się z nim nie zgodzić.

— Hej, kochanie! — odezwał się nagle jakiś wyrostek, patrząc na Sela. — Tutaj jestem! Teraz mnie pokochaj!

Oliwier wstrzymał oddech. Sel zagryzł wargi, podczas gdy Kertis rzucił się

w pogoń za chłystkiem, który czym prędzej wziął nogi za pas.

— Zostaw! — zawołał za nim Sel. — Nie warto.

— Ostrzegalem, że skuję gębę każdemu, kto się głupio odezwie — rzekł Kertis, wracając. — Przyjaciele Seleny są naszymi przyjaciółmi.

Sel skłonił się lekko w podziękowaniu jemu i pozostałym.

— Nie powiedziałaś tego sługom? — zwrócił uwagę Kertisowi Marten.

— Ani pomywaczom — zauważył sucho Kertis. — Ale potem nadrobię braki w kuchni.

— Nie kłopotz się — rzekł mu spokojnie Sel. — Po pogrzebie wracamy z Seleną do mojego domu.

— Alena dała nam to do zrozumienia — powiedział Kirian, gestem dając znać, by ruszali już w drogę. — A co potem, Seleno? Wrócisz na służbę?

Oliwier zatrzymał się i po chwili wszyscy postąpili tak samo.

Czując dziwny ciężar na sercu, odpowiedział:

— Nie wrócę już do zamku. Wyjeżdżam z Wermodu.

Przez chwilę patrzyli na niego w milczeniu i widział żal na ich twarzach.

— Ale chciałaś się z nami pożegnać, słońce? — zapytał w końcu Kertis.

— Oczywiście — odparł mu Oliwier, patrząc na wszystkich po kolei, na koniec zostawiając Kiriana, którego widok budził w nim żal po zamordowanym Delenie. — Nie wyjechałabym bez tego.

Kirian kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Musimy iść — powiedział cicho. — Jeszcze przyjdzie na to czas. Teraz czeka na ciebie królowa.

Ruszyli w niewesołych nastrojach, których nie poprawił im jeszcze fakt, że mijali teraz miejsca dramatycznych wydarzeń. Przeszli przez korytarz, po którego lewej stronie był pokój, do którego Moren zaciągnął Oliwiera. Potem znaleźli się w przejściu, gdzie zamordowano Delena. Kirian zbladł. Na posadzce wciąż widać było plamę krwi, pomimo że była ona zapewne wielokrotnie myta i polerowana. Jej słaby cień widoczny był, gdy zasłaniali światło z pobliskich okien. Krew uwidoczniła się w tych cieniach. Potem poszli schodami, na których doszło do walki. Na rzeźbionym w łapy gryfa stoliku stał nowy wazon i pięknie udekorowany bukiet czarnych tulipanów. Oliwier zatrzymał się, by ich dotknąć.

Wczorajszy dzień w blasku poranka wydawał się jak zły sen...

— Chodź — szepnął mu do ucha Sel. — Jeszcze tylko trochę...

Spojrzał na niego, niezdolny teraz wyrazić swoich mieszanych uczuć. Sel uśmiechnął się pokrzepiająco.

— Tak — odparł Oliwier. — Musimy iść.

* * *

Po powitaniu i obowiązkowych uprzejmościach, królowa Konstancja podeszła do stojącej przed nią delikatnej, młodej kobiety w czerni. Sel i gwardziści ustawili się kilka kroków z tyłu, a czujna straż zamkowa miała ich na oku — podejrzliwa po wczorajszych wydarzeniach. Komnata królowej nosiła jeszcze pewne ślady walki — obrazy na ścianach miały nacięcia od mieczy, zasłony były potargane. Najwyraźniej inne sprawy liczyły się dla królowej bardziej, niż uporządkowanie jej pokoi, choć poczyniono już w tej sprawie wyraźne postępy, a w sypialni, widocznej przez otwarte drzwi kręciła się gorączkowo służba.

— Moja droga — powiedziała piękna królowa, której uroda onieśmiała wszystkich mężczyzn, łącznie z ukrytym pod kobiecym przebraniem Olivierem, który ponownie spłonął rumieńcem. — Czy mogę zobaczyć przedmiot, który pomógł uratować mnie przed hańbą?

Oliwier nieco niepewnie wyciągnął z ukrytej kieszeni sukni swoją niezawodną procę. Strażnicy bacznie obserwowali ten ruch, a niedawni żołnierze porucznika z trudem ukryli znaczące uśmiešky. Nawet Sel udał, że musi odchrząknąć. Oto był jego przyjaciel, jakiego znał! Oto była Selena, którą zdążyli poznać gwardziści.

Proca na audiencji u królowej!

— Masz w sobie wielką siłę ducha — zauważyła królowa, oglądając przedmiot i jednocześnie taktownie udając, że nie zauważa poruszenia, jakie wywołała, choć uśmiech czaił się na jej pełnych wargach. — Chciałabym, aby tak niezwykła kobieta zawsze stała u mego boku. Czułabym się wtedy o wiele bezpieczniej.

Mimowolnie Oliwier otworzył usta w zdumieniu, przyjmując z rąk królowej swoją tajną broń. Sam przed sobą przyznał, że nie brał pod uwagę takiej propozycji. A przecież, wybierając się tutaj powinien przynajmniej wziąć pod uwagę tę możliwość.

Sel spojrzał na niego, ciekaw jak wybrnie z tej sytuacji, nie obrażając przy tym królowej. Miał bowiem pewność, że Oliwier odmówi. Właściwie pozostała mu tylko jedna droga, by zrobić to najkorzystniej dla siebie. Natomiast Kertis, pamiętając o wcześniejszej rozmowie, wymienił zaniepokojone spojrzenia z pozostałymi. Dla niego było oczywiste, jak musi teraz postąpić Selena, jeśli nie chce stracić głowy.

— Najjaśniejsza pani... — Oliwier spuścił wzrok, z powagą zastanawiając się nad dalszymi słowami. — Proszę o pozwolenie powiedzenia ci o czymś, co nie pozwala mi przyjąć tak hojnej propozycji.

Królowa, zaciekawiona i nieco rozczarowana skinęła uprzejmie głową.

— Dobrze. Możesz mówić.

— Wolałabym, by odbyło się to na osobności, jeśli mogę o to prosić, najjaśniejsza pani.

Królowa była już szczerze zaintrygowana tajemnicą.

— Wyjdźcie! — nakazała strażnikom i służbie.

— Moi przyjaciele... — Oliwier zerknął na nich przez ramię, co ich niezmiernie zaskoczyło. Wszystkich z wyjątkiem Sela, który wiedział już, o co chodzi.

Wyrażając swoje zdumienie uniesieniem brwi, królowa wyprosiła ich także.

Kiedy wszyscy opuścili już komnaty, Oliwier stanął przy królowej tak blisko, że czuł podmuch jej oddechu, zbliżył się z drżeniem do jej ucha, a potem rzekł cicho:

— Nie jestem kobietą. Jestem mężczyzną.

Potem, nie czekając na dalsze reakcje królowej na jego słowa, delikatnie i dyskretnie uniósł przypiętą perukę, odsłaniając fragment pletni.

— Jeśli tego zażadasz, pani — powiedział spokojnie, choć serce waliło mu jak młotem — służę innymi dowodami na potwierdzenie moich słów...

* * *

Audiencja królewska zgromadziła prawdziwy tłum. W pierwszej słowach król podziękował wszystkim za lojalność i odwagę. Następnie wyjaśniło się wreszcie to, co od zakończenia zamachu było przedmiotem plotek i domysłów. Z prawdziwym żalem król Heron pożegnał swego najwierniejszego i najbardziej oddanego żołnierza — kapitana Jenue Gereme, który zginął w trakcie walki, odbijając króla z potrzasku i przy tym pociągając za sobą jednego z żołnierzy wicekróla. Obaj wypadli przez okno wieży prosto w przepaść. Niestety nie było możliwości, by pozbierać ciała i pochować je z należytych szacunkiem. Takie ryzyko mogłoby pociągnąć za sobą więcej ofiar. Król powierzył więc swego kapitana pamięci przodków i opiece Matki Ziemi, nie kryjąc przy tym wzruszenia. Następnie przywołał kobietę, która pomogła mu ochronić tę, która bliska jest jego sercu. Widząc dygającą przed nim Selenę, król zerwał z wszelkim postępowaniem zawartym w licznych protokołach audiencyjnych i wyszedł jej na spotkanie, co wywołało prawdziwe poruszenie wśród zgromadzonych i niezmiernie speszyło Oliwiera, zaskoczonego takim wyróżnieniem.

— Selena Calis — zwrócił się do niego władca. — Nasza pokojówka?

Pierwszy raz od długiego czasu Oliwier usłyszał swoje fałszywe nazwisko. Nazwisko zamordowanej Celiny. Jego nieprawdziwej siostry.

— Kobieta wyróżniająca się w czasie walki na dziedzińcu taką odwagą nie powinna spuszczać wzroku w obecności króla — rzekł król, widząc jego zmieszanie. — Spójrz na mnie.

Oliwier uniósł wzrok szybko i śmiało, co spodobało się królowi, który nie lubił nadmiernego służalstwa. Zza jego pleców widział synów króla, śledzących tę

scenę z zainteresowaniem i królową Konstancję na tronie, która przyglądała się wszystkiemu z lekkim rozbawieniem. Jej oczy raz po raz oglądały całą postać przebranego Oliwiera, jakby wciąż nie dowierzała temu, co ujawnił jej w głębokiej tajemnicy.

— Doskonale! — powiedział król, widząc jego reakcję. — Dzielna dziewczyna, która niczego się nie boi!

Kilka osób zaczęło klaskać na tę uwagę, a po chwili dołączyli wszyscy. Sel uśmiechnął się lekko, obserwując zachowanie królowej.

— A zatem — król spoważniał. — Jaką nagrodę możemy jej za to ofiarować?

Oliwier poczuł ukłucie lęku. Znał króla nie od dziś i wiedział, że rzadko można go było widzieć w dobrym humorze, za to często wpadał w gniew, przeradzając się niejednokrotnie w atak szału. Był mężczyzną zmiennym w nastrojach. Choć niewątpliwie kochał swoją żonę ponad wszystko, a synowie byli jego dumą, bywał czasem zbyt impulsywny wobec innych. Odmowa przyjęcia jego daru mogła się nawet źle dla niego skończyć. Choć mogła też spotkać się z kolejnym uznaniem dla odwagi Seleny. Był pewien, że bardziej groziło mu to pierwsze, ponieważ z całą pewnością na oczach wszystkich zebranych obraziłby króla. Spojrzał szybko i błagalnie na królową, która oczywiście przejęła sprawy w swoje ręce.

— Najjaśniejszy panie — zwróciła się do męża w formie oficjalnej. — Ulegając prośbie dziewczyny, która cudem uniknęła śmierci i ma za sobą naprawdę ciężkie przeżycia, chciałabym prosić cię, byś ofiarował jej złoto i klejnoty, bądź jeden z pomniejszych majątków popleczników twego brata, ponieważ pragnie ona odpocząć w spokoju i opuścić nasz zamek. Chciałabym także przypomnieć, że jej siostrę zamordowano tu z rozkazu wicekróla, by nie doszło do ujawnienia spisku, mającego na celu usunięcie cię z tronu, królu mój. Pozwól jej zatem, by zaznała spokoju w gronie rodzinnym.

Król spojrział na swoją ukochaną, stojącą teraz dwa kroki za nim i czekającą na odpowiedź. Widziała malujące się na jego twarzy uczucia. Widziała, jak mocije się ze sobą, czy wpaść w złość, ponieważ wtrąciła się do jego zamierzeń, czy okazać wyrozumiałość i przychylność. Wreszcie, ku uldze zgromadzonych, zdecydował się na to drugie.

— Dobrze więc — powiedział. — Niech stanie się zgodnie z prośbą mojej ukochanej królowej — uśmiechnął się, co nadało jego hipnotyzującemu spojrzeniu łagodniejszy wyraz.

— Chcę jeszcze tylko prosić cię o jedno, Seleno — dodała królowa, podchodząc do męża i skinieniem dziękując mu za spełnienie jej prośby. — Rozważ jeszcze swoją decyzję. Twoja odwaga, spryt i umiejętności z pewnością przydałyby się królestwu. Być może przyjdzie czas, że będziemy cię potrzebować.

Obiecuj, że się zastanowisz. Wrota zamku pozostaną dla ciebie otwarte.

— Dobrze, najjaśniejsza pani — dygnął Oliwier, nie śmiać spojrzeć już królowej w oczy.

Potem go odprawiono i przystąpiono do nagradzania kolejnych bohaterów wczorajszego dnia. Oczywiście wspomniano także o obronie uzdrowiciela. Po wyróżnieniu za szczególną odwagę gwardzistów królowej i po należytej nagrodzie zakończono audiencję. Jednak, ku zdumieniu Selariona, król i królowa wezwali go przed swoje oblicze, kiedy wszyscy udali się na ucztę i rozpoczęli przygotowania do uroczystego pogrzebu zabitych w czasie walk.

— Wiemy już — powiedziała królowa — że jesteś teraz jedynym właścicielem majątku Rserwer i także poniosłeś bolesne straty we wczorajszych wydarzeniach. Doniesiono nam, że w twoim domu znalazł schronienie ranny uzdrowiciel i jego brat. Zapewniliśmy im wszelkie możliwe warunki, jednakże liczymy, że zadbasz, by w naszym imieniu opiekowano się nim należycie. Jeśli będziesz potrzebował czegoś jeszcze, by tak się stało, powiadom nas. Oczywiście zadbalismy o to, by tobie i twoim przyjaciołom, których odwaga także została zauważona, niczego nie brakowało. Jednakże chciałabym cię ostrzec. W pobliżu twojego domu nasi żołnierze zauważyli podejrzaną poruszenie. Być może ktoś będzie próbował dostać się do uzdrowiciela. Kiedy więc będzie w stanie, musi wyjechać z miasta — nakazała.

— Tak, najjaśniejsza pani. Rozumiem doskonale.

— Tobie i twoim przyjaciołom chciałabym powierzyć ważną misję. Wyjedźcie wraz z nim. Nie podawajcie nam daty wyjazdu, ani żadnych innych szczegółów. Jak mówiłam, niczego wam nie zabraknie, jeśli zadbacie o niego. Zabezpieczymy twój majątek. Eskorta zbyt rzucałaby się w oczy po wyjeździe z miasta, naraziłaby was na atak. Mała grupa ma większe szanse, by przemknąć niepostrzeżenie.

Sel spojrzał na Oliwiera, którego zostawił przy swoim boku.

— To znaczy, że nie będzie żadnej ochrony? — zapytał zdumiony Oliwier.

— Tak będzie najlepiej.

Sel zastanowił się przez chwilę. Nie powinien kwestionować decyzji królewskich, choć miały w tej kwestii sporo do powiedzenia. Uzdrowiciel zasługiwał na większą uwagę.

Jego ochrona powinna być sprawą najwyższej wagi dla samego króla.

Wzrok królowej spotkał się z jego i zobaczył w jej oczach to samo wahanie.

Więc to była decyzja króla...

— Ten miecz — odezwał się książę Meron, dołączając do innych i wyciągając do Sela miecz z rękojeścią wyrzeźbioną w jednorożca — jest dla jego obrońcy, który wykazał się już odwagą.

— Nie mogę go przyjąć — odparł Sel, poruszony tym niespodziewanym

podarunkiem. — Wtedy przejechałem tylko obok niego. Moi przyjaciele zostali, by przyjść mu z pomocą. Ja spieszyłem na ratunek... — spojrzął na Oliwiera. — Selenie.

— Wiemy, co się wydarzyło — odparła królowa. — Wczorajszego wieczoru twój przyjaciel Alesei opowiedział to dowódcy naszego oddziału, który wysłaliśmy wraz z kucharzem do twojego domu. Dziś o świcie otrzymaliśmy raport. Wyruszyliście na pomoc uzdrowicielowi i zostaliście napadnięci. Do celu dotarło kilkoro z was. Bezinteresownie przyszlście uzdrowicielowi z pomocą. Dlatego odtąd ty i twoi przyjaciele będziecie drużyną, która będzie go chronić. Na znak naszej wdzięczności każde z was otrzyma taki właśnie miecz. Ty zaś wręczysz uzdrowicielowi list od nas z zapewnieniem nietykalności — spojrzała na niego ciepło. — W porównaniu z dotychczasowym życiem, jakie prowadziłeś, nowa przyszłość zapowiada się bardziej interesująco. Nie mylę się, prawda?

Sel wpatrzył się w piękną królową, jakby otworzyła mu właśnie wrota do nowego, może nawet ciut niebezpiecznego, ale jakże ciekawego życia. Zabrakło mu słów. Najwyraźniej sporo się o nim dowiedziała.

Ofiarowano mu przyszłość, o jakiej nie śmiał dotąd nawet marzyć.

Królowa uśmiechnęła się tajemniczo i spojrzała na Oliwiera.

— Nie zapomnij o nas, Seleno — powiedziała z iskierką wesołości w oczach.

Jej uśmiech sprawił, że mężczyznom niemal zapało dech. Oliwier zarumienił się lekko, kłaniając się nieco niezgrabie.

— Czas uporządkować sprawę — powiedział król, dając znać, że spotkanie uważa za zakończone.

Cała rodzina w asyście straży uroczyście opuściła salę audiencyjną.

Sel i jego przyjaciel spoglądali za nimi w lekkim oszołomieniu. Wszystko znów wracało do normy. Król znów był na tronie, zamek oczyszczał się ze śladów walki.

Tylko, co tym razem zmieniało to w losach królestwa?

Zmiany miały nastąpić, świadczyło o tym choćby inne stanowisko rodziny królewskiej wobec poddanych. Bardziej przychylnie ludziom. Nagrody, przywileje. Wszystko, co ogłoszono dziś na sali audiencyjnej było zwiastunem zmian. Wcześniej oddaleni od ludzi, teraz król i królowa zbliżyli się, doceniając odwagę i poświęcenie dla nich i dla ich przyjaciół.

Tylko... Czy było to świadome działanie, zaplanowane i wyrachowane? Czy rzeczywiście, rodzinę królewską nauczyły czegoś o poddanych wczorajsze wydarzenia i zechcą naprawić swoje błędy — lub przynajmniej nie popełnią już nowych i nauczą się żyć w harmonii z królestwem?

Czy odesłanie uzdrowiciela z grupą amatorów było rzeczywiście najlepszą decyzją?

— Myślisz o tym samym, co ja? — zapytał Oliwier, spoglądając za oddalającą się świtą królewską.

— Uzdrowiciel zrobił swoje — stwierdził sucho Sel, potwierdzając tym samym przypuszczenia Oliwiera. — Niemal oddał własne życie. Przez miesiąc był przetrzymywany wbrew swojej woli i zrobił wszystko, by utrzymać w zdrowiu królewską rodzinę. Zapewne oni także mają gdzieś podobny do twojego flakonik z jego krwią, tyle że znacznie większy. Dość, by mieć nadzieję, że przetrwają zarazę i pożyją długie lata, jeśli będą używać jej z rozsądkiem. Nie jest im już potrzebny, zatem może odejść.

— To musiała być decyzja naszego króla, prawda? — zapytał cicho Oliwier. — Królowa nie jest taka jak on.

— Też tak uważam.

— Nie powiedziała mu o mnie.

Sel spojrział na niego uważnie, lecz bez zaskoczenia.

— Interesujące — zauważył z namysłem.

Oliwier spokojnie odwzajemnił jego spojrzenie.

* * *

Pogrzeb Delena był nawet bardziej pompatyczny, niż można było oczekiwać, gdyż powiązano go z pogrzebem kapitana Gereme. Młody, obiecujący porucznik, który miał zająć kiedyś jego miejsce, został pochowany z wszelkimi honorami. Był uroczysty śpiew żałobników i płacz kobiet. Ciało porucznika i symboliczną trumnę kapitana pochowano w królewskich ogrodach z zachowaniem wszelkich środków ostrożności wobec rodziny królewskiej. Uczestniczył w tym każdy, kto mógł i nie miał innych obowiązków. Wszyscy lubili porucznika. Kapitana Gereme doceniano za jego oddanie, ale powszechnie był uważany za dość niemiłego dla innych. Wyjątkiem tu była rodzina królewska, którą kochał jak własną. Obu jednak żegnano z żalem.

Sel obserwował ceremonię pogrzebową jako osoba całkowicie postronna, niezwiązana z większością wydarzeń na zamku. Przyglądał się uczestnikom.

Widział szczery żal wśród gwardzistów królowej i łzy Kiriana, gdy składano do grobu ciało jego brata. Smutek Oliwiera, który pozwolił, by łzy spłynęły po jego twarzy. Wielu innych żołnierzy i wiele kobiet żegnało się z młodym porucznikiem w żałobnym milczeniu. Byli też tacy, jak żołnierze, którzy jeszcze wczoraj byli pod komendą kapitana, którzy ze smutkiem żegnali także i jego.

Ale byli też inni.

Ci ukrywali uśmiešky, rozmawiali między sobą z tajemniczymi minami, zerkali ukradkiem na siebie.

Śmierć wicekróla nie zamknęła wszystkich spraw.

Cieszył się, że zabierze Oliwiera z tego siedliska węży.

Po ceremonii gwardziści postanowili odprowadzić przyjaciół do domu Selariona i niestety, ku cichej rozpaczy Oliwiera, nie można było temu zapobiec. Mieli dobre intencje, które należało uszanować. Wiedział o tym. Kirian chciał osobiście dopilnować, by Selena dotarła bezpiecznie na miejsce. Uzyskał też przyzwolenie królowej, by on i jego ludzie do czasu wyjazdu przyjaciół z Wermodu pełnili wartę na zmianę z żołnierzami wyznaczonymi przez króla w rezydencji kupca. Także wyjazd udało mu się zaplanować tak, by odprowadzić podróżników do pierwszego postoju przed nocą i o świcie powrócić do zamku. Był to jego pomysł, który spotkał się z całkowitą aprobatą królowej i księcia Merona, co potwierdziło tylko domysły przyjaciół, że od początku nie zgadzała się z mężem w tej kwestii, a książę Meron zaproponował nawet swoje towarzystwo, by mieć pewność, że choć pierwszego dnia Wiwan będzie pod należytą ochroną. Niestety, jako potencjalny następca tronu, z żalem musiał zrezygnować z tego pomysłu.

Plac i targowisko budziły grozę. Pomimo tego, jak wiele przeszło już tędy ludzi i koni, w miejscu gdzie upadł dręczony uzdrowiciel, wciąż widać było plamę krwi. Inne ślady i zwłoki stratowanych bądź zabitych już zniknęły. Targowisko było puste i doszczętnie zdewastowane. Nie było już śladu po stojących wcześniej straganach, prócz paru desek i błota.

Miejsce stało się martwe i puste, jak samo miasto.

Cisza towarzyszyła im wszędzie.

Ulice były wyludnione. Nieme.

Patrząc na to Sel i Oliwier zastanawiali się, jak mieszkańcy zamku wciąż mogą w spokoju świętować zwycięstwo króla. Prowadzić normalne życie. Snuć plany. Nad kim właściwie chciał wciąż panować król i jego piękna królowa?

Czy kiedyś w ogóle wróci dawna normalność? Zwłaszcza teraz, skoro zaraza niepostrzeżenie opustoszyła miasto. Z pewnością byli tacy, których nie dosięgła, a którzy nie czekając, postanowili uciec, ale tu i teraz wydawało się, że niepodzielnie i na zawsze objęła świat w swoje władanie.

Wermod stał się miastem śmierci.

Słuchając słów Kiriana odnośnie planów w czasie drogi, po to, by odwrócić uwagę od ponurych widoków, Oliwier zżymał się w duchu na niego. Jednak prawda była taka, że nie mógł w tej sprawie ingerować w żaden sposób. Zdemaskowanie, które jak zrozmiał, nie w smak byłoby także królowej Konstancji, nie wchodziło w grę.

Pozostało mu wytrwać do końca.

Julien na pewno to zrozumie. A Sel zadba o resztę.

Mimowolnie też zaczął myśleć o tym, co zastanie.

Nie znał jego przyjaciół z Domu Rozkoszy. Byli tą częścią życia Selariona, której nigdy dotąd nie poznał. Poza nieplanowaną wizytą w tym przybytku, kiedy

go do tego zmuszono, nigdy tam nie bywał z oczywistych względów. Ale widział tych ludzi w czasie swoich wędrówek po dachach. Czasem ich obserwował, zafascynowany atmosferą swobody i dekadencji. Tam ludzie mogli się bawić. Kolorowi jak motyle mieszkańcy Domu Rozkoszy, nieświadomi, że ich obserwuje, w dzień żyli zupełnie zwyczajnie, mając swoje radości i problemy, jak każdy w mieście. Prowadzili dwa życia. Może któreś z nich rozpozna? Zapamiętał piękną dziewczynę o kruchej urodzie i białej cerze, włosach czarnych jak heban i jej przyjaciółkę o zjawiskowym spojrzeniu. Widział je kiedyś w oknie Domu, a potem w przebraniu na targowisku. Raz czy dwa przemknęła mu przez głowę taka myśl, że gdyby było to w jakikolwiek sposób możliwe, gdyby nie Julien, nie Moren, to właśnie do nich by się udał. Wydawały się delikatne, bez zepsucia. Naturalne.

I smutne.

Budziły jego tęsknotę za normalnością.

Może przyjaciele Sela będą wiedzieć, co się z nimi stało?

O ile będzie mógł z nimi normalnie porozmawiać. Co powiedzą, gdy zobaczą go takim?

Przynajmniej zobaczy wreszcie Julien. I Wiwana.

ROZDZIAŁ 13 — Spotkanie

Brat uzdrowiciela natarczywie pytał o niego. Ross obawiał się tego spotkania. Czuł, że nie będzie ono dla niego zbyt przyjemne.

— Mogę zaświadczyć, że widziałem działanie rubinu i poczułem jego wpływ — powiedział strażnik Nils, próbując go podnieść na duchu.

Ross pokręcił przecząco głową.

— To nic nie da.

— Miejmy to już za sobą — powiedział więc krótko Alesei, otwierając drzwi. Nie zamierzał zostawić przyjaciela, by ten sam stawił czoła kłopotom.

Ich oczom ukazał się pokój pogrążony w półcieniu, z zasłonami w kolorze atramentu, przepuszczającymi nieco słońca w niewielkiej szczelinie. Przy dużym, małżeńskim łożu stały dwie postacie.

Natomiast na nim...

Na łożu leżała pokryta opatrunkami, śmiertelnie blada postać, u której tylko fragment twarzy i szyja nie były zasłonięte.

Stół przed nimi miał na swym blacie wyraźną ciemną plamę.

Dopiero po chwili Ross, otrzasał się z ponurego widoku, zauważył rysunki Sela nad głową rannego. Nie przyjrzał im się jednak zbyt wstrząśnięty tym, co właśnie zobaczył. Żal ścisnął jego serce. Dla uzdrowiciela nie było daru, który pomógłby mu szybko dojść do zdrowia. Zawdzięczał życie jego krwi. Żałował, że uzdrowicielowi nie może pomóc w ten sposób. Nie wahałby się nawet chwili.

Pafian powoli podszedł do nich w ponurym milczeniu. Julien pozostała przy rannym, siedząc w fotelu. W każdej chwili była jednak gotowa by w razie kłopotów przyjść Rossowi z pomocą.

Widział jej niepokój. To sprawiło, że denerwował się jeszcze bardziej.

— Doskonałe podobieństwo — szepnął do siebie młody hrabia, patrząc na Rossa. Nim ten zaczął się zastanawiać nad jego słowami, dodał już głośno: — Twój przyjaciel znakomicie potrafi rysować — wskazał za siebie — Ma prawdziwy talent.

„Sel mnie rysował?” — zdziwił się i jednocześnie wzruszył Ross, nadal jednak nie patrząc na rysunki. To musiało teraz poczekać.

— Będzie bardzo szczęśliwy, gdy mu powiem o pana uznaniu, panie hrabio — skłonił się uprzejmie, jak uczyła go Valeri, unikając spojrzenia w oczy, co mogło być u osoby niższej stanem uznane za rodzaj bezczelności i pychy.

Niecierpliwie czekał na ciąg dalszy.

— Jesteś...?

— Ross Hope, a to mój przyjaciel Alesei Nilos.

— Hrabia Pafian Beckert, jak już zapewne wiecie — rzekł poważnym tonem Pafian, wyciągając dłoń na powitanie, zdecydowany zacząć tę rozmowę po męsku.

Ku jego zdumieniu mężczyzna przybyły z wisiosem jego brata na szyi, nie wyciągnął swojej dłoni.

— Nie jestem pewien, panie — powiedział z pewnym wahaniem — czy za chwilę nie będziesz żałował tego gestu. Nie mogę... oddać wisiora. Ani twemu bratu, ani tobie — jego twarz skrzywiła się w autentycznym żalu, gdy spojrzał na łoże. — Niestety, to niemożliwe.

Zgodnie z przewidywaniami przyjaciół, Pafianowi nie spodobała się ta odpowiedź.

— Co to ma znaczyć?! — zapytał złowrogo, a jego ręka mimowolnie spoczęła na głównej rękojeści u pasa. — Chcecie pieniędzy?! Krwi mego brata?! Tego chcecie?!

Ross odparł spokojnie, choć serce w piersi biło mu szybko.

— Nie potrafię go zdjąć. Nie pozwala mi na to — mówiąc to, pośpiesznie zademonstrował, a zdumiony Pafian mierzył go morderczym spojrzeniem, niemal ignorując wyraźnie widoczny opór niezwyklego rubinu przed rozstaniem z nowym właścicielem. — Najwyraźniej chce zostać przy mnie...

— Straż! — krzyknął Pafian wpadając we wściekłość, na co drzwi otwarły się natychmiast i pokazał się zaniepokojony Nils. — Powiedz kapitanowi, że chcę, by uwięziono tych ludzi za kradzież! — wskazał palcem nowych znajomych, szczególnie celując w Rossa, który spodziewał się podobnej reakcji.

— Ross — by nie krzyczeć nad rannym, Julien zbliżyła się do nich. — Co ty wyprawiasz?!

— To nie ja — odparł zapytany z pozornym spokojem.

Alesei stanął bliżej niego. Strażnik, zgodnie z zapewnieniem, starał się coś wytłumaczyć, jednak Pafian nie był skłonny do słuchania wyjaśnień.

— Żądam! — położył na to słowo wyraźny nacisk, co sprawiło, że Ross wstrzymał na chwilę oddech, lecz tym razem hardo odwzajemnił jego spojrzenie, przyjmując wyzwanie. — Byś natychmiast oddał rzecz należącą do mojego brata!

— Jest tylko jeden sposób na to bym to zrobił — odparł Ross przez zaciśnięte zęby. — Każ uciąć mi głowę lub sam to zrób!

— To da się załatwić — Pafian zbliżył swoją twarz do jego.

— Pokazałem, że nie mogę go zdjąć! — Ross starał się nie krzyczeć ze względu na stan rannego uzdrowiciela i przez szacunek do niego, lecz był zły z powodu tej jawnej niesprawiedliwości. Jednocześnie zastanawiał się, dlaczego wisior nie działa teraz, kiedy jest mu naprawdę potrzebny, by rozładować tę sytuację. Najwyraźniej sam miał znaleźć rozwiązanie. Lub po prostu jeszcze nie wiedział jak na niego wpłynąć, by zyskać potrzebną pomoc.

— Użyłeś magii, by związać go z sobą!

— Bzdura! — parsknął nerwowym śmiechem na taką niedorzeczność. —

Jestem „porcelanką” (ta nazwa pochodziła od makijażu, jaki musieli nosić mężczyźni o innej orientacji w burdelu i stała się obiegowym, dość pogardliwym ich określeniem w królestwie) z Domu Rozkoszy. Gdzie tu miejsce na magię?!!

— Wystarczy umieć czytać.

Nie był to czas na dyskusje, czy umiejętność czytania wystarczyłaby, by biegle posługiwać się magią na tym poziomie jak zaklęcie, o które podejrzewał go brat uzdrowiciela. Ross zmilczał więc przezornie tę uwagę.

— Pafian — zupełnie świadomie, choć nie wiedział, co podpowiedziało mu, by tak właśnie postąpić, przeszedł na tę formę, choć przez to bardziej się narażał. — Spójrz! — i choć zupełnie nie rozumiał tego, co właśnie się z nim działo, bo ręka sama jakby pochwyciła dłoń Pafiana, postanowił ulec temu tajemniczemu impulsowi pozwalając, by Pafian położył dłoń na wisiorze.

Poczuł, jak ogarnia go znajome, kojące ciepło, a rubin zaczął znów lśnić.

— Widziałem to już... — szepnął Pafian.

Stopniowo jego rysy łagodniały, a wszyscy poczuli, jak opada z nich napięcie.

— Proszę — szepnął Ross z naciskiem — uwierz mi. Sam nie rozumiem, jak to się stało... Nie chciałem was zranić.

Pafian cofnął rękę z namysłem.

Trójka przyjaciół z niepokojem czekała na jego decyzję. Strażnik także, ciekaw dalszego rozwoju wydarzeń.

Julien wierzyła, że Ross na pewno teraz nie oszukiwał. To byłoby tak niepodobne do człowieka, jakiego dotąd poznała.

Pafian wrócił do łóżka, na którym leżał jego brat. Spojrzał na Wiwana.

Spał. Spokojnym, miarowym snem. Zupełnie innym niż przed godziną, gdy miotał się w sieci własnych koszmarów.

Zawsze czuł się dobrze wśród życzliwych ludzi.

Sięgnął ponad jego głowę, zabierając rysunki, na których mu zależało. Zaczynał już rozumieć...

Ross zauważył, że Pafian pośpiesznie odkłada obrazek przedstawiający dziewczynę na stół, zamiast tego podsuwając mu jego portret w stroju z Domu Rozkoszy, narysowany przez Sela. Ze zdumienia nad podobieństwem nie tylko jemu odebrało na chwilę mowę. Alesei cmoknął z podziwem.

— To jesteś ty, prawda? — zapytał Pafian.

Nie czekając na odpowiedź, pośpiesznie odwrócił ten portret.

Po drugiej stronie Ross zobaczył prawdziwego siebie... Jednocześnie takiego, jakim zapewne widział go Sel.

Więc przez cały ten czas...?

Poczuł, jak wzruszenie ściska mu gardło. Julien westchnęła cicho, znajdując w tym ostateczne potwierdzenie swoich domysłów. Alesei uśmiechnął się do swoich myśli, pilnując jednak, by nikt z obecnych tego nie zauważył.

— Darzysz tego człowieka podobnym uczuciem, co on ciebie? — spytał cicho Pafian, starając się by to pytanie zabrzmiało najzupełniej swobodnie.

Czuł się nieco zmieszany tym, że chodzi o miłość między dwoma mężczyznami, z którą dotąd nie miał okazji się spotkać. Ale to, kogo ona dotyczyła, w żadnym razie nie czyniło jej mniej prawdziwą.

Ross, czując na sobie spojrzenia wszystkich, skinął tylko głową.

— Ten morderca, który ci go podarował — Pafian zwrócił się do Julien — powiedział, że chciał go dla ciebie. Mając tak cenną rzecz, oddał ją bez wahania dziewczynie, którą darzył uczuciem. Najwyraźniej było ono prawdziwe. A mój brat... — głos zawiódł go przy tych słowach — ma w sobie wielką miłość do ludzi.

Spojrzał na Rossa.

— Ten klejnot podążył za tym, kto kieruje się miłością do drugiego człowieka. Mój brat nosił go bez przerwy. Nigdy się z nim nie rozstawał. Nazaczył go swoim darem. Najwyraźniej teraz rządzi się już własnymi prawami. Otrzymałeś cenny dar. Postępuj z nim ostrożnie. Jestem bowiem pewien, że trafił w dobre ręce.

— Czy mógłbyś... — Ross oddał mu rysunek, wciąż poruszony odkrytą w nim prawdą. — To należy do Sela...

— Prawda — uśmiechnął się Pafian, zbierając rysunki. — Nie byłby zadowolony, gdyby zniknęły.

— Na tym drugim portrecie — rzekł Alesei — jest jego żona.

Pafian spojrzał na rysunek dziewczyny.

— Została zamordowana — wyjaśnił dalej osiłek. — Byli małżeństwem z rozsądku.

Julien uniosła głowę i spojrzała na niego, czując napływające łzy.

— Nie widziałeś...?

Ostatnim obrazem przyjaciółki był dla niej widok jej ciała z pętlą na szyi, w kałuży własnej krwi z rozbitej głowy, tuż przed domem jej i Oliwiera.

— Przykro mi — odparł Alesei. — Grabarze musieli zabrać ciało wcześniej.

Wszyscy umilkli na chwilę, zadumani nad losem nieszczęsnej Milery. Ross patrzył na rysunek pełen sprzecznych uczuć. Pokrywały się one z jej portretem, równie dwuznacznym w swym wyrazie, przeciwstawiającym piękno panny młodej z niemal okrutnym zaciskiem jej ręki na trzymanym sercu. Były tam uczucia pomieszane ze smutkiem i żalem, których być może być nie powinno.

Julien w zamyśleniu wróciła do łóża. Spojrzała teraz na rysunki, którym nie przyglądała się wcześniej, pochłonięta innymi sprawami.

Potem nachyliła się nad uzdrowicielem i ostrożnie zdjęła kilka rysunków.

— To nasi przyjaciele — powiedziała do Pafiana, pokazując mu je. — Zginęli wczoraj.

Na rysunkach był Len — w drzwiach wejściowych do Domu Rozkoszy. Potem Sai i Lena, śpiące na łożu z dłońmi splecionymi ze sobą na pustym miejscu pomiędzy nimi, gdzie wcześniej leżał Sel. Valeri czesząca włosy Leny. Alesei i Darmon wyraźnie z siebie zadowoleni, oczywiście w damskim towarzystwie. Sel oddawał ich wygląd po mistrzowsku, tak wiernie, aż wzruszenie ścisnęło serca oglądających, ogarniętych wzruszeniem i smutkiem. Pafian spostrzegł, że niepostrzeżenie staje się z wolna ich częścią. Ludzie ci byli ze sobą bardzo związani — niemal jak rodzina. Ich wspólny przyjaciel, którego talent powinien zobaczyć sam król, musiał być do nich bardzo przywiązany — bardziej niż do własnej rodziny, która nie traktowała go ponoć należycie.

Nagle Ross, tknięty ponurą myślą, oddał trzymany właśnie rysunek Julien szepcząc:

— Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Potem, nie czekając na pozwolenie Pafiana, wyszedł nagle z pokoju. Usłyszeli jeszcze stukot jego butów na korytarzu, nim stopniowo umilkły...

— O co mu chodzi? — zapytał zaskoczony Pafian.

— To on namówił nas, by jechać uzdrowicielowi na pomoc — odparł Alesei, uogólniając w ten sposób wczorajsze decyzje. — Obwinia się o to, co się stało. Nie ma racji. To nie była jego wina. Mieliśmy wrogów. Już nie żyją — zakończył ponuro.

Julien spojrzała na przysłonięte okno.

Ross poszedł pewnie do ogrodu.

* * *

Kiedy Oliwier i Sel zbierali się już do odjazdu wraz z gwardzistami, Alesei i Ross z pomocą paru żołnierzy pochowali zamordowanych rodziców Sela. Ceremonia była krótka i brali w niej udział niemal wszyscy, prócz kilku wartowników i braci Beckert. Sai, która doprowadziła się jakoś do porządku po przynosząc otuchę i wolę do życia dotyku Rossa, zjawiała się na pogrzebie przez wzgląd na przyjaciela. Wyglądała jak smutna królowa elfów, a mężczyźni, których jej przyjaciele po wczorajszym działaniu daru uzdrowiciela nieco się obawiali, traktowali ją instynktownie, jakby rzeczywiście nią była, choć było wśród nich kilku jej niedawnych klientów. Swą cichą godnością i delikatną urodą budziła w nich mimowolny szacunek. Ustępowali przed nią, okazując swe dobre maniery nienaganną postawą. Julien kilku rozpoznało jako córkę złotnika, więc także była bezpieczna i ze smutkiem ten i ów pokiwał głową, gdy usłyszał od innych o losie jej rodziców.

Pafian obserwował ceremonię z okna, podniesiony na duchu nie tylko działaniem wisiora, lecz także stanem swojego brata, który z upływem dnia wyraźnie się poprawiał, choć serce brata lękało się jeszcze przedwczesnego szczęścia. Zdjął opatrunki z jego oczu i wspólnie z Julien zmienili inne. Wtedy ze zdumieniem spostrzegli, że kilka pomniejszych ran i zadrapań po prostu zniknęło. Mijały kolejne godziny, podczas których Wiwan spał już bez złych snów. Wciąż jednak istniała realna obawa o jego życie. Był bardzo osłabiony. Pafian myślał o nadchodzącej nocy i lękał się jej. Od dawna wiadomo było, że każda choroba nasila się nocą i to, co dzień przyniosł dobrego, noc mogła zniszczyć bezpowrotnie. Nikt nie wiedział, dlaczego tak było, ale powszechnie mówiono, że poza zarazą, śmierć zawsze lubiła noc. Bał się więc swej kiełkującej nadziei.

Mile zaskoczony Alesei po ceremonii natychmiast poszedł, by powiedzieć o tym Rossowi, zaciągniętemu przez dziewczyny do pokoju Sai, który od początku dzieliła z Aleseiem, by nie być samą. Ross, ubłagany przez kobiety, miał je uczesać dla poprawienia ich dość ponurego nastroju. Sai namówiła na to Julien, mówiąc, że Ross nauczył się tego od Valeri i był w takich sprawach bardzo zręczny. Często wcześniej prosiły go o to z Leną. Podobnie czyniła Czerwona Rebeka i wiele dziewczyn z Domu. Tam więc znalazł Alesei nowego przyjaciela i jego niezwykle rubin rozgrzewający ludzkie serca. Chciał mu przekazać dobre nowiny. Prawie ukończono naprawę powozu i pomalowano go na nowo, lecz na brązowy kolor, bo poprzednio zbyt rzucił się w oczy. Rzeczy wewnątrz poskładano, przymocowano ponownie, a wszystko od sufitu do podłogi aż lśniło od czystości. Oddano mu też wcześniej użyte pieniądze. Żołnierze oznajmili mu, że wszelkie koszty pokrył król i zapłacił im z nawiązką.

— Sel ma tam niezłe chody — Alesei mrugnął znacząco do przyjaciół.

Kucharz ugotował najwspanialszy rosół, jaki dotąd wszyscy jedli i to także znacząco wpłynęło na nastrój zebranych w tym domu, a smutną ceremonię odsunęło w cień. Potem Pafian zaprosił nowych przyjaciół do pokoju Sela, bo wyraźnie ich towarzystwo dobrze wpływało na jego brata, któremu dla odrobiny prywatności zbudowano niewielki parawan. Zasiadli przy stole i pograżyli się w cichej rozmowie, opowiadając o niedawnych wydarzeniach.

Tą wreszcie spokojną atmosferę — po jakimś czasie przerwał przyjazd gwardzistów królowej Konstancji i towarzyszących im ich dwóch długo oczekiwanych przyjaciół...

* * *

W wąskiej uliczce niewielka grupa przywitała się ze stacjonującymi tu strażnikami, a zaraz potem zaczęto nawoływać Aleseia, który budził pewien respekt swoją siłą i charyzmą. Wszedł na spotkanie wraz z Sai i oboje serdecznie

przywitali Sela, a także zapoznali się z Oliwierem, nie okazując przezornie ani śladu rozbawienia, choć jego widok w damskim stroju nadal ich zaskakiwał. Oboje byli jednak pod wrażeniem tego, jak doskonale tamten udaje dziewczynę w każdym szczególe.

Według nich wyglądał na zmęczonego, co nie było tego dnia zbyt wielkim zaskoczeniem. Natomiast ich przyjaciel jeszcze nigdy tak dobrze nie wyglądał, choć w jego oczach wciąż kryły się ślady po niedawnych wydarzeniach. Zeskoczył dla nich z konia z lekkością, zadowolony ze swej nowej, niezwyklej dla niego sprawności.

— Jeszcze nie przywykłem do tego — powiedział im z niepewnym uśmiechem.

Sai uściskała go i dotknęła jego włosów, miękkich i gęstych, w kolorze ciemnoblonde, ciesząc się, że nie widzi już na jego twarzy tego upiornego makijażu, a włosy są znów w naturalnym kolorze, który dotąd w czasie choroby marnie się przedstawiał. Choć wciąż był chudy, wszystko wskazywało, że wkrótce jego stan szybko zacznie się poprawiać. Odwzajemnił uścisk delikatnie, ze smutkiem. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, dzieląc te same myśli. Alesei ucieszył się, że uścisk dłoni przyjaciela wyraźnie przybrał na sile. Uśmiechnął się porozumiewawczo do Sai, widząc jak Sel wyraźnie szuka kogoś wzrokiem.

— A Julien? — zapytał Sel w swoim i Oliwiera imieniu, choć właściwie nie tylko o nią chciał zapytać. Serce zaczęło już tłuc mu się niespokojnie, gdy wciąż nie dostrzegał znajomej twarzy.

— Czekaj w środku — odpowiedziała Sai, przyzywając go gestem, podczas gdy gwardziści rozproszyli się, by zrobić im przejście.

W nowym odruchu odwrócił się, by wziąć pod ramię Oliwiera-Selenę, jak przystało.

Widział niepokój przyjaciela.

— Na pewno wszystko jest w porządku — pocieszył go cicho.

— Jest — odparł Oliwier, ściszone głośnie, korzystając z nieuwagi strażników — Wiedziałbym, gdyby było inaczej.

Ponad jego ramieniem Sel obejrzał się, tam gdzie byli teraz żołnierze. Pomiedzy nimi widać było dalszą część ulicy, gdzie stał dom złotnika, a jedno z okien tego domu wciąż było otwarte. Jak wtedy...

Widział plamę zaschniętej krwi na bruku...

Wszyscy mimowolnie także spojrzeli w tę stronę.

Tylko przyjaciele wiedzieli, co oznaczał żal w jego oczach.

— Nie było jej już — tłumaczył cicho Alesei, podobnie jak wcześniej —
Przykro mi.

Sel bez słowa odwrócił się, pociągając za sobą Oliwiera i Sai do domu.

Julien czekała na nich z bijącym sercem. Alesei nieco wszystkich

wyprzedził.

— Jest w czarnej sukni — powiedział świadomy tego, że dom jest pełen strażników.

Przygotowana więc na to, co zobaczy, wyszła im na spotkanie.

Objęła Sela.

Przez chwilę stali tak objęci i czuła jego drżenie. Pozwolił sobie na to, by nieco ochłonać w jej ramionach. Potem odsunęła się i pocałowała go delikatnie w policzek. Tak bardzo był spięty, że z trudem się uśmiechnął na tę czułość. Cieszyła się, że za chwilę będzie miał powód do choć odrobiny radości.

— Żyje? — zapytał ledwo słyszalnie.

Doskonale wiedząc, o kogo chodzi, delikatnie skinęła głową, co sprawiło, że wyraźnie się odprężył. Puścił ubranego w suknię Oliwiera, porozumiewając się z nim wzrokiem i poszedł na górę po schodach. Żołnierze wciąż stali w pobliżu.

Julien spojrzała na brata.

Celowo uniknęła pierwszego przywitania właśnie z nim, wybierając najpierw Sela. Teraz pozwoliła, by uśmiech ulgi i szczęścia rozjaśnił jej twarz, a potem pośpiesznie pochwyciła jego rękę.

— Chodź! — zawołała i nim ciekawscy ochłonęli ze zdumienia tym zachowaniem, pobiegli na górę za Selem, minęli go i znaleźli się w pokoju, gdzie nocowali Sai i Alesei, tak jak to wcześniej uzgodniła z Rossem. Tam, kiedy zamknęła drzwi, mogli wreszcie poczuć się swobodnie i tam uścisk brata był mocniejszy niż przystoi kobiecie. Podobnie, jak dziwnym wydałoby się postronnym osobom także to, że pozornie drobna Selena unosi swą siostrę i obraca się z nią w kółko w nieskrywanej radości. Potem Oliwier wtulił się w ramiona siostry, rozkoszując się uczuciem jedności i spokoju. Dzielili tę samą radość ze spotkania, te same myśli i troski.

To samo ukojenie.

* * *

U szczytu schodów Sel przystanął.

Powoli zbierał się w sobie.

Wszyscy gdzieś odeszli, jedynie na górze usłyszał jakiś ruch.

Tam był Ross.

Ale byli też oni. Zamknięci w pokoju, zamordowani. Niemi.

Czuł ich obecność w całym swoim istnieniu, nie wiedząc nic o pogrzebie.

— Nie możecie już mówić — szepnął, lecz ta myśl mu nie pomogła. Nie pozbawiła lęku przed nimi.

Zupełnie jakby wciąż mieli władzę nad jego życiem! Znów ich zobaczy. To prawda, że już nieżywych. Wyobrażał sobie martwe spojrzenie matki, pytające go z wyrzutem: „Czemu to ja nie żyję, a nie ty?”. „Czemu nam to zrobiłeś, synu?” — zapyta swym zboląłym wzrokiem ojciec.

Poczuł, jak pewność siebie go opuszcza, jakby tracił siły. Zupełnie jakby znów musiał walczyć o swe istnienie, udowodniać, że jest wart życia, które mu podarowano.

— Ross — szepnął błagalnie.

Nie wiedział, czemu go woła. Ross pewnie powoli wracał do zdrowia w którymś z pokojów na górze i nie mógł do niego przyjść. On musi iść do niego. W udreće zapomniał już o radosnym zdziwieniu, że widzi przyjaciół całych i zdrowych. Świat znów stawał się takim, jak go zostawił.

— Muszę — szepnął do siebie. — Jeśli chcę żyć, muszę iść dalej.

Ta myśl natchnęła go nową siłą. Ruszył, nieświadomy tego, że ukryci przed jego wzrokiem Sai i Alesei czekają z lękiem, by zebrał się w sobie i wkroczył na znajomy korytarz.

Strażnik Nils w milczeniu wskazał mu drzwi pokoju obok siebie. Sel minął pokój rodziców, unikając choćby spojrzenia na niego i wszedł do kolejnego – otwartego tym razem na oścież.

Ross stał w oknie. Słońce, wciąż wysoko na niebie, oświetlało jego krótkie ciemnobrązowe włosy. Jego twarz wyrażała zarazem obawę, nadzieję i szczęście, nieskrywana pod makijażem, który w Domu Rozkoszy był zmuszony nosić.

Sel, z niewysłowioną ulgą, objął go bez słowa...

* * *

Słońce już zaszło, gdy Wiwan po raz pierwszy od dłuższego czasu otworzył oczy.

Czuł, jakby unosił się na wodzie. Ból opływał go, lecz nie był już nieznośny. Świat wokół był ożywiony i słyszał jakieś głosy, lecz nie były one zbyt natarczywe. Raczej kojące. Przed nim zaś stał ciemny kształt.

Słabo rozróżniał jego kontury.

— Cieszę się, że w końcu cię poznałem — usłyszał głos brata. — Doskonale rysujesz.

Przez uczucie, że gdzieś wciąż odpływa, nie zrozumiał odpowiedzi.

— Pafian — powiedział cicho.

Nie słyszeli go. Nie dziwił się. Sam nie był pewien, czy rzeczywiście coś powiedział.

Wydawało mu się, że minęła chwila, gdy usłyszał głos Pafiana. Musiało już być dużo później. Nie słyszał już głosów w pokoju.

— Wiwan? Jesteś ze mną?

Otworzył oczy i zobaczył go nad sobą. Twarz brata rozpromieniła się pod wpływem ulgi.

— Nadal masz przekrwione oczy, ale to minie — zapewnił go łagodnie. Siedział przy nim na łożu. Po chwili Wiwan poczuł dotyk jego dłoni.

— Pamiętasz mnie?

Kiwnął nieznacznie głową.

Pafian odetchnął z ulgą.

— Na pewno chcesz pić — rozmył się nagle, by po chwili znów nabrać kształtów. — Masz — poczuł chłodną wodę, którą skosztował łapczywie. — Powoli. Zaraz dostaniesz resztę.

Uścisnął jego dłoń w pokrzepiającym geście, jakby chciał zapewnić, że teraz już wszystko będzie dobrze. Ale łzy, które zalśniły w jego oczach, przeczyły temu.

— Przepraszam — odwrócił wzrok, a Wiwan po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że musi naprawdę źle wyglądać, skoro brat nie może powstrzymać łez.

Nie mogąc wydobyć głosu, odwzajemnił uścisk jego dłoni tak mocno, jak potrafił, by pokazać mu, że nie jest tak źle.

— Będę tu cały czas — zapewnił go na to Pafian. — Nie daj się nocy. Jestem z tobą. Wszyscy w tym domu jesteśmy z tobą.

Nie puszczał jego dłoni.

Była jak życie.

* * *

Przez kolejne dni i noce Wiwan oddalał się i powracał. Sedon odwiedzał go każdego poranka.

— Śmierć ciągnie go za jedną nogawkę spodni, a ty za drugą — usłyszał kiedyś, jak mówi do Pafiana.

Wdało się zakażenie. Medyk denerwował się nie na żarty, przeklinał ludzi, którzy gryźli uzdrowiciela i szarpali swoimi zębami. Wymykał się mu. Czuł to. Dręczyła go gorączka, tracił rozeznanie, gdzie i z kim jest. Pafian unosił się nadzieją, gdy widział go przytomnym. I odchodził niemal od zmysłów, gdy wydawało mu się, że Wiwan słabnie. Na przemian prosił lub kłócił się z medykiem. Widział też kobiety. Dzielnie go opatrywały, próbowały wcisnąć w jego usta wodę lub kilka łyżek zupy. Raz zwymiotował na dziewczynę o orientalnej urodzie.

— To on nie wie, czego chce!! — zdenerwował się Sedon podczas trzeciej wizyty, gdy Pafian oskarżył go o nieudolne działanie. — Nie wie, czy chce umrzeć, czy żyć!

— Kto chciałby żyć po czymś takim? — zapytał cicho męski, łagodny głos.

— Tak wygląda łaska twojego martwego wicekróla!
— Ross, nie wtrącaj się! — podniósł na niego głos Pafian.
— Uważaj, do kogo mówisz! — Sedon wyraźnie zwrócił się do tamtego, nazwanego przez Pafiana Rossem. — Licz się ze słowami!
— Nikt nie będzie mi rozkazywał...!
— Twoi przyjaciele być może będą jeszcze kiedyś potrzebować moich usług. Podobnie, jak ty!

Po ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach, Wiwan zrozumiał, że tamten ustąpił.

Nocą obudziło go zamieszanie i odgłos tłuczonej szyby.

— Spokojnie — powiedział do niego Pafian, pod którego oczami zobaczył wyraźne cienie. — Z nami jesteś bezpieczny.

Nie był sam. W pokoju był jeszcze młody mężczyzna o ciemnoblonde włosach, który wyciągnął szybko miecz w momencie, gdy jeszcze Pafian wypowiadał te słowa. Ostrożnie, stojąc przy ścianie, Pafian zerknął przez okno.

— I? — zapytał tamten.

Nim Pafian zdążył odpowiedzieć, otworzyły się drzwi. Przez wciąż stojący parawan, Wiwan nie widział twarzy przybyłego.

— Schwytailiśmy dwóch ludzi, którzy próbowali dostać się do domu przez pusty sklep — usłyszał. — Rano odwieziemy ich do lochów. Zamknęliśmy ich w składzie. Część ludzi jeszcze patroluje ogród i okolice. Bądźcie czujni!

Gdy zamknął drzwi, mężczyzna mruknął cicho:

— To już drugi raz.

— Sel! — gestem ostrzegł go Pafian.

Nazwany po imieniu zerknął szybko na Wiwana. Uśmiechnął się do niego.

— Nie martw się. Spokojnie wracaj do zdrowia.

Bardzo chciał dotknąć Pafiana i sprawić, by poczuł się lepiej. Ale zdołał jedynie zmusić dłoń, by nieco się uniosła.

Zobaczył jeszcze ich pełne niedowierzania i tajonej radości miny, nim znów odpłynął...

* * *

Rano zdołał przetrwać całą wizytę Sedona. Medyk zgodził się z opinią Pafiana, że nastąpiła poprawa. Radził jednak ostrożność w pokładaniu nadziei. Jego także zmartwił stan jego brata. Za namową medyka więc Pafian poszedł położyć się w sąsiednim pokoju, a jego miejsce zajął muskularny osiłek o długich do ramion, kręcących się ciemnych włosach i drugi o włosach koloru lubianej przez Wiwana czekolady... Z jego wisiosem na szyi.

Obaj przedstawili mu się. Osiłek miał na imię Alesei, a drugi Ross, którego

głos słyszał już wcześniej. Sprawiali bardzo sympatyczne wrażenie.

— Miałem nadzieję — zaczął Ross, siadając przy nim na łożu — że uda mi się z tobą porozmawiać.

Sięgnął po wisior. Ku zdumieniu Wiwana, nie mógł go z siebie zdjąć. Zupełnie jakby wisior na to nie pozwalał.

Skupił się z wysiłkiem na wspomnieniach.

Ross nie był tym, który mu go zabrał. Do końca życia nie zapomni tych oczu. Zimnych. Bez uczuć.

Teraz Ross spojrzął na Aleseia, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz? Mówiłem, że tak będzie”.

Co się stało? Czemu wyczuwał zmianę? Jakby w pokoju prócz nich była jeszcze jakaś świadomość...

— Nie chce mnie opuścić — zaczął tłumaczyć Ross. — A to, co robi...

Opowiedział mu o tym, jak wisior do niego trafił i jak działa na innych i jego samego. Uspokaja, łagodzi obyczaje, wypędza złe sny.

— Pierwszą noc wstawałem trzy razy — powiedział. — Sai... — umilkł, najwyraźniej nie chcąc mówić nic więcej, by po chwili kontynuować: — Selena — uśmiechnął się porozumiewawczo — mówi, że się poznaliście na zamku. Sel... — zastanowił się. — Wciąż ma czasem wrażenie, że się dusi. Zupełnie niespodziewanie. Długo był chory. Teraz już nie ma takich ataków. Przynajmniej na razie.

— Powiedz, jak nazwaliśmy ten wisiołek — wtrącił Alesei.

— No tak — Ross uśmiechnął się lekko — Nazwaliśmy go Klejnotem Nadziei. Nie jest to nazwa, która oddaje w pełni jego dar, ale... — zastanowił się przez chwilę. — Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Nie wiem, jak to się stało. Nie chciałem ci go zabierać. Ale skoro jest teraz ze mną i odpędza złe sny pomyślałem, że może tobie także przyniesie ulgę — powiedział, delikatnie ujmując jego zabandażowaną rękę.

To, co stało się w chwilę potem było jednym, wielkim koszmarem...

Wiwana najpierw zobaczył dziewczynę o orientalnej urodzie. Przed lustrem. Jej nagie ciało. Udrękę na twarzy. Okrutnego typa o wyglądzie pirata, który brał ją siłą na stole. Jej krzyk, jej ból. Poprzez straszną wizję zobaczył twarz Rossa, który zachłysnął się powietrzem i w jednej chwili zrozumiał, że on widzi to samo. Potem druga dziewczyna. Krzyczała na łożu, a Ross i ten drugi, zwany Selem, próbowali jej pomóc. Pobita. Bliska utraty zmysłów.

Oliwier. W komnacie wicekróla.

— Sam decyduję, co mam robić!! — usłyszał gniewny głos strażnika, który pochylał się nad nim, a potem walczył z własnymi towarzyszami by wreszcie rzucić się na niego, próbując zderzyć z niego suknię. Potem nagle widzi oczami Oliwiera, jak strażnik szarpiąc się z nim, wykrzywia się w zimnej furii, a jego

twarz jest pochłapana krwią, czuje jego rękę pod materiałem sukni i nagle widzi, jak odkryta prawda odmienia tę twarz — z początku niedowierzającą, potem zmieniającą się w oblicze o niewyobrażalnym okrucieństwie...

Potem Sel.

— Nie jestem dla ciebie dość wart, by żyć! — krzyczał do kobiety, podobnej do niego.

To jego matka.

Czuje jego udrękę w tych słowach i siłę tej rozpacz, która nim kieruje.

Łzy spływają po twarzy Rossa, ale jest też coś jeszcze. Jakby włosy zmieniały się...

Widzi go teraz. Matka stoi w drzwiach do pokoju i zachęca swego kochanka, który bije go pogrzebaczem, a Ross broni się...

— Stój! — krzyknął nagle Ross. — Zatrzymaj to! Proszę, zatrzymaj to!

Jego włosy w jednym miejscu wyraźnie bieleją. Jedno pasmo po chwili staje się całkiem białe. Śnieżnobiałe.

To Klejnot! Jaśniał czerwonym blaskiem. Ross tracił siły. Jego myśli rozpierzchały się. Nie był w stanie tego znieść.

Wstrząśnięty Alesei nawołuje przyjaciół.

— Pomóż! — mówi mu Wiwan i są to pierwsze słowa, jakie słyszy ze swoich ust, wypowiedziane ochryplym głosem tak niepodobnym do dawnego.

Alesei pomaga mu usiąść. Wiwan dotyka czoła Rossa i uspokaja jego umysł, rozgrzewa jego serce otuchą, naprawia szkody poczynione przez klejnot. Kątem oka widzi, że pokój zapełnia się ludźmi, ale nie zwraca na to uwagi. Najważniejsze teraz jest to, by pomóc drugiemu człowiekowi.

Potem sięga do klejnotu, kładzie na nim dłoń i przemawia do niego mentalnie: „Wiem, to straszne, co ich spotkało”.

Nagle wizje znikają.

Klejnot załśnił delikatnym blaskiem, Wiwan poczuł ogarniającą go ulgę, a myśli zaczęły się uspokajać. Pamięć o strasznych wizjach zaciera się. Wrażenia łagodnieją. Umysł nabiera do nich właściwego dystansu. Już tak nie będzie, jak było. Nie wróci to więcej... Mija... Już minęło...

— On ma świadomość — szepnął cicho Wiwan, patrząc na klejnot. — Ja go nią obdarzyłem...

Ross puścił go. Wiwan żałował, że nie może wyczyścić pamięci swojej i klejnotu. Pozostanie w nich na zawsze. Zawsze widział w umyśle, jak coś się stało. Jak wtedy, gdy pewna kobieta złamała rękę, rzekomo uderzając się o drzwi. Widział maltretującego ją męża...

Zawsze widział: jak, kiedy, o co, przez kogo...

Zawsze.

Nigdy nikomu o tym nie mówił. Poza matką. Mogli uznawać go za zbyt

wrażliwego, zbyt mało męskiego, ale prawda była taka, że z czasem po prostu nie potrafił już tego znieść. Ponieważ znał gorzką prawdę.

Myśleli, że chodzi tylko o to, co zobaczyli wraz z nim na własne oczy.

Ale tu chodziło też o to, czego NIE widzieli...

Teraz Ross poznał jego tajemnicę.

Ross wstał chwiejnie, tuląc do siebie dłonie. Broniąc się instynktownie przed kolejnym dotykem uzdrowiciela, zacisnął palce na klejnocie. Nie zrozumiał jeszcze. Był przekonany, że to wina uzdrowiciela. Był przerażony tym, co zobaczył. W szoku nie myślał jasno. Nie patrząc na nikogo, nie słysząc przyjaciół, którzy go wołali, wyszarpnął się z ich dłoni i wyszedł z pokoju.

— Zatrzymajcie go — szepnął Wiwan, czując, jak kręci mu się w głowie, znów czując powolną utratę świadomości.

Alesei powtórzył jego słowa, ktoś poszedł. Pafian znalazł się blisko łoża. Z troską obaj ułożyli go delikatnie z powrotem w pościeli.

— Wiwan, co się stało? — zapytał brat przejęty do granic.

— Trzymali się tylko przez chwilę... — powiedział Alesei i chciał mówić więcej, lecz nagle umilkł, widząc, co dzieje się z uzdrowicielem.

Gubił poczucie rzeczywistości. Zatracał czas i miejsce. Odpływał.

— Nie odchódź — szepnął zbieleły na twarzy Pafian, widząc co się dzieje — Patrz na mnie. Wiwan!

Kosztowało go to wiele sił. Skupił się na jego twarzy.

— Powiedz, by wezwali Sedona — powiedział gorączkowo Pafian do Aleseia. — Niech się spieszą!

Alesei nie dyskutował. Po chwili już go nie było.

— Co zrobiłeś?! — zapytał gorączkowo Pafian. — Leczyłeś go?! Z czego? Co się stało?!

— Widział... — szepnął Wiwan, a gardło paliło go ogniem, więc Pafian pośpiesznie sięgnął po kubek z wodą.

Ale nie zdążył powiedzieć mu nic więcej, gdyż nagle usłyszeli głos żołnierza od progu:

— Panie hrabio, Ross wybiegł z domu. Musieli czekać na taką okazję. Porwali go. Zrzucili mu pętlę na szyję i pociągnęli za koniem.

Wiwan zobaczył, jak twarz brata znika nagle w ciemnościach...

* * *

— Nie pogorszyło mu się — zapewnił Sedon, gdy skończył badać stan uzdrowiciela. — Prawdę mówiąc, uważam, że nastąpił znaczący przełom w jego chorobie. Powoli dojdzie do siebie, choć doprawdy nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Zdaje się, że motywuje go do życia pomoc innym. — Wiwan poczuł,

że medyk pochyla się nad nim, jego zapach stał się bardziej intensywny, czuł jego pot i nieświeżą odzież. — Po tym wszystkim, co ci zrobiono Wiwan?! Naprawdę wciąż chcesz to robić?!

Z trudem otworzył oczy.

Pafian, Sedon i niemal cała grupa, którą zdążył już poznać, stali w pobliżu. Brakowało Sela. I Rossa...

Głos znów go zawiódł. Próbował zapytać, ale jego gardło wydawało się zardzewiałe i stare. Pafian nachylił się do jego ust.

— Pyta, co z Rossem — wyjaśnił wszystkim i uśmiechnął się do brata z dawno niewidzianym błyskiem w oku. — Ty się chyba nigdy nie zmienisz.

Nie wydawali się przejęci, czy zaniepokojeni i po chwili Wiwan dowiedział się, dlaczego.

— Twój brat wysłał mnie do kapitana — zaczął mówić Alesei. — Przekazałem mu, co miałem i usłyszałem zamieszanie z zewnątrz. Zarzucili Rossowi pętlę na szyję i pociągnęli za koniem. Było ich trzech. Selena pobiegła z nami, to znaczy ze mną i Selem, który dołączył, ale zniknęła z oczu, więc myślałem, że jesteśmy sami na przedzie, bo nasza straż nieco się spóźniła. A on... ona — poprawił się pospiesznie. — Goniła ich po dachach. Żałuj, że tego nie widziałeś. Odkryła, dokąd chcą jechać i przecięła im drogę. Nie mogli jechać zbyt szybko, wyraźnie nie chciało im się wlec Rossa po ziemi. Może bali się, że zgubi klejnot. To go uratowało. Kiedy dobiegliśmy, Selena powaliła ich kilkoma celnymi strzałami z procy. Pospadali z koni. Dopadłem jednego z drugim. Obiłem ich trochę. Sel także. Resztę załatwili żołnierze. Przyniosłem Rossa. Leży w swoim łóżku, a Sel mu matkuje. Nic mu nie będzie. Śpi.

Pafian uśmiechnął się do Wiwana z braterską czułością.

— Nie strasz mnie już więcej — poprosił cicho.

Musiał odpowiedzieć choć cieniem uśmiechu i bardzo się o to starał, bo wszyscy odprężyli się, nawet Sedon, z którym nie chciał rozmawiać. Powoli powracały inne wspomnienia i ukryte dotąd odczucia.

Na ich twarzach, choć teraz wydawali się spokojni, widział ukryty lęk. Poczucie zagrożenia.

To był zuchwały atak, a to znaczyło, że złodzieje stawali się niecierpliwi.

Nie byli tu bezpieczni...

* * *

— Moja opieka nad tobą już się kończy — powiedział do Wiwana następnego dnia rano Sedon po badaniu.

— Część łagodniejszych urazów zniknęła, skóra głowy jest już, jak widzę, wyleczona, włosy odrastają, choć nie jest to z pewnością ostatni krzyk mody na

królewskim dworze. Oczy nie przypominają oczu demona. Sam to robisz, prawda? — gdy Wiwan kiwnął głową potakująco, siedząc na skraju łoża, medyk kontynuował swój wywód: — Leczysz się szybciej od kogokolwiek innego w twoim przypadku.

Wiwan spojrzał na niego wymownie. Czy były przypadki takie jak jego? Nie sądził. Sedon zmieszał się pod tym spojrzeniem z ukrytym w nim oskarżeniem.

— Wiem — odparł na nie. — Powinna spotkać mnie kara za zdradę. Ale poza tobą jestem jedynym dobrym medykiem w tym mieście i śmiem twierdzić, że moje umiejętności uratowały moje nędzne życie. Wypuszczając uzdrowiciela z rąk, król nie może się przecież pozbawić ochrony i choć ma zabezpieczenie w postaci twojej krwi, to nigdy dość ostrożności. Zostałem skazany na dożywotni pobyt na zamku, areszt w przyzwoitych, lecz nie tak luksusowych warunkach, pod ciągłą strażą. Jestem użytecznym więźniem, Wiwan. Stracenie mnie nie leży w interesie królestwa — dodał z nutą ironii.

Umilkł na chwilę, zerknąwszy na straż stojącą w otwartych drzwiach. To oni mieli za zadanie odwieźć go do zamku. Za nimi słychać było brata uzdrowiciela, rozmawiającego z kapitanem straży i nowymi przyjaciółmi z burdelu, jak o nich zawsze myślał pogardliwie Sedon. Dziwki i złodzieje — oto nowe towarzystwo uzdrowiciela. Oczywiście rozmowa w obecności medyka nie była o czymś ważnym, choć wiedział już, że po wczorajszym ataku na tę pyską „porcelankę” coś planują.

Widząc badawczy wzrok uzdrowiciela, nakazał sobie opanowanie. Wiwan potrafił czytać z mowy ciała, chwycił zmysłami ukryte myśli. Najwyraźniej w tej dziedzinie także wracał szybko do formy. Należało przy nim zachować ostrożność.

— Żałuję jednej rzeczy — powiedział, podczas gdy Pafian wrócił do pokoju i usiadł obok w fotelu. — Szczerze, a przynajmniej w tym powinieneś mi wierzyć, żałuję tego, co cię spotkało. Uwierzyłem mu. Zapewniał, że to nie leży w jego interesie, by stała ci się krzywda. Przecież jesteś prawdziwym cudem dla całego królestwa! — w tonie jego głosu obaj bracia usłyszeli wciąż wyraźne niedowierzanie, że można było tak postąpić z uzdrowicielem. — Jesteś darem dla ludzkości! Leczysz z każdej choroby, nieważne jak byłaby poważna i beznadziejna. Jak można być takim głupcem, by zmarnować w ten sposób tak wielki skarb?!

Wiwan nie spuszczał z niego wzroku, starając się, by jego spojrzenie oddawało jego odczucia po tych słowach: pogardę, żal, złość.

Sedon nie był głupcem. Zrozumiał to.

— Tak — odparł. — Wiem, co chcesz powiedzieć. Dla mnie, dla króla, dla tamtych padlinożerców nawet — jesteś tylko użytecznym narzędziem. Tylko tyle nas obchodzisz. Tak właśnie myślisz, prawda? — westchnął z rezygnacją. — Nigdy nie umiałem wyrazić dobrze swoich uczuć. Pewnie dlatego wciąż jestem kawalerem na ten przykład — uśmiechnął się lekko do obu, ale nie odwzajemnili

się tym samym. — Byłem głupcem, to prawda. Ale nigdy nie przestałem podziwiać twego daru. I tego twojego uporu. Leczyć innych, mimo że nie zawsze odpłacają ci się za to należyłą wdzięcznością! Ludzie powinni cię wielbić! Powinni kłaniać ci się w pas za to, co dla nich robisz! Zamiast tego beztróska niszczą najcenniejszy dar, jaki mogli otrzymać.

Medyk spojrział na niego z powagą i szacunkiem. Była w tym spojrzeniu najprawdziwsza szczerłość. Wzrok Wiwana złagodniał.

Mężczyzna uśmiechnął się, widząc tę zmianę. Skłonił się uprzejmie i z godnością.

— Do zobaczenia, Wiwanie — skinął też uprzejmie głową Pafianowi. — Pójdę jeszcze obejrzeć przed odejściem człowieka, który dwadzieścia lat od swego urodzenia czekał, by twój dar go wyleczył. I uwolnił z tego domu żałoby.

Raz jeszcze skłonił się im, a po chwili usłyszeli go rozmawiającego z Selem.

* * *

Po obiedzie dyskretnie przeprowadzone przygotowania, które Pafian rozpoczął wraz z kapitanem straży, zostały zakończone. Przygotowano ekwipunek i prowiant. Sprawdzono, czy powóz jest rzeczywiście w pełni sprawny i gotów do drogi. Wszyscy nosili teraz broń. Kobiety pod sukniami założyły też spodnie. Pozornie życie w domu przebiegało jak do tej pory. Zabroniono Rossowi pod jakimkolwiek pretekstem wychodzić. Żołnierze, którzy po wczorajszej akcji przekonali się o ogromnej sprawności Aleseia i Sela w czasie walki, odnosili się do nich z większym szacunkiem i przyjaźnią, zaś Selenę, o której dzielności część z nich zdążyła się przekonać na zamkowym placu w czasie walk, darzyli teraz niemal boską czcią. Oliwier znosił to ze spokojem, godząc się powoli z tym, że jest to część jego drugiego życia, które zupełnie niezaplanowanym zrządzeniem losu zaczynało już być legendą.

Nawet okoliczności śmierci Morena były już opowiadane inaczej. Podobno Selena pochowała ciało zakochanego przywódcy bandy w ogrodzie, a Sel pomagał jej przy tym, płacząc nad ukochanym. Niezbyt podobna im się obu ta wersja, tak romantycznie brzmiąca w opowieściach o okolicznościach zamachu na króla. Wydostanie ciała Morena z głębokiej przepaści nie było możliwe. Świadomość, że wciąż tam leży niepochowany, wpływała na wyobraźnię Oliwiera, któremu pierwszej nocy wydawało się, że Moren znów stoi pod oknem. Jego strach miał też silny wpływ na Sela, wciąż niemogącego się otrząsnąć z niedawnych wydarzeń. Dopiero pomoc Rossa położyła kres niepokojom.

Wreszcie Oliwier postanowił, że zjawi się u Wiwana.

Widząc go, zbladł ze zgrozy. Część opatrunków już zdjęto. Ledwie widoczne ślady po pogryzieniach szybko się zablizniały. Krzywo odrastające włosy wciąż nie

były tak gęste, ale sądząc po tym, co opowiadała mu Julien wcześniej niemal ich nie było, więc z pewnością teraz należało się cieszyć stanem obecnym. W ciągu tych paru dni po tragicznych wydarzeniach Wiwan bardzo schudł. Policzki zapadły mu się, a pod błyszczącymi — zapewne od gorączki — oczami kryły się głębokie cienie. Wyglądał, jak szkielet obciążony skórą. Jedyne brwi o gęstym, szerokim łuku wciąż wyróżniały się w jego twarzy, w tej chwili nadając jej wyraz dziwnej wręcz drapieżności.

I uśmiech. Wciąż był ten sam.

— Hej — przywitał się z nim, siadając na krawędzi łoża.

Wciąż poruszał się tak, jak wymagało od niego przebranie. Ciągłe czujnie był obserwowany przez strażników, którym podobała się jego niezwykła uroda.

— Pamiętasz mnie?

Odpowiedź łatwo można było wyczytać z twarzy Wiwana. Pafian uśmiechnął się pod nosem.

— Pewnie zastanawiasz się — zaczął cichym głosem Oliwier — dlaczego dopiero teraz się tu zjawiam? Widzisz... — urwał na chwilę — czułam, że cię zawiodłam — bardzo chciał powiedzieć to we właściwej formie. — Powiedział... am, że nie jesteś tu sam, pamiętasz? Nie chciałam — strażnicy z pewnością myśleli, że Selena przeżywa teraz po prostu wielkie wzruszenie, ale spróbował o nich nie myśleć — byś się dowiedział, że na zamku jest Pafian, bo gdyby coś poszło nie tak... Przepraszam, Wiwan — a potem szepnął cicho tak, by tylko uzdrowiciel go usłyszał: — Zawiodłem cię. Nie pomogłem ci. Przepraszam.

Wiwan wyciągnął rękę. Dłoń, którą trzymał kurczowo zaciśniętą na krzyżyku w czasie ataku, teraz delikatnie połyskującego na jego szyi. Oszaleli z żądy ludzie niemal zdarli z niej skórę. Sedon użył wszelkich dostępnych mu metod, by nie wdało się zakażenie. Inaczej trzeba by ją było amputować. Był naprawdę znakomitym medykiem. Niestety ręka nawet po wyleczeniu, w dużej mierze dzięki darowi Wiwana, choć sprawna, miała zostać na zawsze oszpecona bliznami. Ostrożnie zacisnął ją na dłoni Oliwiera i przyciągnął go do siebie tak blisko, by szepnąć mu do ucha, skrywając go za parawanem:

— Nie zawiodłeś mnie. Nie przepraszaj.

— Wiesz o...? — odszepnął do niego Oliwier.

Poczuł, jak Wiwan kiwa głową, wciąż trzymając go blisko siebie. Dobrze było czuć znów jego bliskość. Tak bardzo przypominał swym dotykiem kogoś mu bliskiego. Ojca... Matkę... Łzy same załśniły w jego oczach. Zepchnięte w cień wspomnienia ukłuły w samo serce.

— Mogłeś zginąć — szepnął z bólem.

Wiwan objął go i pozwolił, by Oliwier uspokoił się w jego ramionach. W jego rodzinnym mieście ludzie często dążyli do tego, by ich przytulił. Czy były to dzieci, czy dorośli. Każdy w którymś momencie swojego życia stojąc na zakręcie,

szukał z nim bliskiego kontaktu. Nie było ważne, czy była to mała dziewczynka, czy doświadczony wojownik. Potrzebowali go. To pragnienie przełamywało dumę czy skrzepowanie. Coś w nim... jego otwartość na ludzi zawsze sprawiała, że upadały mury i nikt wokół nie uważał tego gestu za śmieszny, czy mało męski. Czasem było to nieco dziwne, kiedy nieznajomy zupełnie człowiek mocno go uściskał. A potem odchodził wyraźnie podniesiony tym na duchu, jakby tego właśnie potrzebował. Wiwan traktował to od dawna, jak rzecz zupełnie naturalną.

Teraz czuł ukryte emocje Oliwiera, jakby ich dotykał. Oliwier oswajał się z odzyskaną swobodą po śmierci swego prześladowcy. Jednocześnie frustrowała go myśl, że ugrzązł w tym przebraniu, podczas gdy obok niego jest niezwykle piękna dziewczyna, o której wcześniej bał się nawet marzyć, a wszystko znów toczyło się w jego życiu nie tak, jak powinno. Choć czuł ulgę, wiedząc, że Wiwan o nic go nie obwinia, nie przestał jednak obwiniać sam siebie.

Dzięki jego dotykowi doszedł do zgody z własnym sumieniem i zyskał nieco spokoju.

Ross pojawił się po wyjściu Oliwiera. Śnieżnobiałe pasmo jego włosów dodawało mu uroku, choć jednocześnie nadawało jego wyglądowi pewnej dojrzałości, podobnie jak kryjąca się w kącie jego ust gorycz.

— Powiedz — szepnął — czy będziemy jeszcze kiedyś mogli uściskać sobie dłonie? Nie lubię bać się w nieskończoność. Wolę wyjść lękowi naprzeciw.

„Wiem — pomyślał Wiwan. — Widziałem to. Widziałem, jak zacząłeś się bronić przed tym łajdakiem”.

— Nie byłem przygotowany — odparł mu cicho. Głos wciąż miał zdarty od krzyku, czasem go jeszcze zawodził. — To już się nie powtórzy.

Ross bez wahania wyciągnął więc swoją dłoń.

— Pokaż — poprosił.

Uścisnęli sobie dłonie, choć w pierwszej chwili Ross drgnął nerwowo, pamiętając o wcześniejszym zdarzeniu. Wiwan mimo wszystko podziwiał jego odwagę.

Obaj odetchnęli z ulgą. Klejnot milczał. Wiwan gotów zamknąć przed nim umysł swój i Rossa, odprężył się.

— Czemu cię bili? — zapytał z troską.

Ross zacisnął szczęki.

— Bo byłem inny — odparł. — Inny pod każdym względem.

W umyśle Wiwana nie było podziałów ludzi na kolor skóry, religie czy upodobania. Tylko na dobre czy złe serca i czyny oraz sprawiedliwość. Wiedział, o czym mówi Ross. Nigdy jednak nie potrafił tego zrozumieć.

— Co się stało z twoją matką?

— Wyjechała w podróż z tym swoim gachem po mojej ucieczce z domu. Więcej jej nie widziałem. Nawet nie przyszła zapytać, czy żyję po tym, jak...

Nawet mnie nie szukała.

Wiwan przypomniał sobie tę wizję, jak podpuszczała swego kochanka, by bił jej syna.

Zamknął sam przed sobą złe uczucia.

— Wiesz — szepnął Ross — po tym, co się stało... lepiej ich rozumiem... moich przyjaciół... Wiedząc więcej, lepiej potrafię im pomóc. Czuję to.

— Klejnot i ty to jedność — wyjaśnił mu Wiwan. — Uczycie się od siebie nawzajem.

— Będę miewał te wizje?

— Tylko jeśli mu na to pozwolisz.

— Ty je miewasz. Zawsze, prawda?

— Tak.

Ross spojrział na niego ze zrozumieniem i smutkiem.

— Nie jest ci łatwo. To dlatego mówią, że płaczesz. A niektórzy sądzą, że... — urwał i uśmiechnął się do swoich myśli.

— Że...?

Z błyskiem w oku Ross spojrział na niego.

— Że jesteś taki jak ja — odpowiedział.

Teraz uśmiechali się obaj.

* * *

Przed wieczorem Pafian przyprowadził bratu kolejnego gościa.

— Pamiętasz może kapitana Terona Winna z naszej osobistej straży — przedstawił go. — Ma ci coś ważnego do przekazania.

Wiwan pokiwał głową.

— Pamiętam, choć nie jako kapitana — odparł.

— Jestem kapitanem oddziałów księcia Merona — odparł Teron. — Awansowano mnie po śmierci w walce dotychczasowego kapitana.

Młody kapitan wydawał się rzeczowy i konkretny. Wiwan poznał go w czasie pobytu na zamku. Często towarzyszył księciu u boku dawnego kapitana. Jego ciemne włosy były niemal tak czarne jak heban. Podobnie jak oczy. Miał gęste, czarne rzęsy i brwi, co nadawało mu nieco srogiego wyglądu. Wrażenie rozmywało się, gdy tylko poznało się go bliżej.

— Panie hrabio — zwrócił się do niego Teron — poprosiłem twego brata o tę wizytę, by mieć jak najlepsze rozeznanie o stanie twojego zdrowia. Widzę, że jest lepiej niż sądziłem. Dlatego muszę cię uprzedzić. Planujemy opuszczenie tego domu jak najszybciej. Wszyscy są gotowi, by na dany przeze mnie sygnał ruszyć do drogi bez wahania. Radzę założyć ubranie i mieć broń w pogotowiu. Pan, panie hrabio i jeden z pańskich przyjaciół nie jesteście już tu bezpieczni, jak pewnie się

pan domyśla po wczorajszych wydarzeniach. Nasi wrogowie, dzikie bandy, które kręcą się tu w coraz większej liczbie, stając się coraz lepiej zorganizowani. Wiemy, że mają już wspólnego przywódcę. Dalsze czekanie zwiększa zagrożenie. Za zgodą księcia, z uwagi na okoliczności, nastąpiły pewne zmiany. Podróż zajmie dwa dni. W tym czasie odprowadzimy was do celu drogi. Pierwotnie ochrona w postaci gwardii królowej miała być tylko przez jeden dzień. I oficjalnie — tu zniżył głos jeszcze bardziej, choć od początku mówił cicho, siedząc blisko Wiwana — nadal tak będzie... Miejmy nadzieję, że uda się bezpiecznie opuścić miasto.

Pozostało mu tylko jedno.

— Rozumiem — odpowiedział. — Będę gotowy.

ROZDZIAŁ 14 — Powiedz moje imię

Noc

Zasłonięto wszystkie okna. Broń trzymano przy sobie.

Straż pilnowała każdego pokoju. Patrowała ogród. Ukryła się w składzie na materiały i opustoszałym, splądrowanym sklepie kupca jedwabnego. Kapitan wysłał zwiadowców dla rozeznania sytuacji i czekał teraz na ich powrót. Chciał wiedzieć, co dzieje się na trasie planowanej ucieczki z miasta. Wiwan, którego drzwi pokoju były teraz nieustannie otwarte, ubrał się po długim wysiłku i pomocy swego brata.

— Wiwan — powiedział Pafian stojąc za zasłoną okna, częściowo ukryty w cieniu, gdyż paliła się jedynie jedna świeca. — Powiedz, czy w razie konieczności jesteś w stanie powtórzyć to, co zrobiłeś na targowisku?

Wiwan zdrętwiał ze zgrozy. Poczul, jak ogarnia go znajomy chłód.

— Chyba nie mówisz o tym, o czym ja myślę — odparł głuchym głosem.

Pafian usiadł przy nim. Spojrzał bez lęku w oczy swojego brata.

— Właśnie o tym mówię.

Wiwan poczul się, jakby właśnie wymierzono mu cios w żołądek.

— Tak po prostu zapytałeś? Jakby chodziło o parzenie herbaty? — spytał szeptem, nie mogąc, tym razem pod wpływem wzburzenia, wydobyć z siebie głosu.

— Nie mów, że tego żałujesz...

— Właśnie ty powinieneś wiedzieć najlepiej, co o tym myślę!

— Ci ludzie bez wahania rozerwaliby cię na strzępy. Zginać mogłeś ty albo oni! Choć raz jeden nie pomyślałeś o tym, co czują inni, lecz zadbałeś o własną skórę! Potrafisz zrobić to teraz?!

— To morderstwo, Pafian.

— To, co chcieli z tobą zrobić na targowisku byłoby morderstwem! Zapomniałeś już co ci zrobili?!

— Nigdy... — szepnął Wiwan, zamykając odruchowo myśli przed mrokiem...

Cisza, która zapanowała po jego słowach przytłoczyła serce Pafiana. Zawsze, do końca swojego życia będzie obwinał się za to, co się stało. Nigdy nie zapomni tego, co zobaczył. Nigdy nie zatrze w swej pamięci. Wciąż, gdy o tym myślał, to żal i złość sprawiały, że miał ochotę zadać sobie ból, poczuć jego cierpienie, na kolanach błagać go, by mu wybaczył opieszałość, która doprowadziła do tamtej sytuacji. Bo gdyby wcześniej... Gdyby zrobił... Ale wiedział, że Wiwan

nie chce, by padał przed nim na kolana. Nie chce, by błagano go o przebaczenie. Tak szybko, jak tylko to możliwe, chce o tym zapomnieć lub chociaż iść dalej, żyjąc z tym brzemieniem, daleko od tamtych wydarzeń. Jakby można było od tego uciec?! Jakby nie miotał się niemal każdej nocy w szponach tamtego koszmaru i budził się zlany potem i drżący, chwilami z trudem powstrzymując się przed przybraniem pozycji embrionalnej, by w zapamiętaniu się w rozpacz nie zacząć zawodzić. Ale Wiwan był silny. Wierzył, że z tego wyjdzie, że uda mu się jeszcze normalnie żyć. Widział to w nim. Tę wiarę czerpał z nadziei, że kiedy wróci do domu, do bliskich i przyjaciół zdoła zapanować nad koszmarem i uspokoić się.

Ze względu na niego Pafian wierzył w to równie mocno.

— Chciałbym... — zaczął spokojniej. — Pomówić o tym inaczej.

Rozumiem, co czujesz...

— Nie, nie rozumiesz! — zaprzeczył mu gwałtownie brat. — Nikt nie zrozumie! Każde z was prędzej czy później przejdzie nad tym do porządku dziennego. Odsunie się od tych wspomnień i zacznie żyć. I nie będę się temu dziwił! Sam zrobiłbym na waszym miejscu to samo! Oddałbym wszystko, by iść dalej, do czego wy teraz dążycie!

— Uda ci się! Daj sobie tylko trochę czasu, Wiwan!

— Do cholery! — Wiwan zacisnął pięści, jakby próbując powstrzymać emocje, które zaczęły nim targać. — Nic nie wiesz, Pafian!

Trudno byłoby się z nim nie zgodzić.

— Zawsze dajesz ludziom zdrowie i życie — Pafian spróbował więc inaczej. — Tam je im zabrałeś. Nie mam pojęcia jak, ale to zrobiłeś. Po to, by ratować życie, Wiwan. Swoje życie.

Wiwan milczał, więc Pafian kontynuował swoją przemowę:

— Wiem. — Boli cię, że musiałeś to zrobić. To rozumiałe. Przecież jesteś uzdrowicielem...

Wiwan, wciąż na niego nie patrząc, w myślach dotykał bolesnych wspomnień. Ich rozpacz, ich strach przed śmiercią. Wdarli się w jego duszę, rozdzielali go od wewnątrz swym żalem, błaganiem, oskarżeniem. Nim zamilkli wreszcie na wieki, zostawili w nim bolesne rany, swoje poczucie krzywdy i niesprawiedliwości. Te wspomnienia budziły w nim gniew i rozpacz. On tylko się bronił...

Gniew.

Mordowali go. Okrutni i bez uczuć rozdzielali go na strzępy.

I mieli jeszcze czelność oskarżać go?!

Mieli prawo, by wdzierać się do jego duszy, karząc go tym za swoją śmierć?!

— Zasłużyli na śmierć — wypowiedział na głos jego podświadome myśli Pafian, widząc zmianę na twarzy brata. — Zabraniam ci żałować tych zwyrodnialców! Zasłużyli na to.

Gniew i żal targnął ciałem Wiwana. Pafian rzadko widywał go rozzłoszczonego, ale zawsze, kiedy tak się działo, musiało zdarzyć się coś naprawdę niezwykle istotnego, wyprowadzającego Wiwana z równowagi. Jak to miało miejsce teraz.

— Teraz znów chcą ci zrobić coś złego — przekonywał go. — Kto wie? Może teraz skończyć się gorzej niż wtedy. Tym razem mogą cię zabić. Ciebie, Rossa, któremu najpewniej tym razem oderzną głowę, by dostać Klejnot w swoje łapy. Zabiją nas wszystkich, by cię dorwać Wiwan!

Wiwana spojrział mu w oczy. Śmiało, pewnie, z determinacją.

Pafian wiedział, że jeśli wspomni o sobie i innych, których los związany był z nimi, na pewno przekona brata, który zawsze dbał o dobro bliskich mu osób.

— Powtórzę to — odparł Wiwan złowieszczo, bez wahania.

„Nareszcie! — ucieszył się Pafian w duchu. — Nareszcie poczułeś to, co powinienes poczuć, bracie”.

* * *

Mijały kolejne godziny. Wysłani żołnierze powrócili do domu.

Cisza. Pojedyncze cienie. Obserwowali dom. Intruzów było kilku. Przy Bramie Zachodniej także paru. Nic szczególnego.

— Najwyraźniej uznali, że dziś jest jeszcze za wcześnie na atak. Może wiedzą, w jakim stanie jest uzdrowiciel? Myślą, że raczej nie będziemy chcieli opuścić dziś miasta — wyraził swoje przypuszczenie kapitan, gdy zjawił się u braci. — Dobrze. Zostaniemy tej nocy, ale miejcie się na baczności. Bądźcie gotowi. Wyjedziemy w południe lub o świcie. Lepiej, by w tych planach panowało trochę chaosu. Niech mają kilka niespodzianek.

* * *

— Sel, chciałbym zajrzeć do Julien — powiedział Oliwier.

— Teraz? Nocą?

— Ona nie śpi.

Od dawna nauczony tego, że Oliwier zna myśli i nastroje siostry, Sel nie zdziwił się na tę uwagę. Spojrział na ciemną sukienkę Oliwiera.

— A co z Sai?

— Sai? — udał zdziwienie Oliwier. — Co może być?

Sel nie dał się zwieść pozornie beztroską odpowiedzią przyjaciela. Widział, jak jego oczy podążają za piękną dziewczyną, gdy wydawało mu się, że nikt na niego nie patrzy. Oliwier pochwycił jego spojrzenie.

— Robię coś złego?

— Dlaczego?

— Nie zamierzam... — Oliwier urwał nagle i wskazał na swoje przebranie.

— Spójrz na mnie. Kim teraz jestem?

— Ona zna przecież prawdę.

— I wie, że ja i Julien... Takie myśli nie mają przyszłości, Sel. Nie w moim przypadku.

Ostatnie słowa wypowiedział z goryczą.

— Nigdy nie zdarzyło się wam zerwać tej więzi? — zapytał z ciekawością Sel. — Albo zamknąć umysły przed sobą nawzajem?

— Zerwać? — Oliwier gorzko się roześmiał. — Zapomniałeś, co podobno dzieje się wtedy z bliźniętami?!

Sel umilkł, ogarnięty cichym współczuciem.

— Gdy Julien śpi, jeśli ma spokojne sny, nie słyszę jej. Albo czasem, gdy obraża się na mnie, to potrafi... — Oliwier przerwał nagle, ogarnięty nagle cichą nadzieją.

— Potrafi odciąć się od ciebie? — Sel zainteresował się żywo. — Jak długo?

— Wtedy zwykle jest na mnie wściekła.

— I naprawdę tego chce — dodał spokojnie Sel, analizując głośno swoje myśli. — Jak długo?

— Nie potrafimy długo obyć się bez siebie nawzajem...

— Oliwier...

— Może godzinę. Ale to nie znaczy... — spojrzał na Sela, który znacząco się uśmiechnął — Przestań! To nic nie znaczy!

„Nie dla Sai” — stwierdził w duchu Sel.

Pomyślał ciepło o swojej przyjaciółce. Choć była teraz bardziej skryta, jakby chciała, by nikt nie widział jej rozpaczy noszonej w sercu, nie przestała jednak rozmawiać z innymi. Szukała pociechy w przebywaniu z przyjaciółmi i szybko polubiła nieco impulsywną Julien. Wiedziała, że jej brat dyskretnie na nią spogląda. Wiedziała, dlaczego Oliwier utrzymuje dystans. To było oczywiste. Ale najwyraźniej bardzo go lubiła i zawsze odnosiła się do niego ciepło, ze zrozumieniem. Jej wzrok przeszywał siłą swego smutnego spojrzenia, jakby patrzyła na niego poprzez kobiece przebranie.

Pochwycił raz to jej spojrzenie.

— Jest samotny — powiedziała, widząc, że ją przyłapał. Oliwier zabrał wtedy gdzieś Julien, oni chwilę pozostali. — Samotny wśród ludzi. Zamknięty w klatce własnego serca. Jak ja.

— Skoro ona może, ty także możesz — powiedział teraz do przyjaciela.

— Może lepiej zajrzyj, co robi Ross, dobrze? — odciął się z nutą gniewu Oliwier, choć jego serce zaczęło nagle gwałtownie bić, napędzane niespodziewaną nadzieją.

Julien wyjaśniła mu, co dzieje się między Selem a Rossem. Oliwier zastanawiał się, czy Ross wie o ukrytej miłości, którą Sel żywił do Morena. Nie sądził, by tak było. Cenił jednak młodego mężczyznę za taktowne zachowanie wobec przyjaciela. Dzięki Julien dostrzegał, jak bardzo Ross stara się z niczym nie narzucać. Jego uczucia zdradzały subtelne gesty, widoczne tylko dla tych, którzy o nich wiedzieli. Co prawda żołnierze żartowali sobie po cichu z niego i Aleseia, ale dyskrekcja Rossa sprawiła, że nawet opieka nad nim zaniepokojonego Sela nie wzbudziła okazji do plotek. Nie było dowodów na to, że coś ich łączyło. Sel zachowywał się powściągliwie, był bardziej milczący i zamknięty w sobie. Wyraźnie widać było, że chce zachować dystans i mieć czas, by ochłonąć po tragicznych wydarzeniach. Instynktownie, nawet, jeśli żołnierze coś widzieli, jak Nils, czy podejrzewali, jak pozostali, to przez szacunek dla człowieka, który przeszedł tak wiele, nie mówili o tym między sobą.

Sel nie miał zamiaru gniewać się za te słowa, choć nieco go one zaskoczyły. Domyślił się, że Julien coś mu o tym powiedziała. Zapewne po to, by działanie brata nie popsuło przez przypadek stosunków między nim a Rossem, przez błędne zrozumienie sytuacji.

— Pójdę — powiedział. — Ale ty zajrzysz wtedy do siostry, jak mówiłeś.

Oliwier spojrzał na niego i zobaczył zrozumienie w oczach przyjaciela. Odkąd wrócił do domu, Sel starał się, by widziano go zawsze opanowanego. Opanowanego do bólu. Mimo rozmowy, jaką przeprowadzili w zamku, nadal próbował utrzymać ten mur, który sam zbudował.

— Dobrze — odpowiedział mu nieco niepewnie.

Ku swemu zaskoczeniu, nie zastał Julien w pokoju z Sai.

— Poszła do Rossa — wyjaśniła dziewczyna. — Powiedziała, że musi pilnie coś z nim omówić.

Oliwier spłoszył się. Sai była sama, a on czuł się wyjątkowo niezręcznie. Przebranie nagle wydało mu się wyjątkowo groteskowe, gdy nie było siostry. Czuł się z tym okropnie. Mężczyzna, który przebiera się za kobietę wzbudza zwykle śmiech i politowanie. Nagle powód, dla którego to robi wydał mu się niedorzeczny.

Bo oto stała przed nim piękna dziewczyna o zjawiskowej, przyciągającej uwagę twarzy, delikatnej, nieskazitelnej. Jej włosy, upięte częściowo, pasmami zasłaniały tę twarz, jakby chciała się pod nimi ukryć. Jej sylwetka wydała mu się po prostu doskonała. Ubrana była w suknię podkreślającą jej talię. Sam miał w podobnym stylu na sobie. Nawet pas z mieczem darowanym przez królową wydawał się świetnie do niej pasować. Oświetlało ją kilka świec, których blask zdawał się podkreślać jeszcze jej urodę.

Oliwier wstydził się swojego wyglądu.

Nigdy nie będzie wyglądał tak doskonale, jak ona. Nie chciał tego.

Nigdy nie chciał, by taka kobieta, jak Sai widziała go w tym przebraniu.

— Wychodzisz? — zapytała, widząc że się wycofuje. — Zostań.
Porozmawiaj ze mną.

Podeszła do niego. Spojrzała na niego prosto w głąb jego duszy, jakby nie miał na twarzy tego okropnego makijażu, który miał złagodzić kontury jego twarzy.

Znienawidził się za ten wygląd.

— Rzadko masz okazję porozmawiać swobodnie — stwierdziła Sai. —
Zostań. Julien pewnie zaraz wróci.

Nie czuł rozbawienia w nastroju siostry przepływającym przez jego wnętrze. Nie wysmiewała jego zmieszania. Wydawała się dziwnie spokojna, odprężona, jak po przyjemnej kąpieli. Jakby szykowała się do snu.

Sai patrzyła na niego łagodnie. Wyciągnęła rękę.

— Chodź.

— Czemu poszła do Rossa?

Nie potrafił znaleźć jasnej odpowiedzi w uczuciach siostry. Co gorsze, uczucia te zaczynały docierać do niego niepełne, jakby nie chciała, by rzeczywiście poznał przyczynę. Jak wtedy, gdy naprawdę chciała, by nie wiedział, co myśli.

— Chciała z nim porozmawiać. Nie wiem, o czym.

Wszedł w głąb pokoju. Bliskość Sai działała na niego jak wino. Uderzała do głowy. Mąciła myśli.

— Wrócę później — powiedział niepewnie, ponieważ Sai stanęła blisko niego. Czuł delikatny zapach mydła i ziół. — Musisz przespać się przed podróżą.

Poczuł rumieniec rozpalający mu twarz, gdy powiedział: „przespać”.

Nagle usłyszał w swej głowie wyraźny przekaz od siostry. Podjęła decyzję. Przekazała mu całą swą siostrzaną miłość. Uspokajała, by się nie bał.

Nie bał? Co ona planuje?!

Nigdy nie słyszał jej myśli w ten sposób. Jakby je wzmocniła. Ubrała w słowa.

„Oliwier — usłyszał w swej głowie jej łagodny głos. — Zamykam bramę!”.

Co to ma znaczyć...?!

I nagle zamilkła.

Zachłysnął się powietrzem. Zaniepokojona Sai chwyciła go za ramię.

— Co się stało? — zapytała, prowadząc go do jedynego w pokoju łóża.

Wciąż wiedział, że Julien tu jest. Ale nic poza tym. Nie słyszał jej myśli. Nie potrafił odgadnąć jej nastroju, nie odczuwał jej emocji. Odcięła się. Żyła. Czuł to bez żadnych wątpliwości. Ale przestał ją słyszeć i czuć w wieloraki sposób. Jakby pozostała tylko wąska strużka łącząca ją z nim, miast rwącego strumienia.

Ross. Kamień Nadziei. Jak to zrobili?!

— Oliwier — Sai zmusiła go delikatnym ruchem, by spojrział na nią. — Co się dzieje?

Wypowiedziała jego imię...?

Wstrząśnięty tą nagłą ciszą, jakby coś mu zabrano, wydusił z siebie:

— Zamknęła bramę.

Sai delikatnie pogładziła go po twarzy.

Z początku nie zwrócił nawet uwagi na jej bliskość obok niego. Wsłuchiwał się w ten słaby sygnał, jaki zostawiła mu Julien. Nie rozpoznawał jej uczuć. Nie wyczuwał ich. Więc o tym mówiła! Zamknęła bramę, lecz uchyliła furtkę. Nie mogła odciąć się całkowicie.

— Jesteśmy sami — szepnęła nagle Sai.

Spojrzał na nią, rozumiejąc.

Zaplanowały to. Julien poszła do Rossa, a ten w jakiś sposób jej pomógł.

Uspokoił ją. Wprowadził w stan odprężenia.

Zrobiła to, by Oliwier mógł zostać sam na sam z Sai.

Czy ona nie rozumie, jak bardzo to jest niedorzeczne?! Jest teraz Seleną. Siedzi obok Sai w tej swojej sukni z obrzydliwym gorsetem pod spodem, wymalowany na twarzy, jak błazen z jarmarku, z durną peruką, ukrywającą jego prawdziwe włosy!

Nie ma w nim teraz nic naturalnego. Jest odmieńcem o dziwnej, dwuznacznej urodzie, za którym szalał obłąkany sadysta, którego pocałował martwy teraz porucznik.

Jest odmieńcem w czarnej sukni udającym dziewczynę. Ukrywającym swą prawdziwą postać.

Poprzez całe swoje życie uciekał wciąż przed kimś, ukrywał się, unikał bliskich kontaktów. Teraz także się ukrywa. Całe jego życie to ucieczka. Nigdy nie będzie mógł zaznać miłości. Przebieraniec. Bliźniak.

Odmieniec.

Sai przysunęła się i delikatnie go pocałowała.

Czas jakby się zatrzymał.

Serce Oliwiera nagle wykonało salto.

Przeskok z jednych wrażeń do drugich niemal odebrał mu oddech.

Pocałunek. Nigdy dotąd nie poczuł tego sam. Sai rozchyliła mu usta swymi wargami, wpiła się głębiej, śmieiej, nie czując oporu z jego strony. Z początku przeszła mu przez głowę myśl, że Julien z pewnością to czuje. Ale nie wiedział, co o tym myśli. Gdy Sai odsunęła się, kończąc pocałunek, przez całe życie nierozzerwalnie związany z siostrą szukał jej odruchowo, szukał śladów jej wrażeń z tego niezwykłego wydarzenia, jej odczucia stawiając ponad swoimi.

Nie znalazł jej. Towarzyszyła mu niespotykana cisza.

Julien tu nie było.

Zostali sami.

Sai przyglądała się mu łagodnie, z namysłem. To było trudniejsze niż się

spodziewała. Więż sprawiła, że Oliwier gubił się w uczuciach, gdy miał się do kogoś zbliżyć. To nie była tylko nieśmiałość niedoświadczonego w tych sprawach młodego mężczyzny. Było to bardziej skomplikowane niż sobie wyobrażała.

Pozostało zdać się na własne pragnienia.

Miała własne pragnienia? Tylko swoje? Była jak połowa jednego istnienia oderwana od drugiej, rozpaczająca z tęsknoty i pragnienia kontaktu.

Była niemal jak on.

Oderwały go z Julien od dotychczasowego życia. To normalne, że czuł się zagubiony. Widziała w nim pragnienia każdego mężczyzny w obecności ponętnej kobiety, które chciał odczuwać. I jednocześnie wzbraniał się przed nimi z obawy przed uczuciami nierozzerwalnie związanej z nim siostry.

Julien raz czy dwa w swoim życiu uległa choć częściowo swym pragnieniom. On sobie na nie nie pozwalał. Niemożność ulegania pragnieniom, gdy jest się istotą tak emocjonalnie rozwiniętą, tak wrażliwą, mogła mieć kiedyś dla nich tragiczne skutki. Bliźniaczki Raven, które pracowały w Domu Rozkoszy, godziły swoją pracę z emocjami. Szły do łóżka jednocześnie ze swoimi klientami. Nigdy osobno. Tak było do czasu aż jedna z nich zakochała się w swoim kliencie z wzajemnością. Miłość rozdzierała im duszę, ponieważ obie, pomimo tego, że jedna z nich nie przyjmowała już klientów, przeżywały to, co druga robiła ze swoimi. Dla jednej było to nieustanną torturą. Dla drugiej związek dwojga zakochanych był męczarnią, gdyż budził w niej skrywaną tęsknotę.

Zgodnie, nie widząc innego wyjścia, popełniły samobójstwo.

— Jesteśmy sami — szepnęła mu do ucha.

Delikatnie zaczęła całować go po szyi. Był bardzo spięty. Powoli ulegał jej pieczytom. Usłyszała jego zduszony jęk.

— Sai... — wyszeptał. — Co robisz? Powinienem... To powinno dziać się inaczej.

Uśmiechnęła się do siebie w myślach. Oliwier chciał ją adorować. Jak każdy chłopak, który właśnie umówił się z wymarzoną dziewczyną. Chciał najpierw, by lepiej się poznali. Są więc jeszcze tak szlachetni mężczyźni? Oliwier pod tym względem niczym się od nich nie różnił. Bardzo jej to schlebiało, a jej uczucia do sympatycznego chłopaka jeszcze się pogłębiły.

Było już bardzo przyjemnie. Chciała wprowadzić go w głębsze doznania, a wtedy jego wzrok przypadkiem spoczął na ukształtowanych po suknią piersiach niezwykle gorsetu, który nosił.

Nastrój prysł.

Oliwier przypomniał sobie, kim teraz jest i jak groteskowo musi wyglądać cała ta sytuacja. Poczwała, jak jej się wymyka. Wszystko legło w gruzach.

— Spójrz na mnie — powiedziała zdecydowanie zwracając jego twarz ku swojej — Oliwier...

— Nie! — Niemal krzyknął. — To ty popatrz na mnie! Popatrz! Jestem odmieńcem!

Położyła mu palec na ustach, gestem przypominając, że powinni zachowywać się ciszej. Na korytarzu byli strażnicy.

Ujęła jego twarz w swoje dłonie. Jeszcze to nieszczęsne przebranie! Co to wszystko robiło z duszą tego chłopaka?

— Widzę cię — powiedziała poważnie, patrząc mu prosto w oczy.

Nie pozwoliła mu się wyrwać. Pocałowała go znów, wkładając w to wiele uczucia, poruszona jego losem.

— Spójrz na mnie — powtórzyła po chwili. — Patrz tylko na mnie. Skup się. Rozumiesz?

Patrzyła mu w oczy. Tylko tam. Wiedziała, że śledzi jej wzrok. Że czeka, aż zacznie mu się przyglądać. Nie będzie patrzeć. Nie mogą pozbyć się tego przebrania. Zamknęła drzwi, lecz zawsze istniała możliwość, że kapitan da sygnał do natychmiastowego odjazdu. Oliwier musiał zostać w tym przebraniu. Dla wszystkich, prócz przyjaciół, był jedynie Seleną. Ona także nie mogła się rozebrać. Nie całkowicie. To nie ułatwiało ich zbliżenia.

— A jeśli... — szepnęła mu do ucha. — Julien nie uda się tego powtórzyć? Lub jedno z nas zginie? Chcesz żałować do śmierci, że ze mną nie byłeś dziś tak naprawdę?

— Chcę być sobą przy tobie — odparł cicho.

Wstała. Zgasiła niemal wszystkie świece, zostawiając jedną. Pograżyli się w półmroku. Odłożyła na bok morderczą broń, którą sobie zatrzymała, czyli ostrza w kształcie wideł z wydłużonym środkiem.

— Mają moje imię — wyjaśniła mu.

Potem odłożyła miecz. Patrzył na to targany uczuciami. Potem wróciła do niego, przyłożyła swoje czoło do jego czoła. W półmroku nie widać było jego makijażu, jedynie oczy, podkreślone tuszem wyróżniały się w twarzy. Sięgnął do peruki.

— Nie! — Krzyknęła cicho, ale nie zmieniła tym jego postanowienia.

Ciemne loki wylądowały na podłodze. Przejechała ręką po jego własnych, zmierzwionych włosach, miękkich i krótkich. Teraz bardziej przypominał siebie.

— Oliwier ... — szepnęła.

— Powtórz jeszcze raz — poprosił cicho. — Powiedz raz jeszcze moje imię...

— Oliwier — powtórzyła czule.

Poczuła, jak drży. Obsypała go pieszczotami i pocałunkami. Odpowiadał na nie nieco niezdarnie, brakowało mu wprawy, którą miała ona, ale wkładał w to wiele uczucia. Kierowała jego ręce na swoje piersi, ukryte pod bluzką, żałując, że nie mogą pozwolić sobie na więcej. Serce biło jej jak oszalałe. Z trudem panowali

nad sobą, by zachowywać się ciszej. Upominała go delikatnie, dotykając dłonią jego warg. Poddał się jej. Pilnowała, by patrzył tylko na nią, dotykał tylko jej. Błądził po jej ciele, całował, ale nie pozwalała mu patrzeć niżej. Bez peruki czuł się swobodniej, bardziej sobą. Krew szumiała mu w uszach. Słyszał tylko ich ciche głosy, oddechy i ten szum. Nie słyszał Julien. Nie było jej. Dała mu chwilę swobody. Wzruszenie i podniecenie rozniecało jego tłumione dotąd uczucia. Sai pilnowała, by ogień całkowicie go nie pochłoniął, ale już to, co teraz otrzymał wydawało mu się najpiękniejszym spełnieniem.

Sai poczuła, jak ciepło rozgrzewa nie tylko jej ciało, lecz otula zdrętwiałe ze zgryzoty serce.

Poczuła łzę na swoim policzku, którą starła pośpiesznie, by znów się nie spłoszył. Miała wrażenie, że robi to wszystko po raz pierwszy. Jakby Ramoz i jego zła banda oraz Dom Rozkoszy zdarzyły się dawno temu lub wręcz komuś zupełnie innemu, kogo nie chciała już pamiętać. Liczył się tylko Oliwier. Tu i teraz.

W zapamiętaniu odnalazła jego spodnie pod suknią, zsunęła je. Zdjęła własne, także ukryte, wraz z bielizną i półprzytomnie kopnęła je pod łóżko. Potem dosłownie posadziła Oliwiera, skłębiła bez żadnego szacunku materiał czarnej sukni.

Z trudem zmusiła się by nie spojrzeć, ale doskonale wiedziała, co zobaczy. Zamiast tego uniosła suknię, by usiąść mu na kolanach, twarzą do niego. Pamiętając, że on nie wie, czego się spodziewać, zwolniła i wsunęła go w siebie powoli...

Drgnął. Zasłoniła mu usta dłonią, by nie krzyknął, nie jęknął nawet. Jego oddech stał się szybki, urywany. To nie miało potrwać długo. Dostosowała się do jego tempa. Wtuliła się w jego ramię, by samej nie wydać jęku, zatracając się w rozkoszy, co zdarzało jej się dotąd jedynie z Leną. Nigdy nie pomyślałaby, że zdarzy jej się to z mężczyzną.

Ukrył twarz w jej włosach, drżąc na całym ciele po spełnieniu, próbując uspokoić oddech i oszalałe serce. Poczuła, że twarz ma mokrą od potu i łez.

Ogarnęła ją fala czułości, której nie spodziewała się u siebie jeszcze kiedykolwiek.

— Żyjesz? — zapytała żartobliwie, czując jak serce w niej tłucze się z lęku. Co, jeśli teraz, gdy jest po wszystkim, on się zmieni? Zepchnie ją lub powie coś, co zaboli? Nie miał pojęcia, jak bardzo mu siebie oddała. Jak bardzo mu zaufała.

— Tak jakby — odparł z nutką wesołości między jednym głębszym oddechem a drugim — A ty?

Spojrzała mu w oczy. Nie widziała w nich fałszu. Nie było w nich okrucieństwa. Tylko czułość.

— Sai — powiedział cicho. — Jesteśmy szaleni. Nie — sprostował natychmiast wesoło: — Ty jesteś szalona!

— Ja? — zapytała, drżąc lekko, wciąż niepewna.

Przytulił ją do siebie.

Wtulił twarz w jej włosy. Znow poczuła, jak drży. Objęła go mocno i pozwoliła, by trzymał ją w ramionach. To znaczyło więcej, niż jakiegokolwiek słowa.

* * *

Ross spojrzął na Julien, śpiącą na jego łóżku.

— I tego nigdy nie zrozumiem — rzekł do niego cicho Alesei, sięgając po wodę, by sobie dolać. — W twoim łóżku śpi teraz piękna dziewczyna, a tobie nawet nie drgnie?! Nie wierzę.

— W łóżku śpi teraz piękna, NIEWINNA dziewczyna, Alesei — sprostował go Ross. — Więc trzymaj swój język na wodzy, jeśli łaska. Strasznie ją to płoszy.

— Też to zauważyłeś? — Uśmiechnął się Alesei. — Chociaż z początku peszyła się co chwilę. No, ale po tym, jak się pocałowaliście...

Ross zmierzył go wymownym spojrzeniem. Alesei wykrzywił się do niego.

— Taa... Nic nie zaszło.

Zerknął na przyjaciela z zaciekawieniem. Ross dumał nad czymś, ale z jego twarzy niewiele dało się odczytać. Dopiero, kiedy Alesei dopił resztki wody, odezwał się cicho:

— Nie było tak źle.

Alesei uniósł brwi, ale darował sobie docinki, gdy zobaczył wyraz twarzy przyjaciela. Zobaczył smutek i przygnębienie. Z pewnością nie chodziło o Julien.

Zerknął na Klejnot Nadziei, który, odkąd Julien przyszła do nich ze swą niezwykłą prośbą, żarzył się lekko, lecz wyraźnie. Klejnot czuwał nad nastrojem dziewczyny.

— Coraz lepiej sobie z nim radzisz — stwierdził, wzrokiem wskazując naszyjnik. — Skąd wiesz, co komu jest potrzebne?

— Po prostu wiem — odparł cicho przyjaciel.

W jego tonie głosu także usłyszał smutek. Znał jego przyczynę.

— Myślisz, że Oliwier i Sai tylko się teraz całują, jak sobie myśli to niewinne dziewczątko? — zapytał na poły żartobliwie, chcąc odpędzić ten nastrój.

Po zmianie na twarzy Rossa domyślił się, że nie tylko mu się nie udało, ale wręcz pogorszył go jeszcze bardziej.

— Może jeszcze przyjdzie? — rzucił przypuszczenie tak delikatnie, jak tylko to potrafił.

Ross pokiwał przecząco głową.

— A może ty mógłbyś...?

— A Julien? — zapytał cicho Ross — Beze mnie jej delikatna równowaga będzie zachwiana. Znow otworzy bramę. Może to zrobić za wcześniej.

— Będziesz tak czuwał do świtu?

— Nie muszę. Zdrzemnę się obok niej. Za chwilę.

Alesei spojrzał na niego z powagą.

— A jednak czekasz na niego...

Ross nie odpowiedział. Alesei wrócił do swojego łóżka, niedbale kładąc nogi w butach na czystej kołdrze. Położył sobie ręce pod głowę. Miał ochotę dotrzymać towarzystwa przyjacielowi, sen jednak szybko go zmorzył. Ross zerknął na niego.

Został sam ze swoimi myślami.

„Po co ja to robię? — zastanawiał się. — Znów czekam aż do mnie przyjdzie. A potem okaże się, że gdy będzie już gotów, wybierze kogoś innego”.

Poczuł delikatne ciepło otulające jego serce. Klejnot wyczuł jego nastrój.

— Tak, wiem — szepnął do niego. — Muszę zachować spokój.

Jego nastrój także mógł wszystko zepsuć. Utrzymanie równowagi wewnętrznej było konieczne, by zamknąć umysł Julien przed Oliwierem. Najlepszym wyjściem było pogrążenie się we śnie. Do świtu zostały może trzy godziny. Ale tej nocy nikt nie mógł spać spokojnie.

Usłyszał ciche pukanie.

„Strażnik albo Pafian” — pomyślał, nie robiąc sobie specjalnych nadziei. Alesei mruknął, żeby poszedł otworzyć, odruchowo dotykając miecza, z którym się nie rozstawał. Po chwili znów spał.

Potrafił zasypiać natychmiast i wszędzie, gdzie było w miarę wygodnie.

Ross poszedł więc otworzyć.

Sel stał na korytarzu. Ross zamarł z zaskoczenia i ukrytej radości. Tuż za nim zobaczył dwóch strażników rozmawiających ze sobą ściszymi głosami.

— Mogę wejść? — zapytał Sel poważnym tonem.

— Zaprosicie pozostałe panienki — rzucił im jeden ze strażników. — Chyba się bardzo boją, bo zamknęły się w pokoju.

— Panowie — Ross udał zgorzienie, wpuszczając Sela. — Co też wam przychodzi do głowy o tej porze?

— To co i wam, chłopaki. To, co i wam — odparł drugi ze strażników, gdy Sel przekraczał próg pomieszczenia. — Przecież jedną już u siebie macie.

Usłyszeli śmiech za zamykanymi już pośpiesznie drzwiami.

Ross czuł obecność Sela za swoimi plecami, który twił tam w milczeniu.

Odwrócił się więc do niego. Co teraz? Co powinien powiedzieć lub zrobić? Sel zbliżył się, a Ross cofnął, aż poczuł, że jego plecy opierają się o drzwi. Nie miał dokąd uciec.

Tuż za nimi usłyszał cichą rozmowę strażników.

— Żartownisie — powiedział z niepewnym uśmiechem, by przerwać ciszę.

Sel patrzył na niego w nieodgadniony sposób. Jakby rozważał coś w myślach.

Wsparł się jedną ręką o drzwi, tuż obok ramienia Rossa. Blisko. Zmierzał do wyznaczonego sobie celu. Zmagał się ze sobą.

A potem go pocałował.

Ross spodziewał się, że pocałunek będzie władczy i bezwzględny. Będzie miażdżył mu usta. Zmylił go sposób, w jaki Sel się do tego przymierzał.

Zamiast tego był delikatny, żarliwy, przepełniony tęsknotą. Niemal pozbawił go tchu. Uległ mu, bo nie potrafiłby postąpić inaczej.

— Nie mogę przestać o tobie myśleć — szepnął mu do ucha Sel. — Powinienem rozpaczać, tonąć w morzu łez. A zamiast tego wyobrażam sobie, jak znów jestem z tobą i wszystko wydaje się znośniejsze.

Ross zamarł. Czuł, jak krew zaczyna w nim krążyć szybciej. Jak ciało wbrew rozsądkowi pragnie podążyć za pragnieniem.

— Sel... — zaczął mówić, lecz w tym samym momencie Sel odsunął go delikatnie, by otworzyć drzwi.

Spojrzał na niego szybko i wyszedł.

Ross podszedł do stołu nieco chwiejnym krokiem. Jego umysł wypełnił Sel. Wciąż słyszał w głowie jego słowa.

— Ross — szepnęła cicho Julien, wstając. — Nie utrzymam tego bez ciebie. Rozpraszasz się. Przepraszam. Wiem, co się stało, ale...

Pośpiesznie, choć wciąż jeszcze oszołomiony szczęściem, podszedł i po-całował ją w czoło.

— Już dobrze — szepnął.

— Wybacz, to pierwszy i ostatni raz. Znajdę inny sposób.

Uśmiechnął się do niej, przepełniony ciepłymi uczuciami.

— Lepiej chodźmy już spać.

Ułożyli się na łóżku blisko siebie. Położyła mu głowę na ramieniu.

Pozwolili, by emocje opadły.

— Daj mu trochę czasu — szepnęła.

— Tak, wiem — odparł, zamykając oczy.

Przeszła jej przez głowę myśl o tym, co miało zdarzyć się w ciągu dnia i na chwilę ogarnął ją niepokój. Nie pozwoliła jednak, by nad nią zapanował.

Ross uległ działaniu Klejnotu i zasnął. W spokoju słuchała jego oddechu, wolna od obecności brata w swym umyśle, u boku człowieka, któremu ufała.

Dziwnie było odczuwać taką pustkę i dobrze zarazem. Dobrze było odpocząć od więzi, by znów za nią zatęsknić.

* * *

Ktoś zapukał do drzwi.

Za nimi stał młody chłopak, z którym Alesei rozmawiał o rodzicach Sela.

— A oto nasz ulubiony osiłek! — wykrzyknął chłopak wesołona jego widok
— Ubrany i gotów do walki!

Alesei wykrzywił się do niego.

— Wyjeżdżamy — stwierdził.

— Jak tylko coś przekąsimy.

Alesei przyjrzał się mu.

— Piłeś? — zapytał.

— Nie — odparł chłopak już poważniejszym tonem, zerkając za niego w głąb pomieszczenia. — Ooo! — uśmiechnął się dwuznacznie. — Tego się nie spodziewałem. Chłopaki obstawiały, że ona będzie w twoim łóżku.

Alesei poniewczasie zasłonił śpiących przyjaciół, obdarzając młodego strażnika dość chmurnym uśmiechem.

— Nie boisz się? — bardziej było to stwierdzenie niż pytanie.

— Trochę — odparł szczerze chłopak. — Ale lepiej się śmiać niż bać.

— Jesteś szalony.

— Zgadza się — odparł chłopak. — I dobrze mi z tym!

Alesei uśmiechnął się, gdy tamten odchodził. A potem nagle przyszło zrozumienie.

— Jak ona ma na imię?! — krzyknął za chłopakiem.

Nie musiał długo czekać. Zgodnie z jego przypuszczeniami młodzieniec zatrzymał się i zerknął na niego zaskoczony. Ale szybko mu to przeszło.

— Klaryssa — odparł miękko.

Alesei znów wykrzywił się do niego.

* * *

Wiwan spuścił nogi na podłogę. Wydawało mu się, że buty ważą co najmniej tyle, co wóz pełen ziemniaków. Już przebieranie się było dla niego dużym wysiłkiem. Ale dziś z przyjemnością stwierdził, że tamten wysiłek się opłacił. Wystarczyło zrobić pierwszy, choć nieco chwiejny krok, potem drugi i trzeci, by ciało oswoiło się z ruchem i grawitacją. Pafian stał przy nim gotów w każdej chwili go podtrzymać.

— Dam radę — powiedział mu jednak, czując szybsze krążenie krwi wewnątrz siebie.

Ziemia lekko zawirowała, mroczki pojawiły się przed oczami. Pafian złapał go szybko.

— Powoli — powiedział. — Nie za dużo naraz od siebie wymagasz?

— Nie chcę być dla was ciężarem.

— Nie musiałeś wstawać.

— Nie? — zdziwił się Wiwan, czując oblewający go pot z wysiłku.

— Jeśli cię to pocieszy, to jestem pod wrażeniem, że udało ci się stanąć tak szybko na nogi.

— Potrzebujecie czegoś więcej ode mnie dzisiaj.

Pafian spojrział na niego poważnie. Nie mówili tylko o jego sprawności.

— Wiemy, że powinieneś jeszcze leżeć — odparł łagodnie. — Nie jesteś już taki słaby i całkiem do niczego. Przeżyłeś cudem i gdyby nie to, że grozi ci tu niebezpieczeństwo, nie dałbym ci na pewno dziś wstać. Nie jesteś dla nas ciężarem. No, już wystarczy. Wracaj. Nie wymagaj od siebie zbyt wiele naraz.

Musiał się z nim zgodzić. Nogi drżały mu z wysiłku. Usiadł na łożu z ulgą.

— Hej — w drzwiach pojawił się Sel. — Mogę wejść? Przyniosłem śniadanie. Jancey przeszedł dziś samego siebie.

Wiwan spojrział na niego z sympatią. Sel ucieszył się w duchu, widząc, że uzdrowiciel lepiej wygląda.

— A ja się sam wpraszam — zaraz za nim pokazał się Alesei. —

I przyprowadziłem pozostałych. Zjecie z nami, bo i tak nie daję wam wyboru.

Wiwan uśmiechnął się na tę uwagę, co bardzo spodobało się otwartemu Aleseiowi. Uzdrowiciel nie wywyższał się i był naprawdę sympatyczny, jak mu mówiono. Lubił go coraz bardziej. A jego brat, wiedząc, jak spotkania z życzliwymi ludźmi wpływają na zdrowie Wiwana, nie protestował, choć może w duchu wolałby spędzić te chwile z bratem sam na sam. Widać było, że dla Wiwana gotów jest wiele znieść, choć miał w sobie trochę z wilka samotnika. Niespecjalnie dbając o proceduralny zwyczajowo ład na stole, Alesei zaczął ustawiać przyniesione przez siebie talerze, dopóki kobiety nie wymieniły między sobą znaczących spojrzeń. Szybko przejęły pałeczkę. Nie protestował. Wolał się temu przyglądać z uśmiechem zadowolonego kota.

Wiwan obserwował nowych przyjaciół z ciepłem w sercu.

Zaszły pewne, pozornie niewidoczne, zmiany. Począwszy od tego, że najwyraźniej grupa zżyła się już ze strażnikami, do których rzucano (z wzajemnością) zabawne uwagi, po stosunki między niektórymi z nich. Oliwier, choć nadal był w kobiecym stroju, zachowywał się bardziej swobodnie. Raz czy dwa spojrział na Sai i wyraźnie widać było w tym spojrzeniu ciepło, choć bardzo uważał, by nie widzieli tego strażnicy. Gdy zobaczył, że on to widzi, stał się spięty na chwilę, ale szybko się jednak rozluźnił, zauważywszy na twarzy uzdrowiciela lekki, ciepły uśmiech aprobaty. Sai nie pozostawała mu dłużna. Zaangażowała go do przygotowań, by pod pozorem układania pieczywa czy owoców, delikatnie muskać jego dłonie lub patrzeć mu w oczy choć przez chwilę. Ross wydawał się promieniować jakimś wewnętrznym światłem i nie zdradzał go klejnot, lecz jego oczy. On i Sel unikali spojrzeń, lecz jakby na wół świadomie ich ciała się przyciągały. Julien stała pomiędzy nimi świadoma tego wewnętrznego napięcia,

przez obu traktowana jak młodsza siostra, co najwyraźniej jej odpowiadało. Wszyscy ci ludzie zwracali się do Wiwana z życzliwością, jak do starego przyjaciela, podobnie jak do Pafiana. Patrząc na to z boku, można by przypuszczać, że wszyscy znają się tu od lat. I choć nie było zbyt wiele wesołości między nimi, bo każdy zdawał sobie mniej lub bardziej sprawę z tego, co się wkrótce wydarzy, to nie brakowało tu przyjaznej i ciepłej atmosfery. Gdy wstał do nich, by zasiąść przy stole, z napięciem czekali, jak uda mu się pokonać tę odległość, a każdy spięty był w gotowości, by natychmiast skoczyć mu z pomocą. Alesei nie pozwolił Pafianowi, by choć przez chwilę siedział zapomniany, bawiąc się przy tym w ducha jego marną próbą dania do zrozumienia, że trochę go to męczy.

Wiwana martwił się o tych ludzi. Pokochał ich całym sercem.

* * *

— Działamy według planu — zakomunikował kapitan.

Wszyscy, prócz Wiwana wiedzieli, co to oznacza i jakie są im przydzielone obowiązki. Cywili obowiązywał od tej chwili ten sam rygor, co żołnierzy z oddziału. W pustym składzie stawili się na ostatnią odprawę. Jako jedyni nie włączyli się do ogólnej dyscypliny bracia Beckert. Wiwan przysiadł na pustym stole, na którym wcześniej leżało ciało matki Sela. Pafian stał u jego boku. Strażnicy — wszyscy, prócz młodego syna obecnego kapitana straży królewskiej na zamku, który im towarzyszył — brali już udział w walkach, a głównie w ostatnich zamieszkach. Sprawdzili się tam doskonale. Obok nich, prezentując nienaganną postawę, stali już gwardziści królowej Konstancji. Kirian, Marten, Kertis i pozostali wyglądali na gotowych na najgorsze. Wciąż na ich mundurach były przewieszane szarfy żałobne po zamordowanym poruczniku. Nastąpiły jednak pewne zmiany. Wszyscy mieli zasłonięte twarze i lekkie zbroje, a na głowach hełmy z godłem królestwa. Jako, że od początku sami niemal ustanowili się na obrońców braci Beckert, ich oddział był nie tylko tym, który miał się znajdować najbliżej powozu. Pomędzy swymi szeregami — jak było to wcześniej ustalone w rozmowach, na których Wiwan z powodu złego stanu zdrowia nie brał udziału — ukrywali Rossa, a jeden z nich o podobnej sylwetce i z ufarbowanym na białe pasmem włosów zajął jego miejsce. W szeregu gwardii pod maską i w hełmie Ross niczym się nie wyróżniał. Wyglądał tak dobrze, jakby tu zawsze było jego miejsce. Kobiety spojrzały na siebie porozumiewawczo, a Alesei dał kuksańca Selowi zapatrzonemu w ten nowy wizerunek ukochanego. Każdy, prócz uzdrowiciela, miał na sobie lekką zbroję. Kobiety miały upięte włosy. Oliwier użył do swego koka niemal tej samej ilości wsuwek i upinek, co jego poprzedniczka.

Kapitan przeszedł wzdłuż szeregów w pośpiechu. W myślach rozważał słabe strony swoich ludzi. Potem cywilów.

Sel powiedział, że podpatrywał swego dawnego przyjaciela Morena w trakcie treningów. Lepiej od niego wiedział, kiedy uderzyć, dobrze przewidywał ruchy przeciwnika. Jego słabą stroną był brak wprawy. Do tej pory jako chory na serce w ogóle nie trenował. Tych kilka krytycznych dni musiało mu na razie wystarczyć.

Alesei miał nauczyciela w rodzinnych stronach, dopóki rodzinę było na to stać. Był najwyraźniej pilnym uczniem.

Pafian trenował w domu. Był dobry, więc jeśli mu się poszczęści, będzie jeszcze lepszy. Dopiero teraz miał okazję wykorzystać swe umiejętności, a pokazał już, że na wiele go stać — przynajmniej tak twierdzili gwardziści.

Wiwan umiał podobno robić mieczem, lecz w tej chwili był na to za słaby.

Sai nauczyła się władać swą niezwykłą bronią na tyle, by się nie skaleczyć. Zarówno do miecza darowanego przez rodzinę królewską, jak i do broni, którą nazwała swym imieniem, musiałaby jeszcze potrenować, ale na to nie było już czasu.

Selena... W jej przypadku górowała niezwykła celność, co pokazała przy użyciu swojej procy. Dodatkowo umiała władać sztyletem, ale mieczem już gorzej.

Julien. Słaby punkt. Potrafiła improwizować, wykorzystywać każdą rzecz, która mogła być bronią. Nie umiała władać mieczem czy strzelać. Dotąd nie było okazji.

Ross...

— Zrób to jeszcze raz — zatrzymał się przy nim, widząc jak odruchowo sięga tam, gdzie pod mundurem ukryty był Klejnot. — A sam sprowadzisz na siebie śmierć.

Zbesztany cofnął rękę.

Ross strzelał dobrze z niemal każdej broni. Nie umiał walczyć mieczem, choć wykazywał w tym kierunku duży potencjał.

Ogólnie, niczego im przy tym nie ujmując, kapitan uważał, że ludzie ci w krytycznych, zupełnie nieprzystających do ich wcześniejszych doświadczeń warunkach, wykazali się w czasie swej szalonej misji ratowania uzdrowiciela niezwykłą odwagą, determinacją i wolą walki. Mieli więcej szczęścia niż myśleli, pomimo poniesionych strat i w krótkim czasie byli zmuszeni nauczyć się tego, na co inni musieli pracować wiele dni. Podziwiał to, jak dobrze poradzili sobie z przeciwnikami, a ich współpraca w grupie była zarówno podstawowym atutem, jak ich słabym punktem. Wiedząc, jak bardzo im zależy na sobie nawzajem, wróg mógł próbować to wykorzystać. Lub natrafić na przeszkodę nie do przebiccia.

Pozostało im stawić czoło kolejnemu niebezpieczeństwu.

— Pamiętajcie — powiedział do wszystkich. — Wśród tamtych są ludzie,

którzy bez wahania chcieli rozerwać uzdrowiciela żywcem. Bez zastanowienia was zabiją, by dostać to, na czym im zależy. Nie możecie litować się nad nimi. Pokazali już, że są zdolni do wszystkiego — spojrzął znacząco na Rossa, przypominając mu tym, a także wszystkim pozostałym o niedawnym zajściu. — Macie ich zabić. Inaczej oni zabiją waszych przyjaciół. Sprawia, że los uzdrowiciela będzie gorszy od śmierci. To już nie są ludzie. Na targowisku udowodnili, co potrafią. Nie wahajcie się więc!

Zaczekał chwilę, by słowa dobrze wsiąkły w ich dusze.

Potem zwrócił się do ludzi, których królewska rodzina mianowała strażnikami uzdrowiciela.

— Pożegnajcie zmarłych w swych sercach. Zadbajcie o siebie nawzajem. Zadbajcie o uzdrowiciela.

Ruszamy!

Ross ociągał się z wyjściem. Stojąc przed kolejnym wyzwaniem, poczuł jak strach zaczyna ścisnąć go za gardło. Nie chciał, by widzieli to pozostali. Gwardziści, wyczuwając jego zachowanie, przepuścili wszystkich przodem. Sel obejrzał się za siebie.

— Poradzimy sobie — poklepał go pocieszająco po ramieniu Kertis — Idź.

Z ociąganiem poszedł po swego konia, zerkając na Aleseia, który także rozglądał się za przyjacielem.

— Co się z nim dzieje? — zapytał Kirian. — Musimy ruszać.

— Panie poruczniku — powiedział cicho Kertis do Kiriana, którego po śmierci Delena awansowano, ale dawni koledzy, zachowując wojskową dyscyplinę, jakoś nie mogli teraz odzywać się po imieniu. — Z tego, co słyszałem, to ten facet ma powody, by się bać. Kilka razy był o włos od śmierci.

— Podobnie, jak my — zauważył nieco rozdrażniony tą słabością porucznik.

— Ale nas przy tym nie katowano. Strażnicy mówią, że ma blizny na całym ciele.

Kirian nie powiedział nic na tę uwagę, zaskoczony obrazami, jakie mu natychmiast podpowiedziała wyobraźnia. Wrócił do składu. Z ulgą zauważył, że Ross nie zalewa się łzami, o co był go skłonny podejrzewać, lecz po prostu stoi, zaciskając pięści i próbując się uspokoić.

— Przepraszam, panie poruczniku — powiedział szybko, widząc Kiriana. — Już wychodzę.

Kirian przyjrzał się mu ze spokojem. Co w tej sytuacji zrobiłby Delen?

— Nie zostawiamy swoich ludzi w potrzebie — powiedział.

Ross milczał.

— Obiecuję ci, że zrobię wszystko, by cię chronić.

Ross pokiwał potakująco głową w zadumie.

— Ale jeśli trzeba będzie wybierać czy ratować mnie czy uzdrowiciela,

wybierzecie jego — odparł, starając się, by nie zabrzmiało to obcesowo i oskarżycielsko, lecz jak zwykłe stwierdzenie.

— Znasz odpowiedź — odparł ze spokojem porucznik.

Ross uśmiechnął się z ironią.

— W takim razie obiecaj mi, że nie pozwolisz, bym cierpiał — poprosił. — Nie chcę, by moi przyjaciele to widzieli. Obiecaj to.

Kirian spojrział na niego z powagą.

— Obiecuję — odparł.

* * *

— Dbaj o siebie — szepnął cicho Oliwier. — Zawsze możesz schronić się w powozie.

Sai uśmiechnęła się lekko.

— Nie wychylaj się — odparła mu. — Pamiętaj! Cokolwiek będzie się działo.

— Nienawidzę tego — powiedział na tę uwagę.

Przyjrzała się mu, nie mogąc znaleźć właściwych słów pocieszenia. Nie było takich. Oliwier odpowiadał, jak zawsze dotychczas, nie tylko za swoje życie, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, choć wolałby postąpić inaczej. Zbyt wiele razy już się narażał. Więź ograniczała jego postępowanie i szlachetne pobudki.

Uniósł suknię, by jej nie przydeptać i wdrapał się po schodkach do wnętrza zabezpieczonego, wzmocnionego i opatrzonego okiennicami powozu.

Wtedy napotkał wzrok Kiriana.

Kirian widział jego rozmowę z Sai.

Na pewno strażnicy powiedzieli mu, że Selena i Sai spały dziś razem w pokoju.

Widział jego dziwne spojrzenie.

„Będę musiał to tak zostawić” — westchnął do swoich myśli.

Nawet Selena musiała mieć prawo do własnych wyborów. I trudnych decyzji.

* * *

Ross spojrział na młodego żołnierza, który teraz go udawał. Oliwier właśnie z nim rozmawiał wewnątrz powozu, dając mu coś do ręki.

Pragnął, by choć przez chwilę ich spojrzenia się spotkały przed wyjazdem. Żołnierz miał na imię Ethan. Poznali się już w czasie omawiania strategii.

Narażał swoje życie, podając się za niego.

Wreszcie spojrział.

Nie mogąc z niczym się zdradzić, obaj mężczyźni skinęli sobie głowami. Potem Ethan zarygłował okiennicę.

„Powodzenia — pożyczyl mu w myślach Ross. — Będę cię bronił tak, jak ty broniłbyś mnie.”

Kirian ustawił ich wokół powozu. Otwory w okiennicach miały ułatwić strzelanie z łuku czy kuszy od wewnątrz. Nie pozwoliły Rossowi widzieć twarzy przyjaciół.

Alesei ustawił się z tyłu. Sel obok niego. Strażnicy obstawili swoje stanowiska.

Z tego miejsca nie mógł widzieć Sai po drugiej stronie powozu. Czuł lęk i nawet fakt, że po raz pierwszy w życiu dosiada wierzchowca, nie odwracał mu uwagi od tego.

Sprawdził, czy miecz jest pod ręką, a kusza łatwo się wyciąga. Poza nim wszyscy czynili ostatnie przygotowania do drogi, czekając na sygnał. Słyszał swój własny przyspieszony oddech. Zrobiło mu się gorąco w masce i nowym przebraniu.

Wszystko jest na swoim miejscu, jak być powinno.

Wszystko jest...

— W drogę! — zawołał kapitan Teron.

W wąskiej ulicy, której kapitan szczególnie się obawiał, nie spotkało ich nic złego. Nikt na nich nie czatował. Kiedy jednak wyjechali na ulicę prowadzącą do Zachodniej Bramy, zauważyli pierwszych obserwatorów. Potem w ich stronę posypały się pierwsze strzały, z których kilka wbiło się w ściany powozu. Popędzili konie.

Szaleńcza kawalkada musiała pokonać pół pozornie opustoszałego miasta. Strzały z łuków i kuszy zapowiadały, że nie będzie to takie proste. Powóz po naprawie, pokonywał zakręty z większą łatwością, a woźnica nie szczędził bata, strzelając nim nad czwórka siwych koni. Krew uderzyła do głów uciekinierom.

Im bardziej się zbliżali do bram miasta, tym strzały padały gęściej. Wzdłuż całej drogi ustawiono w pewnych odcinkach łuczników, szczególnie tam, gdzie przejazd się zwężał. Kapitan wydawał rozkazy, zmieniając gwałtownie drogę, klucząc między uliczkami, gubiąc strzelców i niewielkie grupy uzbrojonych w różnoraką broń oberwańców. W ten sposób wiele razy strażnikom i gwardzistom udało się uniknąć śmierci. Musieli nadkładać drogi. Niektóre uliczki umyślnie zabarykadowano. Na szczęście Wermod był tak rozległy, że można było uciekać z każdego niemal miejsca w kilku kierunkach, a barykady stały zwykle na odcinkach prowadzących do Bramy.

— Trzymać się razem! — huczał co pewien czas kapitan, gdy wykonywali zwrot.

Jeźdźcy, pędząc szybko, nie mieli czasu na oddanie strzału, klucząc nierzadko w wąskich uliczkach, gdzie trzeba było szybko reagować, by nie zostać

zmiażdżonym przez powóz. Pafian bronił woźnicy na przemian z Ethanem, wychylając się, by oddać strzał z kuszy. Z tyłu Oliwier strzelał do ścigających przez otwór w drzwiach.

Raz Sel omal nie oberwał kamieniem wielkości pięści rzuconym na niego z dachu.

Dwóch strażników zostało lekko rannych.

W połowie drogi do celu, Alesei zauważył, że za nimi pojawili się o wiele lepiej uzbrojeni jeźdźcy, którzy szybko zmniejszali dzielący do nich dystans. Widocznie obłowili się przy zamieszkach.

— Zwrot! — krzyknął po raz kolejny kapitan, kierując konia w prawo, kilkanaście metrów przed powozem.

Woźnica posłuchał, znając drogę ucieczki z mapy, wiedząc już o tym manewrze wcześniej.

Gdyby uciekinierzy mogli jednak widzieć całą tę sytuację z góry, zobaczyliby, że w miarę jak droga zbliża ich do Bramy Zachodniej, szeregi wrogów z niemal wszystkich stron systematycznie się zacieśniają, a u celu czeka ich pułapka. Żadni krwi uzdrowiciela ludzie, gonili ich po dachach coraz bliżej, zacieśniając pogoń jak pętla na szyi skazańca. Może i nie wiedzieli, kiedy uzdrowiciel będzie chciał wyjechać z miasta. Ale to nie oznaczało, że nie byli na to przygotowani.

Tylko to im zostało, gdy stracili wszystko, na czym mogło im zależeć.

— Dobra robota! — pochwalił wszystkich kapitan. — Jesteśmy już niedaleko! Na mój sygnał!

Omawiali to kilkakrotnie. Kilku ludzi z obu drużyn miało kierować resztą. Jak dotąd wszystko szło nieźle, choć woźnica z dziko wytrzeszczonymi oczami i rozwianym włosom dokonywał cudów, by uniknąć śmierci. Gdyby nie Pafian, zginąłby już na początku drogi.

Na ziemię przed nimi upadło kilka płonących strzał. Na szczęście to nie wystraszyło koni.

Bramę Zachodnią było już widać w całej okazałości. Jak również stojących pod nią około dwudziestu ludzi. Alesei obejrzał się. Jeźdźcy nie dorównywali uciekinierom. Ich konie były wychudzone.

Przeciwnicy byli słabsi niż z początku sądzili.

Kapitan uniósł rękę.

— Teraz!! — krzyknął.

Cała grupa wykonała szeroki łuk na specjalnie oznaczonej wcześniej na mapie ulicy.

I pojechała ku Bramie Północnej, zostawiając w tyle swoich prześladowców i przygotowaną pułapkę.

Droga biegnąca wzdłuż murów poprowadziła ich prosto do celu. Konie

pędziły galopem przez opustoszałe miasto, po raz ostatni stukając kopytami o bruk Wermodu. Brama Północna była otwarta. To przez nią dzień i noc jeździli grabarze na miejsce palenia ciał zmarłych w niewielkiej dolinie. Od dawna nikt jej nie zamykał. Nie miał już kto jej pilnować. Czasy, gdy w mieście znów obudzi się życie, dopiero miały nastąpić. Uciekinierzy przejechali przez bramę niezatrzymywani przez nikogo i skierowali się przy rozwidleniu na zachód, by trafić na drogę kupców, wiodącą aż do widocznych stąd rozległych gór Teryn, gdzie mieściło się miasteczko uzdrowiciela.

Powóz zakołysał się na nierównej drodze, zostawiając za sobą królewskie miasto i dym z doliny śmierci.

Dopiero, gdy pierwsze drzewa zaczęły przesłaniać miasto, a powóz zniknął w gęstwinie roślinności, odważyli się zwolnić tempo, by ulżyć koniom, lecz aż do traktu prowadzącego w góry nie zatrzymywali się nawet przez chwilę. Byli już wtedy daleko od miasta.

— Słyszeliście, co mówią o naszych górach? — zapytał wszystkich Pafian, gdy minęła już pierwsza euforia.

Wiwan uśmiechnął się tajemniczo.

— Podobno żyją tam smoki! — zawołał młodzik z oddziału strażników.

— Ludzie giną tam czasem bez śladu — powiedział inny.

— A kobiety są tam jak ogień gorące — musiał dorzucić swoje, jak zwykle niepoprawny Kertis.

Pafian uśmiechnął się krzywo, obejmując wszystkich spojrzeniem. A potem spojrzał na brata.

— To tylko część prawdy — powiedział Wiwan.

W jego głosie usłyszeli nowy ton. Jakby dawał im do zrozumienia, że wszystko to, co dotąd przeszli jest dopiero początkiem tego, co miało się jeszcze zdarzyć...

ROZDZIAŁ 15 — Podróż

Jechali w milczeniu, czujnie nasłuchując. Trakt prowadził teraz prosto do wsi, z daleka wyglądającej na opustoszałą. Niestety, teren stopniowo się zmieniał, pojawiało się coraz więcej wzniesień, skał i wąwozów. Mając powóz, nie mieli wyboru. Zdawali sobie sprawę, że są dzięki temu jeszcze bardziej narażeni na niebezpieczeństwo, z drugiej strony liczyli jednak, że uda im się dzięki zbrojnej eskorcie uniknąć ewentualnej napaści.

Dopiero tu, na otwartym terenie żołnierze i towarzyszący im cywile zrozumieli jak bardzo są odsłonięci. Większość z nich nigdy nie ruszała się z miasta, nic też dziwnego, że w ich serca zaczął zakradać się lęk.

— Zamilklicie jak na pogrzebie — mruknął Alesei do przyjaciół i najbliższych gwardzistów.

— Jak nazywa się ta wieś? — zapytał Ross jadącego obok Martena.

— Adelaine. W sumie to już powoli miasteczko. Parę lat temu była to niewielka osada.

Sel rozglądał się po okolicy z ciekawością. Rozległe łąki i pola, lasy na wzgórzach, gry światła i cieni, gdy obłoki przesuwały się po niebie. Wszystko to było dla niego nowe i fascynujące. Świat rozciągał przed nim wielobarwny dywan, którego miał pewnie nigdy nie zobaczyć. Pochłaniało go to jako rysownika o niespotykanym talencie i jako człowieka, którego całe życie trzymano w odosobnieniu, pozwalając mu jedynie zerknąć na piękno. Ross pod skrywającą jego twarz maską pozwolił sobie na uśmiech. Sel tak bardzo siebie teraz przypominał z chwil, gdy rysował w Domu. Zabrał swoje rysunki, chowając je wraz z przyborami do torby przy siodle. Ross nie powiedział mu dotąd, że widział swój portret. Liczył na to, że Sel sam kiedyś o tym wspomni.

Cieszył się, że Sel doczekał chwili, gdy wreszcie mógł zobaczyć świat zza murów.

Na pewno teraz wie, ile by stracił.

— Zatrzymamy się tam na postój? — zapytał syn nowego kapitana straży królewskiej.

— Zapomniałeś o zarazie, młody? — rzucił Alesei.

— Dla twojej wiadomości — zwrócił się do niego chłopak. — Mam na imię Bedal. Tak — dodał w zadumie — zapomniałem. Tutaj to takie łatwe. Jest tak pięknie.

— Zaraz zobaczysz trupy i cofniesz swoje słowa — mruknął Alesei. — Przyzwyczajaj się. To będzie częsty widok.

Wyraz cichego zachwytu zniknął z twarzy słuchającego ich Sela, a Bedal szybko spochmurniał.

Spokojny nastrój gdzieś się ulotnił. Ross znów skupił się na wypatrywaniu oznak życia. Usłyszał tylko szczekanie psa. Żadnych odgłosów zwykłej krzątanimy przy domach, skrzypienia wozów. Nawoływania ludzi...

— Miejcie się na baczności — rzekł do wszystkich Marten. — Śmierć wszystko zmienia.

Adelaine było puste. Tylko parskanie koni i skrzypienie powozu rozlegało się echem na uliczkach.

Pierwsze trupy napotkali wjeżdżając między zabudowania. Na poboczu traktu, za murami leżało dwoje młodych ludzi. Dziewczyna miała na kolanach głowę swojego chłopca. Po jego śmierci czekała widocznie aż przyjdzie jej kolej. Nie chciała go zostawić. A może zmarła z wyczerpania i głodu?

W bramach kryli się inni. Głównie samotnie. Przy nieczynnej fontannie leżała stara kobieta. Obok drogi leżał mężczyzna ze śladami po wymiocinach na twarzy i ubraniu. Być może się zadławił.

Wszędzie wokół panował smród. Idąc w ślad za gwardzistami, wszyscy zasłonili twarze.

Kapitan podjechał do powozu i zastukał w zamknięte okiennice.

— Nie otwierajcie okien! Nie wychodźcie na zewnątrz!

— Zrozumiałem — usłyszeli stłumiony głos Ethana.

Bedal nerwowo dotknął munduru na wysokości piersi, pod którym miał niewielki flakonik z darem.

Alesei zbliżył się do Sai.

Pies siedział przy przewróconym wozie, który nie miał już koni. Pośród rozrzuconego, niewielkiego dobytku leżała matka z niemowlęciem, oboje martwi. Matka rozbiła głowę. Krew wsiąkała już dawno w suchą, zakurzoną drogę. Niemowlę zmarło przy matce. Wychudzony pies pilnował ich obojga, choć nie było już kogo pilnować.

Alesei zaczął go cicho nawoływać. Pies zaszczekał niezdecydowanie. Był z pewnością głodny i już trochę osłabiony. Młody mężczyzna zatrzymał konia i zsiadł. Złapał pierwszą z brzegu miskę, którą zauważył i nalał nieco wody ze swojego bukłaka.

— Nie zatrzymujemy się — powiedział surowo kapitan, lecz nikt go nie posłuchał.

Woźnica zatrzymał powóz. Żołnierze wstrzymali konie. Pies podszedł niepewnie do miski i zaczął chleptać wodę.

— Choć bracie — powiedział do niego Alesei. — Nic tu po tobie.

— Może powinniśmy ich pochować? — wyraziła przypuszczenie Sai.

— Tylko ich? — zapytał z powagą kapitan, patrząc jej w oczy. — Czy

tamtym także? – wskazał na otoczenie.

Nie ulękła się jego spojrzenia.

— Słuchajcie — zwrócił się do wszystkich. — Wiem, co teraz myślicie. Ale nie zapominajcie, że chcemy przejechać tę drogę, jak najmniej rzucając się w oczy. A poza tym, które z was zagwarantuje mi, że nie zarazicie uzdrowiciela, postępując szlachetnie wobec tych ludzi? Słucham.

Cisza, która nastąpiła po jego słowach, wystarczyła mu za odpowiedź.

— Pamiętajcie o tym — powiedział łagodnie. — Przykro mi. Ci ludzie zostaną tam, gdzie są.

To powiedziawszy, ruszył dalej. Po chwili dołączyli do niego pozostali. Ostatni jechał Alesei, trzymając jedną ręką przed sobą na siodle psa. Sai uśmiechnęła się smutno do niego.

I raz jeszcze spojrzała za siebie, na matkę z dzieckiem.

Ross także się obejrzał, przepuszczając pozostałych.

A wtedy, ze ściśniętym w żalu i gniewie sercem zobaczył, jak opuszczonych przez wiernego psa zmarłych osaczają już wrony. Już się zbliżały. Przekrzywiały swe łebki o ostrych dziobach. Wypatrywały. Gdy oni odjadą, ptaki, jeszcze niepewne w obecności ludzi, szybko znajdą sobie drogę do oczu.

Nie mógł przestać patrzeć. Miał ochotę ruszyć na nie i wszystkie pozabijać, ale to nic by nie zmieniło.

Przyleciałyby inne.

— Nie patrz — usłyszał nagle cichy głos Sela, który zawrócił zaniepokojony jego zachowaniem.

— Płakało tu samotnie... aż umarło — powiedział cicho Ross.

Sel poczuł, jak ciarki przebiegają mu po plecach, słysząc te słowa. Tak bardzo oddziaływały na jego wyobraźnię.

A potem Ross poczuł, jak ogarnia go spokój. Klejnot zadziałał. Uspokoił ich myśli. Zawrócił więc w milczeniu. Pozwolił sobie pomóc, gdy tego zechciał. Manipulował Klejnotem Nadziei.

Po raz pierwszy Sel spojrzał na niego jakby innymi oczami. Tak bardzo przytłoczony swoim nieszczęściem nie zauważał, że obok niego żyje człowiek, którego życie także nie należało do najłatwiejszych. Ross zawsze miał w sobie siłę ducha i to sprawiało, że Sel zapominał o tym, co o nim słyszał, zapominał o bliźnach, które widział. Ross się nie poddawał. Ale po tym koszmarze przy spotkaniu z uzdrowicielem, kiedy zbieleły mu włosy, coś się w nim stało. Pozornie wszystko było jak dawniej. Teraz Sel nagle z niepokojem zauważył, że Ross chce, by inni myśleli, że nic się nie zmieniło, by się o niego nie martwili.

Być może dlatego klejnot nie chce go opuścić. Bo jest mu potrzebny.

Bo jest gorzej, niż mogliby podejrzewać.

„Muszę go ratować” — pomyślał.

* * *

Pafian siedział, rozmawiając z woźnicą przez uchylone drzwi. Wnętrze powozu było duszne. Nie był to jeden z upalnych dni kończącego się lata, wciąż jednak mógł dawać się we znaki. Korzystając ze swego przebrania, Oliwier wachlował się jednym z ocalałych wachlarzy Czerwonej Rebeki. Było mu gorąco w opinającym gorsecie i zbroi. Prawdę mówiąc, nawet zbyt gorąco. Spojrzał przez szczelinę w okiennicy na jadącą obok Sai. Oni mieli tam przynajmniej powiew wiatru.

— Uchylę okno na górze — zaproponował Ethan, widząc jego męczarnie.

Okno w dachu zmontowano w czasie przerabiania powozu. Ale nawet ono niewiele przyniosło ulgi Oliwierowi.

Wiwan spał. Julien namoczyła ściereczkę i podeszła do brata.

— Unieś włosy — poprosiła, a kiedy to zrobił położyła mu ściereczkę na karku. Potem namoczyła drugą, wyżeła i przyłożyła mu do czoła. Spojrzał na nią z wdzięcznością i ulgą.

— Biedactwo — szepnęła cicho.

Powóz nagle się zatrzymał. Usłyszeli, jak kapitan wydaje rozkazy. I dziwne pomruki. Ethan zerwał się na nogi i podszedł do Pafiana.

— Co się dzieje? — zapytał.

Pafian zerknął na niego. Choć na pierwszy rzut oka, zwłaszcza dzięki pasmu bieli na włosach przypominał Rossa, różnił się od niego usposobieniem. Prawdę mówiąc, było coś w tym człowieku, co odpychało go od pierwszego wejrzenia. Jakaś fałszywość. Pozornie był miły dla wszystkich, lecz coś było w nim nie tak. A Wiwan, który wiele potrafił wyczytać z ludzi, traktował go uprzejmie, lecz chłodno. Na jego opinii w takich sprawach mógł polegać, miał się więc na bacznosci przed Ethanem.

— Na trakcie stoją dwa wozy ze zwierzętami — wyjaśnił woźnica.

Pafian otworzył drzwi na oścież. Obaj z Ehtanem wychylili się z ciekawością.

Byli już daleko poza Adelaine. Słońce zachodziło, a według planu kapitana mieli właśnie szukać miejsca na postój.

Pośrodku traktu rzeczywiście stały dwa kolorowo pomalowane powozy.

— To Wozy Wspaniałego Cyrku Osobliwości — wyjaśnił po chwili Kirian.
— Dopadła ich zaraza.

— Tam — wskazał Kertis, gdy zjawili się wszyscy, by obejrzeć powozy — uciekły przywiązane zwierzęta — pokazał na barierkę jednego z resztkami zerwanych upręży i sznurków. — Ciekawe, co to tym razem było. Pamiętam, jak gościli w mieście zeszłego roku. Pokazywali naprawdę niezwykle sztuki. I wozów

było też więcej.

— Pewnie tyle tylko z nich zostało — mruknął jeden ze strażników.

Z wnętrza jednego z powozów dochodziły dziwne pomruki i drapania. Pies zaszczekał na to nerwowo, lecz umilkł na gest Aleseia.

Ross poprowadził konia do przodu i zachłysnął się powietrzem na widok tego, co tam zobaczył. Przed powozami leżeli martwi ludzie — dwóch mężczyzn. Na powozie częściowo przewieszona nad kołem była kobieta i gruby mężczyzna, również nieżywi. Na dachu widział ręce i nogi prawdopodobnie dwóch chłopców. Nie przeraziło go to, że wszyscy ci ludzie byli martwi, lecz sposób, w jaki zginęli oni i konie zaprzężone do powozów.

Konie i ludzie byli pogryzieni. Z czterech koni nie zostało niemal nic prócz kości i plam krwi, przy których gromadziły się muchy. Ludzie mieli częściowo odgryzione kończyny, fragmenty twarzy. W świetle zachodzącego słońca widok krwi i poszarpanych przez dzikie zwierzęta ciał przedstawiał się jeszcze bardziej makabrycznie. Julien odruchowo przyłgnęła do przebranego Oliwiera, który przyglądał się twarzy jednego z chłopców leżących na dachu.

— Ten gruby to właściciel cyrku, Sampan — wyjaśnił Kertis. — Tak kazał na siebie mówić. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia. To jego żona... — odsunął się, zbyt już wstrząśnięty, by mówić, czując wzbierające w nim torsijskie.

— Może nie powinnyście tego oglądać? — Kirian spojrzał łagodnie na kobiety, kierując swe słowa do Seleny.

Oliwier widział wciąż u niego ten wyraz, to spojrzenie, gdy widział go z Sai. Na nią nie spojrzał wcale, jakby robiąc to umyślnie.

— Damy sobie radę — odparł mu cicho, obejmując Julien kobiecym gestem, z uwagi na okoliczności.

Wiwana obserwował powozy, stojąc w drzwiach. Zbierał siły.

— Skoro dzieciaki są na górze — zauważył jeden ze strażników, którego imienia jeszcze nie poznali. — To na co zmarły?

Kapitan przyjrzał się twarzy chłopca wraz z bliźniętami i Kertisem.

— Ten zmarł na zarazę — zauważył Oliwier, widząc ślady papki na twarzy chłopca i zabrudzony wóz.

Alesei podjechał z drugiej strony i wspiął się, by lepiej widzieć. Zszedł z białą plamą na twarzy.

— I? — zapytał kapitan.

Nie patrząc na Oliwiera i Julien Alesei wyjaśnił:

— Drugi dźgnął się nożem w serce. Byli bliźniętami.

Sai spojrzała szybko na Oliwiera, a Julien wtuliła twarz w jego ramię. Wszyscy, którzy wiedzieli, że Selena i Julien to kuzynki, gdyż nie sposób było ukryć podobieństwa, spojrzeli na nich ze współczuciem. Sel jako jeden z niewielu od razu rozumiał grozę tej informacji. Inni potrzebowali na to więcej czasu.

Kiedy brat umarł, drugi nie zniósł rozłąki z nim, więc odebrał sobie życie. Sądząc z wyglądu widocznego dla wszystkich chłopca, nie mieli więcej niż osiem, dziewięć lat.

Minęły chwile, podczas których wszyscy rozmyślali nad tym, czego właśnie dowiedzieli się o bliźniaczej więzi.

Zrozumieli, jak poważnym może być obciążeniem. Jak wielkim brzemieniem dla tych, którzy się z nią urodzili.

Sai patrzyła na Oliwiera. Będąc na oczach wszystkich, ukryty pod maską dziewczyny, tulił do siebie siostrę tak mocno i rozpaczliwie, jakby starał się ją przed wszystkim osłonić, ukryć przed okrucieństwem i ciekawością. Sel, nie chcąc by żołnierze zaczęli podejrzewać bliższe pokrewieństwo Seleny i Julien (do tej pory uważali przecież, że są kuzynkami), spojrzał znacząco na kapitana.

— Co z nimi zrobimy?

Jego wzrok znaczył: „Zrób coś. Przerwij to. Daj im odetchnąć!”. Teron doskonale go rozumiał.

— Zbierzmy ich razem — rozkazał. — Zachowajcie ostrożność. Nie dotykajcie ich rękoma bezpośrednio. Ułożymy stos. Spalimy ich. Nie mogą zostać tak na drodze jak jakieś ścierwa. A potem pojedziemy dalej nocą, aż do miasta Umbriel. Tam, w jego pobliżu, zatrzymamy się na noc.

— A co z tymi zwierzakami z powozu? — Alesei wskazał ręką na powóz, z którego przez cały czas dochodziły pomruki i drapania. — Wypuścimy je, prawda?

Bedal spojrzał nerwowo na dygoczący powóz, podobnie jak pozostali.

— A cholera wie — mruknął Kertis — co za bydlę tam siedzi.

— Ja bym był za zostawieniem tak, jak jest — stwierdził Marten niepewnie, próbując uspokoić swego konia.

— Głowę zostaw! — rzekł ostro do niego Kiran. — Kto idzie ze mną na dach? Widzę uchwyt. Tam jest okno.

— Ja pójdę — powiedział Pafian.

Weszli obaj i uklękli przy oknie. Pozostali przyglądali się z zainteresowaniem, nawet Julien, chcąc odwrócić uwagę od ponurych myśli. Sel spojrzał na Oliwiera z niepokojem. Twarz przyjaciela przypominała maskę. Zerknął na Rossa. Choć było widać tylko oczy i część twarzy, zobaczył w nich lęk. On także patrzył na Oliwiera. Widział, jak bolesne zrozumienie pojawia się w oczach kochanka, sięgające głębiej niż to, które pojawiło się w umysłach innych. Zbliżył się do niego.

— Co się stało? — zapytał cicho.

Nie patrząc na niego, Ross odpowiedział:

— Nie pomyślałem dotąd o konsekwencjach...

Kryło się w tych słowach znaczenie, które Sel, znając bliźnięta, zrozumiał od

razu. Przypomniawszy sobie noc. Przypomniawszy sobie, że widział Julien na łóżku Rossa, a Oliwier był wtedy z Sai.

— Sel — Ross mówił tak cicho, by tylko on go usłyszał. — Co ja najlepszemu zrobiłem?!

— Chciałeś mu pomóc — próbowałeś go pocieszyć.

Tymczasem Pafian otworzył okno i obaj z Kirianem zajrzeli do środka, skąd pomruki wyraźnie przybrały na sile.

— Co tam jest?! — zawołał Bedal.

Ross zamilkł ogarnięty złym przeczuciem.

Pafian i Kirian wymielili między sobą porozumiewawcze uśmiechy.

— Dwa białe tygrysy — odparł Kirian. — Cholernie głodne dwa białe tygrysy!

— No to lepiej je tam zostawmy, jak mówiłem — odparł na to Marten.

— Wiwan — Pafian spojrzawszy na brata z iskierką w oczach. — Potrafisz coś na to poradzić? Uspokój je. Nie masz pojęcia, jakie są piękne!

Wiwan uśmiechnął się mimo woli, widząc wyraz twarzy Pafiana. Jak dziecko, które dostało właśnie ukochaną zabawkę.

Oczywiście, że potrafił wpływać w ten sposób na zwierzęta. Nikogo tu nie zaatakują.

Usiadł na schodkach powozu.

— Wypuść je — powiedział pewnie i ze spokojem.

Ton jego głosu uspokoił wszystkich. Wiedzieli, że nic złego im się nie stanie.

* * *

Zgodnie z zamierzeniami zatrzymali się pod miastem na nocleg. Kapitan i Kirian dyskutowali na temat tego, czy podpalenie wozów było rzeczywiście najlepszym posunięciem, skoro do tej pory udało im się przejechać niepostrzeżenie. Wiedzieli jednak, że nie potrafiliby postąpić w tym wypadku inaczej. Świadomość, że ci ludzie pozostaliby tak następnego dnia, a zwłaszcza ci nieszczęśni dwaj chłopcy, wystarczyła im, by usprawiedliwić swe postępowanie. Pozostali żołnierze rozbijali prowizoryczny obóz. Z miejsca, które wybrali na popas w ciągu dnia, mogliby zobaczyć miasto, teraz pogrążone w mroku. Nie paliły się żadne pochodnie, żadne najmniejsze nawet światełko. W blasku księżyca widać było zarysy murów i budowli, bez śladu życia. Nie wróżyło to najlepiej.

— Gdzie twój nowy nabytek? — zapytał Pafiana Alesei. — Powiedzcie tym maskotkom, by trzymały się z dala od mojego psa.

— Poszły zapolować — odparł dość beztróskim tonem Pafian, spoglądając na psa, który jadł obok nowego pana z zapalem. — Nie mogą tu nikogo zaatakować, ale i też nie mogą przestać jeść. Głodny tygrys to zły tygrys.

— Zupełnie jak mężczyźni — rzekła na to Sai, przechodząc obok.
Mimowolnie obejrzał się za nią, kontemplując jej urodę. Alesei uśmiechnął się pod nosem.

— Nie boisz się, że zapoleją na ludzi?

— Wiwan zabronił im tego — odparł Pafian z przekonaniem. — O ile ludzie nie zaatakują nas.

— Naprawdę potrafi tak zrobić?

— Niczego jeszcze nie widziałeś — rzekł Pafian, siadając obok. — Teraz, kiedy wreszcie jest wolny, pokaże, na czym polega jego moc.

— Pokazał — odparł ciszej Alesei, zerkając na powóz. — Od tej strony dotąd go nie znałem.

Pafian poczuł na sobie spojrzenia przysłuchujących się żołnierzy.
Czekali na jego odpowiedź.

Nie wiedział, co właściwie im na to powiedzieć. Uzdrowiciel zabił ludzi swoją mocą. Został do tego zmuszony. Sam nie wiedział, że to potrafi.

Każda odpowiedź, jaka przychodziła mu do głowy, nie wyjaśniała w pełni tego, co musiało się dziać w sercu jego brata, by doprowadzić go do takiego aktu przemocy.

— Idziemy na patrol do miasta — stanął obok nich Bedal, przerywając ponure milczenie.

— Ty idziesz?! — zdziwił się Alesei.

— Wolę się upewnić na własne oczy — odparł mu.

— Hej! — odezwał się jeden z jego towarzyszy z pretensją.

Bedal uśmiechnął się do niego, łagodząc tym słowa.

— Uważaj na swoją skórę — powiedział do niego z sympatią Alesei. — Nie chcę żeby KLARYSSA płakała za tobą oczy.

Bedal spłoszył się, gdy padło imię dziewczyny, a koledzy rzucili do niego mniej lub bardziej sprośne żarciki.

— Dzięki — powiedział z sarkazmem do osiłka.

Alesei wyszczerzył do niego zęby, a potem szybko spowaźniał.

— Uważaj na siebie, młody.

Bedal wywrócił oczami.

— Bedal — przypomniał mu odchodząc. — Mam na imię Bedal, ALESEI!

Alesei przyjrzał mu się w zamyśleniu. Ross przysiadł do niego z drugiej strony, rozkładając swoje prowizoryczne posłanie.

— Nowa przyjaźń? — zapytał z uśmiechem.

— Przypomina mi go — odparł Alesei. — Cholernie mi go przypomina.

Ross spojrzął na niego ze zrozumieniem i smutkiem.

— Ciągle będziemy ich widzieć w innych — zauważył, a ton jego głosu oddawał cichą tęsknotę w sercu. — Mam tylko nadzieję, że kiedyś nie będzie to aż

tak boleć.

Pafian milczał taktownie, aż obaj znów zajęli się innymi sprawami. Współczuł im bolesnych strat.

— Zaraz wrócę — powiedział Ross. — Chcę zamienić słówko z Ethanem. Tknięci ciekawością spojrzeli za nim. Ethan stał przed powozem, rozmawiając ze swoimi kolegami z gwardii. Ross uprzejmie ich poprosił o chwilę.

— Chcę ci podziękować — powiedział do Ethana. — Narząłeś się dziś przeze mnie. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

Ethan spojrział na niego dziwnym wzrokiem.

— Po pierwsze — powiedział. — To był rozkaz porucznika. Po drugie to, że wyglądam jak ty, nie oznacza, że jesteśmy tacy sami, jasne? I jeszcze jedno. Też się cieszę, że skończyła się już ta cała farsa. Gdybym zginął, podając się za ciotę, zhańbiłbym dobre imię mojej rodziny.

Ross poczuł się, jakby wymierzono mu policzek i napluto w twarz.

Alesei zerwał się na równe nogi. Pies zaniepokojony jego zachowaniem zaczął szczekać.

— Ethan — odezwał się jeden z kolegów przebranego mężczyzny. — Ale z ciebie dupek!

Powstało zamieszanie, które ściągnęło uwagę Kiriana. Pafian pochwycił Rossa, nim ten rzucił się na swego sobowtóra.

— Co tu się dzieje? — zapytał Kirian.

Wtedy w drzwiach powozu pojawił się Wiwan.

Powoli zszedł po schodach i stanął przed grupą. Tknięci nagle dziwną myślą, wywołaną przez wcześniejszą rozmowę Pafiana z Aleseiem, wszyscy zamilkli. Nawet pies się uspokoił.

Wiwan zbliżył się do Ethana i spojrział mu prosto w oczy.

Pierwszy raz, odkąd go poznali poczuli się nieswojo. Widzieli go spokojnego. Poważnego. Nawet czasem pogodnego. I gniewnego. Ale nigdy dotąd nie widzieli u niego takiego spojrzenia. Skojarzenie tego właśnie spojrzenia z nagłą, tajemniczą śmiercią ludzi na targowisku wzbudziło w nich nieznany dotąd respekt wobec uzdrowiciela. Ethan bez powodzenia usiłował pokazać, że nie robi ono na nim żadnego wrażenia.

— Dlaczego mu ubliżasz? — zapytał Wiwan swym melodyjnym głosem.

Coś w nim było. Coś, czego nie widzieli wcześniej. Po przeżytych koszmarze był słaby i rozbity, ale teraz, im więcej przybywało mu sił, tym większa stawała się jego wewnętrzna siła, której dotąd nie mieli okazji poznać.

Nigdy więcej...

Pafian przyjrzał się swemu bratu, którego nagle zobaczył jakby z innej strony. To nie był Wiwan, którego znał. Ten wydawał się od niego silniejszy.

Ethan skulił się nieco pod badawczym wzrokiem uzdrowiciela.

— Wiwan, dałbym sobie radę — powiedział cicho Ross, uwalniając się z uchwytu Pafiana. — Myślicie, że skoro jestem ciotą — spojrzał zimno na Ethana — trzeba się ze mną cackać albo mnie obrażać?! Do diabła z wami!

Przepchnął się przez tłumek, ignorując nawet spojrzenie Sela i stanął tuż poza granicą obozu, wpatrując w zarysy miasta. Mimo gniewu bowiem, bał się znów oddalić od przyjaciół.

— Życzę sobie — powiedział chłodno Wiwan do Ethana — byś traktował moich przyjaciół z szacunkiem.

Takiego tonu także dotąd nie słyszeli u uzdrowiciela. Wyraźnie kryła się w nim groźba.

— Przepraszam, panie hrabio — zmiękł Ethan.

Lecz Wiwan, wiele potrafiąc wyczytać między wierszami w ludzkich sercach, wyczuł fałsz w tych przeprosinach. Nie mógł zmienić poglądów Ethana i zmusić go do tolerancji. Nie leżało to w jego zamiarach. Nie kierował wolą ludzi. Chciał tylko, by nauczyli się rozumieć. A Ethanowi wciąż było do tego daleko.

Odszedł, by porozmawiać z Rossem, nie zaszczycając już tamtego żadnym spojrzeniem. Ludzie przezornie usunęli mu się z drogi.

Kilku z nich zaczęło strofować Ethana, a Kirian wezwał go na stronę.

Alesei i Pafian spojrzeli na rozmawiających poza krawędzią obozu.

— Twój brat jednak potrafi być groźny — rzekł Alesei.

Pafian zmilczał tę uwagę. Uśmiechnął się z zadumą.

* * *

Oliwier siedział na skrzyni na ubrania, udając, że ogląda widok za oknem. On także widział miasto. Widział, jak Ross zmierza w tamtą stronę, a wkrótce potem dołącza do niego Wiwan. Ale prawdę mówiąc, nie bardzo się teraz tym interesował. Podobnie jak Julien, teraz zalewająca zioła wrzątkiem w kilku kubkach.

Oliwier bronił się przed myślami o Sai i zeszłej nocy. W ciągu dnia podróż i upał odwracały jego uwagę od wspomnień.

Noc przypominała mu wszystko.

Bronił się bezskutecznie, wiedząc jak zawsze, że Julien odczuwa jego myśli.

Pamiętał pocałunki.

Dotyk Sai na swojej skórze.

„Oliwier” — słyszał jej głos, wypowiadający jego imię. Jego prawdziwe imię.

Mimowolnie poczuł dreszcz podniecenia. Skupił się, by stłumić pragnienia, choć boleśnie chciał mieć prawo do wspomnień z tamtej nocy.

Być może jedynej takiej nocy w jego życiu.

„A jeśli Julien nie uda się tego powtórzyć?” — usłyszał głos Sai raz jeszcze.

Poczuł pieczenie w oczach. Napierające łzy.

Unikał jej. Unikał Sai nawet teraz. Nie patrzył. Nie rozmawiał.

Ale nie potrafił zapomnieć.

— Proszę — szepnęła cicho Julien, podając mu kubek. — Mają podobno uspokajać.

Poczuł zapach ziół. Melissa...

Usiadła obok niego, odwrócona plecami.

— Masz do mnie żal? — zapytała.

— Wiesz, że nie.

— Wiem — odparła. — Choć czasem wolałabym nie wiedzieć...

— Wybacz, że zawracam ci głowę swoimi myślami!

— Nie o to mi chodzi!

— Chociaż udawaj — głos mu się załamał. — Chciałbym choć odrobinę prywatności.

Poczuł jej żal i ból po tych słowach. Zranił ją.

— Julien... — odwrócił się, by ją objąć. — Przepraszam. To nie jest twoja wina.

Wtulił twarz w jej plecy.

Czuła jego rozdarcie. Może mogłaby dać mu więcej swobody, ale myśl o tym, żeby brat kochał się z kobietą, była dla niej dziwna i nieznośna. Nie powinna, nie chciała dzielić z nim tych uczuć. Nie potrafiła. Rozumiała natomiast jego tęsknotę. Czuła, jak wielką przyjemność sprawiło mu spełnienie. Ta myśl niosła w sobie jednocześnie radość z jego szczęścia i poczucie obrzydzenia, jakby zajrzała do sypialni rodziców, gdy się kochali.

Jak odsunąć ich od siebie nawzajem, by mogli normalnie żyć?

Gdyby Wiwan mógł sprawić, że zamykałaby bramę swego umysłu bez wysiłku. Lub znalazł inny sposób. Ross potrafił jej pomóc, lecz musiałby być ciągle w pobliżu.

Spojrzała na brata i zobaczyła w jego oczach, wypełnionych łzami, to samo. Nadzieję.

* * *

— Omijajmy miasto z daleka — powiedział dowódca patrolu wysłanego do miasta.

Powrócili głęboką nocą. Podobnie jak białe tygrysy, które ułożyły się obok powozu, wywołując tym niezadowolenie psa, który przycupnął bliżej swego nowego pana. Alesei udawał, że śpi, nasłuchując rozmowy. Uchylając lekko powieki, zobaczył, że Ross udaje podobnie.

— Co widzieliście? — zapytał kapitan.

Czujny Kirian stał obok niego.

— No, więc — usłyszeli wahanie w głosie Kertisa. Oddział zwiadowczy złożony z obu grup żołnierzy był dowodzony właśnie przez niego. — Panie poruczniku. Czerwona Rebeka, ta od burdelu...

— Tak? — Kirian uciął dalsze wyjaśnienia, zapewne z uwagi na udających sen przyjaciół.

— No więc, ona oprócz tego wozu, miała jeszcze inny, taki mniej strojny — dopowiedział jeszcze Kertis. — Kiedyś w nim był... W każdym razie — rzekł pośpiesznie — ten powóz stoi teraz w Umbriel. Panie poruczniku — głos Kertisa zabrzmiał gniewnie — powóz został spalony! Poznałem go, bo miał takie ozdoby i zostało trochę farby... Konie sobie zabrali i zjedli. Oni, to znaczy mieszkańcy miasta. Bo oni się tam kręcą. Jak szczury.

— Rozmawialiście z kimś?

— Nie, panie poruczniku — odparł nagle twardo Kertis. — Z nikim tam nie będziemy gadać. Omijajmy je z daleka.

— Co się stało?

Nastąpiła chwila ciszy.

— Bedal? — zapytał kapitan, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

— Oni ich zamknęli w tym powozie — wytłumaczył łamiącym się głosem młody żołnierz. — Tych z Domu Rozkoszy. Spalili ich żywcem na środku rynku! Alesei usłyszał stłumiony szloch. Ross usiadł, a Sel obok niego.

— Umówiliśmy się — wyjaśnił łamiącym się głosem Ross. — Mieliśmy się spotkać w mieście uzdrowiciela.

— Nikt nie mógł tego przewidzieć Ross — rzekł cicho Sel.

Alesei poczuł, jak ogarnia go gniew i żal. Wyliczył imiona zamordowanych w myślach. Pomiedzy nimi była kobieta, która pomogła Oliwierowi przebrać się do roli Seleny. Ross cicho szlochał.

ROZDZIAŁ 16 — Ostatni wieczór

W ponurych nastrojach grupa wędrowców przygotowała się na poranek. Wieść o tym, co stało się z uciekinierami z Domu Rozkoszy, dotarła już bowiem do wszystkich. Zmieniając pierwotne zamiary, całkowicie zwartą grupą cofnięto się do rozwidlenia dróg, by ominąć szerokim łukiem okrutne miasto. Dopiero, gdy znaleźli się w górach, a droga wic się poczęła między wzniesieniami i dolinami, dostarczając wspaniałych widoków i artystycznych wrażeń, nastrój znacznie się poprawił.

Niedawnych mieszkańców Domu Rozkoszy i ich przyjaciół wciąż jednak ogarniał żal. Wiele stracili, by tu się pojawić. Drogą cenę zapłacili za swe nowe życie.

Ross milczał podczas podróży. Nie pomógł nawet gest dobrej woli ze strony Ethana, który wręczył mu podarowaną przez Oliwiera kopię Klejnotu Nadziei. Oliwier pożyczył go Ethanowi przed wyjazdem, tłumacząc to dopracowaniem szczegółów, gdyż obserwujący ich w mieście dobrze wiedzieli, że białowłosy nosi na szyi Klejnot. Posiadanie wisiora wytłumaczył podarkiem od syna złotnika. Ethan bał się oddać go Selenie, ponieważ przebywała teraz z uzdrowicielem, oczywiście nie mówiąc tego wprost. Dlatego poprosił o pomoc Rossa, przy okazji dość niezręcznie próbując zatrzeć pamięć o swoim wcześniejszym zachowaniu.

Dwa białe tygrysy majestatycznie, z kocią gracją, szły po obu stronach konia Pafiana, nie niepokojąc psa, który przyzwyczał się do nich na tyle, że swobodnie biegał już obok nich i jeźdźców.

Przygnębiona Sai, jechała na swym koniu. Jej myśli krążyły wokół Oliwiera, za którym boleśnie tęskniła. Nie zamienił z nią słowa od wyjazdu. Unikał jej, nie szukał jej spojrzenia. Wiedziała, że kieruje nim ostrożność ze względu na przebranie, lecz miała nadzieję, że choć jednym gestem upewni ją o swoim oddaniu. Z upływem czasu zaczynała jednak oswajać się z myślą, że najwyraźniej tak nie jest. Była jedynie chwilowym ukojeniem jego cierpienia. Zaupełnie tak, jak jej się to zdarzało z innymi mężczyznami w przeszłości. I choć to wydawało się wtedy tak prawdziwe, w rzeczywistości jednak zapewne tylko się łudziła. To bolało.

A więc była dziwką, zaspokajającą jego potrzeby. Samotną, rozdartą przez stratę dziwką, która pomogła stać się zagubionemu młodzieńcowi mężczyzną.

Gorzkie to były myśli.

Sel rozglądał się po okolicy, kontemplując widoki. Tylko on spoglądał w górę, by przyjrzeć się szczytom. I dlatego, w pewnym momencie, pierwszy

zauważył niezwykle zjawisko.

— Smoki — mruknął, zwracając tym uwagę zamyślonego Rossa. — Tam są smoki!! — wskazał ręką na dolinę po lewej, ponad którą latało kilka wieloskrzydłych istot o różnych barwach. W panującej wokół ciszy, wszyscy, których wzrok podążył za jego gestem, usłyszeli też dziwne, nigdy dotąd niesłyszane odgłosy.

— Są ogromne! — zauważył Kirian, wyciągając pośpiesznie lunetę, z torby w siodle — O, Matko Ziemio! — krzyknął w zachwycie, gdy przyjrzał im się bliżej. — Ależ są piękne!

Podał lunetę pozostałym, by sami mogli ocenić urodę niezwykle istot.

— Są niebezpieczne? — zapytał zaniepokojony Bedal.

— Na pewno — odparł na to jeden z jego kompanów, który wczoraj przedstawił się Aleseiowi jako Renal.

— Miejmy nadzieję, że nie są głodne — zauważył cierpko Nils.

Sel spojrział na Rossa. Nim ruszyli dalej, obdarzył go ciepłym uśmiechem. Zbyt mało czasu mieli, by zamienić ze sobą spokojnie choć kilka słów, bez świadków. Wyciągnął rękę i położył ją na jego dłoni. Widząc jego przygnębienie, miał szczerą ochotę objąć go mocno. Czuł jednak, że Ross nie chce teraz tego gestu. Wołał zostać sam, ze swoimi myślami.

* * *

Postój na posiłek i nieco odpoczynku kapitan zarządził w południe. Nieprzyzwyczajeni do jazdy konnej przyjęli z ulgą ten odpoczynek, by ulżyć obolałym mięśniom. Wkrótce jednak troska o dalszą drogę konno odeszła w zapomnienie, gdy uzdrowiciel dotknięciem usunął ból. Wszyscy razem zasiedli więc do spożywania zapasów, nie rozpalając ogniska, by nie zwracać na siebie uwagi. Żołnierze poprosili, by Pafian opowiedział im co nieco o smokach, więc chętnie podzielił się swoją wiedzą.

Omawiano też dalszą przyszłość. Gwardziści i żołnierze mieli wrócić do stolicy — chyba, że sytuacja w mieście będzie wymagała ich dłuższego pobytu. Kilkoro ludzi ustanowionych strażnikami mogło okazać się zbyt małą obroną jedynej nadziei dla wielu.

Wiwan wyglądał już dużo lepiej. Niestety nie przespał spokojnie nocy, przez uporczywy ból zmuszony w końcu do zażycia przygotowanych mu przez Sedona leków. Nie znosił ich, ponieważ sprawiały, że był dziwnie otępiały i poruszał się z trudem. Poranione przyrodzenie goiło się szybko, lecz miało upłynąć jeszcze trochę czasu, nim całkowicie wydobrzeje. Włosy za to odrosły całkowicie, więc Julien przystrzygła je w czasie postoju, by rosły równo. Szpecące jego ciało blizny bledły niemal tak samo, jak i na ciele Rossa, ale ich liczba i świadomość, jak do

nich doszło, napełniała serca wszystkich bólem. Nie skarżył się, choć widok swego odbicia w zwierciadle z powozu był z początku dla niego szokiem. Nie mówił też o nocnych koszmarach i narastającym lęku przed opuszczeniem powozu, z którym starał się walczyć. Ci, którzy z nim podróżowali, wiedzieli jednak o tym. Wyraźnie widać było, że uzdrowiciel marzy już o powrocie do własnego domu.

W jednej rzeczy nigdy nie tracił zapału. Jeśli mógł pomóc w jakikolwiek sposób, zaraz to robił, choćby chodziło tylko o obolałe mięśnie czy otarcia. Nastroje także, po posiłku w przyjaznym gronie, zaczęły się poprawiać. Pomimo smutnych wydarzeń, wszyscy zaczęli mieć z wolna nadzieję, że teraz będzie już tylko lepiej. Nawet Ross ożywił się po posiłku z przyjaciółmi, a Klejnot, niepowstrzymywany przez niego, ogrzał znów jego serce i napełnił serca innych.

Dla Oliwiera i Julien, którzy bali się po źle spędzonej nocy nagabywać uzdrowiciela w swojej sprawie, dalsza podróż wzbudzała tylko niepokój. Wiwan, który szybko zauważył przynębnienie rodzeństwa, doszedł przyczyny tego stanu. Przeprosił ich za zaniedbanie w tej kwestii, wynikające ze zmęczenia. Po prostu dotykając ich głów swymi ciepłymi dłońmi, sprawił, że to, co Julien udało się zrobić przez kilka godzin z pomocą Rossa, teraz pozostało na stałe. Wąskie połączenie więzi, którego nie można było odciąć całkowicie, pozostało, umysły otrzymały dystans, który swobodnie pozwalał im zamknąć przed sobą myśli, kiedy miały być tajemnicą. Odczuwanie wzajemnej obecności i stanu ducha pozostało również, ale Wiwan zamknął na zawsze skutki urazów lub innych doznań, ograniczając je tylko do świadomości, że miały miejsce. Od tej chwili, jeśli jedno z nich miało się skaleczyć, drugie tylko o tym wiedziało, nic poza tym.

— Udało mi się to tylko dlatego — powiedział im — że jesteście parą bliźniąt. Nie wiem, co zdołałbym zrobić dla dwóch chłopaków lub dziewczyn. Nigdy nie przychodzili do mnie po pomoc.

— Jeśli dla nas ta więź była czasem koszmarem — stwierdził ponuro Oliwier — to wolałbym nie wiedzieć, czym jest dla nich.

W sercu czuł dziwną pustkę i jednocześnie radosne uniesienie. Znów było jak wtedy nocą, gdy był z Sai. Ta dziwna cisza w myślach, wszystko jakby oddalone, jakby przez ścianę. Dziwnym uczuciem to było po wielu latach, gdy tak ściśle żyli ze sobą on i Julien. Całe jego życie odeszło nagle w zapomnienie, jego decyzje, wybory podejmowane dla dobra siostry.

Już nie musiał aż tak uważać.

Nie potrafi jeszcze tego pojąć.

Ale już czuł, jak rośnie w nim siła, jakaś radość, szum krwi w uszach. I jedna myśl, jedno imię napędzało to uczucie, rozsadzało jego duszę, pociągało za sobą zmiany, których nie miał nadziei kiedykolwiek przeżyć.

Wiwan taktownie wyszedł z powozu, zostawiając ich samych, lecz Julien, która wiedziała, choć już nie mogła być aż tak blisko, co może dziać się w sercu jej

brata, bo przecież знаła go od zawsze, nie chciała dłużej zostać. Pragnęła nacieszyć się tą dziwną zmianą, która od dziś miała jej towarzyszyć już zawsze. Ogarnął ją spokój. Uzdrowiciel się do tego przyczynił. Była mu za to wdzięczna. Bez jego wsparcia wkrótce zapewne ogarnęłoby ją przerażenie i poczucie straty. Nie wyczuwała w sobie takich uczuć. W zamian ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa, miłości i spokoju w sercu. Jak wtedy, gdy rodzice podarowali jej coś, czego bardzo chciała, przytulając z miłością. Ciepło, które poczuła w sercu, sprawiło, że bardzo chciała podzielić się swą cichą radością z bliską jej osobą, a bratu pozwolić, by odczuwał ją wreszcie bez jej udziału. Znała tylko jedną osobę, która stała się nie tylko jej przyjacielem, ale i stała się dla niej bliska, kojarząc się z rodziną. Wyszła z powozu, by go odnaleźć i nie zważając na to, że rozmawia z Selem, co do którego miała jednak nieco odmienne uczucia, podeszła do Rossa, wtulając się w niego, jak wtedy, gdy przeżywała męki, a on leżał ciężko ranny w łóżku a jednak gotów jej pomóc w potrzebie. Niezawodnie, zupełnie jak jej brat, Ross, nie zadając pytań przytulił ją mocno, czekając aż sama zechce mu wyjaśnić swoje zachowanie. Sel poczuł ukłucie w sercu. Był czas, gdy był tak blisko Julien. Teraz czuł, że między nimi jest wciąż niewidzialna przeszkoda.

Ross przymknął oczy. Przypomniawszy sobie chwile, gdy Julien płakała i krzyczała, bo Oliwierowi działo się krzywda. Teraz z ulgą wyczuwał w niej spokój, jakby zaszła jakaś istotna zmiana. Czekał jednak cierpliwie. Czymkolwiek chciała się z nim podzielić, musiała zrobić to sama. Dawno nauczył się by nie naciskać w takich sprawach a ostatnie wydarzenia nauczyły go pewnej ostrożności.

Jego cierpliwość wkrótce została nagrodzona.

— Możemy już żyć — rzekła mu cicho. — Ross, możemy już normalnie żyć!

Objął ją mocno, tym okazując radość. Zza jego ramienia spojrzała także na Sela, który potrzebował chwili by w pełni zrozumieć o czym ona mówi. Uśmiechnął się do niej ze wzruszeniem.

Odpowiedziała mu uśmiechem, a oczy zalśniły jej od łez.

Potem jednak odwróciła głowę, by już na niego nie patrzeć, nie myśleć, nie burzyć spokoju pragnieniami, które w niej wywoływał, choć wcześniej wydawało jej się już, że odsunęła się od takich myśli o nim. Nie chciała niszczyć tego, co było między nimi trojgiem. Nie chciała nieporozumień i niepotrzebnych marzeń. Miały odejść na zawsze, podobnie jak siła więzi, która ją łączyła z Oliwierem. Musiały stać się przeszłością...

— Co się stało, Julien? — usłyszała nagle zaniepokojony głos Sai. — Pokłóciłaś się z... — pospiesznie zreflektowała się, nim wymówiła właściwe imię: — Seleną?

Julien delikatnie uwolniła się z objęć Rossa i spojrzała na swoją nową przyjaciółkę. Uśmiechnęła się pokrzepiająco. Nie mogła powiedzieć tego, jak

chciała ze względu na żołnierzy, gdyż paru z nich ciekawie zerkało na tę scenę, mrużąc coś między sobą. Doszły do niej strzępki komentarzy o trójkątach i czworokątach. Zauważyła też kilka znaczących uśmiezków. Nie przejęła się tym. To były tylko niewinne żarty.

Wyjaśnienie tego co się stało, mogło wywołać u Sai reakcję, której jednak lepiej było nie pokazywać.

— Nie, nie pokłóciłam się — odparła więc wesoło. — Niech lepiej sama ci to wyjaśni.

Sai zachęcona jej gestem poszła więc do powozu.

Oliwier stał obok drzwi wejściowych, niewidoczny dla wszystkich. Stała przed nim, badawczo przyglądając się jego twarzy, zaintrygowana i mimo wszystko nieco zaniepokojona.

Kochał to spojrzenie, które zawsze sięgało do jego prawdziwego ja.

Pocałował ją, nie kryjąc już tłumionej przez tak długi czas tęsknoty, który zdawał się ciągnąć przez wieczność.

Oszołomiona jego spontanicznością uległa temu pocałunkowi, lękając się jednocześnie, że zostaną odkryci. Wolałaby natychmiast zamknąć drzwi i pozwolić by obsypał ją pieścizotami, na co wyraźnie miał wielką ochotę. Jego oczy błyszczały. Jego serce biło mocno pod jej dłonią, gdy z trudem próbowała go powstrzymać, walcząc także z własnym pragnieniem.

— Teraz to ty jesteś szalony — szepnęła mu do ucha, czując jak pod jego dotykiem jej ciało zaczyna drżeć — Ktoś mógł tu zajrzeć!

— Przepraszam — powiedział zupełnie nieszczerze, z błyskiem wesołości w oczach. — Przepraszam — powtórzył po chwili już poważniejąc i wielkim wysiłkiem woli uwalniając ze swych objęć. — Przepraszam, że dotychczas milczałem, Sai. Nawet nie wiesz...

Zakryła mu usta dłonią.

Wiedział, co chciała przez to powiedzieć. Miał uważać. To jednak stawało się już z wolna niemal bolesne.

— Co się stało? — zapytała, by uspokoić nieco ich myśli, za którymi podążały znów niepokorne dłonie i spragnione usta. Ledwie zdołali to przerwać.

Nie wiedział przez chwilę, jak ubrać w słowa swoje myśli, by nie krzyknąć przy tym z radości, nie tuląc jej jednocześnie do serca. W tej chwili, jak nigdy dotąd nienawidził swego przebrania.

Czekała niecierpliwie.

— Julien — szepnął wreszcie do jej ucha, muskając przy tym jej szyję, przez co z trudem mogła się skupić na jego słowach — i ja... zamknęliśmy bramę. Mogę...

W tym jednym słowie przerwane go zdania kryło się tak wiele. Sama myśl o tym, co mogą wreszcie przeżyć rozpaliała ich zmysły niczym ogień. A jednocześnie

budziła w Oliwierze tak wiele emocji, że tracił głos ze wzruszenia. Zrozumiała w pełni jego szczęście. Objęła go mocno, a on wtulił głowę w jej ramię, ukojony jej bliskością, gasząc pożar pożądania, które szybko odeszło, stłumione innymi odczuciami i, niestety, koniecznością, której nienawidził.

— Na zawsze? — zapytała cicho.

Kiwnął głową potakująco.

Musiała stłumić inne uczucia. Nie mogli tego zrobić. Nie mogli teraz być razem. Oboje, z gorzką świadomością o tym wiedzieli.

— Sai — szepnęła Oliwier. — Całe moje życie... ukrywałem się.

— Wiem.

Drżał w jej ramionach. Szczerze mu współczuła. Mogła jedynie domyślać się, jak bywało mu ciężko.

— Znajdziemy sposób — powiedziała. — Wytrzymaj. Jeszcze tylko trochę. Obiecuję.

Milczał. Zerkając ciągle, czy ktoś nie nadchodzi, trzymała go w ramionach, aż wreszcie się uspokoił.

Tylko tyle mogła teraz dla niego zrobić. Choć pragnęła o wiele więcej.

Wolno go puściła.

Ostatnie rozłączyły się ich dłonie.

Wyszła, zostawiając go samego.

Wkrótce znów wyruszono w drogę. Wiwan posepniał z każdą godziną zbliżania się do celu. Towarzyszący mu przyjaciele doskonale domyślali się powodu tego nastroju. Julien próbowała poprawić mu humor dobrym posiłkiem i ciepłym słowem. Oliwier próbował wciągnąć go do wspólnej rozmowy, lecz Wiwan nie był do tego skłonny. Jego ponury nastrój z wolna zaczął udzielać się bratu i przyjaciółom, aż wreszcie Pafian, nie mogąc dłużej tego znieść poprosił, by zatrzymano się na postój.

Krótko wyjaśnił kapitanowi powód.

— Nie musiałeś! — rzucił mu Wiwan nerwowo. — Czy wrócimy do domu godzinę później, czy nie, to niczego już nie zmieni.

— Zawołam Rossa — oznajmił mu krótko Pafian. — Może on...

— Do cholery z tym wszystkim! — przerwał mu zdenerwowany Wiwan, aż wszyscy wokół zaskoczeni spojrzeli w jego stronę. — Nie wołaj go! Mam prawo się bać!

— Ma rację — odezwał się Ross, który w tej chwili pojawił się w drzwiach. Wiwan spojrział na niego z wdzięcznością.

— Chcę ci pomóc — wyjaśnił Pafian im obu. — Nie mogę patrzeć, jak się męczysz.

— To nie patrz! — powiedział Ross, zbliżając się do nich. — Powiedz słowo, a zostaniemy tu na noc — zwrócił się do Wiwana.

— Co to zmieni?

— Da ci więcej czasu.

— Na co? Żeby się przygotować?!

— Powiedzmy — odparł Ross. — A może raczej żeby się spać.

— Co takiego?! — zdziwił się Pafian, pewny że się przesłyszał, wyrażając tym pytaniem także uczucia przysłuchującego się rodzeństwa.

— Spać — zaczął spokojnie wyjaśniać Ross, kobiecym gestem gestykułując słowa. — Czyli upić. Spoić w trupa. Zachlać się na umór...

— Wiem, co to znaczy — przerwał mu Pafian nerwowo.

Ross spojrział na Wiwana z lekkim uśmiechem.

— Zastanów się — powiedział mu z błyskiem w oku — Kiedy ostatnio dobrze się bawiłeś?

— Masz na myśli zabawę i tańce? Nie mam na to ochoty...

— Nie, kochany — tym razem w Rossie zaczął budzić się duch jego niedawnej osobowości, co obserwujący z zewnątrz Sel zauważył z uśmiechem. — Wino i śpiew. Dobra kompania. Morze możliwości! Szalona noc...

Wiwana spojrział na niego jak na szaleńca.

— Nie wiem... — odparł niepewnie, ale Ross wiedział już, widząc jego minę, że trafił w sedno.

Sięgnął więc do szafki, gdzie przechowywano w powozie żywność i picie, a potem, umyślnie robiąc przy tym trochę hałasu i wciągając w to Julien, przygotował kubki i wino. Siadając obok Wiwana, szybkim gestem zaprosił Pafiana i Sela, by się przyłączyli. Sel zawołał Aleseia wraz z psem, który go nie odstępował, a ten dał sygnał żołnierzom. Kapitan widząc, na co się zanosi, wraz z Kirianem ustalił, kto ma pełnić wartę, a kto ma prawo się bawić, a potem także się przysiadł.

— Słuchaj — powiedział Ross, jako prowadzący pierwszy rozlewając wino, w kolejności zaczynając od uzdrowiciela — obaj jesteście strasznie sztywni...

— Racja! — wtrącił wesoło Alesei, zawsze skłonny do spędzania przyjemnie wieczoru, budząc tym ciche śmiechy obecnych.

Ross wstrzymał go gestem.

— Nie każę ci tańczyć ze mną... — kilka głosów zaraz skomentowało w żartach te słowa — Masz się ze mną upić!! — skończył z zapalem.

Nastrój zaczynał być już coraz lepszy, im bliżej było do przyjemnego wieczoru. Sel zerknął podejrzliwie na Klejnot na szyi Rossa. Żarzył się lekko, na co uśmiechnął się z pobłażaniem, obserwując rozwój sytuacji.

By uniknąć ewentualnych dwuznacznych żarcików Ross tymczasem dodał szybko, wznosząc swój kubek:

— Upij się z nami! — i stuknął nim kubek Wiwana, a potem wyciągnął go w stronę obecnych.

Ci ochoczo przyjęli toast i wypili pierwszą zawartość do dna.

Wiwan, już ulegając nastrojowi chwili poszedł ich śladem.

— Moi drodzy! — Ross, czując się już całkowicie panem sytuacji stanął przed wszystkimi z tajemniczym uśmiechem. — Dziś już nigdzie nie jedziemy!

Wszyscy zebrani i żołnierze na zewnątrz wzniesli swoje kubki na cześć tych słów...

Dużo później, gdy wieczór na dobre się rozkręcił, a Wiwan w znacznie lepszym humorze siedział rozmawiając pomiędzy Aleseiem i Oliwierem, Pafian zdołał niepostrzeżenie odciągnąć na stronę Rossa, który wypił znacznie mniej niż starał się okazać. Klejnot zaś znów nie świecił.

— Dziękuję — powiedział szczerze. — To był naprawdę doskonały pomysł!

Ross spojrział na niego z mieszaniną wesołości i powagi. W świetle niewielkiego ogniska jego białe pasmo włosów lśniło własnym blaskiem.

— Wszyscy potrzebujemy takich chwil — odparł. — Inaczej życie przygmiotłoby nas jak ogromny kamień.

Pafian rozejrzał się po obozie. Wiwan, z lekkim uśmiechem, słuchał właśnie opowieści kapitana Terona. Kirian wyraźnie się odprężył. Oliwier z lekkim zmieszaniem przyjmował uprzejmości Kertisa i Martena, którzy wyraźnie pałali sympatią do Seleny. Julien z tajemniczym uśmiechem rozmawiała o czymś z Sai. Wszyscy głaskali przechodzącego między nimi psa, którego Alesei nadal beztrąsko nazywał po prostu psem. Od czasu do czasu tego wieczoru padały różne propozycje z całego obozu, dotyczące imienia dla psa, większość z nich budziła wesołość i okazje do żartów. Nie było wątpliwości, że imię dla psa było tematem przewodnim, który podsycił nastrój, gdy choćby przez chwilę brakowało innych tematów. Najwięcej propozycji miał Bedal, który stanowił dziś doskonałe towarzystwo dla Aleseia. Ten jednak nie zapominał też o swoim przyjacielu i wznosił toast za Rossa jako doskonałego gospodarza dzisiejszego wieczoru, co wszyscy chętnie podchwycili. Nawet Ethan przyłączył się do toastu z lekkim ociąganiem, a Nils poderwał wszystkich, by przy tym stanęli.

Ross podziękował za uznanie skinieniem głowy i cieniem uśmiechu. Pafian zauważył, łzy w jego oczach, podyktowane silnym wzruszeniem. Odczekał, by wszystko się uspokoiło. Dopiero wtedy zapytał z ciekawością:

— Masz jakiś udział w tej zabawie? — wskazał znacząco na Klejnot.

— Nie — odparł Ross spokojnie — Nie potrzebują mojej pomocy.

Jeden z tygrysów wrócił do obozu ze swej wyprawy i otarł się niedbale o nogę swego nowego pana, domagając się należytego powitania.

— Witaj, Reebo — Pafian pogłaskał samicę pieszczotliwym gestem. — Najadłaś się łobuzico?

Mruknięcie zwierzaka musiało mu wystarczyć za odpowiedź. Reebo odeszła i położyła się z istic królewską godnością, między kołami powozu.

— Brakuje mi tego — rzekł nagle Ross.

Pafian podążył spojrzeniem za jego wzrokiem. Ross patrzył w tej chwili na Sela, który właśnie rozmawiał z Aleseiem. Brat uzdrowiciela poczuł się nieco niezręcznie. Zrozumiał, o co może tu chodzić. Wciąż jednak nie przyzwyczał się do tego rodzaju uczuć u mężczyzn. Był jednak na dobrej drodze, by to zrobić, im dłużej przebywał ze swymi nowymi przyjaciółmi.

— Powiedz mu — odparł, starając się brzmieć zupełnie naturalnie. — To chyba będzie odpowiedni moment.

— Chciałbym, by taki był. Nawet nie wiesz jak bardzo — westchnął Ross z rozmarzeniem. — Jeszcze niedawno nie było dnia, żebym...

— Błagam cię! — przerwał mu żartobliwie Pafian, przerażony tym co może usłyszeć.

Ross pierwszy raz od długiego czasu szczerze się roześmiał, widząc wyraz jego twarzy.

— Racja — odparł, mrugając do niego znacząco. — Głodnemu chleb na myśli.

Teraz uśmiechnęli się obaj. Jeden z nich z pewną ulgą, co nie uszło uwagi drugiego, który przyjął to z pobłażliwością.

— Tęsknisz za tamtym domem? — zapytał Pafian po chwili.

Nigdy dotąd nie znał bliżej przedstawicieli najstarszego zawodu świata. Potrafił sobie radzić bez ich usług. Był ciekaw odpowiedzi, z góry wiedząc, że sam by natychmiast zaprzeczył. Z pewnością nie tęskniłby do miejsca, gdzie sprzedawałby swoje ciało za pieniądze.

Ross milczał dłuższą chwilę. Pafian zaczął się zastanawiać, czy nie uraził go tym pytaniem.

— Tęsknię za tamtymi ludźmi — odparł wreszcie z powagą nowy przyjaciel. — Za Valeri, Rebeką, Leną. Nawet za tym osiłkiem Lenem. Prawda, nawet go nie zdążyłeś poznać... — głos na chwilę mu się załamał. Odchrząknął nerwowo. — Byli dla mnie lepsi od mojej matki — kontynuował już spokojnie, lecz ze smutkiem. — Rebeka mówiła: Ross, mam dość ludzi w tym interesie. Nie musisz... — urwał nagle, przejęty nagłym wspomnieniem. — Ale ja chciałem... — dodał cicho. — Chciałem robić to, czego tak bardzo musiałem bronić w domu. Chciałem się w tym zapomnieć!

— Musiałeś się sprzedawać?

— To było głupie, wiem — rzekł Ross z westchnieniem. — Ale ja nie wiązałem przyszłości z Domem Rozkoszy. Chciałem tylko uzbierać trochę pieniędzy. Valeri miała też jakieś oszczędności. Mieliśmy plany. Chcieliśmy wyjechać.

— A Sel?

— Sel?! — Ross spojrzał na Pafiana z nutką zdziwienia i żalu. — Sel ożenił

się z Milerą! Gdyby nie Moren, pewnie nadal by z nią był... aż do swojej lub jej śmierci. Tam nie było już dla mnie miejsca.

— To pewnie nie była łatwa decyzja – zauważył Pafian.

— Nie... — Ross westchnął ciężko. — Sel pewnie nie chce mnie urazić, ale gdy teraz zyskał drugie życie, nie marzy o tym, by związać się z byłą męską dziwką. Miota się i nie wie, jak mi to powiedzieć. Tak myślę.

— Więc jest pieprzonym idiotą — podsumował Pafian z nutą gniewu. — Ja, gdybym rozumiesz... miał... — machnął ręką, by jakoś to określić, mając jak najszczerze intencje — kogoś takiego w swoim życiu, jak ty — urwał, by nadać większe znaczenie słowom, które chciał teraz wypowiedzieć: — nie pozwoliłbym mu odejść — zakończył z powagą.

Czuł na sobie wzrok Rossa. Po chwili odważył się, by spojrzeć mu w oczy, ciekaw, czy teraz zostanie wykpiiony lub opacznie zrozumiany.

Ross patrzył jednak na niego tak, jakby nigdy nie spodziewał się po nim takich właśnie słów. Wyraźnie nie wiedział, co na to odpowiedzieć, tak bardzo go to poruszyło.

Pafian uśmiechnął się w myślach. Ross nie zachowywał się tak, jak można się było po nim spodziewać. Miał w sobie pewną godność i wycucie, które zawsze podpowiadało mu, jak się zachować, by nie popaść w przesadę czy śmieszność pod baczną obserwacją innych. Nawet teraz starał się panować nad emocjami.

— Dziękuję — odezwał się wreszcie zduszonym głosem.

Pafian skinął mu głową w milczeniu.

* * *

Świt przywitał ich chłodny, choć słoneczny. Na szczęście część żołnierzy wyznaczona do warty podtrzymywała płomień ogniska przez całą noc. Obaj dowodzący wstali w dobrej formie — poważnie traktując bowiem swoje obowiązki nie folgowali sobie zbyt wiele zeszłego wieczoru. Jedyne kilku żołnierzy wstając, mamrotało coś pod nosem z niezadowoleniem. Bedal obudził woźnicę o imieniu Peer. Jego włosy były jeszcze bardziej rozwichrzone niż wcześniej, a oczy krążyły niespokojnie po całym obozie.

— Coś się dziś wydarzy — powiedział do chłopaka. — Czuję to.

— Zaraz będziemy na miejscu — zaprotestował na te słowa chłopak, jednak Peer pokręcił przecząco głową.

Peer zawsze wydawał się trochę szalony. Rok temu jego włosy zaczęły już siwieć na skroniach, choć nie miał jeszcze trzydziestki. Był jednak dobrym żołnierzem i kompani przyzwyczaili się do jego nietypowego zachowania. Mimowolnie budził sympatię.

— Za dobrze nam szło — rzekł teraz zagadkowo, zostawiając Bedala

własnemu losowi, by zająć się końmi.

— Co jest? — zainteresował się Nils. — Szalonooki coś wypatrzył w lesie? — zażartował. — Trole uznały go za swego, jak poszedł na stronę i chciały go ożenić z samicą?

— Ma przecucia — odparł z powagą Bedal. — A wiesz, że on się zwykle nie myli. Jak ostatnio, gdy nam mówił, że Ross ściągnie na siebie kłopoty, a potem go porwali za koniem.

Nils natychmiast spoważniał.

— Co tym razem powiedział?

Bedal przekazał mu słowa Peera. Ponieważ przecucia woźnicy były już legendarne wśród jego towarzyszy, Nils wiedział, że należy potraktować je z należytą uwagą.

— Miejmy się na baczności — powiedział na to. — Powiedz Aleseiowi i pozostałym, by dziś byli szczególnie czujni.

Alesei stał się swego rodzaju łącznikiem pomiędzy żołnierzami a strażnikami uzdrowiciela, ponieważ widywali go najczęściej, zwłaszcza z początku, gdy pomagali mu w pierwszych dniach. Z nim zaprzyjaźnili się też najlepiej, jak dotąd, a zwłaszcza Bedal, dlatego też chłopak bez wahania poszedł do śpiącego jeszcze osiłka, wypełniając polecenie starszego kolegi.

Zaalarmowani niepokojem Peera towarzysze wyprawy starannie przygotowali się do dalszej drogi. Patrole wysłano przodem. Od Barnicy dzieliły ich jakieś cztery godziny drogi. Dotąd nie spotkali na swojej drodze wędrowców, lecz teraz Kirian zakładał, że dziś dojdzie do takiego spotkania. Jedyne tygrysy wydawały się spokojne, idąc po obu stronach powozu, zupełnie jakby objęły nad nim straż.

Wiwan, choć niepokój udzielił się także i jemu, po wczorajszym wieczorze obudził się w znacznie lepszym nastroju. Nie zmąciło tego nawet przecucie, że na miejscu będzie musiał podjąć się nowych obowiązków. To w końcu była przecież część jego życia, z którą czuł się nierozzerwalnie związany. Świadomość, że ma wokół siebie przyjaciół, dodawała mu otuchy, lecz nie zabrała lęku na zawsze ukrytego już w jego sercu. Gdy ruszyli w dalszą drogę, upominał sam siebie w duchu, ilekroć znów poczuł, że strach zaczyna go dławić. Ci, którzy zapewne czekają na niego w Barnicy, nie są przecież tacy sami jak ci barbarzyńcy z targowiska w Wermodzie! To zupełnie inni ludzie i musi o tym pamiętać. Wielu z nich zna przez całe swoje życie. Nie będzie drugiego ataku.

Poza tym teraz nie jest sam.

Ale niezależnie od tego, jak często to sobie powtarzał, lęk nie chciał go opuścić a każde przypadkowe spojrzenie na pokryte bliznami dłonie przypominały mu o ludzkim okrucieństwie...

* * *

Kolejny dzień nie był już tak upalny i pogoda z wolna zaczęła się zmieniać. Chmury gromadziły się coraz bardziej, nisko wisząc w powietrzu, zakrywając szczyty gór. Ochłodziło się. Zaczął padać deszcz. Kapitan nie był zachwycony tym stanem rzeczy, podobnie jak porucznik gwardzistów. Taka pogoda znacznie utrudniała widoczność, trakt się rozmywał, miejscami tworzyło się błoto, górskie strumyki zmieniały się w potoki, ludzie i zwierzęta natychmiast przemokli, a deszcz zniekształcał lub wręcz momentami zagłuszał odgłosy okolicy. Szczęściem trakt wiódł teraz wyżej, kryjąc wędrowców w lesie. W dolinach zapewne przemarsz stałby się trudniejszy.

Wreszcie rozpostarł się przed nimi widok miasteczka w dolinie.

A raczej tak by się stało, gdyby nie deszcz i mgła, które zakryły przed nimi ten widok niemal całkowicie, nie pozwalając cieszyć się jego przepychem. Nie zobaczyli dobrze ani zalewu, ani domów, nie mówiąc już o szczytach tamtejszych gór.

Dziwnym i niezwykłym przeżyciem było dla wędrowców dotarcie wreszcie tak daleko, niemal do kresu podróży. Tak wiele się wydarzyło, nim tu trafili.

Tu napotkali wreszcie patrole. Na szczęście ich obawy co do ewentualnego niebezpieczeństwa w lesie okazały się bezpodstawne. To nie lasu mieli się obawiać.

Miasteczko budziło w nich niepokój.

Kiedy wreszcie znaleźli się na prostym odcinku traktu, wiodącym bezpośrednio do miasteczka, poczuli narastające napięcie. Byli u celu.

Nawet stąd zbudowane całkiem niedawno mury przedstawiały się nieco złowrogo. Może zawinił w tym brak słońca, a może ich nastrój... jednak prawdą było, że przyjazd ich nie ucieszył. Nawet rodzeństwo spoglądało na Barnicę z rezerwą.

Wiwian był tak spięty, że ledwie mógł zachować spokój. Właściwie wolał już, by dojechali, chciał wiedzieć, co będzie dalej. Czy czeka go coś złego, czy przeciwnie?

Chciał mieć to już za sobą.

Ross dyskretnie polecił Klejnotowi odpowiednie działanie.

Wszyscy powoli odczuli, że lepiej już dojechać do celu jak najprędzej, niż trwać w napięciu. Ruszyli energicznie dalej.

Kirian, tknięty przeczuciem, zerknął na Rossa, lecz ukryty pod mundurem Klejnot nie ujawnił swego blasku. Ale on i tak był pewien, że to za jego sprawą podjęli tę decyzję. Chwilę wcześniej bowiem przypomniał sobie targowisko i zakrwawionego uzdrowiciela. Lęk o to, by sytuacja znów się nie powtórzyła, był silny, niemal zaczął go dławić. A potem nagle, jakby wbrew sobie, porzucił te

myśli, by zdecydowanie ruszyć naprzód. Pachniało to magiczną manipulacją. Ross nie pokazał po sobie niczego, sprytnie unikając podejrzeń. Porucznik musiał więc pozostać przy swoich domysłach. Właściwie poczuł nawet wdzięczność za to, że tamten ich zmobilizował.

Dosyć odwlekania tego, co nieuniknione.

— Ross — powiedział nagle Sel, zwracając tym uwagę partnera —
Cokolwiek robiłem ze swoim życiem, zawsze byłeś obecny w moich myślach.

Po tych słowach wyciągnął złożoną kartkę z kieszeni na piersi i podał mu ją. Widząc fragmenty rysunku, Ross poczuł, jak serce przyspiesza mu z ledwo tajonej radości. Starannie go rozłożył.

Trzymał w rękach swoje portrety, które pierwszy raz zobaczył w sypialni Sela.

Z drżeniem przycisnął na chwilę rysunek do swojej piersi i oddał go mówiąc:
— Miałem nadzieję, że powiesz coś takiego.

* * *

Oliwier spoglądał na Sai przez wzory w okiennicach powozu.

— Jak mam to zrobić? — szepnął. — Jak? Ciotka Smeralda padnie trupem z wrażenia, jak mnie zobaczy. Nie mamy szans powiadomić ją wcześniej.

— Zostaw to mnie — odparła mu cicho Julien. — Powiem, że jest kuzynką twojego i mojego ojca, córką ojca Celiny.

— To staje się już szyte zbyt grubymi nićmi, Julien — ostrzegł ją nerwowo.
— Cudem przeszło to kłamstwo, że jesteśmy kuzynkami.

— Widzisz inne wyjście? Oni w końcu stąd wyjadą. To osobista gwardia królowej i królewscy strażnicy.

— Co jeśli dla Wiwana będzie zbyt niebezpiecznie, by wyjechali?

— Sai rozmawiała o tym z Selem.

— Z Selem? Co ona ma do tego?

— Sel powie, że musi wyjechać, by ochłonać i zebrać myśli. Nie powie prawdy nawet Rossowi. Wtedy Selena ma go poprosić, by zabrał ją ze sobą i odwiózł do rodziny. A Oliwier przyjedzie do domu.

Oliwier milczał, wpatrując się we fragment drogi.

— Sel jest mianowanym przez królową strażnikiem Wiwana.

— Wiwan to zrozumie.

— Złamię serce Rossowi.

Julien westchnęła ciężko.

— Rozstanie musi wyglądać autentycznie. Potem powiem mu prawdę.

— A jeśli Sel rzeczywiście tak pomyśli?

— Na pewno mnie uprzedzi — odparła Julien po namyśle.

Czuła jednak, że rozmowa zaczyna jej ciążyć ze względu na Rossa. Nie wolno w ten sposób manipulować czyimiś uczuciami.

— Oliwier będzie zbyt podobny do Seleny — dodał po namyśle. — Zrezygnujcie z tego. Wolę zaczekać do ich wyjazdu.

Uśmiechnęła się do niego ciepło. Pomyślał o wszystkim. Poczowała ulgę, że ze względu na Rossa i kryjące się w tym niebezpieczeństwo nie będą wprowadzać tego planu w życie. Była pewna, że myślał o tym samym. Nie musiała słyszeć jego myśli, by to wiedzieć. Znała go całe życie.

— Tak łatwo się przyzwyczailem — powiedział. — Ta cisza w mojej głowie...

— No tak — stwierdziła z przekąsem. — Cieszysz się, że już tam nie siedzę...

— Wyczuwam cię — przerwał obronnym tonem. — Wciąż myślę, że jesteś bliżej...

Spojrzała na niego.

— Ja także — powiedziała z odrobiną smutku.

— Żałujesz? — zapytał z lękiem w sercu.

Uśmiechnęła się do niego czule.

— Nie — odparła.

Wiedział, że zrobiła to dla niego... jak wtedy, nocą. Miał tylko nadzieję, że kiedyś także zazna szczęścia i zrozumie w pełni, co dała im ich decyzja.

On nie postąpiłby inaczej.

* * *

— No — powiedział z powagą Kirian. — Pora zaczynać!

— Otwierać bramę!! — zawołał głośno kapitan, a wszyscy towarzyszący mu wędrowcy poczuli, że dzieje się teraz w ich życiu przełomowa chwila.

— Kto o to prosi? — zapytał z murów jakiś niski głos.

— Azylas — powiedział z uśmiechem Pafian do brata, który odwzajemnił ten uśmiech nerwowo, nasłuchując dalszego ciągu z wnętrza powozu.

— Brat uzdrowiciela — odparł po namyśle kapitan i wzruszył ramionami, widząc pytający wzrok porucznika. — Nie zaszkodzi spróbować.

— Taa... — rozległ się z góry powątpiewający ton. — Pewnie razem z moją matką!

Pafian uznał, że pora się pokazać. Ścisnął dłoń brata i wyszedł. Peer zmierzył go wzrokiem, jakby podejrzewał, że stracił rozum, pokazując się teraz.

— Powiedziała, że nie chce cię już widzieć! — krzyknął wesoło.

Z góry dobiegło wszystkich wyraźne zamieszanie, które potrwało chwilę. Za uśmiechem Pafian starał się ukryć napięcie.

— Pomóc? — zapytał Ross.

— Poczekaj — odparł mu Pafian. — Najpierw zobaczymy, jak potoczą się sprawy.

— Otwieramy!! — usłyszeli gromką odpowiedź i po chwili wrota otwały się powoli.

Pies zaczął szczekać. W pośpiechu podeszło do nich kilka postaci. Jedna z nich miała długą gęstą brodę i długie włosy rdzawego koloru. Nie to jednak zainteresowało podróżników, którzy nie byli nigdy w Barnicy. Brodaczowi towarzyszyły dwa elfy, a obecność elfów w Wermodzie była tak rzadka, że zawsze stawała się obiektem zainteresowania. Tu nie było inaczej. Prócz nich, na murach ukrywało się jeszcze kilka istot.

— Panie hrabio!! — krzyknął nieco nerwowo brodacz, zerkając podejrzliwie na dwa białe tygrysy. — Co za niespodzianka! Miło nam niezmiernie — szybkim spojrzeniem rozejrzał się po żołnierzach. — To eskorta, jak rozumiem!

— Drogi Azylasie — rzekł do niego Pafian — oznaj, proszę, gwardzistów królowej i straż królewską oraz ich dowódców — Terona i Kiriana. — Obaj skłonili się lekko. — A także moich przyjaciół — wskazał na Aleseia, Sai i Sela, obejmując tym też niechcący Ethana, który nadal z pasmem białych włosów i w cywilnym ubraniu siedział na swym koniu obok nich.

Ross ukryty pod maską i hełmem nieco ich wyprzedzał. Po porannej dyskusji, kapitan uznał, że zamiana ma trwać nadal, gdyż może mieć w przyszłości znaczenie dla innych planów. Inna sprawą było, że farba, której użył Ethan do włosów, nie dawała się zmyć, co w ukryciu Ross skwitował pogardliwym uśmiechem z nutą satysfakcji. Ethan, czy tego chciał, czy nie, wciąż miał uchodzić za Rossa. Z wszystkimi tego konsekwencjami.

Oczywiście Ross znał sposób na to, by ją usunąć, ale skoro kapitan zdecydował, że to może się przydać...

— Tak, tak — odparł na to nerwowo Azylas, oglądając się nerwowo za siebie. — Azylas. Kowal. A to Waszeba i Milczący, szlachetne elfy leśne.

Waszeba uśmiechnęła się do mężczyzn nieco prowokująco. Jej czerwone włosy spięte były w warkocz. Milczący nie zmienił wyrazu twarzy.

Część mężczyzn, w tym Alesei, natychmiast odpowiedziało na ten uśmiech swoim. Drugiego elfa potraktowano z rezerwą.

— Błagam, panie — rzekł nerwowo, choć bez służalstwa Azylas — nie wjeżdżaj do miasta w ten sposób. Ludzie pomyślą, że wieziecie tam — wskazał na powóz — samego uzdrowiciela!

Pafian spojrział na niego wymownie.

— Nie może być! — zdziwił się kowal. — Ale on w takim razie nie może tak wjechać! Trzeba go ukryć!

— Waszeba, daj płaszcz — rzucił dziewczynie. — Szybko. Zaraz

wzbudzimy zainteresowanie! No i do tego jeszcze w dzień! — spojrzał w niebo. — No, ale może ten deszcz... Zaprowadzimy go do domu bezpieczną drogą, a wy... — namyślił się chwilę. — A co tam! — machnął ręką. — Jedźcie! Zobaczą cię panie i będą rozczarowani, a potem się rozejdą!

Pafian wszedł za Azylasem do powozu. Kował szybko i serdecznie przywitał się z uzdrowicielem.

— Dasz radę iść? — Pafian zapytał brata z troską.

— Muszę spróbować — odparł Wiwan.

Pafian podszedł do niego i mocno go objął.

— Do zobaczenia w domu, bracie — rzekł mu z uczuciem, w którym kryła się zarówno braterska miłość jak i poczucie winy i współczucie.

Wiwan odwzajemnił ten uścisk, czując jak za sprawą brata jego stan się poprawia. Ból minął.

— Do zobaczenia — szepnął wzruszony.

Założył płaszcz i ukrył twarz pod kapturem. W pośpiechu podszedł, by pożegnać się z bliźniętami.

— Idź z nim — rzuciła nagle Julien Oliwierowi. — Idź. Uprzedzisz ciotkę!

Obaj spojrzeli na nią nieco nieprzytomnie.

— Ona ma rację — rzekł wreszcie pierwszy Wiwan. — Chodź ze mną, Seleno.

— Pospieszcie się! — denerwował się Azylas.

Oliwier uściskał siostrę.

— Zaraz się zobaczymy — szepnęła mu. — Nie martw się. Będzie dobrze. Zobaczył jeszcze jej pokrzepiający uśmiech.

Decyzja Seleny wzbudziła pewien niepokój wśród gwardzistów. Nie mieli jednak czasu, by podjąć jakieś decyzje. Nie mogli towarzyszyć Wiwanowi. Mieli mundury.

— Pójdę z wami — rzucił Alesei.

— Za duży — dźwięcznym tonem odezwał się na to niespodziewanie Milczący.

— A ja? — zapytała go szybko Sai.

Bez wahania kiwnął potakująco głową. Sai zeskoczyła z konia i znalazła się przy nich. Serce Oliwiera znów wykonało salto, tym razem z radości. Zdołał wymienić krótkie spojrzenie z uzdrowicielem.

Grupa szybko oddaliła się od podróżników i zniknęła za bramą.

Pafian zamknął się z Julien we wnętrzu powozu. Pociuszając jednocześnie siebie i ją, ujął jej dłoń i mocno uściśnął. Spojrzała mu w oczy z obawą.

— Ruszajmy! — zakomenderował kapitan.

Peer na pokaz strzelił z bata i powóz wjechał przez bramę za towarzyszącymi mu żołnierzami.

Przepełnieni ciekawością i obawą wędrowcy dotarli w końcu do celu.
Miasto wypełniały tłumy ludzi...

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby bez kilku ważnych ludzi, którym pragnę podziękować.

Przede wszystkim Agnieszce — bez której wiary w tę historię nie dałabym rady. Jest, jak mówię zawsze: Frodo nigdzie by nie zaszedł gdyby nie Sam.

Renacie — której krytyczne uwagi i humor ustawiały mnie do pionu.

Pani Anecie, wydawcy *Uzdrowiciela*, za światło w tunelu i Pani Katarzynie — za jej wspaniałą okładkę.

Magdalenie — pisarce — za niezłomność i nieustające poparcie.

Oraz dwóm ludziom, których miejsce stworzyło mi klimat i niezbędną równowagę w moim życiu, co było mi wtedy równie niezbędne, jak woda na pustyni. Dzięki atmosferze panującej u nich powstało kilka scen, które „zapamiętały” tamte chwile na kartach książki. Dobremu duchowi, który zawsze chętnie wspiera *Uzdrowiciela* — Damianowi. I Danielowi — krótko. Wiem, jak nie znosi komentarzy.

Dziękuję Wam wszystkim.

Spis treści

Od redakcji: PROLOG ROZDZIAŁ 1 — Ostatnie chwile ROZDZIAŁ 2 — Układ z diabłem ROZDZIAŁ 3 — Pokojówka ROZDZIAŁ 4 — Taniec ze śmiercią ROZDZIAŁ 5 — Śladami spisku ROZDZIAŁ 6 — Grabarze ROZDZIAŁ 7 — Krew i strach ROZDZIAŁ 8 — Pocałunek miłości ROZDZIAŁ 9 — Szalona ucieczka ROZDZIAŁ 10 — Krew na bruku ROZDZIAŁ 11 — Ocalenie ROZDZIAŁ 12 — Śmierć wszystko zmienia ROZDZIAŁ 13 — Spotkanie ROZDZIAŁ 14 — Powiedz moje imię ROZDZIAŁ 15 — Podróż ROZDZIAŁ 16 — Ostatni wieczór PODZIĘKOWANIA

